

ANNA BIŃKOWSKA

tu

sie

nie

zabija



ANNA
BIŃKOWSKA

TU SIĘ NIE ZABIJA

Copyright © by Anna Bińkowska, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Intermezzo](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Przypisy](#)

*Wszelkie podobieństwo do opisanych osób i zdarzeń jest przypadkowe,
a podczas pisania nie ucierpiał żaden archeolog.
Słowo.*

Prolog

Zaczął się śmiać. Głośno i nieprzyjemnie.

Jego śmiech brzmiał nienaturalnie, zupełnie jakby charczał, jakby coś mu w gardle bulgotało. Jakby się dławił.

Jakby zaraz miał umrzeć.

Jeśli o mnie chodzi, to mógł umrzeć, tu i teraz.

Bulgot odbijał się od ciemnych regałów zavalonych zdjęciami i slajdami, wracał ze zdwojoną siłą i rozbijał się w mojej czaszce niemal jak w pustym naczyniu. Naprawdę, co za upiorny dźwięk! Słyszać było tylko to, nic więcej.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek śmiał się tak otwarcie przy kimkolwiek. Chyba nie, ale nawet mnie to nie dziwiło. Byleby tylko przestał się śmiać!

Nagle zapadła cisza. Upiorny śmiech zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił.

– Doskonały żart – powiedział jak gdyby nigdy nic, zdejmując okulary w cienkich drucianych oprawkach i teatralnym gestem otarł oczy, że niby taki rozbawiony. Bęcwał. – Naprawdę doskonały żart ci wyszedł! Gratuluję, akurat po tobie nie spodziewałem się takiego poczucia humoru!

– Nie żartuję. – Słowa z trudem wydostały się z mojego zaciśniętego gardła.

– Jasne. – Na powrót wsadził na nos okulary i rzucił mi chłodne spojrzenie. – Nie rozśmieszaj mnie, tylko bierz dupę w troki i zasuway do zadanej roboty, słyszysz? Samo się nie zrobi!

Moje dłonie mimowolnie zacisnęły się w pięści. W uszach szumiała krew.

– Nie.

Mój głos zabrzmiał niepewnie i dziecinnie nawet dla mnie.

Skrzywił się, w jego jasnych oczach błysnęło coś niepokojącego. Odruchowo poprawił rękawy fioletowej koszuli, podwinięte mimo

panującego chłodu, i zrobił dwa kroki, zatrzymując się tuż przede mną. Był ode mnie nieco niższy, starszy i było w nim coś... demonicznego. Nie wiem co, ale włosy na całym ciele uniosły mi się z przerażenia.

Jemu nie mówiło się „nie”.

Postąpił jeszcze krok, zmuszając mnie do cofnięcia się, ale tuż za mną znajdowało się stare, jeszcze peerelowskie biurko, którego krawędź wbiła mi się w pośladki.

Nachylił się nieco, a całe moje ciało spięło się, jakby w oczekiwaniu na uderzenie.

– Do ro-bo-ty – wycedził przez zaciśnięte zęby. W ostrym jarzeniowym świetle zalewającym pokój widoczne były wszystkie jego zmarszczki, wszystkie bruzdy na czole, a siwe włosy miały żółtawy odcień.

Nie.

„Ty nie wiesz, co to konsekwencja”. Powiedział mi to nie dalej, jak kilka dni temu. „Znasz takie słowo: asertywność? Trudne dla ciebie do pojęcia, nie?” To z kolei sprzed tygodnia. A może z zeszłego miesiąca? Nie miało to już żadnego znaczenia.

– Nie.

To naprawdę mój głos? Bo tym razem zabrzmiało to lepiej. Stanowczo. Z uporem. Jak nie ja.

Zmrużył nieco oczy i wpatrywał się we mnie jak wąż na chwilę przed atakiem.

– Koniec będzie wtedy, kiedy ja na to pozwolę, rozumiesz? – powiedział niskim głosem, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Co prawda daleko mi do osób strachliwych, ale w tym na pozór dystygowanym, dojrzałym facecie było coś upiornego, jakby... jakby zło w czystej postaci.

Moje serce, dotąd i tak bijące niespokojnie, teraz waliło jak oszalałe, a mimo to...

– Nie.

Jego źrenice rozszerzyły się, płatki nosa zadrgały niespokojnie. Otworzył usta – pewnie, żeby powiedzieć, co o mnie sądzi – ale zamiast tego z jego gardła ponownie wydobył się ten dziwny bulgot.

Po chwili dźwięk urwał się gwałtownie.

Spojrzał w dół. W jego piersi tkwiło ostrze, które trzymała moja ręka.

Jezu...

Podniósł na mnie wzrok i poruszył ustami jak ryba, którą wyciągnięto z wody, po czym szarpnął się do tyłu. Moja dłoń nie puściła jednak ostrza. Chlusnęła na mnie krew z rozrywanego ciała. Na mnie i na wszystko wokół.

Głupek, przemknęło mi przez głowę. Wykrwawi się.

Moja dłoń wciąż zaciskała się na bezwiednie podniesionym z biurka sztylcie. Mózg nawet nie zarejestrował momentu, kiedy ręka odnalazła go na blacie wśród innych szpargałów.

W uszach szumiało mi coraz głośniejsze.

On wciąż charczał, na ustach pojawiła się krwawa piana – najwyraźniej ostrze trafiło go w płuco. Chciał rzucić się do drzwi, ale nie dał rady, upadł. Zaczął się czołgać. Dureń, chce wykrwawić się na pustym korytarzu?

Pogotowie.

Muszę zadzwonić po pogotowie. Telefon niby był w mojej kieszeni, ale bateria była rozładowana. Ale Tadeusz przecież też ma komórkę... Będą pytać, co się stało. Muszę wiedzieć... Muszę wiedzieć, co mówić.

Czołgał się nieporadnie jak robak, brocząc krwią, która błyskawicznie wsiąkała w szarą wykładzinę. Podniósł na mnie wzrok, dziki i pełen nienawiści, i wyciągnął rękę, jakby chciał mnie złapać. Dłoń ze sztyltem znów uderzyła, prosto w jego ramię.

A potem jeszcze raz. I ponownie.

Przestał się ruszać. Ale serce wciąż biło, jeszcze nie było za późno...

Nie, było o wiele za późno. Nawet jeśli wezwę pogotowie, pojawi się i policja. I pytania. Będą chcieli odpowiedzi, których nie mogę im dać.

Nie.

Nagle uderzyła mnie fala gorąca, w oczach pociemniało.

Leżał u moich stóp, z siwą czupryną, w jasnych spodniach

i fioletowej koszuli pokrytej szkarłatnymi plamami.

Jakoś tak... symbolicznie.

I wtedy przyszło to skojarzenie.

Leżał jak Cezar.

Jak Gajusz Juliusz Cezar zaszytyłowany przez swoich
współobywateli, współpracowników, przyjaciół.

Takich jak ja.

Rozdział 1

Ósma rano to nie jest dobra pora do nauki. Co prawda na terenie należącym do Uniwersytetu Warszawskiego znajdowało się całkiem sporo ludzi, jednak na ogół były to jednostki niespecjalnie zadowolone ze swojego losu. Nic zresztą dziwnego, bo i aura listopadowego poranka nie zachęcała do porzucenia ciepłego łóżka i wyjścia z domu.

W klasycystycznym gmachu dawnej Szkoły Głównej, znajdującym się nieco na uboczu akademickiego terenu przy Krakowskim Przedmieściu, panowała senna atmosfera. Mieszczący się tu Instytut Archeologii prowadził życie zdecydowanie popołudniowe i wieczorne. W poniedziałek o ósmej rano zajęcia dopiero się zaczynały, na razie tylko w dwóch salach na parterze i jednym pomieszczeniu w piwnicy zaadaptowanej do celów użytkowych. Na korytarzach pogrążonych w miękkim półmroku było cicho, pusto i zaskakująco zimno.

Pod zamkniętą na głucho salą wykładową na pierwszym piętrze tkwiła grupka studentów zerkających co chwila na zegarki i wyświetlacze telefonów.

– Dwadzieścia po – mruknęła niewyraźnie jedna ze studentek, Majka. – Chyba nie obchodzi mnie, czy on przyjdzie, czy nie.

Stojący obok Jureczek Szaniawski rzucił jej niedowierzające spojrzenie. Jureczek miał wygląd grzecznego chłopca i kujona, który to wygląd zresztą starannie pielęgnował. Niezbyt wysoki, raczej szczupły, z gładko zaczesanymi włosami i w okularach, które przecierał regularnie co pół godziny, zawsze nosił starannie odprasowane koszule i spodnie w kancik. Zimą wzbogacał swój wygląd o wełniany sweter z obowiązkowo wyłożonym kołnierzykiem koszuli. Wygląd ten zupełnie nie szedł w parze z opinią nałogowca – Jureczek, wyrwawszy się spod rodzicielskich skrzydeł, z radością upadłał się przy każdej możliwej okazji. Znał

większość knajp i barów w mieście, uparcie utrzymując, że to tak naprawdę jego eksperyment socjologiczny. Ludzie, którzy po raz pierwszy patrzyli na jego niewinną postać i rozbiegane oczka, a jednocześnie czuli zapach alkoholu, uznawali go nie za alkoholika, ale za dobrego chłopca, który odkrywa uroki życia. Jureczek oczywiście bezwstydnie to wykorzystywał. Gorzej mu szło z tymi, którzy już go znali. Trzeba jednak przyznać, że pod zaledwie lekkim wpływem alkoholu umysł Jurka i jego zdolności percepcji wspinały się na zdumiewające poziomy. Dostrzegał detale i wysnuwał trafne wnioski, tyle że milczał, przemyślenia zachowując dla siebie.

Grupa tkwiąca pod zamkniętymi drzwiami składała się ze studentów trzeciego roku oczekujących na zajęcia ze sztuki wczesnochrześcijańskiej z doktorem Pawłem Matejką. Mieli ponad dwa lata studiów i dwa sezony obowiązkowych wykopalisk na to, żeby poznać się wzajemnie, zawrzeć przyjaźnie i się znieubić. Jureczek miał czas – i niejedną sposobność – by w koleżance Mai rozpoznać osobę, która nie miała nic przeciwko zacieśnianiu kontaktów z kadrą.

– Dwadzieścia minut! Dwadzieścia minut to kpina w żywe oczy! – burzyli się studenci, a Jureczek przysiadł obok Majki na niskiej ławie.

– Ty – powiedział półgłosem, nachylając się w jej kierunku. Maja obrzuciła go nieprzyjemnym spojrzeniem i odsunęła się nieco. Ona i Jureczek nigdy nie należeli do tego samego kręgu towarzyskiego.

– Spadaj, pijaku – rzuciła z odrazą w głosie.

– Może byś tak zadzwoniła do szanownego doktora Matejki, co? – zaproponował Jureczek, nie zważając na jej słowa.

– Że co? – Majka rzuciła mu w półmroku spojrzenie pełne niedowierzania.

– Ej, piętnaście minut już dawno minęło, kwadrans akademicki *is over*, Matejko może go sobie teraz wsadzić! Spadamy! – Przyszli adepci archeologii zaczęli mówić coraz głośniej; Jureczek skrzywił się nieznacznie. Nie lubił krzyków z samego rana. Ba, w ogóle ich nie lubił, jego psychika była na nie zbyt delikatna, jak sobie zawsze tłumaczył.

– Elementarna przyzwoitość nakazuje uprzedzenie mniej uświadomionych kolegów, że zajęć nie będzie – powiedział cicho z lekką naganą w głosie, ściągając okulary i przecierając szkła brzegiem swetra.

– Co ty chrzaniisz? – zdziwiła się Majka.

– Nic nie chrzanię, nie lubię chrzanu. – Jureczek wzruszył ramionami i włożył na nos okulary. – Stwierdzam tylko fakty. Że jeśli wiedziałaś, że facet się spóźni, to mogłaś uprzedzić kolegów z grupy, nie?

Majka przypatrywała mu się przez chwilę.

– Wiem, że tego pożałuję... – mruknęła. – Ale skąd niby miałabym wiedzieć, że Matejko się spóźni? Nie jestem wróżką, nie? – Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła paczkę gumy do żucia, którą podała Jureczkowi.

– Och, nie, dzięki, ja mam słabe zęby, wiesz, plomby od tego gubię.

– A jednak nalegam. – Podetknęła Jureczkowi gumę pod nos, musiał poczęstować się miętowym listkiem. – Śmierdzisz jak gorzelnia.

– Lepiej śmierdzieć jak gorzelnia niż jak latryna. – Jurek uśmiechnął się i demonstracyjnie wsadził gumę do ust.

Majka z westchnieniem schowała pozostałe listki do kieszeni.

– Powinniśmy się stąd zbierać – rzucił ktoś.

To, że tkwili wciąż pod zamkniętą salą, nie oznaczało bynajmniej ich szczególnej obowiązkowości. Po prostu pora dnia i jesienny chłód nikogo nie nastrojały do wychodzenia na zewnątrz. O ósmej rano w poniedziałek nawet instytutowy bufet był jeszcze zamknięty i opcje spędzenia niespodziewanego okienka były mocno ograniczone.

– No pewnie, że powinniśmy! Napiszmy mu tylko listę obecności, żeby nie było – zaproponował ktoś inny.

– Tak, i zostawimy w jego przegródce na listy!

– Albo mogłabyś po prostu zadzwonić do niego i dowiedzieć się, czy jaśnie pan doktor w ogóle zamierza się pojawić. – Jureczek posłał Majce szeroki uśmiech i mrugnął okiem, w jego mniemaniu

znacząco.

Majka popatrzyła na niego z politowaniem i postukała się w czoło. Dobrze wiedziała, że Jurek jest jakiś dziwny. Od samego początku był dziwny, od pierwszych zajęć. Nie głupi, co to to nie. Wręcz przeciwnie – nie miał problemów z nauką, kolokwia zaliczał, egzaminy zdawał, nawet nieco lepiej niż inni. Ale dla nikogo nie było tajemnicą, że sporo pił, nawet jak na standardy studenckie i archeologiczne, które i tak były zawyżone. A mimo to oczka błyskały mu zza tych okularków jakoś tak zbyt inteligentnie. Czasem trafiał w punkt. Skąd w ogóle wziął mu się temat Matejki? Kosmos jakiś! Jak mu jeszcze przyjdzie do tej zamarynowanej w alkoholu łepetyny, żeby podzielić się głupimi sugestiami przy kielichu z kochanymi kolegami z różnych lat, albo i z kadra, to dopiero będzie... Przecież tu wszyscy plotkują na potęgę.

Nie będzie miała życia.

Zanim studenci znaleźli pustą kartkę i piszący długopis, zanim stworzyli listę obecności na zajęciach, których nie było, w ciemnym dotąd wnętrzu rozbłysło światło. Oczy wszystkich skierowały się w stronę włączników lamp na końcu korytarza. Nie było tam jednak doktora Matejki – wysokiego, przystojnego, z fryzurą na Presleya – tylko Tadeusz Borówka w jasnym prochowcu i żółtym szaliku, którego końce wetknął pod skórzany pasek listonoszki przewieszanej przez pierś.

– Czołem młodzieży – powiedział rażno; jego głos odbił się echem w pustym korytarzu.

– Dzień dobry – odezwało się kilka ugrzeczionych głosów.

Borówka był doktorantem i prowadził zajęcia z pierwszym rokiem archeologii, ale sam wyglądał na początkującego studenta. Mocno zbudowany, ciemnowłosy i ciemnooki, sprawiał wrażenie młodszego, niż był naprawdę. Tego dnia wyglądał po prostu na niewyspanego.

– Na zajęcia czekamy? – zapytał, idąc w stronę studentów. Stali przy schodach prowadzących na drugie piętro, gdzie znajdowały się gabinety wykładowców.

– Kto czeka, ten czeka – rzucił ktoś zza pleców kolegów.

– No to już nikt nie czeka. – Borówka pokiwał głową, zatrzymując się na moment przed studentami. – Doktor Grunwald właśnie do mnie dzwonił – zażartował, nawiązując do zbieżności nazwisk wykładowcy i sławnego malarza. – Zajęcia macie dzisiaj odwołane. Tylko nie mówić o tym głośno! – Mrugnął porozumiewawczo, zasalutował i ruszył schodami na górę.

– No i poniedziałek z dupy – skomentował ktoś ponuro, kiedy Borówka zniknął za zakrętem schodów. – A mogłem się wyspać...

Majka podeszła do Jureczka.

– Ty się znasz z Borówką poza instytutem? – zapytała, stając przed nim z hardą miną. – Bo on wygląda, jakbyście weekend spędzali wspólnie na picciu.

Jureczek wzruszył ramionami.

Była ósma dwadzieścia pięć.

O ósmej trzydzieści jeden doktor Paweł Matejko wciąż tkwił w korku na moście. Dokładniej rzecz ujmując, tkwił za pomarańczowym cinquecento na poznańskich numerach przy wjeździe na most Grota-Roweckiego, zamierzając przedostać się na drugą stronę Wisły. Kiepsko mu szło, bo na moście zdarzył się wypadek i ruch został wstrzymany. Nie miał żadnej szansy na zjechanie z trasy i wybór innej drogi.

Westchnął ciężko, zabębnił palcami po kierownicy. No to szlag trafił zajęcia ze sztuki wczesnochrześcijańskiej. Wiedział, wiedział od samego początku, że zajęcia o ósmej rano w poniedziałek to nie jest dobry pomysł. Ale oczywiście Tadeusz się uparł, a on, Matejko, nie miał zbyt wiele do gadania. Tadeusz Zawistowski był szefem, alfą i omegą, głową i szyją, a może i całą resztą Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, mówiąc krótko – pełnił funkcję dyrektora. Mało tego, był jakby podwójnym szefem Matejki, bo kierował także Zakładem Archeologii Wczesnochrześcijańskiej, w którym Paweł był adiunktem.

Przy okazji – Zawistowski był też sukinsynem jakich mało.

Ileż to razy Matejko słyszał, że kiepsko się stara i że chyba jednak nie zależy mu na pracy, że od myślenia to jest tu on, Zawistowski,

że studentki to można sobie podrywać na bibliotekoznawstwie, a nie tutaj... Chyba upatrzył sobie Matejkę do gnębienia. Czemu – tego nikt nie wiedział. Może już taki miał charakter. Dlatego też Paweł nieraz zastanawiał się, czemu Zawistowski przyjął go do kierowanego przez siebie zakładu, i za każdym razem dochodził do mniej więcej tego samego wniosku: Zawistowski był po prostu sadystą.

Matejko miał już serdecznie dość atmosfery, jaką wytwarzał szef. Przez weekend przemyślał parę spraw i postanowił zaryzykować, wziąć przykład z Tadeusza Mazowieckiego i odciąć się od tego wszystkiego grubą kreską. Raz na zawsze. A jego pierwszym krokiem będzie spotkanie z kumplem z Muzeum Narodowego. Zamierzał go wybadać, czy nie potrzebują specjalisty od sztuki wczesnochrześcijańskiej i sepulkralnej. Na pewno przydałby im się ktoś taki, bo akurat te dziedziny mają zaniedbane. Dla nich sztuka zaczyna się od średniowiecza.

Włączył radio. Niestety na antenie ktoś głądził i głądził. No tak, wpół do dziewiątej, pora gadanych audycji, żeby ludzie jadący do pracy zorientowali się w wydarzeniach z kraju i ze świata i żeby mogli potem brylować przy ekspresie do kawy albo biurowym zasobniku z wodą. Tym razem kolejny ekspert roztrząsał psychikę Katarzyny W., matki Madzi z Sosnowca. Matejko westchnął i z niejakim poczuciem winy przełączył stację. To była, rzecz jasna, wielka tragedia, że zginęła taka mała dziewczynka, ale ten temat nie schodził z pierwszych stron gazet niemal od początku roku, no ile można! Paweł miał już serdecznie dosyć słuchania o wybrykach pani W., miał swoje własne problemy, wielkie dzięki.

Nawet dobrze, że szlag trafił te poranne zajęcia. Tadek Borówka zdjął mu z głowy problem poinformowania studentów bez angażowania sekretariatu, i świetnie, bo o dziesiątej miał być w Muzeum Narodowym. Wszystko powinno się jakoś ułożyć. W końcu. Bo ostatnio szło jak po grudzie. Zawistowski stał się nie do wytrzymania i przekraczał wszelkie granice.

Wszystko miało szansę się ułożyć, pod warunkiem jednak że w końcu uda mu się wydostać z tego pieprzonego korka. Ogarnąłby

się, owszem, i przygotował do spotkania, gdyby nie musiał stać w tym zatorze. Dzisiaj też wszystko będzie do dupy, nawet jeszcze bardziej niż zwykle, pomyślał ponuro, stukając nerwowo palcami po kierownicy i kompletnie ignorując rytm, który w radiu wybijał teraz Maleńczuk.

Westchnął i znowu spojrzął na zegarek. Samochody przed nim nie ruszyły się nawet o metr.

– Kurwa, no – rzucił głośno, choć na ogół raczej nie przeklinał. Zapragnął napić się kawy.

Maleńczuk zdążył wyśpiewać, co miał do wyśpiewania o ciężkiej nocce, zastąpiła go Kasia Kowalska z utworem o pieprzu i soli, potem prowadzący audycję nabijali się z nagłówków gazet, a samochody wciąż stały.

Była ósma czterdzieści cztery.

Dzień zaczynał się rewelacyjnie.

O dziewiątej piętnaście Irena Parys miała zdecydowanie dość swojego życia. Źle je sobie zaplanowała. Nikt przecież nie kazał jej robić kariery naukowej, bronić doktoratu i pisać habilitacji! Mogła zostać w domu i mieć święty spokój – gotować obiady, pracować, sprzątać i robić mężowi awantury o pieniądze. Ale nie. Uparła się zostać drugim Kazimierzem Michałowskim, Indianą Jonesem w spódnicy, krótko mówiąc: kimś. W rezultacie nie tylko miała etat w domu, wykonując za friko całą czarną robotę przy przeciętnie funkcjonującej czteroosobowej rodzinie plus kot, lecz także musiała użerać się z administracją i studentami. Czasami naprawdę przeklinała dzień, w którym podpisała umowę o pracę, to był cyrograf diabła, a nie umowa. I przeklinała Zawistowskiego, który ją w to wszystko wciągnął. To była jego wina. Nie jej. Jego.

Na przykład dzisiaj. Od rana tkwiła w gabinecie dyrektorskim przy stole konferencyjnym zasłanym dokumentami, z Teofilem Kwaśnym wiszącym nad nią i trującym o podziale środków finansowych. Kwaśny zajmował się obsługą administracyjną instytutu i bywał nieznośny, zwłaszcza jeśli w grę wchodziło terminowe rozliczenie i składanie papierów. A w perspektywie Irena

miała jeszcze zajęcia ze studentami z grecko-rzymskiej mitologii oraz trzy spotkania, w tym jedno z dziekanem wydziału i jedno z potencjalnym sponsorem, Bóg jeden wie po co. Plus pięć milionów papierów do przeczytania i podpisania.

– Po co Heńkowi pięćdziesiąt tysięcy? – zapytała lekko rozdrażniona. Podział i rozliczanie środków finansowych, których zawsze było za mało, zdecydowanie nie należały do jej ulubionych zajęć. Właściwie powinien zajmować się tym Zawistowski, który na ogół przychodził pierwszy i wychodził ostatni. Ona była tylko jego zastępcą; niestety, dysponowała upoważnieniem do podpisywania zobowiązań finansowych, a terminy były nieugięte. Szlag by to trafił, było się nie zgadzać...

– Heńkowi po nic, ale jego Zakład Archeologii Dalekiego Wschodu wysyła ludzi do Delhi – wyjaśnił Teofil ze stoickim spokojem, podsuwając jej stosowny papier. – Na konferencję. W przyszłym roku.

– Ilu wysyła tych ludzi, pół instytutu? Niech wyślą dwie osoby, dam im dziesięć tysięcy na wszystko.

– Heniek się nie ucieszy – przepowiedział ponuro Teofil.

– Ja też się nie cieszę – odparła stanowczo. – Jak chcą więcej, to niech sobie sponsora znajdą! Jak dam Heńkowi pięćdziesiąt tysięcy, to będziemy musieli obciąć pieniądze na jubileuszową publikację Wyciszka, a wtedy dziekan urządzi piekło. Dlaczego tu jest tak zimno? – Odłożyła długopis i sięgnęła po wełniany szalik, który następnie starannie omotała wokół szyi.

– Pewnie centralne poszło. Ale nie narzekaj, zimno konserwuje. Namiestnikowa Zajączkowa sypiała na lodzie, żeby zatrzymać młodość. – Teofil wzruszył chudymi ramionami, zręcznie zgarniając podpisane papiery do odpowiedniej teczki. – Poza tym Wyciszek i piekło? Masz jednak dziwne poczucie humoru. – Strzelił głośno gumką teczki. – Wyciszek nigdy w życiu nie urządził nikomu awantury i nie polecał na skargę, bo za bardzo się boi!

– No i to nie Wyciszek poskarży się dziekanowi, tylko tych dwóch bubków z jego pracowni.

Struktura wydziałowa przewidywała podział na instytuty. Te

z kolei już we własnym zakresie dzieliły się na zakłady i pracownie, w których zatrudnieni byli pracownicy naukowcy i dydaktyczni. Rzeczony profesor Wyciszek kierował właśnie jedną z takich pracowni – Sztuki Starożytnej – w której zatrudniał dwóch młodych ludzi. Teraz na warsztacie naukowym mieli jubileuszową – pięćdziesiąt lat istnienia pracowni – publikację dotyczącą rekonstrukcji antycznych rzeźb.

– Racja. – Teofil skinął głową. – Tym dwóm hienom wydaje się, że mogą wszystko, bo są z dziekanem na ty. Czyli Heniek dziesięć tysięcy.

– Dziesięć – przyświadczyła Parys i złożyła we właściwym miejscu zamaszty podpis. – A tak właściwie dlaczego ja to robię? To Tadeusz powinien się pod tym wszystkim podpisywać! Widziałam, że jego samochód stoi przed instytutem, dzwoniłam do niego chyba z pięć razy. Dlaczego nie odbiera? Teofil!

Zawistowski istotnie powinien od bladego świtu rezydować w swoim gabinecie, nazywanym przez pracowników Jaskinią Minotaura Rozrywającego Swoje Ofiary na Strzępy. Tadeusz jak nikt rozeznawał się w nieprzebranym morzu papierów, rozliczeń, wniosków, petycji i projektów, nadzorując czujnym okiem życie całego instytutu i wszystkich jego członków, zarówno pracowników, jak i studentów.

Zanim jednak Teofil zdążył odpowiedzieć, do drzwi gabinetu ktoś zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

– Nie ma Tadeusza? – zdziwił się profesor Wyciszek, rozglądając się po gabinecie. Był mały, okrągły i miał brodę jak krasnoludek z bajki Konopnickiej.

– Nie, skąd, jest, chowa się pod biurkiem – warknął Teofil. Nie żeby nie lubił profesora Wyciszka. Po prostu miał zły dzień. Jak zawsze od pięćdziesięciu jeden lat, od dnia swoich narodzin.

– Nie ma – odpowiedziała równocześnie Parys, rzucając ostrzegawcze spojrzenie sekretarzowi. – Też się zastanawialiśmy...

– O nie, ja się nie zastanawiałem! – zaprotestował Teofil, unosząc rękę w geście sprzeciwu.

– Zastanawialiśmy się – powtórzyła Parys z nieco większym

naciskiem w głosie – gdzie się podziewa. Telefonu też nie odbiera. Ale jeśli to coś pilnego, to może zajrzyj do Matejki, ma teraz zajęcia w sto dziesięć. On może wiedzieć, gdzie jest Tadeusz. Na ogół wie.

– Taaak... – Profesor Wyciszek skubnął krasnoludzią brodę z lekkim zakłopotaniem. – Tylko że Matejki też nie ma – wyjawiał ze skruchą. Brak Matejki na zajęciach w żadnym razie nie był jego winą, ale Wyciszek miał tendencję do odpowiadania za usterki całego świata. – To znaczy nie ma go w sali, w której powinien być. Ani jego studentów. Sprawdziłem.

– No to może zabrał ich na zajęcia do Muzeum Narodowego. Nie wiem. – Parys zniecierpliwiała się lekko. Lubiła Wyciszka, ale czasami działał jej na nerwy. Prawdę mówiąc, sama nie wierzyła w to muzeum. Bardziej prawdopodobne było, że studenci nie przyszli, a Matejko zasnął.

– W poniedziałek rano do muzeum? – prychnął Teofil. – Nie wpuściliby go, w poniedziałki Narodowe jest zamknięte, a gdzie indziej miałby pójść!

– O – poparł go Wyciszek.

Parys poczuła, że opuszczają ją resztki cierpliwości. Poprawiała nerwowo szalik.

– Są jeszcze inne muzea w tym mieście – mruknęła i zwróciła się do Wyciszka: – To sprawdź na górze, w jego zakładowym gabinecie.

Wyciszek zawahał się. Sprawdzał już na górze. Zakład Archeologii Wczesnochrześcijańskiej zastał zamknięty na cztery spusty, nie było ani Zawistowskiego, ani jego adiunkta Matejki, ani tego dzieciaka, doktoranta Jagody czy tam Porzeczeki... nie, Borówki! Właściwie dyrektor nie był mu aż tak bardzo potrzebny, mógł go złapać przy innej okazji.

Wymamrotał coś na kształt pożegnania i z ulgą wycofał się z gabinetu. Kwaśny zawsze wprowadzał jakąś dziwną atmosferę, zupełnie jak Zawistowski. Choć może to była wina samego gabinetu, jakieś ciekie wodne czy coś.

Parys westchnęła ciężko i wsunęła dłonie w krótkie rude włosy. Dzień się dopiero zaczął, a ona już miała dosyć. Zwłaszcza że Teofil podsuwał jej kolejny druk. Sama chciałaś, mogłaś się nie zgadzać na

dyrektorowanie, nikt cię z siekierą nie ganiał, westchnęła w duchu, patrząc z niechęcią na stos dokumentów. Czy jej się zdawało, czy ilość papierów wcale nie malała?

– Zrób coś z tymi kaloryferami – powiedziała z rezygnacją w głosie.

– Zaraz. Teraz to, kosztorys konferencji sprawozdawczej do zatwierdzenia. Czytaj.

Zanim jednak zdążyła zagłębić się w pozycje kosztorysu, ponownie rozległo się energiczne stukanie i drzwi się otworzyły. Następny gość, który nie czekał na zaproszenie.

Teofil poczuł, jak ogarnia go kolejna fala irytacji.

Choć była naukowcem, Joanna Masztalerz wierzyła w przesady i zabobony. Jakże bowiem inaczej mogłaby wytłumaczyć sobie pasmo pechowych wydarzeń, które spotkały ją w ciągu ostatnich kilku dni? Złamała klucz w zamku mieszkania, na osiedlu była awaria wodociągów i wzięcie prysznicza nie wchodziło w rachubę, nie mówiąc już o zrobieniu prania. Na domiar złego właśnie tego poranka zasnęła, w autobusie trafiło jej się miejsce obok niemiłosiernie śmierzącego typu, a w instytucie panował ziąb – widać awarie chodziły stadami. To zły urok z pewnością.

Fakt, że budynek był po prostu stary i najzwyczajniej w świecie miał prawo do usterek, w ogóle nie przyszedł jej do głowy.

Kończyła się kawa, co Joanna stwierdziła, wsypując resztkę rozpuszczalnych granulek do swojego kubka. Nie zdejmując jasnego płaszcza, zalała tę pseudokofeinę wrzątkiem z elektrycznego czajnika, usiadła przy służbowym komputerze i zabrała się do sprawdzania poczty. Klik, klik, spam, spam, spam. Świetnie.

Zamyśliła się. Miała na głowie grant z Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Obcięli jej kosztorys o dwie trzecie, jak ona miała się ogarnąć z takimi groszami? Wszyscy dookoła powtarzali co prawda, że powinna się cieszyć, że w ogóle jej wniosek przeszedł. Humanisci generalnie mieli problem z dofinansowaniami, mnóstwo zgłoszeń, każde z innej bajki i każde, rzecz jasna, wyjątkowe. A archeologia miała jeszcze trudniej, bo tak naprawdę mało w niej

było typowej humanistyki, a dużo techniki, chemii, sprzętów, analiz... Więc niby dobrze, że coś dostała, tylko co z tego, skoro nie mogła zrealizować wszystkiego, a ważne było przecież wszystko. Jak domek z kart: wyjmiesz jedną kartę, posypie się wszystko. Odwołanie co prawda poszło, ale żadne odwołanie nie da brakujących dwóch trzecich kosztów. Jedną trzecią może jeszcze jakoś wyżebrze – spróbuje dowiedzieć się, kto jest w komisji, może jakieś kwiaty, umówi się może z kierownikiem komórki w ministerstwie. I może udałoby się wyciągnąć jakieś pieniądze od instytutu. Nawet nie to, że pełną sumę, to niemożliwe, wiadomo, ale instytut mógł się dołożyć w większym stopniu, niż dotąd deklarował. Będzie musiała pogadać z Tadeuszem. Nie, nie, nie z Tadeuszem. Już nie; wiedziała, jakie chodzą plotki. Było za późno na rozmowy z Tadeuszem. A ona chciała mieć czyste konto, przynajmniej tak długo, jak długo da się je utrzymać. Trudno, pójdzie od razu do dziekana, pogada z panią Bożenką, sekretarką, i...

Drzwi trzasnęły głośno, co wyrywało Masztalerz z zamyślenia. Drgnęła nerwowo i część zawartości kubka, który trzymała w ręku, znalazła się na jej płaszczu i dżinsach.

– Ja pierrrr... – warknęła pod nosem, zrywając się z miejsca i odstawiając na biurko opróżniony do połowy kubek.

– O, załałaś się – zauważył Tadek Borówka, wchodząc do pokoju jak do siebie.

Tak się składało, że dyrektor i jego doktorant nosili to samo imię. Na Borówkę jednak nikt nigdy nie mówił „Tadeusz”, podobnie jak do Zawistowskiego nikt nigdy nie powiedział „Tadku”.

– Tadek, do cholery! – Masztalerz łypnęła na niego złym wzrokiem, macając się po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczek.

– Strasznie nerwowa jesteś – zauważył Borówka, podając jej paczkę swoich. – I lepiej zdejmij ten płaszcz i zapierz go od razu, bo ci plama zostanie.

Masztalerz posłusznie zrzuciła okrycie, popatrzyła bezradnie na zalane dżinsy i poszła do łazienki, by spróbować choć trochę zaprać ślady po kawie na jasnej wełnie. Woda w kranie była lodowata, co dodatkowo źle nastroiło Joannę. Kiedy wróciła do pokoju, Borówka

zdążył się już rozsiaść wygodnie przy sąsiednim biurku w towarzystwie gazety i świeżo zaparzonej herbaty.

– A ty nie pomyliłeś przypadkiem drzwi? – zapytała, rozkładając starannie płaszcz na oparciu fotela. Wątpiła, żeby wysechł w tym chłodzie, ale trudno. – Tu jest Zakład Archeologii Klasycznej, wczesnochrześcijańska jest trzy pokoje dalej.

– Może i jest – Borówka przełożył stronę gazety – ale tam jest zamknięte i nie chciało mi się schodzić po klucz. Pomyślałem, że poczekam u was, aż Matejko dotrze. Zajęcia mu odwoływałem.

– Jezu, ale z ciebie leń. – Masztalerz pokręciła głową i ponownie usiadła za swoim biurkiem. Poruszyła myszką i otworzyła folder z plikami do prezentacji na konferencję. – Czasem się zastanawiam, co ty właściwie robisz na studiach doktoranckich.

– Jeśli cię to pocieszy, ja też się nad tym zastanawiam. – Borówka posłał jej uśmiech znad gazety. Wstał, zdjął płaszcz, a następnie sweter, który podał Masztalerz.

– Weź, jakoś tu chłodno, jeszcze się zaziębisz czy coś – powiedział. – A to dobra wełna jest. Ciepła. No, już.

Joanna wahała się przez chwilę, ale przyjęła sweter. Bez płaszcza faktycznie było jej zimno. Poza tym to w końcu przez Borówkę się załała. Wciągnęła sweter przez głowę. Był zdecydowanie za duży, ale rzeczywiście ciepły.

– A jak wasza konferencja? – zapytała, podwijając rękawy.

– W porządku – odparł. – Dopiero wczoraj wróciłem. Wiesz, fajnie tak poprzebywać wśród ludzi, którzy zajmują się tym samym – dodał z ożywieniem.

– No to świetnie, pogadaliśmy trochę... – Odwróciła się do komputera. Limit uprzejmości na dziś został wyczerpany. – Mam do zrobienia prezentację na konferencję sprawozdawczą – postukała palcem w myszkę – więc jeśli nie masz nic przeciwko...

Borówka skinął głową i wrócił do swojej gazety, a Masztalerz próbowała skupić się nad referatem. Problematyka konserwacji zabytków archeologicznych *in situ*, stara piękna polska szkoła archeologii, jak to mówią. Tekst miała, to nie był problem. Ale potrzebowała jeszcze do niego ilustracji – w końcu większość ludzi to

wzrokowcy. Musiała mieć do referatu prezentację multimedialną i koniecznie potrzebowała zdjęć z Sudanu z lat sześćdziesiątych, kiedy profesor Michałowski ratował freski w Faras. Widziała kiedyś takie zdjęcia, mało popularne, bo niezbyt atrakcyjne dla laików. Na pewno nikt ich nie publikował, więc gdzie mogła je widzieć... No jasne, slajdoteka! Nie, teraz to pokój doktorantów, choć żaden doktorant tam nie bywał. Braki lokalowe i rosnąca liczba doktorantów zmusiły dyrekcję instytutu do pewnych przemianowań. Z rzadka wykorzystywana slajdoteka stała się oficjalnie pomieszczeniem przeznaczonym dla przyszłej elity archeologii, elita jednak wolała przebywać w dotychczasowych gabinetach zakładowych. Ciemne regały zastawione pudłami z archaicznymi slajdami, którymi niegdyś ilustrowano wykłady, najwyraźniej nie nastrojały do wyteźzonej pracy naukowej. W każdym razie jeśli gdzieś w instytucie miały znajdować się mało znane ilustracje, to tylko tam.

– Tadek – Masztalerz wstała – pilnuj dobytku. Zaraz wracam.

Borówka nawet nie podniósł na nią wzroku, tylko pokiwał ręką. Kątem oka zauważyła, że wciąż czyta tę samą sekcję sportową. Musiała być fascynująca. Nie wnikała. Nie znała się na sporcie.

Zeszła na parter bocznymi schodami i przeszła obok gablotek ze średniowiecznymi artefaktami wykopanymi w trakcie badań instytutowych. Kilkoro mijanych studentów powiedziało jej „dzień dobry”. Była prawie dziesiąta, instytut powoli budził się do życia.

– Panie Edziu – powiedziała głośno, wkraczając na portiernię.

Stary portier siedzący za wysoką ladą miał na uszach słuchawki i wpatrywał się w ekran laptopa, na którym migają postaci z jakiegoś brytyjskiego sitcomu. Pan Edzio był miłośnikiem wszystkiego, co wyspiarskie. Teoretycznie przyjmował od ludzi odzież wierzchnią i wydawał na nią numerki, dzierżył także wszystkie klucze do sal, jednak kiedy zanurzał się w swój anglosaski świat, można było spokojnie wynieść z portierni wszystko, łącznie z panem Edziem i jego laptopem.

Joanna chrząknęła i sięgnęła po grubo oprawiony zeszyt wpisów.

– Panie Edziu! – Walnęła zeszytem o kontuar. Ten nieco

drastyczny sposób zwrócenia na siebie uwagi podziałał.

– Tak, tak, wiem, kaloryfery zimne, trudno, a teraz sio! – Pan Edzio podniósł oczy znad laptopa i zmierzył ją nieprzychylnym wzrokiem.

– Klucz chcę. – Masztalerz otworzyła zeszyt wpisów, który przed chwilą tak brutalnie potraktowała, i przechyliła się przez ladę, sięgając po długopis. Przy pobieraniu klucza należało wpisać w odpowiedniej rubryczce swoje nazwisko oraz godzinę. Zawsze tego skrupulatnie pilnowała. – Do pokoju doktorantów poproszę.

Pan Edzio z westchnieniem zapauzował serial, odsunął fotel, wstał i szurając nogami, podszedł do szafki z kluczami. Otworzył ją i przez chwilę wpatrywał się w jej wnętrze.

– Pokój doktorantów – powtórzyła Masztalerz, wpisując się w rubryczce. – Slajdoteka. To chyba... trzysta trzydzieści pięć jest. Jak zwał, tak zwał.

– No, kiedy nie ma klucza. – Wpatrzony w szafkę pan Edzio drapał się po głowie. – Wszystkie są, a tego nie ma.

– Jak to nie ma? – zdziwiła się Joanna i spojrzała na rubryczki w zeszycie.

– No nie ma – powtórzył pan Edzio. – Co ja poradzę.

Popatrzyli na siebie nieco skonsternowani.

Portier, wciąż szurając nogami, podszedł do lady, przysunął sobie zeszyt pobrań i przerzucił go, szukając ostatniej osoby, która była zainteresowana slajdoteką, ale nikt nie brał klucza do tego konkretnego pokoju od początku zeszytu, to znaczy od pierwszego października. Nie było to dziwne, bo żaden z doktorantów nie korzystał z przysługującego mu pomieszczenia, mało kto również interesował się starymi slajdami w dobie internetu, skanerów i aparatów cyfrowych.

Masztalerz poczuła się zaintrygowana. Opuściła portiernię, zamierzając powiadomić wyższą instancję o niepokojącym braku. Pod drzwiami dyrektorskiego gabinetu minęła się z okrągłym profesorem Wyciszkiem.

– Dzień dobry, panie profesorze. Jest ktoś w środku? – zapytała uprzejmie. Profesor spojrzał na nią rozkojarzony.

– Co? A, tak, tak...

Masztalerz zapukała energicznie do drzwi, po czym, nie czekając na zaproszenie, otworzyła je. Normalnie w gabinecie powinna zastać Tadeusza w towarzystwie nieodłącznego Teofila. Tym razem była tam nieco inna konfiguracja – Kwaśnemu zamiast dyrektora towarzyszyła Irena Parys.

– Czego? – Na widok Joanny Teofil trzasnął teczką o stół konferencyjny. – Czy to jest sklep mięsny, do cholery?!

– Teofil! – Profesor Parys rzuciła sekretarzowi karcące spojrzenie. Parys zawsze próbowała wszystkich wokół wychowywać. Matka Polka. Święta Irena od Archeologii.

Masztalerz oparła się o framugę i objęła ramionami, bo stanąwszy w przeciągu, marzła w mokrych spodniach.

– Nie, spoko. Chciałam tylko zapytać, czy macie może klucz do pokoju doktorantów.

Kwaśny wzniósł oczy do sufitu, ale nic nie powiedział. Parys za to błysnęła pomysłowością:

– Sprawdź na portierni. Ciężki weekend, Joasiu? – Spojrzała wymownie na za duży sweter i mokre džinsy.

– Gdyby tam był, tobym nie pytała – odparła sucho Joanna, ignorując pytanie Ireny. – Potrzebuję starych slajdów, ale na portierni nie ma klucza.

– To popytaj innych doktorantów, może ktoś jednak ma – poradziła Parys. Masztalerz rzuciła jej pełne politowania spojrzenie, którego szefowa jednak nie zauważyła. Jasne, inni doktoranci... Inni doktoranci nawet nie wiedzieli, że przysługiwało im osobne pomieszczenie. – A jak nie, to powiedz panu Edziowi, żeby wezwał ślusarzy. Niech otworzą, tylko tak, żeby nie trzeba było od razu wymieniać całych drzwi.

– A może od razu wręczysz jej wytrych? – zaproponował Kwaśny i Masztalerz miała ochotę się uśmiechnąć. Po raz pierwszy tego poranka.

Znowu zawiąło, co przypomniało jej o awarii ciepłowniczej.

– A, właśnie. Ogrzewanie wysiadło – rzuciła.

– Tak, wiemy – odpowiedzieli równocześnie Kwaśny i Parys.

Joanna skinęła głową i wycofała się z gabinetu. Ponownie zeszła na dół, zastanawiając się, ile razy jeszcze będzie musiała biegać po tych cholernych schodach. Na jej widok pan Edzio podniósł się, wzdychając ciężko.

– Dobra, panie Edwardzie. – Masztalerz oparła się łokciem o ladę. – Sprawa wygląda tak, że potrzebuję ślusarzy. Parys powiedziała, że mogę rozwalić drzwi. Znaczy dostać się do środka w brutalny sposób.

– Pani Parys tak powiedziała? – Pan Edzio przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Aha.

– Teraz zaraz?

– Teraz zaraz – potwierdziła. – No już, już, dzwoniemy!

Pan Edzio sięgnął po telefon z wyraźnym niezadowoleniem, ale Masztalerz nic sobie z tego nie robiła. Nie przyszło jej do głowy, żeby scedować to na kogoś innego. Nie lubiła porzucać spraw w trakcie. Dlatego dotąd stała z uporem nad głową starego portiera, odpowiadając na „dzień dobry” studentów zaglądających do szatni, póki nie doczekała się wezwanego w trybie pilnym ślusarza. Co prawda sprawiał wrażenie, jakby przebywał we własnym świecie, ale Masztalerz nie zamierzała przecież dyskutować z nim o sensie życia. We trójkę z panem Edziem, który starannie zamknął portiernię na klucz, udali się na drugie piętro.

Pan Edzio oparł się o barierkę schodów tuż obok slajdoteki i pociągnął nosem.

– Coś jakby czuć chyba – zauważył.

Masztalerz skrzyżowała ramiona i stanęła obok niego.

– Ja nic nie czuję – powiedziała.

Pan Edzio jeszcze raz pociągnął nosem.

– No to chyba pani Joanna katar ma – stwierdził. – Bo coś wisi w powietrzu!

Masztalerz powstrzymała się od komentarza. Panu Edziowi zapewne zajeżdżała woń ślusarza, który wydierał dość specyficzny odór, ale nie zamierzała mówić tego głośno.

Ślusarz tymczasem na klęczkach wyciągał z pietyzmem ze swojej

skórzanej torby różne utensylia: pilniki, wytrychy, piłki do metalu. Rozkładał je wszystkie dookoła siebie z pedanterią godną podziwu.

Z pokoju archeologii klasycznej w głębi korytarza wyjrzał Borówka. Dostrzegł Joannę w towarzystwie pana Edzia.

– Co jest? – zapytał, podchodząc.

– A, pani Joanna do slajdoteki koniecznie chce wejść, a klucz nam jakoś zaginał – odparł pan Edzio.

– I co, od razu ślusarza? – zdziwił się Borówka.

Masztalerz przygryzła kciuk i z niecierpliwością przypatrywała się działaniom ślusarza. Chyba nareszcie wyjął wszystko z torby, bo wstał, otrzepał kolana, ujął klamkę i zapukał. Joannie stanęła przed oczami scena z serialu Barei.

– Panie, co pan, tu trzeba zamek wywalić, a nie pukać! Co pan, Duch Święty ma panu otworzyć? – nie wytrzymała.

Ślusarz najwyraźniej naprawdę przebywał we własnym świecie, bo uwaga Masztalerz nie wzbudziła w nim żadnej reakcji. Albo był głuchy. W każdym razie nie zważając na osoby za swoimi plecami, nacisnął klamkę i pchnął lekko drzwi, które uchyliły się bez najmniejszego oporu.

Były otwarte.

– No – odezwał się po raz pierwszy ślusarz, a następnie pochylił się i zaczął wkładać swój kram z powrotem do torby. – To działa.

– Nie sprawdziła pani najpierw, czy jest otwarte? – Pan Edzio posłał Joannie zbolące spojrzenie. – A ja panią miałem za inteligentną.

Masztalerz przestąpiła z nogi na nogę i pociągnęła nosem. Faktycznie, nie wpadła na to. Ale przecież naprawdę nikt w slajdotece nie bywał... Ślusarz zebrał się już i ruszył schodami w dół, podeszła więc do drzwi, pchnęła je i zajrzała do środka.

Przez chwilę nie była pewna, czy dobrze widzi, może tylko jej się zdawało... Joannie zrobiło się jakoś nieswojo. Może to studencki żart? Młodzi ludzie miewali głupie pomysły... Zrobiło jej się niedobrze. Wycofała się z pomieszczenia, nadeptując przy okazji na czyjąś nogę. – Oj – powiedział profesor Wyciszek, odsuwając Joannę na bok. – Jest tam Zawistowski?

– Jest – odparła oszołomiona Masztalerz. – Chyba jest... Znaczący, nie, nie, nie ma, proszę nie wchodzić! – zreflektowała się i rzuciła, by zasłonić drzwi, ku niepomiernemu zdumieniu pozostałych. Było jednak za późno.

– Puk, puk! – wykrzyknął radośnie profesor Wyciszek, dając nura pod uniesionym ramieniem Masztalerz. – Jeeezu...!

W pokoju, obok ciemnych regałów, na szarej wykładzinie leżał w kałuży szerniałej krwi dyrektor Tadeusz Zawistowski.

Martwy na amen.

O jedenastej czterdzieści komisarz Jacek Budryś pił kawę w pokoju Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw Komendy Stołecznej Policji.

Była to jego trzecia kawa tego dnia, ale Budryś był odporny na kofeinę. Wolałby pić co prawda herbatę malinową, bo zdrowsza, ale kawę mieli przynajmniej służbową. No i nie była wcale taka najgorsza.

Komisarz Budryś miał niespełna czterdzieści lat i opinię gwiazdy, a przynajmniej za takową miały go wpatrzone w niego panie ze służby cywilnej. Do policji wstąpił zaraz po maturze. Potem trafił do sochaczewskiej komendy, ale dość szybko przeniesiono go do stołecznej, zresztą w raczej ponurych okolicznościach. We właściwym czasie odrobił swoje w Szczytnie i brylował wśród śledczych z terroru kryminalnego i zabójstw. Na komendzie mówiono, że miał nosa, co było dwuznaczne, bo garbatego nosa komisarza faktycznie zwracał uwagę. Budryś był szefem niewielkiego, ale skutecznego zespołu, od lat tkwił jednak na tym samym stanowisku i wszelkie awanse w ostatniej chwili jakoś go omijały. Inna rzecz, że sam Budryś często usilnie pracował na to, żeby promocji nie dostać.

– Czy mnie patrzyły mylą, czy nie masz nic do roboty? – odezwał się komisarz Artur Madyjak, zwany przez wszystkich nie wiadomo dlaczego Marylką. Od dłuższej chwili obserwował Budryśa znad komputera i jego niespieszne delektowanie się kawą bardzo go irytowało, bo zawsze było coś do roboty, zwłaszcza teraz, jesienią

i wczesną zimą, kiedy ludzie zaczęli wariować, jak co roku zresztą.

Budryś odwrócił się do niego na skrzypiącym krześle.

– No jakbyś zgadł – powiedział z satysfakcją i siorbnął kawy z kubka w koci deseń. – Poza tym od rana mówiłem, że zamykam sprawę Malewicza, zdałem akta, koniec.

Marylka odepchnął się lekko od swojego biurka.

– A ty nie masz przypadkowo ze dwadzieścia innych spraw? – zainteresował się.

Budryś uśmiechnął się pod nosem i znów łyknął kawy.

– Dwadzieścia trzy, nie dwadzieścia – poprawił spokojnie. – Inne wciąż stoją, więc daj człowiekowi skorzystać z okazji i trochę się ponudzić. Chociaż przez chwilę.

– Tsk! – syknął Marylka i poruszył zabawnie ryżymi wąsami. Był o kilka lat starszy od Budrysia, rude włosy nosił obcięte po wojskowemu, co przy okazji maskowało wczesną łysinę; gęsty, wypielegnowany sarmacki wąs był jego prawdziwą dumą. – Takich rzeczy się nie monologuje głośno, bo można zapeszyć! – Budryś spojrział na niego z rozbawieniem, ale Marylka był wyjątkowo poważny. Zerwał się z miejsca i zaczął krążyć po pokoju, wymachując rękami. – Co ty za jemioł jesteś! To nie żaden kit, za każdym razem, jak mi do bańki wpadnie coś głośno wyćwierkać, to zaraz trzeba anulować!

Madyjak wychował się na robotniczej Woli i mówił z lekka „po warsiawsku”. Gwarą posługiwał się jego ojciec, robotnik w Zakładach Róży Luksemburg, gwarą mówiło się na podwórkach kamienic i z gwarą Marylka poszedł w świat. Zorientował się szybko, że nie wszystkim to pasuje – od razu przypinano mu łatkę „stolycy” – ale nic sobie z tego nie robił. Nie zamierzał wygładzać swojej mowy po to, żeby się komuś przypodobać. Ani teściowi, surowemu wojskowemu, ani szefostwu. Zwłaszcza że gwara stała się modna i Marylka niespodziewanie dla samego siebie stał się prawdziwym trendsetterem czy też „hipersterem”, jak sam żartował. Wszyscy wiedzieli, że styl mówienia Madyjaka był już tylko na pokaz, ale nikomu to nie przeszkadzało. Marylkę albo się lubiło

i kupowało z jego „Poniatoszczakiem”, sałatą oznaczającą dorożkarza czy kiziorami na określenie pijaków, albo nie.

– Dobra, dobra. – Budryś uniósł dłonie. – Już nic nie mówię. Nie zapeszam.

– No. – Marylka pogroził mu palcem i usiadł za komputerem. – Bo wiesz, dowojujesz się, a potem jojczyć tu będziesz!

– Dobra, ty lepiej szukaj powiązań między Robolem a Mamertami, bo naczelnik się czepnie, że zlewamy sprawę.

Marylka pokręcił głową, a Budryś wyciągnął się na krześle. Popatrzył na zdjęcie córki stojące obok monitora i pomyślał, że niedługo Boże Narodzenie, miesiąc z ogonkiem, musi małej jakiś prezent wymyślić. Taki z przytupem. Zanim jednak zdążył oddać się rozmyślaniom na tematy zupełnie niesłużbowe, drzwi pokoju uchyliły się i do środka zajrzał podinspektor Różny, naczelnik wydziału.

– Czołem pracy – mruknął, rozglądając się po niewielkim pokoju zapchanym niezbędnymi meblami. – Wegnera nie ma? – zapytał, mając na myśli trzecią osobę w zespole Budrysia, podkomisarza Marcina Wegnera, i zerwał kilka kartek z wewnętrznej strony drzwi.

Jakiś czas temu komenda zainwestowała w nowoczesność. Znaczna część pałacu Mostowskich została porządnie wyremontowana, ale nie starczyło funduszy na wszystko. Na przykład na wymianę drzwi. Większość była przedpotopowa, częściowo oszklona. Mało komu dobrze pracowało się w zasięgu wzroku przechodzących korytarzem i zaglądających do wnętrza pokoju, więc prześwity na drzwiach zawsze były zalepione kalendarzami i plakatami, rzecz jasna, służbowymi. Zespół Budrysia postawił sobie za punkt honoru nie pozostawić nawet centymetra prześwitu i jakoś mu się to udawało, mimo ciągłych upomnień góry. Z drugiej strony w ich pokoju panował taki bajzel, że faktycznie ukrycie go przed światem było lepszym pomysłem.

– Wegner zaraz powinien być, próbuje nakłonić kobitę Zbynia do zmiany zeznań, bo to w końcu podobne teczki są – powiedział Marylka zza komputera przy drzwiach. Zbynio nie było ksywą, tylko prawdziwym nazwiskiem. Facet, obdarzony w dodatku przez

rodziców z poczuciem humoru imieniem Zbigniew, był podstarzałym gangsterem średniej kategorii, dawno poza obiegiem. Dorobił się swego czasu na dopalaczach, a teraz ktoś postanowił oskubać go z kasy w mało wyrafinowany sposób – perswazję zaczął od obcinania palców. W zespole szybko skojarzyli to z inną prowadzoną sprawą, ale żona Zbigniewa Zbynia z uporem składała fałszywe zeznania. Doskonale o tym wiedzieli, ale na razie nie mogli tego udowodnić.

– Mam nadzieję, że nie będzie próbował jej zastraszyć. – Różny westchnął i rzucił zerwane z drzwi kartki na najbliższe biurko. Marylka i Budryś wymienili się spojrzeniami.

– Cinek? Nieee, skąd – mruknął Madyjak bez większego przekonania. Cinek był postawnym facetem, szerokim w barach, elegancko wygolonym; preferował styl „na eleganckiego dresiarza”. Z powodzeniem mógł zastraszać karki z grupy mokotowskiej, a co dopiero żony dawnych lokalnych gangsterów.

– Nie słyszałem tego, panie komisarzu – rzucił Różny. – Jacku, masz chwilę?

– Dla ciebie zawsze. – Wstając z trzeszczącego krzesła, Budryś przeciągnął się, aż chrupnęło mu w stawach. Zasalutował Madyjakowi i podążył za szefem do jego gabinetu, równie bezosobowego jak jego właściciel, przynajmniej w opinii komisarza.

Różny usiadł za biurkiem i splótł dłonie, kładąc je na blacie. Spędził w służbie osiemnaście lat, ostatnie cztery na stanowisku naczelnika. Od pracy za biurkiem zaokrąglił się i mocno sflaczał, choć wciąż udawał, że jest tym samym twardym gliną co kiedyś.

Sflaczały twardy glina przyglądał się teraz uważnie swojemu podwładnemu, który usiadł po drugiej stronie biurka. Różnili się od siebie mocno, także pod względem wyglądu – o ile Różny się zaokrąglił, o tyle Budryś był chodzącą szczapą o zaskakującej sile i równie zaskakującej intuicji, która nie raz uratowała jego chudy tyłek. Był naprawdę niezłym gliną, tyle że ostatnio pochwałom coraz częściej towarzyszyły upomnienia za nieprzestrzeganie regulaminu i agresywne zachowanie; zdarzyło się i zawieszenie w czynnościach. Owszem, Budryś miał trudny okres w życiu

prywatnym, ale zdaniem Różnego trwało to już za długo.

– Jacku, jest sprawa – powiedział, rozplatając palce.

Budryś uśmiechnął się pod nosem. Nie przepadał za swoim szefem, uważał go za oportunistycznego buca, który bał się wyjść z za biurka. I nawet się specjalnie nie krył z tymi poglądami, co zresztą było jedną z przyczyn, dla których wciąż tkwił na stanowisku marnego komisarza zamiast piąć się w górę.

– I dyżurni najpierw informują ciebie. Ciekawe, kogo utłukli, że od razu o tym wiesz.

– Trup na uniwersytecie. – Różny westchnął tak dramatycznie, jakby to był co najmniej trup w Parlamencie Europejskim. – Mało, że profesor, to jeszcze dyrektor instytutu naukowego, rozumiesz, ważna figura w pewnych kręgach, uniwersytet to ważny teren, dużo ludzi na stanowiskach jest z nim związanych, nie ma co się rozmieniać na drobne, wchodzimy. Znaczy ty wchodzisz. Udział osób trzecich na bank, medyk i technicy już wezwani, więc jest szansa, że nie trzeba będzie na nich czekać.

– Który prokurator się tym zajmuje? – zapytał komisarz, bujając się lekko na krześle. – Albo nie, nie mów, sam zgadnę: od razu wszyscy święci wezwali Tarnowskiego?

– Tarnowskiego.

– No i super. – Budryś wzruszył ramionami. – To wezmę Marylkę do towarzystwa i jedziemy.

– Nie, Marylkę nie, nie ma mowy – zaprotestował Różny. – Marylka siedzi w sprawie Mamerta, nie możemy tego odłożyć na półkę. Znaczy wy nie możecie tego odłożyć – zreflektował się.

– Skoro tak, mogę wziąć Marcina, polata sobie, choć to chyba nie jego środowisko. – Budrysiowi było wszystko jedno, czy do nowej sprawy uda się z Wegnerem, czy z Madyjakiem. Ktoś jednak zdecydowanie by mu się przydał, przynajmniej na początku. Zresztą i tak stanie na tym, że zaangażują się w to wszyscy. Zawsze tak było.

– Wegnerowi też daj spokój – powiedział stanowczo Różny. – Musi dokończyć sprawę Zbynia, niedługo mija termin i dupa z tego wyjdzie, jak tego nie przyciśnie, będziemy się bujać od początku.

– Okej, zrozumiałem, poradzę sobie sam, nie musisz tak kluczyć. – Budryś zaczął się podnosić, ale podinspektor zatrzymał go gestem.

– Nie, nie sam – powiedział spokojnie. – Masz nową w zespole.

Budryś opadł z powrotem na krzesło, patrząc na przełożonego z niedowierzaniem.

– Nową co? Drukarke? Bo chyba nie osobę.

– Posłuchaj. – Różny ponownie splótł dłonie. – Dziewczyna jest młoda, zdolna, ambitna, sprawdziła się podczas Euro...

– Euro sreuro! – prychnął Budryś pogardliwie. – To było pół roku temu, będziemy to wspominać do końca świata? Baba się sprawdziła, bo nic się nie stało! Wiesz, mam pomysł, może zaprosz do pracy tutaj każdego krawężnika z miasta! – Budryś zerwał się z miejsca i w dwóch dużych krokach znalazł się koło okna. Pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, ale nie znalazł ich. – Bo przecież też się sprawdzili! A ona wczoraj się przypadkiem nie sprawdziła, podczas burd narodowców?! Jedenasty listopada to przecież gratka dla takich wzorowych, nie?

– Komisarzu Budryś – Różny podniósł nieco głos – jak pan tu będzie szefem, to pan sobie będzie grymasił jak primadonna, ale póki co to ja podejmuję decyzje!

Naczelnika wcale nie zdziwiła gwałtowna reakcja Budrysia. Do niedawna zespół liczył cztery osoby, ale starszy aspirant Świdorski odszedł z firmy, uznając, że musi poświęcić się nowo założonej rodzinie. Problem polegał na tym, że Świdorski, oprócz bycia całkiem niezłym operacyjnym, był jednocześnie kumplem Budrysia i komisarz wyjątkowo niechętnie podchodził do wszelkich sugestii, by przyjąć kogoś na jego miejsce. Dwóch ewentualnych kandydatów skutecznie odstraszył. Różny dał mu czas na oswojenie się z nową sytuacją, tamci może faktycznie byli nie najlepiej dobrani, ale teraz nadeszła pora na zmiany. Poza tym Budryś najwyraźniej zaczął uważać siebie za alfę i omegę, czas było go postawić do pionu, koniec z gwiazdzeniem.

– Tak jest – odparł komisarz z wyraźną niechęcią w głosie. Rozkaz to rozkaz, choć swoje zdanie na ten temat Budryś miał, i to zdecydowane. Sądził, że pomysł jest zwyczajnie chujowy. – To kto to

właściwie jest? Ta nowa baba?

Podinspektor odprężył się nieco. Prawdę mówiąc, spodziewał się, że Budryś będzie bardziej protestował i namawiał do trzymania miejsca dla Świderskiego, ale widać nawet i jemu sensowne argumenty się skończyły. Bardzo dobrze.

– Sierżant Iga Mirska z komendy rejonowej na Bielanach. – Różny przesunął po blacie biurka teczkę, na której dotąd trzymał ręce. Budryś sięgnął po nią i zaczął przerzucać karty bez większego entuzjazmu. – Prawie pięć lat w służbie. Żadnych wykroczeń ani zażaleń. Robiła w prewencji, potem w wydziale kryminalnym. Jest ogarnięta. Nada się.

– Taaa, prawie pięć lat wlepiła mandaty za złe parkowanie i rozbijała szajki złodziei torebek i słoików z ogórkami z osiedlowych piwnic – mruknął Budryś, zamykając teczkę. – Nie mogłeś tu chociaż jakiegoś aspiranta ściągnąć? Jak już tak koniecznie chcesz zespół powiększać... – Chciał jeszcze dodać, że parytety ma w dupie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Jednak. Jeszcze by mu później podinspektor wywlekał mizoginizm jako pretekst do obcięcia premii.

– Potraktuj to jako okazję do wychowania sobie kadry. Póki co jest sierżantem, ale macie wakat. Jak ją trochę podszlifujecie, to wyślemy na jakieś dodatkowe szkolenie dla papieru i damy jej aspiranta – powiedział Różny ze służbowym uśmiechem. Budryś go irytował, ale nie mógł się go pozbyć, wykrywalność jego zespołu była niestety niezła. A statystyki przecież swoje ważyły. – Mirska potrafi wykazać się inicjatywą, ale umie też chodzić w szeregu, a z tym u was jest problem. – Podinspektor spojrzał znacząco, a Budryś pomyślał, że laska musi być jakąś jego protegowaną, skoro tak ją sprzedaje, jak baba wołowinę na targu. – Wnieście wam trochę świeżości i energii, przyda się, bo jacyś zasiedzieli jesteście. Poza tym jest kobietą, a wam brakuje w zespole żeńskiego pierwiastka, kadry już krzywo patrzą... W każdym razie wyszkolisz ją osobiście, rozumiesz? Póki co będzie twoim cieniem, nie będzie cię odstępować na krok, ma brać udział we wszystkich sprawach, jakie prowadzisz, a potem zobaczymy. W każdym razie liczę, że przyjmiecie ją właściwie i obie strony na tym skorzystają.

– Po pięciu latach w służbie to ona powinna śmigać jak robocik, a nie łązić za mną – wytknął Budryś, nie czekał jednak na odpowiedź szefa. – Ale dobra, załóżmy, że rozumiem, choć pewnie zwłok nie widziała na oczy. Jednak nie rozumiem tego, dlaczego mi jej nie wepchnąłeś na porannej odprawie.

– Wolałem załatwić to z tobą w cztery oczy. – Różny spojrział na niego wymownie. – Pomarudź na dziewczynę teraz, przede mną, a nie przy wszystkich. I tym bardziej nie przy niej. I proszę cię jak stary śledź: zachowaj przy niej resztki przyzwoitości. Wszyscy zachowajcie.

– To gdzie jest ta nasza przyszła gwiazda? – Komisarz potarł oczy. Był poniedziałek, a on już czuł się zmęczony. – Podobno do trupa mamy jechać.

Różny wstał zza biurka i podszedł do drzwi gabinetu. Otworzył je szeroko i dał znak komuś na zewnątrz, by wszedł.

– Dzień dobry – usłyszał komisarz za swoimi plecami i odwrócił się.

Obok Różnego stała młoda brunetka z włosami związanymi w kucyk, ciemnymi oczami i długim, wąskim nosem. W zasadzie wszystko w niej było długie: nogi, ręce, szyja. W dodatku była wyprostowana, jakby połknęła kij. W luźnej kurtce, bluzie i dżinsach wyglądała na studentkę, która urwała się z zajęć na uczelni, a nie na glinę, choć to akurat była zaleta. Gdyby załatywała policję na kilometr, to od razu by zaprotestował, a Różny nawet nie mógłby go zlekceważyć, bo w ich robocie podstawą było umiejętne wtopienie się w tłum i stwarzanie pozorów. A ona mogła stwarzać pozory, chociaż tyle.

– Czy dobry, to się jeszcze okaże – odparł, wstając z ociąganiem. – Komisarz Jacek Budryś. – Podał nowej rękę.

– Sierżant Iga Mirska. – Miała zaskakująco silny uścisk. Nie tego się po niej spodziewał.

– No, to skoro się już znacie – Różny zatarł ręce, jakby ubił najlepszy interes pod słońcem – to do roboty. Do roboty, zwalczać przestępczość! Już, hop, hop!

W milczeniu wyszli z gabinetu szefa. Budryś ruszył w stronę

pokoju zespołu, nowa prawie deptała mu po piętach, pewnie Różny też jej palnął gadkę o byciu cieniem i wzięła ją sobie do serca. Na szczęście nie zaczęła od razu paplać. Miał nadzieję, że będzie raczej małowówna. Z milczącymi łatwiej wytrzymać.

Komisarz pchnął drzwi pokoju i przepuścił nową; dopiero teraz zauważył, że jest od niego niższa prawie o głowę. Świetnie. Nie dość, że gówniara, to jeszcze liliput. Długi liliput. Fantastycznie. Chodzący oksymoron z niej.

Marylka na ich widok zerwał się z miejsca.

– O, mamy gościa? – zapytał, uśmiechając się szeroko i odsunął fotel przy chwilowo pustym biurku Wegnera.

– Niezupełnie. – Budryś rzucił Mirskiej spojrzenie z ukosa. Stała na środku pokoju i rozglądała się ciekawie. – Cinka jeszcze nie ma?

– Nie ma. Widać Zbyniowa jest oporna – odparł Marylka i ścisząc nieco głos, zapytał: – A co to za fest madonna...? – Wskazał brodą na nową. Usłyszała jednak i domyśliła się, że to o niej, bo pospieszyła do Madyjaka z wyciągniętą dłonią.

– Sierżant Iga Mirska. Dzień dobry.

– No, teraz to na pewno dobry. – Marylka puścił do niej oko. – Komisarz Artur Madyjak. Dla przyjaciół Marylka.

– Marylka? – Uśmiechnęła się.

– Dobra, skoro już się poznaliście, to sierżant Mirska będzie z nami pracowała – rzucił Budryś, ściągając kurtkę z oparcia swojego fotela.

– Amerykan znaczy się. – Marylka przysiadł na krawędzi biurka i zlustrował panią sierżant uważnym wzrokiem. Inspekcja najwyraźniej wypadła pomyślnie, bo znowu się uśmiechnął. – A na ciebie jakoś mówią, dziewczynko?

– Pogadacie sobie kiedy indziej – wtrącił się Budryś, zanim nowa zdążyła odpowiedzieć. Przypiął kaburę do pasa i obrzucił partnerkę baczny spojrzeniem. – O. A skąd masz broń? – zapytał, zauważając identyczną kaburę na jej biodrze, pod kurtką.

– Jestem na komendzie od samego rana, panie komisarzu – powiedziała spokojnie. – Stałą przepustkę też już mam. Zdaje się, że pan podinspektor chciał panu ułatwić życie, więc jak pan ma jeszcze

jakieś pytania, to do niego – dorzuciła.

– Żebyś wiedziała, że sobie z nim pogadam – mruknął pod nosem komisarz. – Jak mu kiedyś wygarnę za wszystko... Zostaw broń w szafie pancерnej – polecił. – Nie wypuszczę cię w miasto z klamką, póki nie przekonam się, że potrafisz się z nią obchodzić. I nie interesuje mnie, co na ten temat mówi Różny.

Otworzył szafę pancerną stojącą obok jednego z biurk pod oknem i patrzył na Mirską wyczekująco. Westchnęła, wyjęła z kabury pistolet i posłusznie podała Budrysiowi, który sprawdził go i włożył do szafy. Zabrał z półki swoją broń, zamknął drzwiczki i przekreślił w nich klucz.

– Poza tym mówimy tu sobie na ty – pouczył Mirską. – Może być po nazwisku, ale bez pan, pani. Prawie jak w partii, tylko w liczbie pojedynczej, zapamiętaj sobie. A ty – rzucił Marylce karcące spojrzenie – bierz się do roboty. Znajdź powiązania Mamerta z Robolem, twarde dane, bo zeznania Mamertowej mogą podważyć.

– Co, koniec laby, Szefu? Gdzieś zapychacie? – zaciekawiał się Marylka.

– Koniec laby, mamy wezwanie do trupa – potwierdził Budryś i otworzył drzwi. – Proszę, kobiety i dzieci przodem...

Rozdział 2

Dla Mirskiej najlepsze w nowym miejscu pracy było to, że nie musiała wkładać munduru. Co było bardzo wygodne, trzeba przyznać. Legitymacja i przepustka mieściły się idealnie w kieszeni bluzy i nie musiała się martwić, że wypycha kieszenie munduru. A ulubiona obszerna kurtka świetnie kryła broń i kajdanki w futerale. No i buty – najważniejsza dla niej część stroju. Mundurowe były zupełnie niedopasowane do jej stopy. W prewencji musiała cierpieć, w kryminalnym było w porządku, bo na co dzień nosiła własne.

Co innego jeśli chodziło o ludzi, to znaczy o jej nowy zespół. Ryży Madyjak sprawiał wrażenie sympatycznego faceta. Takiego dobrego ducha, który jest nastawiony pozytywnie do całego świata. Dużego, nabitego w sobie dobrego ducha, który pewnie jakby się porządnie odwinął, to... no może by nie zabił od razu, ale z pewnością poważnie uszkodził. Inaczej rzecz się miała z jej bezpośrednim szefem.

Zerknęła na Budrysia z ukosa, zapinając pasy w służbowym samochodzie stojącym na parkingu komendy.

Chudy, wysoki, żylasty i jakiś taki... z rezerwą. Ciemne włosy nosił zaczesane do tyłu. Wokół ust miał głębokie zmarszczki, które nadawały jego twarzy wyraz melancholii. Ciemne oczy patrzyły nieufnie i chłodno. Poza tym, że on i Madyjak byli mniej więcej tego samego wzrostu, nic ich nie łączyło. Marylce – co to w ogóle za ksywa? – dobrze patrzyło z oczu, a uśmiech chyba dość często gościł pod obfitym wąsem. Budryś nie miał wąsów, był po prostu zarośnięty i szczerze mówiąc, wyglądał, jakby urwał się z dziecięcej bajki o rozbójnikach. Nie zdziwiłaby się, gdyby łamał podkowy w rękach. W jego przypadku chudość z pewnością nie wykluczała siły.

No i jeszcze ten trzeci, którego nie było. Jakiś Marcin. Hmm...

Nowy zespół, trudno.

– To gdzie jedziemy? – odezwała się, kiedy Budryś wyjechał z parkingu, skręcił w Andersa i przeciął skrzyżowanie z aleją Solidarności. Miasto jeszcze doprowadzało się do porządku po marszu narodowców urządzonym poprzedniego dnia z okazji Święta Niepodległości.

– Na uniwersytet – odparł Budryś, wrzucając lewy kierunkowskaz i wjeżdżając ostro w Senatorską.

– A dokładniej?

– Instytut Archeologii, o ile coś ci to mówi – odparł cierpko Budryś.

Mówi, bucu jeden, pomyślała.

Przed nimi pojawiła się bryła Teatru Wielkiego skąpana w listopadowym słońcu.

– A denat?

– Podobno rozpoznali w nim dyrektora przybytku. – Budryś zerknął na Igę i westchnął. – Dobra. Słuchaj, królewno. Będzie tam ciało. Nie wiem, w jakim stanie, ale może być różnie. Więc jak ci się zrobi niedobrze, to pamiętaj, że absolutnie nie wolno ci zarzygać miejsca zbrodni, rozumiesz? Będzie tam lekarz medycyny sądowej. I prokurator. I technicy. Najlepiej, jak się nie będziesz w ogóle odzywała, żeby niczego przy nich nie palnąć. Wiesz, to profesjonaści – wyjaśnił. Ewidentnie nie był zachwycony tym, że musi ją niańczyć. Mijali plac Piłsudskiego, na którym kończono już rozbieranie jedenastolistopadowych konstrukcji. – Kiepsko byłoby się przed nimi skompromitować na samym początku.

Iga popatrzyła na niego. Mogłaby mu uświadomić, że nie jest w służbie od wczoraj, że widywała trupy, ofiary wypadków i przemoc domowej, pracowała już z prokuratorami i technikami. Nic jednak nie powiedziała, bo pewnie skwitowałyby jej słowa pogardliwym uśmiechem. Coś jej mówiło, że przyjaciółmi raczej nie zostaną. Dobrze będzie, jak w ogóle będą się tolerować.

W milczeniu dojechali pod główną bramę uniwersytetu przy Krakowskim Przedmieściu. Trzeba przyznać, że robiła wrażenie. Monumentalna, z dwiema rzeźbami stylizowanymi na antyczne, ze

złożonymi literami układającymi się w słowo „Uniwersytet” oraz wieńczącym wszystko orłem w koronie z pięcioma złotymi gwiazdami, wyglądała trochę jak portal do innego świata.

Ładna fasada, za którą krył się śmietnik. Jak wszędzie.

Z budki po wewnętrznej stronie bramy wyszedł strażnik w granatowej kurtce z naszytym orzełkiem i szybkim krokiem podszedł do ich kii. Budryś opuścił szybę, wpuszczając do środka chłodne powietrze.

– Komisarz Budryś i sierżant Mirska, Komenda Stołeczna Policji. – Jacek wydobyl z kieszeni swoją odznakę i machnął nią niedbale. – Mamy wezwanie.

– Uprzedzono mnie, że przyjeciecie – powiedział strażnik, nachylając się ku nim i jednocześnie rozglądając na boki. – Proszę! – Wyprostował się i machnął w kierunku bramy, dając znak koledze.

Szlaban zagradzający wjazd na teren uniwersytetu uniósł się i Budryś ruszył powoli w dół alejki obsadzonej po obu stronach drzewami, o tej porze roku nie do rozpoznania. Faktycznie znaleźli się w innym świecie, bo piesi najwyraźniej uważali, że na tym terenie mają status indyjskich świętych krów i nie raczyli schodzić z drogi przed jadącym samochodem.

– Dobra, a teraz gdzie jest ta cała archeologia – mruknął do siebie Budryś, kiedy alejka się skończyła i znaleźli się na wyasfaltowanym placu przed Starą Biblioteką, z którego można było pojechać albo w prawo, albo w lewo.

– Tam, z przodu po prawej – powiedziała Mirska, wskazując kierunek. – Za drzewami. Jak się skreci tu w prawo i pojedzie wzdułz budynku, to wyjedzie się prosto na parking przed archeologią.

Budryś spojrzal na nią zaskoczony; wzruszyła ramionami, choć w głębi duszy poczuła satysfakcję. Jacek bez słowa skrecił w prawo i po chwili faktycznie wjechał na niewielki parking, na którym stały już dwa radiowozy, karetka pogotowia i wysłużony fiat 125p. Lekarz medycyny sądowej Eryk Lubczyk jeździł nim z masochistycznym upodobaniem. Samochód psuł się niemal codziennie, a o części zamienne było coraz trudniej.

Przed wejściem do klasycystycznego budynku, w którym mieścił się Instytut Archeologii, stał w rozkroku mundurowy ze śródmiejskiej komendy. Przy granitowych schodkach prowadzących do wejścia, w pobliżu dwóch popielniczek na wysokich nóżkach, stało kilkanaście osób; rzucały ukradkowe spojrzenia na policjanta i plotkowały. Na szczęście budynek znajdował się nieco na uboczu i nie było tu zbyt wielu tłumów. Ludzie stojący przed gmachem, niewpuszczeni do środka przez funkcjonariusza, nie sprawiali wrażenia oburzonych, wyczuwali za to sensację, a pogoda nie była najgorsza, rzecz jasna, jak na listopad.

Budryś wysiadł z samochodu i nie oglądając się na Igę, ruszył w stronę budynku archeologii. Mirska wyskoczyła z auta i pobiegła za komisarzem.

– Mój ojciec jest wykładowcą uniwersyteckim – powiedziała, równając z nim krok. – Wykłada na muzykologii, odkąd pamiętam. Przychodziłam do niego do pracy, jako dzieciak biegałam po całym kampusie.

Nie zatrzymując się, Budryś przytknął alarmem.

– Jeśli nie zauważyłaś, to nie pytałem, co robiłaś jako siuśmajtka – burknął.

Wyminęli grupki gapiów przed budynkiem. Komisarz nie dostrzegł wśród nich żadnego dziennikarza z mikrofonem czy kamerą. To oznaczało, że jeszcze się nie dowiedzieli. I bardzo dobrze. Oby jak najdłużej. Bardzo mu odpowiadał taki stan rzeczy. Powiedzieć, że nie przepadał za dziennikarzami, to nie powiedzieć nic.

Policjant przy wejściu poznał Budryśia i skinął mu głową.

– Są w środku, panie komisarzu – oznajmił, prężąc się służbiście.

– Dziękuję.

Mijając policjanta, Mirska uśmiechnęła się do niego i pokazała mu legitymację. Ledwie rzucił na nią okiem. Najwyraźniej nic go nie obchodziło, kogo komisarz sprowadza na miejsce zbrodni.

Tuż za progiem niemal zderzyli się z wychodzącą trójosobową załogą karetki. Lekarz pogotowia obrzucił ich uważnym spojrzeniem; skoro policjant przy wejściu przepuścił tych dwoje,

musieli być z firmy. A skoro przyjeżdżali najpóźniej, to na pewno oni mieli prowadzić sprawę.

– To nie nasza impreza – zwrócił się do Budryśia ratownik, domyślając się w nim starszego stopniem. – Będziemy się zmywać, nie jesteście wam potrzebni. Kartę zgonu zostawiłem u waszego lekarza.

Komisarz skinął głową. Nie od dziś był zdania, że służby ze służbami zawsze się dogadają, nawet jak widzą się pierwszy raz w życiu.

Policjanci ruszyli dalej. Znaleźli się w przestronnym holu z dwoma biegami schodów prowadzących na piętro, przed nimi zaś ciągnął się długi biały korytarz z symetrycznie rozłożonymi po obu jego stronach drzwiami do poszczególnych sal. Pomiedzy drzwiami ustawiono gablotki z eksponatami.

Na korytarzu nie było żywego ducha.

Z góry dobiegały przytłumione odgłosy, więc komisarz wszedł na drewniane schody. Zaskrzypiały, gdy tylko postawił stopę na pierwszym stopniu. Po krótkim wahaniu Mirska podążyła za nim. Miała wrażenie, że ich kroki słychać w całym budynku.

U szczytu schodów, zapewne zwabiony podwójnym rumorem, czekał gruby policjant w mundurze.

– Sierżant Polowy z komendy na Wilczej – rzucił Budryś przez ramię do Igi. – Uważaj na niego. To podstępna swołocz.

Mirska zanotowała sobie w głowie, żeby na wszelki wypadek zwrócić uwagę na sierżanta Polowego. Ciekawe, jak dużo było osób, które komisarz uważał za swołocze.

– Dzień dobry, panie Polowy – powiedział głośno do policjanta. – Pan pozwoli, sierżant Mirska. Będzie od teraz z nami pracować.

– Dzień dobry. – Prawie dygnęła. Jak w szkole.

– Nie obcyndalali się, że od razu pana przysłali, komisarzu. – Polowy skinął głową Budryśiowi, nie zaszczyciwszy Mirskiej spojrzeniem. – W końcu. Zwłoki nam stygną.

– Niesmaczny żart, sierżancie – zwrócił mu uwagę oficer.

– Nie, naprawdę stygną. – Polowy podrapał się pulchnymi palcami po karku. – To znaczy nie że ktoś je najpierw ugotował –

pospieszył z zapewnieniem, widząc dziwną minę Budrysia. Na Ige nadal nie zwracał uwagi. – Na górze są specyficzne warunki. Zimno prawie jak w lodówce, tak w sumie to te zwłoki już dawno wystygły...

– Zechce nas pan wprowadzić w temat? – zaproponował Budryś.

Mirska rozejrzała się ciekawie. Piętro Instytutu Archeologii wyglądało niemal tak samo jak parter. Tylko nie było tu gablotek ze śmieciami, które archeolodzy nazywali zabytkami. No i tu byli ludzie – w głębi korytarza kręciła się grupka zdeorientowanych osób, którym jeden policjant w mundurze najwyraźniej tłumaczył sytuację, a drugi stał obok z notesem w dłoni.

– Co mam nie chcieć. – Polowy wzruszył ramionami i skierował się w stronę kolejnych schodów, ukrytych z boku za załomem ściany. Były odgródzone policyjną taśmą i stał przy nich jeszcze jeden funkcjonariusz, którego nie zauważyli wcześniej. – Znalezione zwłoki. Problemów ze wstępną identyfikacją nie było, szczęśliwi znalazcy od razu poznali swojego szefa, Tadeusza Zawistowskiego. Swoją drogą nieźle, no nie? Znaleźć trupa własnego szefa niejeden by chciał. – Polowy zarechotał cicho.

Dotarli na drugie piętro. U szczytu schodów znajdowały się otwarte na oścież drzwi. Tu już toczyło się normalne policyjne życie. Dwóch techników z laboratorium kryminalistycznego rozstawiło swoje walizki przy przeciwległej ścianie i zapinało właśnie kombinezony ochronne, fotograf montował flesz przy aparacie i sprawdzał działanie kamery, a doktor Lubczyk wyciągał z torby formularz na sztywnej podkładce, odgarniając z czoła ciemne loki, które uparcie wpadały mu do oczu.

– Kto go znalazł? – zapytał Budryś, stając w progu pomieszczenia i wciągając na ręce lateksowe rękawiczki, które ktoś mu podał.

Mirska próbowała coś dostrzec zza pleców komisarza, ale nie było to łatwe. Dopiero kiedy przesunął się trochę, zauważyła ciało starszego mężczyzny leżące na wykładzinie w dość zwyczajnie umeblowanym pokoju. Miał gęste białe włosy i na wpół przymknięte oczy. Plamy opadowe na ciele widoczne już od progu wyraźnie wskazywały, że mężczyzna leżał tu jakiś czas. Jego ubranie

pokrywały ciemne rozbryzgi; podobne dostrzegła na szarej wykładzinie wokół denata.

– Cztery osoby naraz – odparł Polowy i wskazał na ludzi odsuniętych za policyjną taśmę, kilkanaście metrów w głąb korytarza. – Mniej więcej o dziesiątej trzydzieści. Dokładnie nie pamiętają, nikt nie patrzył na zegarek podobno. Dwóch doktorantów, cieć i profesor. Ślusarz poszedł sobie wcześniej, ale go przytomnie zawrócili.

– Ślusarz? – zdziwiła się Mirska, nie zauważywszy na drzwiach żadnego śladu działań ślusarskich.

Polowy zignorował ją, a Budryś rzucił karcące spojrzenie.

– Po co im był ślusarz? – powtórzył jednak jej pytanie, zwracając się do Polowego. – Tu było zamknięte?

– A cholera ich wie – mruknął Polowy. – Podobno nie. To znaczy było zamknięte tylko na klamkę.

– To po co ślusarz?

– Bo myśleli, że zamknięte.

– Ale przecież tylko na klamkę.

– Ale oni sądzili, że na klucz. To w ogóle grubsza historia z tym odchodzi. Ta cała doktorantka – sierżant wskazał grubym palcem blondynkę za taśmą – mówi, że chciała wejść do środka tej tu... – rzucił okiem do swoich notatek – ...slajdoteki. Podobno rzadko z niej korzystali, poszła do ciecia po klucz, klucza nie było, uznali, że w ogóle go nie ma, i wezwali ślusarza. Ale ja bym im nie ufał, panie komisarzu. Nikomu bym nie ufał. Coś tu śmierdzi.

Budryś potrząsnął głową, jakby chciał, żeby mu się wszystko samo w niej ułożyło. Podejrzewał jednak, że tak dobrze nie będzie. Rzucił okiem na Mirską. Stała na progu pomieszczenia z trupem i zaglądała do środka z zaciekawieniem. Albo psychiczna, albo twardsza, niż sądził, że jest. Pewnie, że denat nie wyglądał jeszcze tak najgorzej: nie był rozczłonkowany, nie miał wyprutych flaków, nie zgnił, nie był wisielcem ani topielcem, ale jednak widać, że trup. Normalnego człowieka, nieotrząskanego ze śmiercią, powinno to jednak bardziej ruszyć. Zwłaszcza kobietę... No chyba że na Bielanach tak się mordowała żulernia, którą rejonówka załatwiała we własnym

zakresie. Sam zresztą mieszkał w tej dzielnicy, jednak żulerni jakoś nie kojarzył. Ale spokojnie, już on zadba, żeby panna nie miała za łatwo.

– Ktoś tam wchodził? – rzucił w stronę Polowego.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Twierdzą, że nie.

– Czyli nic nie ruszali?

– Jak nie wchodzili, to jak mieli ruszać...

– Przepraszam, panie komisarzu – odezwał się jeden z techników.

– Czekamy na prokuratora? Czy wyznaczamy ścieżkę dostępu i zaczynamy?

Budryś zerknął na zegarek. W zasadzie prokurator powinien już być. A tymczasem Tarnowskiego ani widu, ani słyhu.

– Dobra, zaczynamy bez – zdecydował. – Procek przyjdzie na gotowe, szczęściarz jeden.

Mógł sobie pozwalać na samodzielne decydowanie. Znali się z Tarnowskim od lat i wzajemnie ufali, co, trzeba przyznać, pozwalało czasem znacznie przyspieszyć czynności.

– Chwała Bogu – mruknął fotograf.

– Pana ludzie robią wstępne rozpytanie, tak? – upewnił się Budryś, patrząc pytająco na Polowego, który skinął głową. – Super.

Sięgnął do jednej z walizek techników, wyciągnął plik dokumentów i dwie pary ochraniaczy na buty. Jedną parę wraz z dokumentami podał Mirskiej.

– Masz. Załóż, żeby nie zanieczyścić miejsca zbrodni – powiedział. – Poza tym będziesz dzisiaj naszą protokolantką.

Oparł się o poręcz schodów i wciągnął na buty foliowe ochraniacze. Zauważył, że Mirska zrobiła to jednym ruchem, nawet się nie schylając. Ba, nawet się nie zachwiała. Jakaś akrobatka czy co?

Zanim Budryś przekroczył próg pomieszczenia, fotograf wykonał wstępne zdjęcia ogólne. Potem ścieżka dostępu, ciało, zdjęcia, technicy i ślady, medyk sądowy przebierający nogami w progę... Długopis Igi śmigał po kartach, które wręczył jej Budryś. Polowy zniknął. Może przeprowadzał rozpytania wśród ludzi, choć bardziej

prawdopodobne było, że wymknął się na papierosa. Budryś westchnął, bo sam chętnie wyszedłby na dymka. Choć niekoniecznie w towarzystwie sierżanta.

– No – powiedział, stając w końcu obok Mirskiej i ustępując pola doktorowi Lubczykowi. – I jak?

– W porządku – odparła, nie do końca wiedząc, o co mu chodzi.

– To super. Powiedz mi, co myślisz o tych plamach. – Wskazał na ciemne, prawie czarne plamy na ubraniu denata i na wykładzinie.

– Ciemna substancja, która może być krwią – odparła bez namysłu. Cóż, jeśli chciał ją zagiąć, to musiał się bardziej postarać, przecież już na kursie podstawowym uczą, żeby nigdy na miejscu zdarzenia nie wydawać pochopnych sądów! Wszyscy wiedzieli, że ciemne plamy to prawie na pewno zaschnięta krew, ale takie stwierdzenie absolutnie nie mogło się znaleźć w protokole.

– Dobra, tak się tylko upewniam. – Budryś uśmiechnął się kwaśno, co wyglądało raczej tak, jakby zaczął się krzywić pod wpływem nagłego bólu zębów. Chyba rzadko uśmiechał się szczerze. – A siedem złotych pytań?

Mirska westchnęła i odwróciła się do niego przodem.

– Co, gdzie, kiedy, jak, czym, dlaczego, kogo – wyrecytowała jednym tchem. – A jeśli chodzi o oględziny, to powinny wyjaśnić okoliczności zdarzenia, motywy sprawcy, ustalić miejsce i sposób dokonania czynu, wykryć i zabezpieczyć ślady. Coś jeszcze? – Zadarła głowę, żeby popatrzeć mu prosto w oczy.

– Spotkałem cię pierwszy raz jakieś dwie godziny temu, królewno. Muszę wiedzieć, że nie pracuję z osobą, która swoją niewiedzą spieprzy śledztwo już na samym początku. Bo ostatnio to istna plaga, wyobraź sobie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się lekkie chrząknięcie od strony schodów. Odwrócili się jak na komendę. U szczytu schodów stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w grafitowym garniturze. Zdecydowanie nie wyglądał na archeologa.

– Och, państwo jeszcze nie skończyli... – Przybysz stropił się lekko, ale zerknął przy tym do pokoju, gdzie technicy właśnie zabezpieczali odbitki linii papilarnych na włączniku światła.

– Przeciwnie, państwo dopiero zaczynają – odparła uprzejmie Mirska.

– Kto panu pozwolił tu wejść? – zainteresował się Budryś.

– No tak, może się lekko pospieszyłem – powiedział elegant i jakby przypomniał sobie, że jego wizycie przyświecał jakiś cel. – Ymm... pani komisarz Budryś...? – zwrócił się ostrożnie do Igi.

– Pan komisarz, jeśli już, nie pani. To ja – uściślił Jacek. – Bo?

– Och, przepraszam. – Elegant trochę przygaśł. Ewidentnie wolałby rozmawiać z Mirską. – Paweł Małomiejski, rzecznik prasowy – przedstawił się, wyciągając do Budrysia rękę, ale komisarz tylko podniósł swoją i zademonstrował lateksową rękawiczkę.

– Słucham.

– No tak. – Rzecznik opuścił dłoń i popatrzył na Mirską, ale i jej ręce, choć dzierżyła w nich długopis i papiery, były obleczone w rękawiczki. – Widzi pan... państwo, dowiedziałem się o tym... wypadku tutaj... – Znów próbował rzucić spojrzenie w stronę ciała leżącego na podłodze w pokoju, ale Mirska przesunęła się trochę i zasłoniła widok. – Chciałbym się upewnić, że wszystko jest pod kontrolą, żeby nie powstały żadne plotki... dla dobra śledztwa, oczywiście.

Mirska uniosła brwi. Nietrudno było się domyślić, że ktoś doniósł Małomiejskiemu o morderstwie, a ten postanowił przypilnować tematu. Uniwersytet z pewnością nie chciał, żeby do prasy przeciekły jakieś kompromitujące informacje; najchętniej w ogóle nikomu by o tym nie mówili, choć mała była szansa, że uda się coś takiego utrzymać w tajemnicy. A tak się składało, że Iga naprawdę pochodziła z akademickiej rodziny: na Wydziale Historycznym od trzydziestu sześciu lat wykładał jej ojciec, od dziewięciu – jej starsza siostra, choć w innym instytucie. Podczas świąt i rodzinnych obiadów nasłuchiwała się plotek o całym wydziale, nie znając osobiście prawie żadnej z obgadywanych osób. Tajemnica nie miała szans się tu utrzymać, rzecznik najwidoczniej też zdawał sobie z tego sprawę. W sumie to całkiem rozsądne upewnić się, że policja nie zamierza tego podawać do wiadomości publicznej. Uniwersytet

będzie się konsekwentnie trzymał wersji z wypadkiem. Trzymałby się, nawet gdyby ujęto sprawcę na gorącym uczynku. Właściwie nie ma się co dziwić, instytucja jest jak korporacja, chcąc nie chcąc musi dbać o swój wizerunek.

– Oczywiście. – Budryś skłonił głowę. – Mogę pana zapewnić, że z naszej strony informacje na temat śledztwa będą pod szczególnym nadzorem – powiedział. – Będziemy państwa informować na bieżąco.

Oboje, i Budryś, i Mirska, doskonale zdawali sobie sprawę, że to tylko gładka formułka, żeby rzecznik się odczepił. Policja nie miała ochoty ani zamiaru informować na bieżąco, i bez tego mieli co robić. Rzecznik na szczęście o tym nie wiedział, pierwszy raz w życiu miał do czynienia z policjantami z innego wydziału niż drogowy, wziął więc obietnicę za dobrą monetę.

– Świetnie – ucieszył się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – To ja może zostawię państwu moją wizytówkę. – Wydobył mały kartonik, który wsunął między papiery Mirskiej. – Proszę dzwonić. Niezależnie od pory – podkreślił.

– A jak pan tu wszedł? – Mirska wyjęła wizytówkę spomiędzy kartek i wsunęła ją do kieszeni spodni. – Na dole przy wejściu powinien przecież stać policjant.

– No i stał. – Małomiejski popatrzył na nią zdziwiony. – Taki... no... postawny – powiedział ostrożnie. – Skierował mnie do komisarz Budryś...

– Mówiłem ci, że na Polowego trzeba uważać – mruknął Jacek do Igi.

– Panie komisarzu, pan pozwoli na chwilę. – Doktor Lubczyk wystawił głowę z pomieszczenia slajdoteki.

– Już idę. – Budryś spojrzał wymownie na rzecznika. – Pan wybacz.

– Oczywiście. – Małomiejski pokiwał energicznie głową. – Oczywiście. Ja, oczywiście, chcę też w imieniu rektora naszej uczelni zapewnić, że uniwersytet zrobi wszystko, żeby pomóc policji w wykryciu sprawcy tej ohydnej zbrodni...

– Oczywiście. Trafi pan do wyjścia, prawda? Królewno, robota

czeka.

– Oczywiście, panie komisarzu.

Podobno mają przesłuchiwać – powiedział przenikliwym szeptem profesor Wyciszek, wachlując się kartą obecności studentów.

– To chyba normalne, że będą przesłuchiwać – zauważyła rozsądnie Parys.

Od znalezienia ciała minęło trochę czasu, ekipa śledcza zdążyła już zabezpieczyć miejsce zbrodni. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że denat to dyrektor Zawistowski. Po dokonaniu straszego odkrycia Borówka, który z idealnym wyczuciem czasu wychynął z gabinetu archeologii klasycznej, wybrał na komórce 112 i zgłosił zbrodnię, Masztalerz zaś na miękkich nogach zeszła do dyrektorskiego gabinetu i powiadomiła Parys i Kwaśnego. Najpierw jej nie uwierzyli. Uznali, że żartuje, ale widać było coś w postawie Joanny, co w końcu kazało im dać wiarę jej słowom. Pognali na górę, żeby na własne oczy przekonać się o śmierci Zawistowskiego. Żadne z nich nie wiedziało, co robić – trzymać to w tajemnicy czy wręcz przeciwnie; udawać, że nic się nie stało, czy odwoływać zajęcia. Zanim jednak podjęli jakąś decyzję, do instytutu przyjechał radiowóz i sympatyczny policjant przejął stery: wezwał pogotowie, wraz z kolegami zagroził wejście do budynku, po czym kazał odwołać resztę poniedziałkowych zajęć i czekać. Potem pojawiła się ekipa śledcza ze srebrnymi walizkami jak z amerykańskich seriali. W końcu przyjechał prokurator i wydał zgodę na zabranie denata – i już nie dało się ukryć, że pracownicy zakładu pogrzebowego wnoszą na noszach ciało, a nie materiały z wykopalisk. Natychmiast gruchnęły plotki, a prokurator uprzejmie poprosił Parys, by osoby obecne przy znalezieniu zwłok łaskawie poczekały. Siedzieli zatem w instytutowym bufecie, przy stolikach pod wielką palmą rosnącą w za małej donicy. Na szczęście dla nich w kafejce poza nimi oraz dziewczyną z obsługi, czytającą za ladą stary numer „Cosmopolitan”, nie było nikogo.

– Wydział Prawa mamy o rzut beretem – kombinował głośno pan Edzio. – Może skoczyć do nich po kogoś, żeby był naszym

adwokatem w razie czego... – Tak naprawdę panu Edwardowi zależało na tym, żeby przy okazji wziąć ze swojego kantorka laptopa i usiąść gdzieś w kącie ze słuchawkami na uszach.

– Boże, Boże, będą przesłuchiwać, co my im powiemy... – sapał profesor Wyciszek.

Teofil zniecierpliwiał się lekko.

– Że zbiorowo zamordowaliśmy Tadeusza jako ofiarę rytualną! – warknął.

Wyciszek popatrzył na niego oburzony, a Borówka ledwo stłumił niestosowny chichot.

– Ciekawa teoria – odezwał się od progu komisarz Budryś, który nie wiadomo kiedy zmaterializował się w towarzystwie sierżanta Polowego i jakiejś kobiety.

Teofil drgnął nerwowo.

– Tak... – Poprawił poły swojej marynarki. – Miałem na myśli, że to niemożliwe, żebyśmy wszyscy zamordowali...

– Nie czytał pan *Morderstwa w Orient Expressie*? – zdziwiła się kobieta towarzysząca Budrysiowi.

Komisarz rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Bo pani sierżant Mirska czytuje sobie do poduszki, nieprawdaż? – zapytał cierpko.

– Ale czy to na pewno był mord? – odezwał się pan Edzio. Obejrzał w swoim życiu wystarczającą ilość filmów kryminalnych, żeby wiedzieć, że różnie bywa nawet w na pierwszy rzut oka oczywistych sprawach.

Dziewczyna za barem nadstawiła uszu.

– Przecież był pan na górze, panie Edwardzie, pan ma jeszcze jakieś wątpliwości? – zapytała Parys z wyrzutem.

Borówka rzucił jej ukradkowe spojrzenie.

– Tak, to było morderstwo – potwierdził jednocześnie Budryś. – Ale chcę państwa uspokoić: postaramy się jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę, żeby nie trzymać państwa z dala od obowiązków służbowych...

– Jaka szkoda! – wyrwało się szczerze Parys.

Mirska przyjrzała się jej uważnie.

– ...dlatego też prokurator zdecydował, że chce z państwem od razu porozmawiać – kontynuował komisarz. – Tymczasowo został zajęty gabinet dyrektora – ze strony Teofila dobiegło głośnie zgrzytnięcie zębami – a pan Małomiejski ma jeszcze do państwa jedną prośbę. – Budryś skinął głową komuś, kto dotąd stał w korytarzu, ukryty za plecami policjantów.

– Teraz nam powiedzą, że mamy nie kłapać dziobami – mruknęła Masztalerz do Borówki.

– Proszę państwa, rozumiem, że naukę polską spotkała ogromna strata – zaczął rzecznik, przepychając się do przodu – dlatego też dla dobra toczącego się śledztwa, w imieniu rektora Uniwersytetu Warszawskiego uprzejmie proszę o nieudzielanie informacji osobom trzecim.

– A teraz powie o wspieraniu działań – mruknęła znowu Masztalerz, obracając w palcach złoty wisior w kształcie małej czaszki z miniaturowymi, błyszczącymi zębami.

– Skąd wiesz, co on powie? – zainteresował się Borówka szeptem. – Mordowałaś już kogoś?

– Jednocześnie pragnę zapewnić o pełnej współpracy uniwersytetu z Komendą Stołeczną Policji – ciągnął Małomiejski. – Państwa również proszę o pełną kooperację z władzami śledczymi reprezentowanymi przez komisarza Budrysia.

Policjantka chrząknęła znacząco.

– Oczywiście – zreflektował się rzecznik. – I przez sierżant... Przepraszam, jak brzmi pani nazwisko?

– Mirska.

– Oczywiście, przepraszam. Proszę zatem państwa o pełną współpracę z komisarzem Budrysiem i sierżant Mirską – powtórzył Małomiejski. – Nasi prawnicy uniwersyteccy są już uprzedzeni; jeśli zajdzie taka potrzeba, będą do państwa dyspozycji.

– Jasne, jasne. Dziękujemy już panu. – Budryś ujął rzecznika za łokieć i wyciągnął na korytarz, gdzie zaczął mu coś tłumaczyć przyciszonym głosem.

– Mój Boże, oni sądzą, że to zrobił ktoś z nas – powiedziała ze zgrozą Parys.

Słowa Małomiejskiego uświadomiły im, że ktoś jednak musiał zabić Tadeusza i że ich koledzy najwyraźniej brali pod uwagę możliwość morderstwa z ręki któregoś z archeologów.

– Proszę państwa! – odezwała się Mirska donośnym głosem, ściągając na siebie uwagę zebranych. – Tak jak wspominał komisarz Budryś, pan prokurator chce z państwem wstępnie porozmawiać. Z każdym po kolei. Trochę czasu to zajmie, ale akurat na to nic nie poradzimy. Nie możemy tego pominąć, sami państwo rozumieją.

– Czy musimy mieć własnego adwokata? – zapytał pan Edzio spod palmy.

Mirska z trudem powstrzymała uśmiech.

– Nie – odparła. – Nie muszą państwo. To tylko rozmowa. Nie oskarżenie.

– No chyba że zabilicie tego trupa – wtrącił się Polowy.

– Pan prokurator Tarnowski chciałby porozmawiać najpierw z panem doktorem Pawłem Matejką. – Mirska zignorowała komentarz Polowego i zerknęła do notesu, po czym popatrzyła po zebranych. – Pan Matejko? – powtórzyła. Facet był podobno prawą ręką denata, nic dziwnego, że prokurator chciał go wziąć na pierwszy ogień. Mógł wiedzieć najwięcej.

Borówka poruszył się niespokojnie i zerknął ukradkiem na Parys, próbując wyczytać z jej miny reakcję na brak Matejki. Poczował się niejako do reprezentowania swojego zakładu, którego jedna trzecia była w drodze do kostnicy, a druga jedna trzecia znajdowała się Bóg wie gdzie.

– Nie ma – odezwał się w końcu, bo mina Parys nic mu nie mówiła. – Jeszcze się nie pojawił.

– Aha... – mruknęła Mirska i zapisała coś w notesie.

– Niezła dyscyplina pracy, nie? – Polowy zaglądał jej przez ramię, kołysząc się jednocześnie na piętach. Wyglądał przez to jak kiwająca się piłka.

Iga odsunęła się od niego.

– To w takim razie zapraszam panią doktor habilitowaną Irenę Parys – odczytała z notesu.

Obserwując, jak rudowłosa Parys wychodzi z bufetu za

policjantką w cywilu, Tadek Borówka pomyślał, że teraz to się dopiero zacznie prawdziwy bajzel. Taki, jakiego jeszcze w życiu nie widzieli.

Budryś z trudem powstrzymywał się od kręcenia się na fotelu dyrektorskim. Mebel był duży, miękki i nie wydawał z siebie przeraźliwych pisków jak wszyscy jego ubodzy krewni na komendzie. Komisarz rozważyłby nawet przekwalifikowanie się dla takiego komfortu siedzenia. Czuł, że na takim fotelu cudownie by się jeździło; gdyby odepchnął się porządnie od jednej ściany, z pewnością dojechałby do przeciwległej. Janka byłaby zachwycona. Niezły prezent na Gwiazdkę, musiałyby tylko sprezentować go od razu z nowym mieszkaniem, bo ani jego lokal, ani mieszkanie jego byłej nie pozwalały na takie jazdy.

Mimo pokusy ograniczył się jednak tylko do kręcenia się. Obecny w pomieszczeniu Teofil Kwaśny, na którego właśnie przyszła kolej, i tak patrzył na niego wzrokiem Gorgony, cyklopa czy czegoś tam jeszcze innego, co niewątpliwie fascynowało pokrecony ród archeologiczny.

– Ostatnim razem widziałem dyrektora w środę wieczorem – powiedział Kwaśny z niechęcią. Był zmęczony i miał dość wszystkiego.

– Ostatni raz widziałem, nie ostatnim razem – rzucił Budryś zza biurka.

Teofil posłał mu ponure spojrzenie.

– Ostatnim razem widziałem go w środę – powtórzył z uporem – bo w czwartek razem ze swoim doktorantem pojechał do Wrocławia na konferencję, swoim samochodem. Borówka zostawał dłużej, dyrektor miał wrócić w sobotę. No i chyba wrócił, jak widać...

– No to proszę opowiedzieć dokładnie, co się stało dzisiaj – powiedział prokurator Tarnowski i skinął głową Mirskiej, która z ociąganiem sięgnęła po długopis. Miała już dosyć roli protokolantki jak na ten dzień. Notatki służbowe pisane ręcznie były czystym złem. W komendzie rejonowej jakoś nie było aż tyle pisania, choć spraw zawsze mieli po kokardy.

Teofil zachnął się lekko.

– Skąd mam wiedzieć, co się stało, co ja, Duch Święty jestem? – zapytał kłótliwie i skrzyżował ramiona. Nie lubił ich. Wysokiego komisarza, długiej sierżant ani nobliwego prokuratora. Zresztą, generalnie nie lubił ludzi, a jego wyobrażenia o poziomie intelektu nie tylko młodzieży, ale i społeczeństwa w ogóle były jak najgorsze. Fakt, że był ostatni w kolejce do rozmowy z prokuratorem, również nie nastawił go pozytywnie. – Pan prokurator zadał pytanie – warknął Budryś z dyrektorskiego fotela. – Mamy inaczej porozmawiać?

– Panie Jacku – rzucił ostrzegawczo prokurator. – Ja tu siedzę. Nie przy mnie, nie przy mnie!

– Od rana siedzieliśmy z Parys tu, w gabinecie. – Teofil posłał komisarzowi złe spojrzenie. – Musimy porozdzielać nadwyżki budżetowe pozostałe w ramach BST... czyli w ramach budżetu przeznaczonego na badania statutowe – dorzucił wyjaśniająco, widząc miny śledczych. – Każdy zakład i pracownia w instytucie prowadzą swoje badania, zagwarantowane w statucie zakładu i instytutu. Mamy określony przez rektora i dziekana budżet przeznaczony na realizację tych badań, a kierownicy zakładów składają do nas wnioski o przydział odpowiednich środków na określone działania. To jedno ze źródeł finansowania całego instytutu, obok dotacji dydaktycznej z ministerstwa oraz płatnej dydaktyki. No i czasem się zdarza, że zostanie jakaś kwota, bo ktoś się wycofa z projektu, zresztą pod koniec okresu rozliczeniowego zawsze są nadwyżki, które trzeba porozdzielać, a chętnych zawsze się znajdzie sporo. Dzisiaj rano rozpatrywaliśmy te wnioski z wicedyrektor Parys.

– Nie powinien tego robić dyrektor? – zapytał Budryś, co wywołało kolejne nieprzyjemne spojrzenie Kwaśnego.

– Powinien, ale że był już martwy, więc tego nie robił – odparł ze zniecierpliwieniem. – Ale Parys ma upoważnienie od Tadeusza. Zawistowskiego, znaczy. Że może podejmować zobowiązania finansowe w imieniu instytutu i uniwersytetu.

– *Ad rem*, panie Kwaśny – odezwał się prokurator. – *Ad rem*.

Siedzieliście i rozpatrywaliście.

– No i przylazł Wyciszek, szukał Zawistowskiego. – Teofil wzruszył ramionami. – To odesłaliśmy go na górę. A potem pojawiła się Masztalerz, klucza szukała. Wparowała po raz drugi z pół godziny później, nie wiem, o której dokładnie, nie patrzyłem na zegarek. I zaczęła mówić, że Tadeusz i że trup.

– Kto znalazł ciało?

– Nie wiem. – Kwaśny znowu wzruszył ramionami. Może miał tik nerwowy. – Wyciszek chyba, bo prawie ataku serca dostał. A może Masztalerz. Nie mam pojęcia, zresztą to wasza działka.

– Kto dokładnie odesłał profesora Wyciszka i panią Masztalerz? – podchwycił prokurator.

– Parys, ale jakie to ma znaczenie? – zirytował się Teofil. – Nie powinniście raczej szukać mordercy, a nie wypytywać o jakieś bzdury?

– Parys, doskonale. – Prokurator zapisał sobie nazwisko w notesie. Mirska dyskretnie rozprostowała pod stołem dłoń, która zaczynała już drętwieć od tego pisania. Całe szczęście, że na stole konferencyjnym stał włączony dyktafon, mrugając czerwoną diodą nagrywania. Będzie mogła sprawdzić potem z nagraniem, czy nic jej nie umknęło... Budryś za dyrektorskim biurkiem przerzucał kartki w kalendarzu Zawistowskiego. – A potem, gdy Masztalerz, jak to pan ujął, wparowała i zaczęła mówić?

– Tośmy poszli na górę. – Teofil westchnął. – I w slajdotece faktycznie leżał Tadeusz, cały w zakrzepłej krwi... Straszny widok. – Wzdrygnął się.

– Wchodzili państwo do pomieszczenia? Ktokolwiek z was?

Teofil popatrzył na przesłuchujących go ludzi z nieprzeniknioną miną.

– Nie.

– Nie? – Budryś zatrzasnął kalendarz i popatrzył na Teofila. – Na pewno nikt nie wchodził?

– Nie – powtórzył Kwaśny.

– Ciekawe – mruknęła Mirska, nie podnosząc głowy znad protokołu. – I nie weszliście nawet, żeby sprawdzić, czy Zawistowski

jeszcze żyje? Tak po prostu staliście w progu i czekaliście na przyjazd policji?

– Tak – potwierdził Teofil, rzucając Mirskiej nieprzyjemne spojrzenie. – Dokładnie tak. O ile wiem, wszyscy państwo byliście na górze i widzieliście, jak to wyglądało. Od progu było widać, że jeśli jakikolwiek lekarz miał mu się przydać, to jedynie patolog. Nie jesteśmy głupkami, morderstwo było widać od progu, więc nie pchaliśmy się na państwa scenę zbrodni. Proste.

– Co za ulga – mruknął Budryś do siebie.

– Ale moje odciski palców będą tam wszędzie – ostrzegł Teofil.

– Odbitki – poprawił go komisarz, ale Kwaśny zignorował jego uwagę.

– I nie tylko moje, połowy instytutu. Będzie istny gąszcz odcisków. Dżungla normalnie. Amazońska.

– No to całe szczęście, że już od pana pobraliśmy materiał do porównania. – Prokurator uśmiechnął się. – To jeszcze niech nam pan powie, kto mógł mieć motyw, żeby zabić dyrektora Zawistowskiego.

To było standardowe pytanie, które zadawali wszystkim. Zależało im na odpowiedziach na nie, żeby móc wstępnie opracować jakąś wersję zdarzenia. I plan dalszej pracy, oczywiście.

Teofil zastanawiał się przez chwilę.

– Wszyscy – oznajmił w końcu.

– Mógłby to pan jakoś rozwinąć? – poprosił prokurator. – Trochę ciężko będzie postawić zarzuty wszystkim.

Teofil zamyślił się.

– To jest małe środowisko – powiedział po chwili. – Każdy zna się z każdym. A jak się z kimś pracuje od trzydziestu lat, to siłą rzeczy pojawiają się konflikty, zwłaszcza jak ktoś się wybija i zostaje szefem. Nie ma takiej osoby, która nie miałaby o coś pretensji do Tadeusza.

– A czy jest ktoś, czyje pretensje mogły być na tyle duże, żeby posunął się do morderstwa? – zapytał Tarnowski.

– No pewnie, wszyscy – odparł tym razem bez zastanowienia. – Zawistowski nie jest... nie był łatwym człowiekiem. W zasadzie to

był... no... skurwielem, *pardon le mot* – zerknął w stronę Mirskiej. – Musiał być, bo inaczej cały instytut by się rozlaźł. Uniwersytet miał ciężki okres po transformacji ustrojowej i gdyby nie twarda ręka Tadeusza, to byłaby figa z makiem.

– I ludzie mieli o to do niego pretensje?

– Ludzie nie myślą o większym obrazku, nie widzą nic poza czubkiem własnego nosa. Taki Wyciszek na przykład, pozornie ciapa, ale ma swoich popleczników, kasę doi jak trzeba, a uważa, że Tadeusz go ogranicza, obcinając mu fundusze! Albo taki Matejko, niby jego naukowa prawa ręka, ale otwarcie go nienawidzi. Gniazdo żmij – zakończył z niechęcią.

– A pan? – zapytał Tarnowski. – Miał pan coś przeciwko Zawistowskiemu?

Ale na to pytanie Kwaśny już nie chciał odpowiedzieć.

Niestety, wcześniejsze rozmowy przebiegały podobnie. Wszyscy ubolewali, przyznawali, że praktycznie każdy mógł mieć motyw, ale przy pytaniu o własne powody ewentualnej niechęci do Zawistowskiego milkli. Za to zespół śledczy dowiedział się, że to było barbarzyństwo to morderstwo (według profesora Wyciszka), że Matko Boska, kto to widział tak leżeć w zupełnie otwartym pomieszczeniu bez klucza (według ślusarza, którego zeznania były akurat najmniej istotne, bo denata praktycznie nie znał), że pogoda jest upiorna, ani zima, ani lato, i kiedy będzie można korzystać ze slajdów, które znajdują się na miejscu zbrodni, no chyba że miejsce zbrodni było gdzie indziej i w takim razie ze slajdów można korzystać bez przeszkód (według Masztalerz), że instytut czekają teraz kłopoty administracyjne, ale w sumie to ciężko powiedzieć, bo nikt jeszcze nigdy nie zabił żadnego dyrektora (według Parys), że Zawistowskiego dawno nie widziano (według pana Edzia), że był na konferencji we Wrocławiu i wrócił wcześniej, w sobotę (według Borówki), i że Tadeusz miał do napisania zaległe opinie do przewodów habilitacyjnych (według Matejki, który wieczorem, w trakcie rozmów, pojawił się jednak w instytucie). O prywatnym życiu Zawistowskiego mimo długiej znajomości nikt nie mógł, a raczej nie chciał zbyt wiele powiedzieć, poza tym, że miał żonę,

drugą, z którą raczej nie planował rozwodu. Żona była chwilowo nieuchwytna.

– No dobrze – westchnął prokurator Tarnowski, który siedział przy owalnym stole zasłanym papierami. Potarł oczy i sięgnął po butelkę z wodą. Siwe włosy miał zmierzwiłone, mimo chłodu panującego w budynku marynarkę odwiesił na oparcie krzesła. – Podsumujmy, co do tej pory wiemy.

– Gównu wiemy – mruknął Budryś, kręcąc się leniwie z fotelem.

– Panie Jacku – powiedział z wyrzutem Tarnowski, nie podnosząc wzroku znad swoich notatek. – Bądźmy poważni.

Mirska siedziała po drugiej stronie stołu i przyglądała się obu mężczyznom. Nie ulegało wątpliwości, że znali się od lat i mieli za sobą niejedną wspólną sprawę. Inaczej Budryś raczej nie odzywałby się przy prokuratorze tak swobodnie... Ależ jej się trafiło – na samym początku nowej pracy załapać się na morderstwo i zostać przydzieloną do bucowatego komisarza i prokuratora pracusia, który pierwszego dnia śledztwa sam brał udział we wstępnych przesłuchaniach! Nie miała pojęcia, że Tarnowski, mimo przekroczonej sześćdziesiątki, ani razu nie odpuścił żadnej sprawy. Wciąż starał się uczestniczyć we wszystkich etapach śledztwa, choć akurat z Budrysiem znał się od lat i ostatnio coraz częściej cedował na niego swoje obowiązki. Niektórzy uznawali zaangażowanie prokuratora za skrajną nieufność w stosunku do śledczych, ale on po prostu lubił wiedzieć, co się działo na jego poletku, jak sam się wyrażał. Spraw prowadził zresztą relatywnie mało, za to prawie wszystkie z gatunku tych cięższych i ciekawszych, a o nowych zdarzeniach, które już na pierwszy rzut oka mogły go zainteresować, informowany był niemal z automatu.

– Pani... Igo, tak? – Tarnowski miał miły, głęboki głos. Splótł dłonie i popatrzył na nią uważnie. – No więc, pani Igo, spróbujmy sobie podsumować. Pan komisarz może włączy się, jak mu się będzie chciało – rzucił przez ramię w stronę Budrysia.

– Oczywiście. – Mirska wytarła spocone nagle dłonie o spodnie. Tarnowski wydawał się dość sympatyczny, głupio byłoby palnąć przy nim jakąś gafę. – Mniej więcej o dziesiątej trzydzieści cztery

osoby znalazły zwłoki. Identyfikacji dokonano na podstawie rozpoznania denata przez świadków. Ciało zostało znalezione w pomieszczeniu zwanym slajdoteką, ogólnodostępnym. Na podstawie oględzin można stwierdzić, że miejsce znalezienia jest właściwym miejscem popełnienia przestępstwa...

– Stop, stop, stop! – Tarnowski uniósł dłoń. – Dziecko, spokojnie. Nikt tu nie gryzie, ani ja, ani pan komisarz, choć może sprawiać czasami takie wrażenie.

– Czasami – mruknęła do siebie Mirska.

– Udam, że tego nie dosłyszałem. – Budryś miał, niestety, dobry słuch. Wstał z dyrektorskiego fotela i podszedł do jednego z okien w gabinecie, który wciąż zajmowali. Wychodziło na parking przed budynkiem archeologii i zielony skwerek obok. Teraz był on zielony jedynie w teorii, pogoda w połowie listopada może i była zaskakująco ładna, ale nie na tyle, żeby uchowały się na drzewach liście. Sprzed gmachu instytutu już dawno odjechał duży fiat doktora Lubczyka, radiowozy i karawan. Okazało się, że stał tam również samochód ofiary – zamknięty na cztery spusty, został więc odholowany na policyjny parking, gdzie mieli się nim zająć specjaliści. Teraz na zalanym żółtym światłem latarni placu stało zaledwie kilka samochodów, w tym ich służbowa kia i citroen prokuratora. Fatalne miejsce, totalnie na uboczu, tu pewnie w normalny dzień nikt niczego nie zauważa. Budryś mógł się założyć, że świadków w okolicznych budynkach nie znajdą żadnych. W takich miejscach po prostu nigdy ich nie było. Takie miejsca zaliczały się do najgorszych – otwarte i ogólnodostępne, a jednak odsunięte i odosobnione. Wszystko na „o”. Idealne do popełniania zbrodni. Zwłaszcza późną jesienią i wczesną zimą.

– Lekarz sądowy na razie nie był w stanie określić czasu zgonu dokładniej jak na dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin wcześniej – powiedziała Mirska i podciągnęła wyżej suwak kurtki. Wyraźnie czuła chłód panujący w gmachu. – W budynku zepsuły się kaloryfery. Kilka do kilkunastu stopni w dzień i w nocy, bo mury jeszcze nie ostygły, co zapewne wpłynęło na stan zachowania ciała.

– No właśnie. – Prokurator postukał długopisem w notes. –

Zobaczmy, co nam powie doktor Lubczyk po sekcji. Ale trzeba się zorientować, kiedy ogrzewanie padło, bo może to było celowe działanie mordercy.

– Rozmawiałem z portierem, jak byłem na papierosie, tak na luzie – odezwał się Budryś spod okna. – Normalnie pewnie byliby w stanie powiedzieć, kiedy nastąpiła awaria, bo w weekendy mają tu na ogół zajęcia podyplomowe i zaoczne. Ale że wczoraj było święto państwowe...

– Niech zgadnę, odwołali w ten weekend zajęcia. – Tarnowski skrzywił się. – Swoją drogą miło, że się pan włączył, panie Jacku.

– To nam daje przedział czasowy mniej więcej od piątku do niedzieli w prawie pustym budynku. – Budryś podszedł do stołu konferencyjnego i odsunął sobie krzesło. – Aż nadto czasu, żeby zadźgać dyrektora.

– Kilkanaście uderzeń ostrym narzędziem, prawdopodobna przyczyna zgonu to wstrząs hipowolemiczny na skutek rany kłutej klatki piersiowej – przypomniała Mirska, przerzucając kartki w notesie.

– No właśnie, wykrwawienie – powtórzył prokurator i znowu potarł oczy. Miał wrażenie, jakby ktoś mu nasypał piasku pod powieki. Okropne uczucie. – Mnóstwo krwi musiało być...

– Zabójca też musiał być cały w farbie – powiedział Budryś. Zaburczało mu głośno w brzuchu. Siedzieli tu już jakąś okropną ilość godzin; w środku dnia udało mu się złapać w bufecie jakąś kanapkę, ale już nawet o niej nie pamiętał. Był głodny jak wilk.

– Musiał – zgodził się Tarnowski i zerknął do swojego kajetu. – Więc tak, narzędzia zbrodni na miejscu nie znaleziono, nikt się nie przyznał w pierwszym odruchu, czas zgonu nie do końca pewny, pomieszczenie było otwarte i każdy mógł wejść. Nikt nie jest w stanie określić, czy coś zginęło, raczej nie. Denat miał portfel i komórkę w kieszeni płaszcza na wieszaku, na palcu złota obrączka, na rękę dobry zegarek, jego samochód stał na parkingu przed budynkiem nietknięty, choć kluczyków do niego nie znaleziono. Motyw rabunkowy odpada. Pomijając fakt, że to byłoby osobliwe miejsce jak na kradzież...

– Na podstawie traseologii technicy mówią, że sprawca działał pojedynczo – włączyła się Mirska. – Na korytarzu ze śladami w ogóle dramat, bo najpierw jeździła tam sprzątaczką ze szmatą, a potem za dużo osób się pałętało: ci archeolodzy, pogotowie, nasze firmowe asy. Na zamku w drzwiach nie ma śladów włamania. Ale oni tu mają kamery, trzeba będzie je sprawdzić; może uda się ustalić, kiedy Zawistowski po raz ostatni został zarejestrowany na nagraniu. I z kim. Bo przecież jakoś musiał tu wejść.

– No to macie co sprawdzać jutro. – Prokurator zerknął na zegarek. Czas się zbierać.

– Królewno, jaki motyw obstawiasz? – zapytał Budryś, patrząc uważnie na Mirską.

– Mam na imię Iga.

– Wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale to dla mnie za długie. Wolę królewna. Więc?

Buc, pomyślała znowu. Jak mi Bóg miły – buc!

– Służbowy – odparła, przeglądając zapisane przez siebie karty protokołów. – Zamordować kogoś w miejscu pracy... motyw służbowy.

– Albo prywatny. Ale sprawcą był ktoś ze środowiska zawodowego.

– Któryś ze studentów, bo dyrektor czegoś odmówił...? – powiedziała z wahaniem Mirska.

– Może. – Prokurator zamknął notes. – Dzisiejsza młodzież jest dziwna. Ale studentów w tym instytucie jest sporo, może najpierw skupmy się na współpracownikach, którzy mogli mieć motyw.

– No to słyszeliśmy, wszyscy mieli. – Budryś przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kręgosłupie. – Choć mnie się najbardziej nie podoba ten Matejko. Nie pojawił się rano na zajęciach, posiedział zamiast tego w Muzeum Narodowym, niby służbowo, może kombinował, że ktoś w tym czasie znajdzie ciało. Potem spokojnie mógłby przyjść i udać wielkie zaskoczenie. Bardzo to wygodne.

– Ale na moście Grota-Roweckiego rano naprawdę był korek – zauważyła Mirska. – Muzeum też łatwo sprawdzić.

– No i co z tego, przecież to nie jest jego alibi na czas morderstwa,

tylko znalezienia ciała. – Budryś wzruszył ramionami. – Z udowodnieniem alibi na czas zbrodni będzie pewnie gorzej. Jak go zapytałem, gdzie był w sobotę, to powiedział, że z kobietą, ale nie może powiedzieć jaką. Tak twierdzi każdy kryptogej. Mówię wam, że dla mnie on powinien być pierwszym podejrzanym. Przyjechał dopiero, jak ciało zostało już zabrane. Najbliższy współpracownik, nienawiść do szefa, ja bym go sprawdził, o co im poszło. Jak dla mnie facet kręci.

– Joanna Masztalerz chyba też – zauważyła Mirska, zerkając znów do notatek. – Jakoś tak się zachowywała... Raz przejęta, a za chwilę pyta, kiedy będzie mogła ze slajdów korzystać. Nie wiem, czy ona się martwiła bardziej śmiercią dyrektora, czy brakiem dostępu do slajdów.

– Ten młody... Jagoda chyba? Nie, już wiem, Borówka. On też jakiś taki niewyraźny... Że już nie wspomnę o Kwaśnym, dam sobie rękę uciąć, że ten coś wie. A Parys zgrywa świętą, a ja w świętych nie wierzę – podkreślił komisarz.

– No to ich wszystkich sprawdzajcie – zgodził się Tarnowski. – Wynika z tego, że tylko ślusarz jest poza podejrzeniami... A co z żoną, wiemy coś?

– Sierżant Polowy wysłał swoich ludzi, żeby ją powiadomili, ale mieszkanie zamknięte – odparła Mirska, krzywiąc się lekko. Budryś miał niestety rację, Polowy był specyficzny we współpracy. Zdążyła się już przekonać.

– Niedobrze – cmoknął Tarnowski. – Trzeba ją znaleźć.

– Widzisz, królewno, przysłaś w sam raz, będziesz miała pełne ręce roboty – powiedział Budryś.

Mirska zacisnęła usta i pomyślała, że ktoś kiedyś niechybnie komisarza zamorduje. Możliwe, że ona. I że chyba naprawdę się nie polubią. Pewnie musiałyby stać się cud, a jak stwierdził sam Budryś, on w cuda nie wierzył. Cóż, ona właśnie przestawała.

Prokurator wstał i sięgnął po marynarkę, Mirska podsunęła mu do podpisu formularze, a Budryś ponownie się przeciągnął. Na dzisiaj koniec, za oknami już dawno zrobiło się ciemno. W instytucie panowała cisza i spokój, jedynie na portierni powinien siedzieć pan

Edward, czekając, aż śledczy w końcu się wyniosą. Dlatego też kiedy drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie, wszyscy troje drgnęli nerwowo.

W progu pojawił się pan Edzio, blokując sobą wejście.

– Panie komisarzu, ja przepraszam bardzo, ale tu jest pani... – powiedział z zakłopotaniem.

– Jaka znowu pani?

– No... żona...

– Jaka znowu żona? – nie zrozumiał Budryś. – Pana?

– Nie...

– No to czyja? Bo przecież nie moja!

– Nie, żona pana Zawistowskiego – wyjął w końcu pan Edzio.

Budryś natychmiast otrzeźwiło, a prokurator, dotąd słuchający z życzliwym zaciekawieniem i zbierający swoje notatki, teraz wyprostował się gwałtownie.

– Wie? – zapytał zwięźle.

– Noooo... wie – przyznał pan Edzio. – Przyjechała i powiedziała, że ona się musi z państwem widzieć i że to żarty... Ale ja nie wiem, czy państwo chcą...

– To jakieś nieporozumienie! – dobiegł ich kobiecy głos zza pleców portiera. – Borówka zostawił mi wiadomość na automatycznej sekretarce! I Irena też!

Pan Edzio został silnie pociągnięty do tyłu i w progu pojawiła się niska blondynka przy kości w stanie silnego wzburzenia.

– Co tu się dzieje, gdzie on jest i dlaczego siedzicie w jego gabinecie, do cholery! – zawołała histerycznie.

Mówiła coś jeszcze, ale Budryś jej nie słuchał.

Ostatnią osobą, jaką spodziewałby się w tej chwili zobaczyć – i to w roli żony denata! – była Julia, jego dawna znajoma. Tak dawna, że nawet nie pamiętał jej nazwiska.

Był tylko ciekaw, czy ona go pozna. Miał nadzieję, że nie, bo nie chciał oddawać sprawy – zaczynało się robić interesująco.

Czerwone cyfry elektronicznego zegara na półce pokazywały godzinę dwudziestą trzecią piętnaście, kiedy Jureczek przekroczył

w końcu próg mieszkania. Wymacał włącznik światła i pobłogosławił w duszy właściciela wynajmowanego lokum, który zamiast górnego oświetlenia zainwestował w kinkiety. Ich łagodne światło zdecydowanie wygrywało z ostrymi żarówkami zalewającymi pomieszczenia niehumanitarnym blaskiem.

Weekendowy program Jureczka był, jak zwykle, bardzo napięty. Święto Niepodległości należało w końcu uczcić polskimi wyrobami tradycyjnymi. Świętować zaczęli już w piątek, skończyli w niedzielę i prawdę mówiąc, trochę się te dni zlewały Jureczkowi w jedno. Z odmętów pamięci wyłaniały się jakieś sceny, ale nawet nie starał się ich logicznie ułożyć. W poniedziałkowy poranek Jurek był nawet na chodzie i naprawdę – *naprawdę!* – nie zamierzał pić. Tylko kto w obliczu morderstwa we własnym instytucie by się powstrzymał? Nie wiadomo, jak dyrektor zginął, ale Diana, która dorabiała sobie w instytutowym bufecie, twierdziła, że to były straszne męczarnie. Wie, bo na własne uszy słyszała, jak policja przyszła przesłuchiwać kadrę.

Męczarnie miały być podobno koszmarne.

No, szczerze mówiąc, to Jureczek niczego innego by się nie spodziewał po morderstwie. Odwiesił na wieszak swoją kurtkę, ściągnął wełniany sweter, złożył go starannie i włożył do szafy, a koszulę zdjął i wrzucił do pralki. Grunt to porządek.

Pólnagi poszedł do aneksu kuchennego, wyjął z pojemnika na chleb suchą bułkę i ugryzł. Zawsze jak wracał do domu, musiał coś zjeść. Tak już miał. Bułka jednak była zbyt sucha, więc Jureczek sięgnął po szklanę i nalał sobie zimnej wody z kranu. Chrzanić chlor, jaki podobno dodawano do wody, kranówka wcale nie była taka zła. Tym bardziej że nie czuł się na siłach zrobić sobie czegoś do picia. Ani nawet zajrzeć do lodówki.

Siedział więc przy kuchennej ladzie, żuł suchą bułkę, popijając zimną wodą, i próbował choć trochę pozbyć się pochłoniętych dzisiaj procentów. Pamięć dyrektora bezwzględnie należało uhonorować we właściwy sposób, zwłaszcza dyrektora archeologii, tak mocno związanej z alkoholem. Na wykopaliskach pochłaniało się go przecież hektolitrami, a podobno Zawistowski też był ostrym

zawodnikiem.

Na trzeźwienie u Jureczka najlepiej działało myślenie. Tak jakoś, paradoksalnie. Kiedy zmuszał się na przykład do przypomnienia sobie łacińskich nazw kości szkieletu, które wkuwali na pierwszym roku, albo do obliczania mediany według wzoru z technik zdobywania i przetwarzania informacji, jego mózg częściowo wydobywał się z oparów alkoholu i Jureczek odzyskiwał czystość myśli.

Teraz zatem w ramach dochodzenia do siebie rozważał okoliczności wstrząsającego morderstwa dyrektora.

Diana powiedziała, że całe mnóstwo osób chciano od razu zatrzymać. Wicedyrektorce i sekretarzowi instytutu, jak również profesorowi Wyciszкови oraz magistrom Masztalerz i Borówce, a nawet staremu portierowi i jakiemuś robotnikowi uniwersyteckiemu, który nie wiadomo skąd się wziął, kazano siedzieć w bufecie u Diany. A potem podobno nawet im radzono, żeby lepiej adwokatów sobie poszukali. I każdego oddzielnie zabierali na przesłuchanie z prokuratorem, a Matejkę to nawet od razu zamknęli, bo nie podobało im się, że go rano na zajęciach nie było. Swoją drogą ciekawe, jak się tego dowiedzieli...

Jureczek przełknął ostatni kęs bułki i wypił do dna wodę. Coś mu mówiło, że to nie koniec atrakcji w życiu instytutu.

Nieco żwawiej zsunął się z krzesła i poczłapał w kierunku łóżka, które rano nawet zasłał. Z zadowoleniem zauważył, że krok ma mocniejszy i pewniejszy i że podłoga już nie faluje mu przed oczami. Dobrze jest.

Zabrał z łóżka swoją pasiastą piżamę i udał się do łazienki. Pozbył się spodni, wszedł pod prysznic i poczuł się jeszcze odrobinę lepiej. No, to na czym skończył?

A, Zawistowski nie żyje. Co do tego nie było wątpliwości, ale kto? Za co? Jak? Plotki już krążyły, owszem. Plotki krążą zawsze. Bufetowa Diana mówiła o męczarniach. No, raczej. Wycierając się szorstkim ręcznikiem, Jureczek rozważał, czy śmierć może być bezbolesna. Szczerze mówiąc, wątpił. No chyba że ktoś umierał we śnie. W sumie nie miał zielonego pojęcia, nie był ani medykiem, ani

gliną, martwego człowieka widział tylko raz w życiu, jak ciotka dostała ataku serca podczas własnych imienin i umarła.

Popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Spoglądała na niego szczupła twarz w nieco zaparowanych okularach. Przerzuciłby się na soczewki, ale obawiał się, że notorycznie zapominałby je zdejmować, a od tego podobno są problemy z oczami.

Przeczesał palcami włosy. Dziwna ta fryzura, taka rozwichrzona – ale to nawet dobrze, nadaje mu wygląd luzaka. Takiego trochę Cybulskiego. Cybulski ery Facebooka.

Szczotkując zęby, przypomniał sobie, jak ktoś mówił, że w sieci jeszcze nic nie było na ten temat. Morderstwa rzecz jasna, nie Cybulskiego.

Ciekawe, dlaczego go zabili. Żona chyba nie. Żona kropnęłaby go w mieszkaniu, podczas kłótni małżeńskiej czy czegoś w tym stylu. Choć może przyszła, zobaczyła go z kimś i w ataku szału go zabiła. Ciekawe czym.

Zazdrość. No, to podobno dobry motyw. Uczucie zazdrości było co prawda Jureczkowi zupełnie obce, chyba nigdy w życiu nikomu niczego nie zazdrościł, poza tym grubym Bartkiem w przedszkolu, który miał całą kolekcję pokemonów. Z zazdrości mogła zabić żona albo kochanka, albo kochanek żony, albo mąż kochanki... Możliwości było multum. Że dyrektor Zawistowski lubił panie, z wzajemnością zresztą, wiedzieli wszyscy. Ciekawe, kiedy dowie się o tym glinowo. Więc ta żona miałaby sens – nie wytrzymała i z zazdrości o te wszystkie magistrantki i doktorantki w końcu go zabiła.

Ręka ze szczoteczką zatrzymała się, a Jureczek wpatrzył się we własne odbicie.

No, zazdrość, zakazane romanse... Znał taką jedną, co nie miała oporów przed mizdrzeniem się do profesorów. Majka była ładna, w typie Zawistowskiego, ale honoru nie miała za grosz; każdy już teraz wie, że po studiach będzie krucho z pracą, więc może kochana koleżanka postanowiła o sobie zadbać na zaś? Może postanowiła zamienić jednego wykładowcę, zaledwie doktora, i to nawet bez habilitacji, na prawdziwego profesora, w dodatku dyrektora? Doktor

Matejko miałby wtedy motyw jak złoto, a do słabeuszy nie należał. Chyba. Takie ciemne te włosy miał, a Jureczek gdzieś czytał, że faceci z ciemnymi włosami są bardziej bitewni. Znaczą waleczni.

Wypluł pianę z pasty do umywalki i opłukał szczoteczkę.

O kim jeszcze Diana mówiła, że jest podejrzany? Wicedyrektorka, sekretarz... Ci na pewno mają jakiś motyw. W filmach zawsze mieli.

No, niewesołe zadanie ma ta policja. Może im powiedziec o Matejce? Sposobność na pewno miał, w końcu pracował z Borówką i Zawistowskim w jednym pokoju. Mógł mu choćby zatruć herbatę strychniną czy czymś takim.

Jureczek wyprostował się i wtedy przypomniała mu się jakaś scena z minionego weekendu. Chyba z tego ostatniego, ale pewności nie miał.

Ciemno i chłodno, jakieś mrugające światła. Coś nad wodą. Ktoś. Jakaś ciemna sylwetka.

Chyba znajoma. Takie miał wrażenie.

Kto to był?

I kiedy?

Jureczek potrząsnął głową. Umysł znów mu się zamulał. Czas spać. Zgasił światło w łazience i poszedł do łóżka.

Po pięciu minutach spał snem sprawiedliwego.

Rozdział 3

Mirska lubiła trzymać się zasad, także tych wyznaczonych przez samą siebie. Żadnej taryfy ulgowej. Nie miała więc nic przeciwko budzeniu się codziennie o piątej i bieganiu przez bitą godzinę. Niektórzy biegali wieczorami, po pracy, ale ona wołała poranki, wtedy było bardziej rześko niż wieczorem. Lubiała zresztą to stopniowe budzenie się miasta do życia... Poza tym bladym świtem – albo jeszcze przed nim, zależnie od pory roku – było zdecydowanie mniej spacerujących z psami, co dla niej było ważne. Czworonogi wołała omijać szerokim łukiem, bo im za cholerę nie ufała. W bieganiu nie przeszkadzały jej deszcze, śniegi i ciemności zimą ani upał czy ostre słońce latem, nie przeszkadzał jej również brak snu. To był jej zastrzyk endorfin – jedni jedzą czekoladę, inni biegają. Ona robiła jedno i drugie – po takiej przebieżce miała obudzone ciało i dobry humor, a czekoladą zajadała się w ciągu dnia. Do Lasu Bródnowskiego, rundka wokół dawnego grodziska i powrót. A potem szybki prysznic, śniadanie i do pracy. Kiedy pracowała w komendzie na Bielanych, musiała się tylko przebić przez most Grota-Roweckiego na drugą stronę rzeki. Tylko albo aż, bo rano było to jednak wyzwaniem, choć jeszcze nawet nie rozpoczął się od dawna zapowiadany remont mostu. Nie chciała myśleć, ile czasu potrzebowałyby, gdyby rozpoczęły się roboty, a ona wciąż pracowałyby na Żeromskiego, w rejonowej. Do Komendy Stołecznej miała lepszy dojazd, tramwajem, a one na ogół nie stoją w korkach.

Do nowego miejsca pracy dotarła rano, zgodnie z – jak jej się zdawało – dyscypliną pracy. Pokazała przepustkę przy wejściu w pałacu Mostowskich i wbiegła na drugie piętro. Pamiętała, gdzie wczoraj poprowadził ją Budryś, i dziś trafiła bez problemu – nigdy nie miała kłopotów z orientacją w terenie.

W pokoju, ku jej niewypowiedzianej uldze, siedział tylko Marylka.
– Dzień dobry – powiedziała, rozglądając się po pokoju uważniej

niż podczas krótkiej wczorajszej wizyty.

Kilka szaf i regałów, cztery biurka, szafa pancerna obok biurka pod oknem, mała lodówka, na niej czajnik elektryczny, dwa dodatkowe krzesła upchnięte po kątach, jeden stolik z drukarką i faksem, telefon i płaczące się po podłodze kable. Pod sufitem jarzeniówka, na szczęście jej światło miało żółtawy odcień, a nie niebieski, w którym wszyscy wyglądali na terminalnie chorych. Na ścianie wisiał plakat z bohaterami filmu *Avengers*, co wydało się Mirskiej dziwnym wyborem jak na zespół złożony z bądź co bądź dorosłych ludzi. I żadnego kwiatka, nawet paprotki. Krótko mówiąc, w pokoju było po prostu brzydko. Chyba estetyka miejsca pracy nie znajdowała się u kolegów zbyt wysoko na liście priorytetów.

– O, cześć. – Marylka odwrócił się do niej niespiesznie na przeraźliwie piszczącym fotelu, mieszając jednocześnie herbatę w kubku. – Budrysiowi nie udało się zniechęcić cię do pracy u nas?

– Jeszcze nie – odparła. – Ale się stara. Tylko że ja nie poddam się tak łatwo. Które biurko będzie moje? – Wszystkie cztery były tak samo zawalone i żadne nie sprawiało wrażenia, jakby czekało na nowego właściciela.

– Tamto. – Marylka wskazał łyżeczką na mebel pod oknem. – To naprzeciwko obok pancerniaka jest Budrysia. Będziecie sobie w oczy kukać.

– Hmm... Bosko – mruknęła i podeszła do swojego nowego stanowiska pracy. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na oparciu sfatygowanego fotela. Mogło być gorzej. – Będziemy mieć jakąś odprawę czy coś w tym stylu? – zapytała, sprawdzając jednocześnie szuflady biurka. Wszystkie były pełne biurowych śmieci typu sprężynki od długopisów, kartki zapisane po jednej stronie czy ołówki, które zdecydowanie potrzebowały spotkania trzeciego stopnia z temperówką.

– A po co? – zdziwił się niepomiernie Marylka. – Spoko Maroko, jeszcze sobie na spotkaniach odcisniesz część pleców o mniej szlachetnej nazwie. Ale! Z rzeczy ważniejszych, to tam – Marylka machnął ręką za siebie – jest lodówka do wspólnego spożyciu, przywiozłem ją z daczy. Kawkie i hierbatkie fundują nam szefostwo.

Chyba że chcesz jakieś fiu-bździu. Aha, kubek też sobie przynieś.

Mirska bez słowa wydobyła ze swojego plecaka, który dzisiaj wyjątkowo wzięła, czerwony kubek z wizyty w Pradze i podniosła go do góry, pokazując Marylce. Dobrze wiedziała, że własny kubek w miejscu pracy to podstawa. Tak samo jak własny piszący długopis.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Marylka. – Kubek w koty jest Jacka, czarny należy do Marcina. Mój jest tenże. – Uniósł kubek z napisem „supertata”. – Aha, a paczka herbaty malinowej jest Jacka. Bardzo dba o swoje teretorium, więc nie ma możliwości zapożyczenia, jak nie chcesz zyskować w nim wroga. – Roześmiał się, jakby właśnie opowiedział najlepszy na świecie kawał.

– Świetnie. – Mirska skinęła głową i rozparła się w fotelu. – A to cudo to czyje? – Wskazała brodą na superbohaterski plakat na ścianie nad Marylką. Facet w czerwonej zbroi i drugi z młotem. Nie no, spoko.

– A, to o Jankę się rozchodzi.

– Kto to Janka? – Nie zdziwiłaby się, gdyby tak nazywali Budrysia. Skoro komisarz Madyjak był Marylką, to czemu Budryś nie miałby być Janką? Może tu taki zwyczaj mieli, nigdy nie wiadomo.

Marylka wstał z miejsca, podszedł do biurka Budrysia i sięgnął po zdjęcie w ramce, które stało obok monitora.

– Janka to jego dziesięcioletnia córka – wyjaśnił, podając Mirskiej fotografię. – Nie chwalił ci się, że ma córki?

– Jakoś się nie złożyło – odparła, patrząc z ciekawością na zdjęcie. Z fotografii zerknęła na nią dziewczynka z gęstą blond grzywką i dwoma warkoczami. Nosa, na szczęście, nie miała po tatusiu. Oby charakter też trafił się jej lepszy. No, plakat superbohaterów zdecydowanie bardziej pasował do niej niż do glin. Choć do chłopca pasowałby jeszcze bardziej. – Nie nosi obrączki? – zapytała, odstawiając zdjęcie w ramce na miejsce.

– Kochanieńka, nasz Jacenty wspaniały jest na całej linii stereotypowym salcesonem, znaczy się glinowem. – Marylka uśmiechnął się, przysiadając na brzegu biurka Mirskiej. – Zapracowany rozdwojnik z psem, który nie szczeka. Ale ty się

stereotypa nie bój, nie taki on straszny.

Iga już otwierała usta, żeby zapytać o tego psa – bo jeśli czegoś panicznie, ale to panicznie się bała, to właśnie psów – kiedy do pokoju wpadł facet w dżinsach i granatowej bluzie z logo Adidasa na piersi. Włosy miał wygolone i gdyby Mirska spotkała go na ulicy, to bez wahania powiedziała by, że to zwykły blockers, choć z gatunku tych nieco „bardziej”.

– Siema – rzucił, dopadając czwartego biurka i rzucając na blat grubą tekę wypchaną pogniecionymi papierami. – Ja pierdolę, jak dzisiaj znowu będę musiał siedzieć ze Zbyniową nad albumami z mordami przestępców, to przysięgam, że zamienię się z chłopakami z dochodzeniówki i będę procesować niedzielnych piniaczy! – Podszedł do lodówki i pstryknął guzikiem czajnika, który od razu zaczął szumieć. Widać Marylka niedawno gotował wodę i ta nie zdążyła jeszcze ostygnąć.

– Ekhm... Cinek, weź pozwól na chwilkę, nie miałeś wczoraj sposobności. – Marylka chrząknął znacząco. Facet odwrócił się, obrzucił Igę spojrzeniem i podszedł do niej z wyciągniętą ręką.

– Podkomisarz Marcin Wegner – przedstawił się, a Mirska podniosła się z fotela.

O dziwo Wegner był nawet przystojny. Wyglądał na luzaka, ale gdyby tak ubrać go w garnitur, doskonale wpasowałby się choćby i w środowisko pracowników korporacji. Wygodna umiejętność jak na operacyjnego. Wywarł na Mirskiej niezłe wrażenie, więc uścisnęła mocno podaną rękę. Po męsku, żeby przypadkiem nie pomyślał o niej „królowna”.

– No, faktycznie, chłopaki z Bielan mieli rację, na pierwszy rzut oka pasuje do ciebie ksywa „Patyczak”. Niby nic, ale wszystko jest u ciebie takie dziwnie wydłużone. Bielany mówiły co prawda, że teraz trochę ci się przytyło i już nie jesteś taka chuda jak na początku, bo wtedy nawet cycków nie miałaś. Teraz, jak widzę, masz.

Przystojny i obcesowy. Czy ci ludzie nigdy nie słyszeli o czymś takim jak takt? I skąd wiedzieli, że w rejonowej mówili do niej „Patyczak”? Dzwonili tam do nich? Sprawdzali ją, znaczy.

– A na Wegnera to parla się Cinek – wtrącił szybko Marylka, starając się zatrzeć złe wrażenie po słowach kumpla. – Poza tym nie przejmuj się, on ma taki defekt, Bozia poskąpiła mu grzeczności, nawija jak nieboskie stworzenie, ale w gruncie rzeczy to prawidłny chłop jest.

– Przecież jestem uprzejmy. – Wegner wzruszył ramionami. – Nie wiem, o co ci chodzi, niech się dziewczyna przyzwyczaja, że u nas co w sercu, to na języku. A co do ciebie... – Popatrzył na Mirską i przymrużył jedno oko. – Niby ten Patyczak pasuje. Ale ja bym cię jakoś inaczej nazwał.

– Muminek – mruknął Marylka.

Wegner wycelował w niego palcem.

– O! I to jest to! Małe i głupiutkie, nie?

Mirska uśmiechnęła się uprzejmie. Wegner był osobliwy. Cinek. Cinek i Marylka. Fantastyczny ten zespół.

Czajnik bulgotał coraz głośniejsze i w końcu się wyłączył.

– Podobno macie jakieś hiperzabójstwo – rzucił Wegner, podchodząc do aneksu kuchennego, żeby zrobić sobie kawę.

– Czy hiper to nie wiem, ale zabójstwo owszem. – Mirska wzruszyła ramionami i usiadła z powrotem za swoim nowym biurkiem.

Wegner zerknął na nią ciekawie.

– To nie jest twój pierwszy trup, nie? – upewnił się. – Tak też myślałem. A przy sekcji kiedyś byłaś? Bo Jacek cię dzisiaj weźmie na sekcję, więc mam nadzieję, że nie jadłaś nic ciężkiego.

Takie buty. No dobrze, proszę bardzo. Swoją drogą ciekawe, skąd Wegner o tym wie, skoro wczoraj wieczorem ani Mirska, ani Budryś już nie wracali na komendę.

– A Budryś nie ma swojej ksywy? – zapytała, próbując zmienić temat.

– Budryś? – Marylka parsknęła śmiechem. – Złociutka, z takim nazwiskiem to jemu żadna ksywa nie jest potrzebna, daj spokój! On już teraz brzmi tak, jakby się urwał z jakiejś kreskówki.

Fakt. Swoją drogą, chyba rzeczywiście hołdowali tu zasadzie mówienia wszystkiego, co myśleli. To było nawet... odświeżające.

Na razie.

– Choć czasem mówimy na niego Szefu – odezwał się Marcin, siadając za swoim biurkiem z kubkiem kawy. – Czaisz? A tak na marginesie, masz szczęście, Muminek. Ledwo przychodzisz i zamiast zajmować się bandziorami z marszu niepodległości, od razu masz jeden cztery osiem. W dodatku z Jackiem.

– To się fuks nazywa! – Marylka westchnął tęsknie. – Bo widzisz, mamy w zespole kilka spraw zawieszonych, wiesz, badania zajmują trochę czasu, rozgryzamy teraz z Cinkiem takie zastraszonka małe, goście dziani aż miło, ale żaden jeden się nie zna nawzajem z drugim podobnie. Mój pan szanowny to na ten przykład lemoniada straszny, znaczy fajtłapa z niego, postraszyli raz, że mu cyferblat przefasonują, palca utną i on już pantalonami trzęsie...

– Też byś trząśł, jakby cię porwali – wtrącił się Wegner. – Jego gościu został porwany, żona zapłaciła żadaną kwotę, a Mamerta, w sensie tego jego gościa, wypuścili i nastraszyli. Drugiego takiego Zbynia jak wzięli, tak jeszcze nie oddali. No, poza jednym palcem. I my prawie wiemy, kto go porwał, a jak Zbyniowa się zbierze do kupy i pokaże faceta na fotce, to może oficjalnie się zejdziemy z drugą sprawą, czaisz, nie? Tylko ci Mamertowie za bardzo się boją i nie chcą zeznawać – wyjaśnił Mirskiej, gestykulując żywo. – Kilka tygodni się tak z nimi bujemy, nie, Marylka?

– No – potwierdził Madyjak. – A z zabójstwem to zawsze jakoś tak bardziej dynamicznie, nie?

– Zwłaszcza dla trupa – zgodziła się grzecznie Mirska, zastanawiając się, czy powinna zapamiętywać tych Zbyniów i Mamertów, czy może ich sobie odpuścić, przynajmniej na razie.

Madyjak i Wegner spojrzeli po sobie, nagle rozbawieni. Dalszą rozmowę przerwało wkroczenie do pokoju spóźnionego Budrysia. Iga zerknęła na zegarek. Od pół godziny teoretycznie powinni być w robocie. Jak to wczoraj powiedział sierżant Polowy? „Dyscyplina pracy”, zdaje się. I Budryś wciąż nie znalazł czasu, żeby się ogolić. Może to taka moda wśród oficerów wydziału zabójstw?

– Cześć. Sorry za spóźnienie – sapnął komisarz, nie siląc się na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Opadł na fotel przed swoim biurkiem,

a jego wzrok zatrzymał się na siedzącej na wprost niego Mirskiej. Iga podniosła rękę i pokiwała nią na powitanie, starając się uśmiechnąć. Średnio jej to wyszło, zresztą mina Budrysia również nieco zrzędzła na jej widok.

– Jesteś – zauważył odkrywco.

– No. – Skinęła głową. – Owszem.

– No a gdzie nasza złociutka miałyby być, jak nie tu? – zażartował Marylka, próbując rozładować atmosferę, ale Mirska i Budryś spojrzeli na niego z jednakowym wyrzutem. Wegner uśmiechnął się pod nosem; zapowiadało się rozrywkowo.

– Dobra. – Jacek odsunął fotel, który przeraźliwie zapiszczał, i podszedł do czajnika. – Błyskawiczna odprawa na miejscu, bo naczelnik się dzisiaj nie pofatyguje. Na czym stoicie z Mamertami i Zbyniową?

– Na tym samym. – Wegner westchnął. – Mamertowej ani się śni zmieniać zeznania, Zbyniowa wciąż udaje, że nic nie wie. Więc jedziemy zaraz do prokuratury, Tarnowski zostawił dla nas nakaz dla operatora sieci komórkowej, postaramy się ich powiązać inaczej.

– No to jedźcie. – Jacek skinął głową. – Ewentualnie pogadajcie z chłopakami z kryminalnych, może mają jakieś dodatkowe kontakty, które chciałyby wam pomóc w ramach koleżeńskiej przysługi. Za to my, pani nowa i ja, pociągniemy dzisiaj za języki parę archeologicznych trucheł.

Wegner i Marylka wymienili się spojrzeniami, dopili swoje kawy i herbaty, w końcu wyszli z pokoju. Mirska musiała przyznać, że Budryś przynajmniej miał posłuch.

– A! – Wegner się wrócił i zajrzał do pokoju. – Ona od dzisiaj jest Muminkiem – zakomunikował Jackowi i zniknął.

Komisarz uśmiechnął się pod nosem. Wydobył z szafki kubek termiczny, wrzucił do niego torebkę herbaty i zalał ją wrzątkiem.

– Masz protokoły oględzin miejsca i zwłok? – zapytał, odwracając się do Mirskiej i zakręcając pokrywkę na kubku. Skinęła głową. – No to my też możemy się zbierać. Weź klucze, wiszą na tablicy za twoimi plecami. Pokój trzeba zamknąć.

U większości osób śmierć budzi skrajne emocje, co jest zupełnie naturalne. Budryś zdążył się do niej przyzwyczaić. Towarzyszyła mu od lat. Widział zwłoki przed sekcją i po sekcji, widział rodziny w żałobie. Na początku go to ruszało. I choć mogło to brzmieć dziwnie, rozumiał stwierdzenie Stalina – dla każdej rodziny z osobna śmierć była tragedią, dla Budrysia stawała się statystyką. Choć Stalinowi chodziło, zdaje się, o coś innego.

W każdym razie komisarz był na tyle otrzaskany ze sprawami śmierci, że gmach Zakładu Medycyny Sądowej przy Oczki znał prawie jak własną kieszeń. Miał nawet swoje ulubione miejsce postojowe, gdzie stawiał służbową kię.

Na dobrą sprawę nie musiał bywać w tym najbardziej specyficznym zakładzie Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego; jakby się uparł, wyniki sekcji mógłby dostawać od prokuratora. Tyle że dopiero po pewnym czasie. W samych sekcjach uczestniczył jednak rzadko, bo po nich jechało od niego trupem. No i na ogół był w niedoczasie, najczęściej więc wpadał już po, żeby tylko pogadać z medykiem i ewentualnie rzucić jeszcze raz okiem na ciało. Zawsze to co innego, niż dostać suchą opinię na papierku.

Tym razem jednak postanowił zrobić wyjątek i pojawić się na właściwej sekcji. W towarzystwie, rzecz jasna, Mirskiej. Czy też Patyczaka, bo wczoraj Cinek i Marylka zrobili wywiad środowiskowy i zasięgnęli języka o nowej. Patyczak. Nawet adekwatnie. Chuda była. Choć Marcin zmienił jej ksywę na Muminka. No cóż, również adekwatnie. Może nawet bardziej, bo Muminek był łatwowierny, naiwny i entuzjasmował się wszystkim, jakby był na prochach. Jacek doskonale o tym wiedział, w ostatnie wakacje tłukł z Janką *Kometę nad Doliną Muminków* na przemian z *Powodzią w Dolinie Muminków*, młoda miała jakieś katastroficzne zapędy. W każdym razie książkowy troll był gruby i biały, z wielką paszczą, a ich własny nowy troll wręcz przeciwnie – drobny, ciemnowłosy, z haczykowatym, jakby żydowskim nosem. Pasowało idealnie.

Zaparkował samochód, zabrał kubek termiczny z herbatą, wysiadł i nakarmił parkomat drobnymi, po czym umieścił otrzymany kwitek

na desce rozdzielczej wozu. Pstryknął alarmem i wskazał Mirskiej wejście do budynku.

Ciekawe, czy ona zawsze taka milcząca; nie pytała, co ich przywiało na Oczki, żadnych wątpliwości. Dziwne. Spodziewał się raczej nawału pytań. Choć to może tylko cisza przed burzą.

Budryś pociągnął ciężkie drewniane drzwi z kratami, pamiętające chyba jeszcze międzywojnie, kiedy to wybudowano cały gmach, i puścił Mirską przodem. Zaraz za progiem ogarnął ich lekko mdlący odór. Pałacyk od lat czekał na remont, a na razie rządził tu fetor rozkładających się ciał, który próbowano maskować środkami odkażającymi. Kombinacja niezapomniana.

Budryś poprowadził swoją podopieczną w kierunku schodów wiodących do piwnicy. Tam właśnie mieścił się gabinet zabiegowy, jak nazywał prosektorium doktor Lubczyk. Było to dziwne miejsce, w którym nie odbywały się normalne zajęcia ze studentami Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. W ogóle Lubczyk pracował obok uczelni, choć był wpisany w jej struktury – od czasu do czasu prowadził zajęcia w tak zwanej sali audytoryjnej, na górze. Ale jego prosektorium mieściło się w piwnicy, mało kto miał do niego dostęp i podobno zostało wyposażone z funduszy zdobytych w całości przez Lubczyka; uczelnia ani miasto nie dołożyły ani złotówki, dzięki czemu medyk utrzymywał znaczną autonomię. Jak udało mu się znaleźć sponsora, który zechciałby wyłożyć pieniądze na tak osobliwy cel, pozostawało jego słodką tajemnicą.

Stanąwszy przed drzwiami ze zbrojoną szybką, Budryś zapukał głośno i zdecydowanie. Nigdy nie mógł zrozumieć, po co ta szybka była zbrojona. Po pierwsze, kto by się chciał włamywać do prosektorium, a po drugie, okienko było tak małe, że nawet z przecięnięciem ramienia byłby problem.

– Dzień dobry – powiedział głośno, otwierając drzwi i wchodząc do pomieszczenia wyłożonego kafelkami, ze stołem sekcyjnym na samym środku i przeszklonymi szafkami z narzędziami oraz słojami z eksponatami pod ścianami.

Z miniaturowego gabinetu przylegającego do prosektorium wyjrzał doktor Eryk Lubczyk. Medyk był niski i miał szopę ciemnych

włosów, które nieustannie wpadały mu do oczu. Najczęściej nosił również gęsty zarost, wychodząc z założenia, że zmarłym i tak jest wszystko jedno, czy jest gładko ogolony, czy też zarośnięty jak yeti. Uchodził za nieco ekscentrycznego, ale naprawdę dobrego w swoim fachu.

– *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* – powiedział na powitanie lekarz, wynurzając się z gabinetu.

– Co? – Budryś odniósł wrażenie, że przyszedł w złym momencie, Lubczyk najwyraźniej był w trakcie rozmowy z samym sobą.

Doktor uniósł w teatralnym geście jedną rękę i nabrał tchu jak przed skokiem do wody, ale nie zdążył nic powiedzieć.

– „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie” – odezwała się Mirska. – Mówiłam ci, mój ojciec jest profesorem – dorzuciła, widząc dziwną minę Budryśa.

– *Brava*, młoda damo! – wykrzyknął Lubczyk, wywijając wyciągniętą ręką. – *Bravissima!* To z Dantego, napis nad bramą Piekła, pieśń trzecia, wers dziewiąty. – Spojrzał na Budryśa znacznie przytomniej. – Myślałem o umieszczeniu tych słów nad drzwiami. Pasowałoby, nie?

– Niewątpliwie – zgodził się Budryś na wszelki wypadek.

– Tak jak pan wczoraj prosił, panie komisarzu, poprzesuwałem dzisiejsze sekcje i nasz wczorajszy pacjent wskoczy jako pierwszy. – Lubczyk podszedł do stołu sekcyjnego, na którym leżało ciało przykryte białym prześcieradłem. – Choć inni pacjenci na pewno nie będą zadowoleni. Mój Patryk na przykład nie jest – dodał konspiracyjnym szeptem.

– Patryk to jego pomocnik – wyjaśnił Budryś, odwracając się do Igi. – Nie kolejny trup do sekcji.

Mirska zastanawiała się, kiedy komisarz zdążył to załatwić, bo wczorajszy wieczór mieli wyjątkowo pracowity. Owszem, prokurator od razu przy oględzinach wypisał postanowienie o przeprowadzeniu sekcji, potem jednak do późna siedzieli w Instytucie Archeologii, zajęła ich jeszcze niespodziewana wizyta żony denata. Wróciła po tygodniu spędzonym w Londynie, gdzie odwiedzała przyjaciół; nie chciała uwierzyć, że jej mąż nie żyje – nie i nie – więc cudem złapali

Lubczyka telefonicznie w prosektorium i kazali mu czekać. Zawieźli żonę do Zakładu Medycyny Sądowej i zrobili identyfikację; trochę pokątnie, bo okazanie zwłok rodzinie urządzano zwykle po sekcji i, rzecz jasna, nie w nocy. Nikt jednak nic nie mówił o terminie sekcji i Iga była przekonana, że data dopiero zostanie wyznaczona. Budryś dzwonił do Lubczyka w środku nocy czy jak? I z prokuratorem pewnie się jeszcze kontaktował, z Marcinem albo Marylką też rozmawiał... Kiedy ten człowiek to robił? Przypomniało jej się, co powiedział o nim wcześniej Marylka: Budryś to stereotypowy policjant, rozwiedziony pracoholik.

– A swoją drogą, to czemu pan chce brać udział w sekcji? – zainteresował się nagle doktor Lubczyk, opierając się o stół. – Czyżby przestał pan ufać naszemu spóźniałskiemu prokuratorowi?

Budryś obejrzał się, wypatrzył w kącie obrotowy taboret i usiadł na nim.

– Przeciwnie, panie doktorze. – Uśmiechnął się i upił łyk swojej owocowej herbaty. W pomieszczeniu zapachniało malinami. – Ufam mu jak najbardziej. Ale widzi pan, mamy w wydziale nową koleżankę, trzeba ją zapoznać z tajnikami naszej pracy – wyjaśnił z nutką złośliwości. – Muminku, przedstaw się ładnie panu doktorowi.

Zanim Mirska zdążyła cokolwiek powiedzieć, medyk machnął ręką.

– Panie Jacku, przecież ja nie mam amnezji, a pani sierżant była wczoraj na oględzinach – powiedział z łagodnym wyrzutem.

Do prosektorium wszedł prokurator Tarnowski w długim czarnym płaszczu i ze skórzaną teczką w ręku.

– Dzień dobry państwu. – Przywitał się z każdym uściśnięciem dłoni. – Proszę wybaczyć spóźnienie, ale nie mogłem znaleźć miejsca do parkowania. Możemy zaczynać. Ma pani wczorajszy protokół oględzin miejsca? – zwrócił się do Mirskiej. – Doskonale, doskonale... Panie Eryku, a protokół oględzin zwłok podpisany? Ostatnio pan o tym ciągle zapomina. Cudnie. To co, możemy zaczynać?

– Patryku! – zawołał głośno Lubczyk. Z jego gabinetu wyjrzał

ponury osobnik. – Patryku, zaczynamy. Przynieś, proszę, jednorazowe kitle dla państwa, a dla nas fartuchy i rękawiczki. I włącz kamerę, z łaski swojej.

Patryk zniknął na chwilę w pomieszczeniu obok, po czym pojawił się z rzeczami, o które prosił jego szef. Śledczy przywdziali zielonkawe kitle.

– Powinno pójść szybko – poinformował ich Lubczyk, dając znać Patrykowi, żeby odsłonił ciało na stole.

Prokurator bywał widać u Lubczyka częściej, bo dobrze wiedział, gdzie były pochowane taborety. Bez pytania poszedł do gabinetu gospodarza i przyniósł stamtąd siedzisko dla siebie, które ustawił obok Budrysia.

– Co pan pije? Herbatkę? – zainteresował się.

– Malinową – potwierdził Budryś. – Polecam.

– Nie, wie pan, ja bardziej kawowy jestem, choć to na serce niezdrowe. – Tarnowski westchnął i rzucił okiem na Mirską. Stała sztywno wyprostowana, z dziwnie, na boki skierowanymi stopami. Pomyślał, że to chyba mało wygodne.

Na razie nawet nieźle się trzymała, ale prokurator był pewien, że jak tylko medyk sądowy otworzy zwłoki, nowa zareaguje. Wszyscy reagowali, jeśli nie byli z tym otrzaskani, czyli przed upływem kilku do kilkunastu lat udziałów w sekcjach. A ona była zdecydowanie za młoda, żeby zdążyć się przyzwyczaić, bo i gdzie. W rejonowej przecież do zetemesu jej nie ciągnęli. Dopiero na Budrysia musiała trafić, biedna dziewczyna.

– Dziecko, niech pani będzie tak dobra i skoczy na górę do automatu z kawą, jest przy wejściu. – Tarnowski sięgnął do kieszeni po drobne i podał Mirskiej. – Dla siebie też niech pani kupi. Tylko czarną i bez cukru. A dla mnie z mlekiem.

Mirska zrobiła dziwną minę, jakby miała zaprotestować, ale rozmyśliła się i wyszła, zabierając drobne prokuratora.

– Sekcję przeprowadza doktor nauk medycznych Eryk Lubczyk, specjalista medycyny sądowej, w obecności prokuratora Henryka Tarnowskiego. Denat zidentyfikowany przez żonę jako Tadeusz Zawistowski, wiek sześćdziesiąt trzy lata. Zewnętrzne oględziny

zwłok dokonane przez przeprowadzającego sekcję na miejscu znalezienia, dwunastego listopada. Stwierdzono brak historii chorób przewlekłych, brak śladów po ingerencjach chirurgicznych, których zresztą nie odnotowano we wstępnym wywiadzie medycznym – mówił doktor Lubczyk do kamery, krzątając się wokół ciała leżącego na stole. Ponury Patryk stał obok i robił zdjęcia. – Ubrania i rzeczy osobiste zostały zapakowane i opatrzone metryczkami, do przekazania prokuraturze celem zabezpieczenia śladów...

– Czemu pan się uparł z tą sekcją? – zapytał Budryśia prokurator.

– Bo im szybciej, tym lepiej, zawsze łatwiej ująć sprawcę na gorąco. – Budryś wzruszył ramionami i upił łyk herbaty. – Zresztą, jeszcze trafią się nam zatory, więc nie ma co przeciągać sprawy, skoro można coś załatwić prędzej.

– Nie, chodzi mi o tę młodą policjantkę – doprecyzował Tarnowski. – Mógł pan przynajmniej wlać w nią z pół litra czystej. Chce ją pan zrazić? Przecież to prokuratura musi być przy sekcjach, nie wy.

Budryś uśmiechnął się pod nosem.

– Życie to nie je bajka, życie to je walka – odparł oględnie.

– To z jakiegoś czeskiego filmu? – zdziwił się prokurator.

Od strony stołu sekcyjnego dobiegło głośnie chrząknięcie.

– Ja przepraszam, jeśli panom przeszkadzam... – Doktor Lubczyk patrzył na nich znacząco. – Bo jeśli ja z Patrykiem i z panem trupem obu panom wadzimy, na przykład w tym picciu herbatki, to może sobie pójdziemy, co? Wszyscy trzej.

Patryk patrzył na nich ponuro, dzierżąc w dłoni aparat fotograficzny.

– Nie, nie, proszę dalej, panie Eryku – powiedział uspokajająco Tarnowski.

Lekarz sądowy wpatrywał się w nich jeszcze przez chwilę, jakby sprawdzając, czy nie zaczną znowu rozmawiać, po czym skupił się na ciele leżącym na stole.

– To na czym stanęliśmy, Patryku? – uczynił ruch, jakby chciał podrapać się po głowie, ale zreflektował się.

– Na ranach defensywnych – burknął Patryk.

– A tak, racja, dziękuję ci, mój drogi. Rany defensywne od ostrza na przedramionach. I co my tu jeszcze mamy... – Doktor przyjrzał się uważnie dłoniom denata. – Pod paznokciami widoczny materiał, który zaraz zabezpieczymy do dalszych badań, choć wygląda mi to na krew ofiary. No ale w tej kwestii to niech już się laboratorium wypowiada. – Odwrócił się i sięgnął po szpatułkę.

Drzwi do prosektorium Lubczyka otworzyły się i do środka ostrożnie weszła Mirska, niosąc dwa plastikowe kubki z kawą.

– Nie martw się, doktor jeszcze nie zaczął ciąć – powiedział Budryś.

Mirska rzuciła okiem w stronę stołu, przy którym Lubczyk w skupieniu pobierał materiał spod paznokci ofiary. Westchnęła ciężko i od razu tego pożałowała, bo w nos uderzył ją smród środków odkażających i trupa.

Podeszła do prokuratora i podała mu kawę z mlekiem.

– Sobie wzięłaś czarną? – upewnił się Tarnowski, na co Mirska skinęła głową.

Dziękowała w duchu, że nikomu nie przyszło do głowy tutaj jeść, choć spożywanie napojów też było mało higieniczne... Ale zawsze to lepsze niż wsuwanie kanapki z jajkami. Albo z szynką. Wzdrygnęła się lekko, co nie uszło uwadze Budrysia.

– Patryku, zrób zdjęcia tych ran – polecił tymczasem Lubczyk. – Raz, dwa, trzy, pięć... piętnaście... No, ktoś nie szczędził sił, dwadzieścia dwie rany kłute i cięte.

– Trzy – odezwał się Patryk. – Dwadzieścia trzy. Tutaj były dwa uderzenia prawie w to samo miejsce. – Wskazał palcem na blade udo denata.

Lubczyk obszedł stół i przypatrzył się uważnie.

– Masz rację, dwadzieścia trzy rany – potwierdził. – Ale znaczna część z nich wygląda na powierzchowne. Mam nadzieję, że państwo wszyscy przed śniadaniem? – Wyprostował się i popatrzył pytająco na swoich gości. – Jak nie, to świetnie, a jak tak, to proszę tam do zlewu, jak komuś zrobi się niedobrze – poradził, wskazując na chromowany zlewozmywak obok Budrysia. – Patryku, przygotuj piłę, będziemy za chwilę otwierać jamy ciała.

Naprawdę nie musiałam patrzeć, jak Lubczyk upycha mózg do jamy brzusznej! – Mirska była zła. – Po co? Tylko straciliśmy czas!

– Wręcz przeciwnie. – Budryś westchnął. Boże, jaka ta młodzież teraz nieobyta.

– W tym czasie mogliśmy zająć się taśmami z uniwersytetu! – ciągnęła buntowniczo Mirska, przekręcając się nieco na fotelu pasażera, żeby móc patrzeć wprost na komisarza. – Mogliśmy przesłuchiwać, oglądać, robić przeszukanie...

– Słuchaj, weź sobie pomyśl, że skoro cię telepie przy takiej czystej sekcji i przy świeżym denacie, to co dopiero będzie przy topielcu, który spędził w Wiśle kilka dni? Albo przy dziecku, które w wózku zastrzelił konkubent matki? – Budryś nie odrywał wzroku od ulicy przed nimi nawet na chwilę. – Weź się zacznij przyzwyczajać, bo tu nie będziesz biegać za kieszonkowcami.

Musiała przyznać, że jakiś sens w tym jest, ale nie zamierzała mówić tego głośno i dawać mu tej satysfakcji. I tak wystarczy, że w trakcie sekcji nie wytrzymała i zwróciła całą zawartość żołądka do zlewu w kącie prosektorium.

– Słuchaj, a ty znasz tę żonę? – zapytała nagle.

– Jaką żonę? – odparł pytaniem na pytanie, skręcając w Nowy Świat. Ulica była zamknięta dla ruchu kołowego poza autobusami, taksówkami i pojazdami uprzywilejowanymi, więc poruszając się służbowym samochodem, nie musieli przejmować się zakazem.

– No jak to jaką, Zawistowskiego, rzecz jasna. – Mirska łypnęła na Budryś. Wczoraj, kiedy Zawistowska pojawiła się w instytucie, komisarz wyraźnie się spiął; żona zresztą też jakaś dziwna była, choć to akurat zrozumiałe. Ale podczas identyfikacji Budryś cały czas milczał i trzymał się z tyłu. I nie rzucił żadnej złośliwej uwagi.

– Kiedyś się znaliśmy. Dawne dzieje. I uprzedzając twoje pytanie: nie, to nie jest istotne dla śledztwa.

– O nic nie zamierzałam pytać. – Mirska przewróciła oczami. Jasne, że chciała go wypytać, ale najwyżej dowie się inaczej.

– No i dobrze. – Budryś nieco złagodniał. Stanęli na światłach przy skrzyżowaniu ze Świętokrzyską, zamkniętą z powodu budowy drugiej linii metra. Jak ją w końcu otworzą, to plan stołeczny

metra będzie w ultrapolskiej formie krzyża. – Zapamiętaj sobie, że sekcja nigdy nie jest stratą czasu dla gliniarza. Jak cię do niej dopuszczają, to korzystaj, od lekarza medycyny sądowej można się sporo nauczyć, nigdy nie wiesz, kiedy ci się to przyda.

– Dobra, załapałam, sekcje uczą – powiedziała ugodowo.

– I to nie był zmarnowany czas – podkreślił jeszcze raz Budryś, zerkając na światła. Wciąż świeciło się czerwone. – Ja pierdołę, ile można stać... Dobra, podrzucam cię na uniwersytet, a ty dowiadujesz się, kto może wchodzić do budynku, kiedy, kto ma klucze. I weźmiesz nagrania. A potem zorientuj się, kiedy nasz profesor wrócił z tego całego Wrocławia, ale tak na bank.

– Klucze, kamery, wejście, powrót – powtórzyła Mirska. – Załapałam. Tylko że śmierdzą trupem, więc będzie zabawnie. A ty?

– A ja pachnę różami.

– Miałam na myśli: co ty będziesz robił?

– Ja przejadę się do byłej żony denata i sobie z nią porozmawiam. Aktualną żoną zajmiemy się w następnej kolejności.

Światło w końcu zmieniło się na zielone i wjechali na chiński granit, którym wyłożono Krakowskie Przedmieście. Budryś wysadził Mirską przed bramą uniwersytecką i odjechał, skręcając w Królewską. Iga popatrzyła za nim, po czym odwróciła się do bramy. W zasadzie mogłaby odwiedzić ojca w pracy. Wyobraziła sobie jego minę, gdyby stanęła w progu gabinetu, w przerwie między zajęciami ze studentami, woniejąc dziwnymi zapachami z sekcji. Pewnie byłby mocno zaskoczony. Żadne informacje o morderstwie na archeologii nie pojawiły się dotąd w mediach, ale to tylko kwestia czasu. Choć i tak ojciec by się z prasy nie dowiedział, że to ona pracuje przy tej sprawie; na szczęście nikt jeszcze nie upadł na głowę i nie podawano do publicznej wiadomości personaliów policjantów. Do czasu, rzecz jasna, gdy jakiś fanatyk na ministerialnym stołku nie zacznie się upierać przy jawności wszystkich działań. W każdym razie, gdyby odwiedziła ojca w czasie pracy, to coś by musiała powiedzieć, co tu robi i tak dalej... Nie, nie będzie go nachodzić, jemu nigdy nie podobała się jej praca w policji.

Powąchała swoją kurtkę, ale nie umiała powiedzieć, czy naprawdę śmierdzi, czy tylko jej się wydaje. Postanowiła się tym nie przejmować. Przeszła przez bramę i skierowała się w stronę archeologii. W przedsionku, na przeszklonych drzwiach prowadzących do właściwego holu wisiała kartka z pieczętą instytutu i komunikatem „Zajęcia z prof. Zawistowskim odwołane”.

Wydawało się, że wszystko funkcjonowało normalnie. Przed sekretariatem dla studentów stała grupka petentów, ktoś siedział na schodach, przeglądając jakieś rysunki, pod drzwiami niektórych sal czekali na zajęcia studenci. Iga sama nie wiedziała, czego się spodziewała – niekoniecznie od razu zbiorowych płaczów i demonstracji, ale może choć odrobina *dignitas*, na litość boską! Narastało w niej rozdrażnienie. W imieniu dyrektora Zawistowskiego, którego wybitny podobno mózg archeologa wczesnochrześcijańskiego godzinę temu upchnięto w jego własnym brzuchu zgodnie ze zwyczajami medycyny sądowej.

Zamierzała zacząć od portiera, pana Edzia, ale na drzwiach portierni wisiała kartka. „Wracam za pięć minut”. No jasne. „Pięć minut” w języku ludzi z uniwersytetu mogło oznaczać zarówno dokładnie trzysta sekund, jak i dwie i pół godziny. Mirska poczuła, że jej podenerwowanie rośnie, po porannych endorfinach nie było już ani śladu. Należałoby zjeść czekoladę, żeby poprawić sobie humor.

Spojrzała na mrugającą czerwono diodę kamery wycelowanej w korytarz. Trudno, zacznie od nagrań z monitoringu.

Wspięła się szerokimi schodami na pierwsze piętro, do sekretariatu dyrektorskiego, tuż obok zapieczętowanego wczoraj na wszelki wypadek gabinetu Zawistowskiego. Zapukała dwa razy do drzwi sekretariatu i nie czekając na zaproszenie, nacisnęła klamkę.

– Dzień dobry – powiedziała, wchodząc do środka.

W sekretariacie za szerokim biurkiem siedział ponury Kwaśny. Nazwisko wyjątkowo pasowało do jego posiadacza, bo sekretarz faktycznie wyglądał tak, jakby właśnie zjadł całą cytrynę. Naprzeciwko niego siedziała wicedyrektor Parys, co Igę nawet ucieszyło – zdecydowanie wolą załatwiać sprawy służbowe z nią,

a nie ze skrzywionym sekretarzem.

– Dobry jak dobry – warknął Kwaśny.

– Te-o-fil! – Parys spiorunowała go wzrokiem.

– Przecież mówię, że dobry – burknął. Widać w jego pojęciu była to uprzejma wersja powitania.

– Proszę wybaczyć. – Parys wstała. Wyglądała na zmęczoną i zmartwioną. – Wciąż jesteśmy wstrząśnięci zabójstwem Tadeusza. Pani aspirant, tak? – zapytała lekko rozkojarzona. Ciekawe, że tak przeżywała śmierć swojego przełożonego, człowieka, z którym wiązały ją stosunki wyłącznie zawodowe. Chyba że było coś jeszcze.

– Sierżant – poprawiła uprzejmie Mirska, jednocześnie przyglądając się Parys i zastanawiając się, co tak naprawdę łączyło ją z denatem.

– Oczywiście – przytaknęła wicedyrektorka i pociągnęła dyskretnie nosem. – Czy... czy mają państwo jakieś informacje? – W jej oczach błysnęła nadzieja, a Iga pomyślała, że ludzie są zdecydowanie zepsuci tą całą popkulturą, która karmi ich bredniami. Może jeszcze by chcieli, żeby w ciągu kilkunastu godzin nie tylko wykryli, ale i zapuszkowali sprawcę! W środowiskach patologicznych, przy rodzinnych awanturach, to i owszem, ale w kręgach akademickich, których przedstawiciele raczej nie są stałymi gośćmi w kronice kryminalnej, szybkie wykrycie inteligentnego sprawcy wcale nie jest takie proste i oczywiste.

– Ja właśnie w sprawie informacji. Chcę prosić o udostępnienie nam nagrań z kamer, które są zamontowane w budynku. Z ostatnich – policzyła w myślach, ile pełnych dób powinno im wystarczyć – pięciu dni.

– Jakich nagrań? – Parys zmarszczyła brwi.

Mirska rozpięła kurtkę; wyglądało na to, że już naprawiono ogrzewanie, bo w budynku było zdecydowanie cieplej niż wczoraj.

– Nagrań z kamer – powtórzyła. – Monitoring tak zwany.

Kwaśny mruknął coś niezrozumiałego pod nosem, a Parys rzuciła mu niepewne spojrzenie. Iga czekała cierpliwie.

– No... tak, tylko widzi pani... my nie mamy monitoringu – wyjawiała w końcu wicedyrektorka.

– Nie mają państwo. – Mirska pokiwała głową. – Jasne. A te kamery na korytarzach to, przepraszam, co? Atrapy? – zapytała ironicznie. Parys i Kwaśny znów wymienili spojrzenia, a do Igi dotarło, że najwyraźniej trafiła w sedno. – To naprawdę są atrapy?

Kwaśny oparł łokcie na blacie biurka i ukrył twarz w dłoniach. Najwyraźniej nie zamierzał iść koleżance w sukurs.

– Może kawy? – zaproponowała Parys beznadziejnie. Mirska pokręciła głową. – Pani sierżant, to nie jest tak, że my nie dbamy o bezpieczeństwo. – Wicedyrektorka podeszła do policjantki i ściszyła nieco głos, jakby wyjawiała jej wielką tajemnicę: – Jakiś czas temu mieliśmy falę kradzieży kieszonkowych. Ale wie pani, kamery kosztują i potem utrzymanie tego... Zdecydowaliśmy się na atrapy, ale bardzo dobre, z diodami!

Mirska pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Niech mi pani nie mówi, że dzięki atrapom kradzieże ustały – mruknęła.

– A żeby pani wiedziała! – krzyknęła Parys i nieco speszona, ponownie ściszyła głos. – A żeby pani wiedziała – powtórzyła prawie szeptem. – To naprawdę dobre atrapy, wszyscy sądzą, że działają.

A miało być tak prosto – mieli na monitoringu zobaczyć na własne oczy, kiedy i z kim dyrektor Zawistowski po raz ostatni wchodził do instytutu.

– Powiedz jej jeszcze o alarmie – odezwał się Kwaśny.

– O jakim alarmie? – zapytała niespokojnie Mirska. Choć w zasadzie już się domyślała. Co za naiwni ludzie. Wierzyli, że atrapy uchronią ich przed kradzieżami i włamaniami.

Telefon na biurku sekretarza zaczął dzwonić, ale Kwaśny nie zwrócił na niego uwagi.

– Widzi pani... alarm, kamery, to przecież ten sam system... – Parys zaczęła plątać się w zeznaniach.

Telefon wciąż dzwonił.

– Ten sam system, którego nie macie. – Mirska westchnęła. – No jasne. Nie zamierza pan odebrać? – zwróciła się do Kwaśnego, bo dźwięk telefonu zaczynał działać jej na nerwy.

– Nie.

– A klucze? – zapytała z rozdrażnieniem. – Kto nimi dysponuje? Czy też może nie zamykacie budynku, skoro wszyscy myślą, że to istny sezam?

– Pan Edward codziennie zamyka i otwiera, razem ze zmiennikiem zatrudnionym na pół etatu. – Parys odetchnęła, widząc temat kluczy wydał jej się bezpieczniejszy niż wcześniejszy wątek. – Zostawiają klucze na wartowni. A co?

– I jest tylko jeden komplet kluczy?

Telefon wciąż dzwonił, ale ani Parys, ani Kwaśnemu wcale to nie przeszkadzało. Mirskiej za to coraz bardziej. Zrobiła dwa kroki i chwyciła słuchawkę telefonu.

– Nie! – Sekretarz poderwał głowę i chciał złapać telefon, ale było za późno.

– Słucham – rzuciła ostro do słuchawki.

– Teofil, kurwa, co tam u was się dzieje, nie można się do was dodzwonić! – warknął męski głos po drugiej stronie. – A ja muszę wiedzieć, czy ustaliliście w końcu kwotę! Bo jak powyżej dziesięciu baniek, to się walcie, znajdziemy kogoś innego.

– Pan Kwaśny nie może podejść do telefonu, tu policja z Komendy Stołecznej – powiedziała Mirska.

– Proszę mi to dać! – zażądał Kwaśny, ale policjantka odsunęła się razem z telefonem od biurka.

Po drugiej stronie zapadła cisza, a po paru sekundach połączenie zostało przerwane.

Mirska odłożyła słuchawkę.

– To co z tymi kluczami? – zapytała chłodno.

Zabrali trupa, zabezpieczowali dyrektorski gabinet i slajdotekę, na których straszyły teraz papierowe opaski z godłem państwowym, pozostawili numery telefonów do siebie i zniknęli.

I bardzo dobrze.

Im ich mniej, tym lepiej dla archeologii.

Atmosfera w instytucie i tak była napięta, wszyscy bali się odezwać. Jakby siedzieli na beczce prochu, która w każdej chwili

może wybuchnąć.

Prawda jest taka, myślał Tadek Borówka, rysując na suchościeralnej tablicy zabawne obrazki mające ilustrować periodyzację czasu, że wszyscy się boją. Tak naprawdę nikt nie chce, żeby nadeszły jakieś wieści w związku z zabójstwem Zawistowskiego, bo każdy ma swoje za uszami. A kto by chciał, żeby jego grzechy ujrzały światło dzienne. Każdy drżał o własny tyłek.

– Dobra – oznajmił, zamykając flamaster zatyczką i odwracając się do grupy, z którą prowadził ćwiczenia ze wstępu do archeologii.
– Przerysujcie sobie, przepisujcie, co kto woli. Mówiąc o chronologii, musimy rozróżnić datowanie względne i bezwzględne. Względne ustala nam jedynie, czy coś jest starsze, czy młodsze, bez osadzania tego w szerszym kontekście historycznym. Nie posługujemy się tu datami. Datowanie bezwzględne umiejscawia nam znaleziska w konkretnym momencie czasowym... – Postukał flamastrem w rysunek na samej górze tablicy, przedstawiający oś czasu z wypisanymi datami i przekreśloną oś obok. Borówka wychodził z założenia, że ludzie to wrokokowcy, studenci też ludzie i z pewnością lepiej zapamiętają archeologiczne abecadło w postaci obrazkowej. Jak dzieci, które uczą się nowego alfabetu. – Chronologię bezwzględną ustalamy w oparciu o kalendarze historyczne, datowanie fizykochemiczne oraz przyrodnicze. Datowanie fizykochemiczne obejmuje metodę radiowęglową z kalibracją, zwaną powszechnie metodą C14, metodę potasowo-argonową i termoluminescencję. Te trzy sposoby są w zasadzie bardzo podobne i jeśli zrozumiecie zasadę działania jednego, będzie wam łatwiej zapamiętać pozostałe. Wszystko bardzo ładnie wyjaśnione jest u Ławeckiej.

Nie miał ochoty na prowadzenie zajęć. Zwłaszcza ze studentami pierwszego roku. Ale co zrobić, Parys usilnie prosiła, żeby wszystkie zajęcia odbywały się normalnym trybem. Mieli nic nie mówić o wczorajszych wydarzeniach, tylko skupić się na studentach. No to się skupiał, rysując im na tablicy kalendarze i ścięte drzewa ilustrujące dendrochronologię, bo nie potrafił zignorować Parys. Prawdę mówiąc, Irena była dla niego autorytetem i Tadek miał do

niej niewytłumaczalną słabość. No dobrze, „słabość” to było mało powiedziane. Matejko zażartował kiedyś, że Borówka traktował wicedyrektorę jak reper – to znaczy jak swój stały punkt odniesienia. Może brzmiało to dziwnie, ale Tadek musiał przyznać, że coś w tym było. W każdym razie jeśli chodzi o zajęcia, to na ogół sam się dobrze bawił, przedstawiając za pomocą zabawnych szkiców omawiane zagadnienia. Na ogół lubił też mówić o datowaniu. Wyjaśniać różnice między poszczególnymi metodami, wypisywać wzory, tłumaczyć, opatrując wszystko rysunekczkami, które pomagały studentom zapamiętywać detale. Ale nie tym razem. Tym razem zrobił wszystko po łebkach, skrótowo i podręcznikowo. Nawet nie chciało mu się opowiadać anegdotek z wykopalisk.

– Resztę doczytacie sobie sami u Renfrew i Bahna – zakończył, odsyłając studentów do jednego z dwóch podręczników. – Mam nadzieję, że wszystko jest jasne. A przynajmniej będzie, jak sobie poczytacie. – Zaczął zbierać swoje notatki.

– Przepraszam... – Jedna osoba podniosła nieśmiało rękę.

– Słucham – powiedział niechętnie. Naprawdę nie miał teraz ochoty tłumaczyć, czym różnił się *terminus ante quem* od *post quem*! Może na następnych zajęciach. Ale nie dzisiaj.

– Ja mam pytanie, ale niedotyczące zajęć. Mogę? – Dziewczyna odzywała się na zajęciach po raz pierwszy od początku roku, o ile dobrze pamiętał. Skinął głową i oparł się o biurko. Studentka nabrała tchu. – No więc ja bym chciała zapytać, czy to prawda, że nie żyje pan dyrektor.

Po sali przebiegł lekki pomruk.

Borówka pomyślał, że Parys powinna załatwić swoim pracownikom jakieś szkolenia z postępowania w sytuacjach kryzysowych. Skoro mówią, co robić w razie pożaru, ucą pierwszej pomocy i zakładania maski przeciwgazowej, to dlaczego nikt nie szkoli, jak zachowywać się wobec studentów, kiedy wszystko wokół zaczyna drżeć w posadach?

– Prawda – odparł zwięźle.

– No tak. – Dziewczyna trochę się chyba ośmieliła. – To co teraz będzie? Rozwiążą instytut?

Grupa znowu lekko zaszumiała, a Borówka zdał sobie sprawę, że nikt się tymi ludźmi nie zajął. Studia zaczęli niecałe dwa miesiące temu, część z nich nie miała pewnie jeszcze żadnego kolokwium, pierwsza sesja również była przed nimi. Dopiero wkraczali w ten świat i mieli prawo wiedzieć, co się będzie działo. Zwłaszcza że część z nich pewnie za studia płaciła.

– Nic nie rozwiążą, proszę się nie przejmować – powiedział uspokajająco, choć sam wcale nie był tego taki pewny. – Zdarza się, że ktoś umiera, zanim zakończy się jego kadencja, bywa tak z profesorami, rektorami, a nawet głowami państw, jak dobrze wiecie. Dla was nic się nie zmieni. Do czasu wybrania nowego dyrektora obowiązki przejmie pani wicedyrektor. Poza tym wszystko zostaje po staremu, więc za tydzień zamierzam sprawdzić, czy przyswoili państwo odpowiedni rozdział z Renfrew i Bahna. Bo podręcznik Ławeckiej powinniście mieć w małym palcu – zażartował.

Bez entuzjazmu poszedł na górę, do współdzielonego gabinetu. Przy drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Zakład archeologii wczesnochrześcijańskiej – prof. dr hab. Tadeusz Zawistowski, dr Paweł Matejko, mgr Tadeusz Borówka”. Zatrzymał się i przyjrzał jej z uwagą. Instytutu nie zamkną, ale o ich zakładzie jakoś nie pomyślał. Może konkurs rozpiszą i przyjmą kogoś z zewnątrz. A może wcielą ich do innego zakładu. Żeby się utrzymać, muszą mieć minimum trzy osoby na etatach, w tym jedną ze stopniem doktora habilitowanego. A że Tadeusz nie chciał rozszerzać swojego zakładu za życia, to teraz wylądują na lodzie...

Zdecydowanym ruchem wysunął tabliczkę z listewek, po czym nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu. Matejko siedział przy biurku Zawistowskiego i na widok Borówki zerwał się jak oparzony. Tadek obrzucił go uważnym spojrzeniem i zamknął starannie drzwi. Bez słowa ruszył w stronę swojego miejsca, w kącie pod biegnącym na ukos sufitem. Po drodze rzucił na biurko Zawistowskiego tabliczkę. Matejko sięgnął po nią.

– No i koniec zakładu – mruknął.

– Może rozpiszą konkurs. – Borówka wysunął jedną z szuflad

swojego biurka i wrzucił do niej notatki, następnie zamknął i przekręcił klucz. – Ale tabliczkę tak czy siak trzeba będzie zmienić.

– Tak. – Matejko z powrotem przysiadł na miejscu Zawistowskiego, z wywieszką w dłoni. Przejechał palcem po swoim nazwisku. – Miałem zamiar rzucić to w cholere, wiesz? – rzucił niespodziewanie.

– Serio? – Borówka spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Matejko wzruszył ramionami.

– Ten facet był pieprzony – powiedział z głębokim przekonaniem. – To była kwestia czasu. Sam dobrze wiesz. Najchętniej trzymałby mnie na smyczy do końca życia, mojego, rzecz jasna. Prawie już dogadałem się z Muzeum Narodowym, brakuje im specjalistów. Mógłbym spokojnie habilitację u nich dokończyć. Tym bardziej że i tak piszę między innymi z ich obiektów.

– A teraz? – Tadek układał długopisy na biurku w równych odstępach. – Zawistowskiego nie ma. Nadal chcesz odejść? Gdybyś się sprężył z habilitacją, może mógłbyś wskoczyć na szefa zakładu.

Matejko odłożył tabliczkę na blat.

– A teraz nie wiem – odparł. – Nie mam pojęcia, co robić. – Westchnął ciężko i odwrócił się w stronę Borówki. – Słuchaj, ty się dobrze znałeś z Tadeuszem?

Tadek milczał przez chwilę. Czy znał się z Tadeuszem? Wszyscy się z nim znali całkiem nieźle, ale nikt nie chciał się do tego przyznawać. Każdy z innego powodu.

– Był moim promotorem i tyle – powiedział w końcu. – Tak samo jak twoim. Więc znałem go chyba nie gorzej i nie lepiej niż inni. Choć może tak naprawdę nikt z nas go nie znał – dodał nieco refleksyjnie.

– Inni nie. – Matejko pokręcił głową. – Inni nie byli z nim w jednym zakładzie. No, może tylko Teofil znał go lepiej, ale Teofila nie zapytam.

– O co go nie zapytasz? – W Borówce od razu obudziła się ciekawość.

Matejko milczał, najwyraźniej walcząc z samym sobą. W końcu

jednak chęć dowiedzenia się zwyciężyła.

– Czy Tadeusz... Tadeusz nie wspominał ci może czegoś... o mnie?
– zapytał z wahaniem.

Borówka zmrużył lekko oczy.

– O tobie, w sensie o czym?

– No wiesz, takie tam. – Matejko przeczesał palcami ciemne włosy. – Że mnie gdzieś widział. Albo z kimś. Albo w ogóle.

– I tego właśnie szukałeś w jego biurku? Tego „w ogóle”? – Borówka uniósł brwi. – Co ty sobie wyobrażasz, że Tadeusz cię śledził, robił ci zdjęcia, gdy romansowałeś z kolejną studentką, i trzymał je w biurku w pracy, w dodatku w gabinecie, który dzielił z tobą? Chyba cię trochę ponosi. Gliniarze też nie byłiby szczęśliwi, gdyby się dowiedzieli, że próbowałeś grzebać w jego rzeczach – wytknął z cichą satysfakcją. – Albo przeciwnie...

Urażony Matejko wstał z fotela Zawistowskiego.

– Do twojej wiadomości: nie grzebałem, szuflady Tadeusza są zamknięte. Poza tym... porządny się znalazł – rzucił z irytacją. – Nie udawaj, że byłeś taki święty. Bo nie byłeś. Myślisz, że nie wiem, że Tadeusz załatwił ci tu pracę po znajomości? Robisz maślane oczy do Ireny, to się za tobą pewnie wstawiła! Przecież przez tych kilka lat nie napisałeś nawet jednego zdania doktoratu! – Wziął tabliczkę i cisnął ją na biurko Tadka. – Przez trzy lata! Co ty dla niego robiłeś, że tak cię promował, co? Mnie gnoił, a ciebie promował!

Borówka skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na Matejkę bez odrobiny sympatii. Beczka prochu. Naprawdę siedzieli na beczce prochu.

– Każdemu według potrzeb – rzucił. – Może wystarczyło, że miałem tyle rozsądku, żeby nie startować do studentek, które on sobie upatrzył. Co ty, nie wiesz, że ta z trzeciego roku była w jego typie? A od Ireny to się odwal.

Matejko zatrzymał się na środku pokoju i nagle się roześmiał. Atmosfera zelżała, napięcie gdzieś się ulotniło.

– Ale z ciebie sukinsyn, Tadziu – oznajmił z rozbawieniem. – Od razu widać, kto był twoim mistrzem.

Borówka również się uśmiechnął. Kręcąc lekko głową, Matejko

zerknął na zegarek.

– Idę na zajęcia – powiedział, już zupełnie rozpogodzony, biorąc stosik książek ze swojego biurka. – Na razie, sukinsynu – pożegnał się, wychodząc z gabinetu.

Borówka odczekał kilka minut, tak na wszelki wypadek. Matejko bywał zapominalski i czasami wracał po jakieś rzeczy. Tym razem wyglądało jednak na to, że udało mu się zabrać wszystko, czego potrzebował do zajęć z historii wczesnego chrześcijaństwa na terenach Sudanu.

Ciekawe, czego Matejko szukał w rzeczach Zawistowskiego. Zresztą, kto wie, czy Tadeusz faktycznie nie robił sobie listy „kto z kim i kiedy”. To by było nawet w jego stylu. Albo czy nie miał jakichś zdjęć, chociażby pamiątkowych, z wykopalisk, jak wszyscy, ale z haczykiem na nich, z czymś przypadkowym, ale wyjątkowym. Czymś w końcu faktycznie musiał trzymać Matejkę w instytucie. Inaczej Paweł naprawdę już dawno by się wyniósł.

Przekreślił klucz swojej szuflady i wysunął ją. Wyjął notatki ze wstępu do archeologii, które sam tam niedawno upchnął, sięgnął ręką nieco głębiej i wymacał klucze z breloczkiem w kształcie liścia. Wyciągnął je i popatrzył na nie w zamyśleniu, po czym schował je starannie do swojej skórzanej listonoszki.

Źle się działo w państwie archeologicznym, oj, źle. Może czas się wynosić.

Rozdział 4

Mirska wysiadła z samochodu i rozejrzała się z ciekawością. Pracując w komendzie na Bielanach, bywała na strzelnicy przy wylocie mostu Marii Skłodowskiej-Curie, który warszawiacy nazywali po prostu Północnym. Doskonale znała wszystkie stanowiska ZKS-u, zwłaszcza dwudziestopięciometrowe, w końcu korzystała z nich przynajmniej raz w miesiącu w ramach treningów. Nigdy jednak nie była na strzelnicy na Mokotowie. Jakoś nie miała po drodze. Tutaj, obok strzelnicy, znajdował się co prawda kompleks parku wodnego, ale było mało prawdopodobne, żeby komisarz przywiózł ją na basen, na dodatek z samego rana. Powiedziałaby jej chyba, żeby wzięła kostium kąpielowy. Chyba że ktoś się tu utopił. Choć wtedy raczej nie przyjeżdżaliby oni.

– Po co tu jesteśmy? – zapytała, kiedy Budryś wysiadł i trzasnął drzwiami samochodu. – Objawiła nam się jakaś broń palna w śledztwie czy jak? A może to jakaś wcześniejsza sprawa?

– Taaa, kryptonim „Muminek” – mruknął, przytrzymując przed nią drzwi wejściowe. – Słuchaj, bez obrazy, ale naczelnik zwał mi ciebie na głowę; nie wiem, czy wpadłaś mu w oko, czy masz układy na górze, czy faktycznie coś w tobie zobaczył, w każdym razie ja o tobie nic nie wiem. Ani czy potrafisz obchodzić się z klamką, ani czy umiesz sama o siebie zadbać. Nie mogę puszczać cię w teren, nie wiedząc takich rzeczy.

Zerknęła na zegarek, zatrzymując się w pół kroku.

– Jest ledwie po ósmej – powiedziała. – Oni są o tej porze otwarci? Strzelnice na ogół otwierają później.

– Starzy znajomi – odparł i popędził ją gestem, żeby wchodziła.

Nie miała do niego najmniejszych pretensji, na jego miejscu pewnie by sprawdziła nową osobę jeszcze tego samego dnia, w którym by ją poznała, nawet gdyby miało to oznaczać test strzelecki w środku nocy. To było po prostu logiczne. Choć trochę się

zdeenerwowała. Zarówno w szkole policyjnej w Słupsku, jak i podczas rutynowych treningów radziła sobie bardzo dobrze, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że Budryś będzie patrzył jej na ręce i oceniał każdy ruch. A chciała wypaść dobrze, przynajmniej na tyle, żeby nie dać mu pretekstu, pod którym mógłby się jej pozbyć.

Komisarz przywitał się z facetem – chyba tutejszym szefem – wielkim jak szafa, wciśniętym w za małą czarną koszulkę, która przy każdym ruchu potężnych ramion niemal trzeszczała w szwach. Budryś wyglądał przy nim jak zapałka, a co dopiero ona.

Pobrali okulary ochronne i słuchawki oraz walthera P99 dla Mirskiej. Budryś miał ze sobą służbową broń, więc dla siebie poprosił tylko o naboje i dodatkowy magazynek.

– Dobra, to na rozgrzewkę – powiedział, kiedy stanęli na krytym torze przy swoich stanowiskach, oboje w okularach i słuchawkach. – Dobywasz, unieszkodliwiasz, wymiana magazynka, eliminujesz. – Włożył do dwóch magazynków po pięć naboje i położył je przed Mirską. – Zobaczymy, za ile trafisz – dodał, tak samo przygotowując magazynki dla siebie. – Potem zrobimy cel ruchomy i osłony.

Bez słowa stanęła za swoim stanowiskiem, wpięła magazynek, włożyła pistolet w kaburę, wytarła lekko spocone dłonie o dżinsy i starała się rozluźnić mięśnie. Strzelanie w gruncie rzeczy nie było złe. Jesteś w tym niezła, trzeba być tylko skupionym i szybkim, powtarzała w myślach. Mogła być skupiona i szybka, proszę bardzo. Nawet treningi w warunkach stresu wychodziły jej wcale niezłe. Tyle że przez pięć lat służby strzelała w zasadzie jedynie na strzelnicy i raz tylko zdarzyło jej się celować do pędzącego samochodu, żeby go zatrzymać. Nie wyszło, trafienie w oponę odjeżdżającego auta takie proste jednak nie było, ale kierowca i tak wpierniczył się wtedy w latarnię, bo radiowóz wyskoczył na niego ulicę dalej. W sumie więc był to jakiś sukces.

Na dany znak sięgnęła po broń, przeładowała, wystrzeliła pięć razy, celując w ramiona czarnego „Francuza”, przepięła magazynek, uniosła pistolet ponownie i wpakowała pięć kul w tarczę, tym razem w czarną głowę. Opuściła broń i zerknęła w bok. Budryś właśnie spokojnie uzupełniał swój magazynek o kolejne naboje. A wydawało

się jej, że to ona działała błyskawicznie!

– Nieźle – powiedział, kiedy podjechały do nich obie tarcze. – Tylko za bardzo się spinasz. Puściłaś bokiem dwie kule.

Popatrzyła z niedowierzaniem na jego tarczę, na której dziesięć dziur po nabojach było jak od linijki. Miał chyba miarkę w oku. Jej dwa strzały, które według niego puściła bokiem, były na granicy czarnej sylwetki – celowała w ramiona.

– To co teraz chcesz, Jacek? – zapytał potężny właściciel strzelnicy zza ich pleców. – Ruch, osłony, kilka celów? A może skoczycie na WAT, dam znać chłopakom, co? Z długiej lufy pod chmurką sobie trochę ponapierdalacie – zaproponował.

Budryś płynnym ruchem założył magazynek w swoim waltherze i przeładował.

– Długa broń dzisiaj odpada, ale krótką jeszcze zrobimy. Mogą być osłony teraz – zdecydował łaskawie.

Patrząc, jak bykowały instruktor bez najmniejszego słowa sprzeciwu dysponował przygotowanie kolejnych torów, Mirska zaczynała rozumieć, dlaczego mówili na Budrysia Szefu. Miał posłuch i wyglądało na to, że nieźle walił z kopyta.

– Nie ma to jak zapach prochu na dobry początek dnia – powiedział tymczasem Budryś z zadowoleniem w głosie. Najwyraźniej lubił strzelać. Tak jak ona lubiła rano biegać. – Zobaczymy, jak ci teraz pójdzie; jak dobrze, to dostaniesz swoją broń z szafy pancerniej. A wieczorem zobaczymy, jak ci idzie na treningu wysiłkowym. Cieszysz się, no nie, Muminku?

Jasne, pomyślała Mirska ponuro. Kto by się nie cieszył, mając w perspektywie wieczór w towarzystwie szefa?

Kto? – zapytał krótko dziekan Wydziału Historycznego, profesor Napiórkowski.

Parys i Kwaśny spojrzeli po sobie.

– Tego jeszcze nie wiadomo... – odparł ostrożnie Teofil.

Wizyta u wyższych władz uczelni w związku z ostatnimi wydarzeniami na archeologii została im oszczędzona – rektor i jego zastępcy na wszelki wypadek woleli zachować dystans wobec osób,

którym prokuratura mogła wkrótce postawić zarzuty. Sprawę należało jednak przeświecić, więc Kwaśny i Parys zostali wezwani przed oblicze dziekana. Żadne z nich jakoś nie cieszyło się z tego powodu, choć sam Napiórkowski był całkiem sympatycznym facetem. Średniego wzrostu, o białych jak mleko włosach i twarzy gęsto pokrytej zmarszczkami, budził głęboki respekt i od razu przywodził na myśl naukowca. Był przy tym osobą niezwykle stanowczą i zdecydowaną. Kwaśny miał do niego ogromny szacunek, przede wszystkim za iście pruski dryl panujący w wydziałowej administracji, dziekan był bowiem archiwistą, ze specjalizacją z historii archiwów i ich zasobów.

Napiórkowski nie żywił żadnych głębszych uczuć w stosunku do dwójki ludzi, którzy siedzieli w jego gabinecie. Jeśli już, to budzili w nim irytację. Kiedy zabójstwo wyszło na jaw, dziekan był właśnie w Toruniu, prowadząc gościnne seminarium z archiwistyki. Sam rektor zaczął wydzwaniać i ściągać go do Warszawy. Kiedy wrócił, od razu wpadł w szpony tego prasowego sępa Małomiejskiego. Dziekan nie przepadał za rzecznikiem, ale musiał facetowi przyznać, że faktycznie potrafił trzymać dziennikarzy w ryzach. Aż do dzisiaj, kiedy w porannej prasie pojawiła się notatka o zabójstwie. Napiórkowski odbył już drugą rozmowę z rektorem, przy czym żadna nie należała do przyjemnych. Rektor wychodził z założenia, że dziekan musiał, po prostu musiał wiedzieć o wszystkim, co działo się u niego na wydziale. Tymczasem morderca Zawistowskiego nie był na tyle uprzejmy, żeby uprzedzić Napiórkowskiego o swoich zamiarach, i zaskoczony dziekan wiedział zapewne mniej niż rektor.

– Głęboko wierzę, że nie zrobiło tego żadne z was. – Napiórkowski popatrzył na gości mało przyjaźnie.

Parys i Kwaśny stali się niemal niewidoczni na fotelach stojących przed eleganckim biurkiem dziekana. Z ich miejsc przez wielkie okna rozciągał się piękny widok na uniwersytecki kampus.

– Nie – zaprzeczyli jednym głosem. Chyba szczerze. Ale z drugiej strony wszyscy zawsze tak samo zapewniali, że w ich jednostkach wszystko jest w najlepszym porządku. Napiórkowski nie był pewny, czy powinien im ufać. Ba, może w ogóle nie powinien już ufać

nikomu.

– I ja mam w to uwierzyć. – Pokręcił głową. W sumie wolałby, żeby się od razu przyznali, któreś z nich czy też oboje, wszystko jedno. Przynajmniej wiedziałby dokładnie, na czym stoi i co ma robić. Jak większość normalnych ludzi, w pierwszej chwili pomyślał, że to pewnie jakiś złodziej zabił Tadeusza, który przyłapał go na gorącym uczynku. Następnie nabrał przekonania, że nawet jeśli nie zabił złodziej, to ten okropny czyn na pewno nie miał nic wspólnego z nikiem z jego szacownego wydziału. Ale potem przypomniał sobie, jakiego pokroju osobą był Tadeusz, i musiał zmienić zdanie. – Dlaczego ktoś zabił Zawistowskiego?

Pytając, nie oczekiwał, że wicedyrektorka albo sekretarz podadzą mu motyw, jakim kierował się zbrodniarz. Podczas dzisiejszego spotkania u rektora rozmawiał jednak z prokuratorem prowadzącym sprawę, którego również zaproszono. Tarnowski był bardzo uprzejmy, zasugerował jednak wątek zawodowy w morderstwie i wyraźnie dał do zrozumienia, że odgórny nacisk mógłby się przydać, żeby wspomóc właściwe władze w śledztwie. Napiórkowski natychmiast zdenerwował się myślą, że na archeologii odchodziły jakieś przekręty, i obiecał się zorientować. Zwłaszcza że to w złym świetle stawiało także jego – co to za dziekan, pod którego nosem wyprawiają się takie rzeczy.

Parys i Kwaśny milczeli, najwyraźniej niezbyt skorzy do pomocy. Napiórkowski postukał palcem w blat.

– To jest ten moment, w którym powinniście mi wyznać, czy były u was jakieś machlojki, o których powinienem wiedzieć – powiedział. Na pewno były. Na radach wydziału zarzekali się zawsze, że wszystko gra, papiery niby też były w porządku, Napiórkowski przeglądał je wczoraj, ale morderstwo Zawistowskiego zmieniało wszystko. Bo przecież ludzie nie mordują się bez powodu.

Parys i Kwaśny wymienili się spojrzeniami. Od trzech dni, to znaczy od poniedziałku, kiedy znaleźli ciało Tadeusza i kiedy po raz pierwszy rozmawiali z prokuratorem, próbowali dojść do porozumienia, tylko we dwoje. Zdawali sobie sprawę, że

Zawistowski sprawował władzę według sprawdzonej zasady „dziel i rządź” – w końcu był archeologiem – i dlatego nikt poza nim nie miał wglądu we wszystkie sprawy. To zresztą żadna rewelacja, wszyscy o tym wiedzieli. Jednak w ciągu tych trzech dni ich rozmowy zawsze zbaczały na inne tematy, kwestie nieprawidłowości oboje omijali, każde z innych powodów. Dlatego też odpowiedź na pytanie dziekana o machlojki wydała im się niemożliwa – Zawistowski był dyrektorem jednego z największych instytutów humanistycznych na uniwersytecie, przekręty i niedomówienia były rzeczą oczywistą.

– Chciałam zaznaczyć, że jestem jedynie zastępcą Tadeusza – odezwała się w końcu Parys, podjąwszy najwyraźniej męską decyzję. – To znaczy... byłam. Tadeusz rzadko pytał mnie o opinię w kwestii kierowania instytutem, wszystkie sprawy administracyjne załatwiał z Teofilem. Ja wzięłam na siebie sprawy studenckie.

Kwaśny milczał ponuro. Zdawał sobie sprawę, że do tego musiało dojść, że on pójdzie na pierwszy ogień. Wydawało mu się jednak, że Parys jest odważniejsza. A może bardziej lojalna, pytanie tylko w stosunku do kogo – do niego, do Tadeusza czy do instytutu. Albo jest sprytniejsza, niż myślał; ciekawe, ile tak naprawdę wie i o czym...

– Panie Kwaśny? – Dziekan popatrzył wyczekująco na Teofila. – Czy jest coś, o czym chciałby mi pan powiedzieć? Coś, o czym powinienem wiedzieć, zanim dowie się o tym policja?

Kwaśny pomyślał, że dziekan powinien inaczej formułować myśli. Choć z drugiej strony może robił to rozmyślnie, żeby móc później twierdzić, że wszystko było winą tylko i wyłącznie ich, tych złych archeologów. Że on przecież pytał! A jest rzeczą oczywistą, że dziekan nie powinien nic wiedzieć o przekrętach, skoro sam w nich nie siedział.

– Nie – odparł. Na tak zadane pytanie zwyczajnie nie mogło być innej odpowiedzi.

Napiórkowski przyglądał się im przez chwilę.

– Nie wiem, czy państwo zdajecie sobie sprawę z sytuacji waszej jednostki – powiedział w końcu. – Mam wrażenie, że nie do końca.

Kwaśny poczuł niepokój.

– W państwa instytucie został zamordowany człowiek – dziekan splótł dłonie – szanowany profesor, w dodatku dyrektor! W budynku, w którym powinna kwitnąć kultura i nauka, dokonano ohydnej zbrodni. Co więcej, policja i prokuratura są zdania, że tego straszliwego czynu dokonał ktoś ze środowiska... z *waszego* środowiska – podkreślił.

Zaczyna się, przemknęło przez głowę Teofilowi, dzielenie świata na „nas” i „ich”, odcinanie się na wszelki wypadek, stawianie granic. Bo przecież wszyscy są niewinni, tylko ci archeolodzy są tacy popieprzeni.

– Nikt nam tego nie powiedział – mruknęła Parys.

– Bo, pani profesor – dziekan posłał jej znaczące spojrzenie – ani policja, ani prokuratura nie dzielą się swoimi spostrzeżeniami z podejrzanymi. Jednak ze względu na dobro naszej uczelni uznali za stosowne poinformować o tym fakcie władze uniwersyteckie.

Napiórkowski trochę mijał się z prawdą. Podczas spotkania u rektora prokurator Tarnowski niczego takiego nie powiedział. Zasugerował jedynie, że sprawdzają wątki służbowe, o konkretnych podejrzeniach nie wspominał. Dziekan jednak dopowiedział sobie pewne rzeczy. Zwłaszcza że ta menda Małomiejski mówił o niżu demograficznym i kryzysie ekonomicznym, który uderza szczególnie w humanistów. Był to przytyk do sytuacji finansowej całego wydziału, który faktycznie ledwo wychodził nad kreskę. Niż demograficzny oznaczał mniej studentów na studiach płatnych, a co się z tym wiązało – niższe dochody, więcej wydatków na kadre... Dotacje algorytmiczne paradoksalnie nie były same w sobie kłopotem, należało jednak włożyć znacznie więcej energii w odciąganie potencjalnych studentów od innych uczelni i nakłanianie ich do podjęcia nauki tu. A z atrakcyjnym przedstawianiem samych siebie humaniści rzeczywiście mieli trochę problemów. W zasadzie mieli same problemy. A jeszcze większe mieli z pozyskaniem pieniędzy na badania. No naprawdę, same kłopoty!

– Doprawdy nie rozumiem, skąd wniosek, że to był ktoś z naszego

środowiska – upierała się Parys.

– Niech pani zapyta prokuraturę – poradził jej sucho Napiórkowski. – Wolałbym, oczywiście, żeby to był ktoś z zewnątrz, ale moja nadzieja nie ma tu najmniejszego znaczenia. Chcę wam za to zadać jedno pytanie, a mianowicie: czy instytutowi uda się wyjść z kryzysu bez Tadeusza?

– Z jakiego kryzysu? – Parys zmarszczyła brwi.

– Widzę, że Zawistowski faktycznie ściśle trzymał się podziału obowiązków – zauważył dziekan nieco zgryźliwie i spojrzął na Kwaśnego. – Panie Teofilu, czy z panem Tadeusz także się niczym nie dzielił?

Kwaśny rozważał przez chwilę swoje opcje.

– Dzielił się – przyznał w końcu. – Poniekąd – zastrzegł jednak szybko. Nie mógł założyć z całą pewnością, że Parys nie wiedziała o tym wszystkim, może była genialną aktorką. Niczego nie mógł wykluczyć.

– Poniekąd... – Dziekan pokiwał głową. – To ja pani wyjaśnię, pani profesor, bo pan sekretarz nie jest do tego zbyt skory, jak widzę. – Napiórkowski popatrzył na Parys z odrobiną współczucia. Ale tylko odrobiną. – Wasz instytut jest deficytowy. Z roku na rok macie coraz mniej studentów, zwłaszcza zagranicznych, liczba pracowników pozostaje na tym samym poziomie, w dodatku u was jest najmniej profesorów mianowanych i habilitacji. Macie rozbudowaną siatkę praktyk studenckich, za które płaci wydział, oraz badań, których rezultaty nie są przekładalne na finanse. Mało u was międzynarodowych projektów. Wasz dyrektor został zamordowany w budynku instytutu i jeśli rzeczywiście zabił go ktoś od was i to się rozniesie, czeka was znaczny spadek liczby kandydatów. Nie generujecie dochodów dla wydziału, wasze badania własne nie pokrywają się z grantami. W ostatnim rozdaniu na siedem złożonych przez was wniosków grantowych komisje rozpatrzyły pozytywnie zaledwie jeden, rozumie pani? W dodatku znacznie okrojony finansowo. A to oznacza niskie koszty obsługi dla uniwersytetu, który raczej na tym nie zarobi. Kolejki chętnych na oferowane przez was usługi też jakoś nie widzę.

– Przecież archeologia to nie rurki z kremem! – oburzyła się Parys.
– Owszem, nie jesteśmy najtańsi, ale relatywnie rzecz biorąc...
– Relatywnie to grozi wam nawet likwidacja, pani profesor – przerwał jej Napiórkowski.

Oczy Parys otworzyły się szeroko. Kwaśny milczał ponuro.

– Likwidacja...? – wydukała zaskoczona Parys. Nie przypominała sobie drugiej podobnej sytuacji w historii uniwersytetu. Czy ktoś kiedyś zamknął cały instytut? Zrobiło jej się zimno.

– To jest oczywiście najgorszy scenariusz. – Napiórkowski westchnął. – Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzicie finansowo w najbliższym, powiedzmy, półroczu. I rzecz jasna od tego, czy nie wyjdą na jaw jakieś wasze ciemne sprawy... – Spojrzał znacząco.

– Nie może być aż tak źle. – Parys dość szybko odzyskała optymizm. Przynajmniej w pewnym stopniu. – Mamy przecież podpisane umowy inwestorskie z firmami, mamy zaplanowany nadzór archeologiczny. Wyjdziemy z impasu.

Teofil myślał intensywnie. Mógłby, owszem, opowiedzieć dziekanowi o ciemnych sprawkach instytutu. Wtedy jednak poszliby na dno jak nic, a zwłaszcza on. Jako jedna z niewielu osób zdawał sobie sprawę z rozmiarów bajzlu, na jaki skazała ich nagła śmierć Tadeusza. Wolał jednak milczeć najdłużej jak się da. Zwłaszcza że miał swój własny kłopot, który absorbował go od poniedziałku. Zawistowski bowiem był nieufny. Jak cholera. Pieprzone *divide et impera* wziął sobie za bardzo do serca, może to były nawet początki paranoi, diabli go wiedzą. Dość powiedzieć, że naprawdę chorobliwie dbał o to, żeby rozdzielać informacje, jakie przekazywał ludziom. Co innego załatwiał z Teofilem, co innego z Ireną, co innego z chłopakami ze swojego zakładu. Żonie natomiast w ogóle nie mówił nic na temat spraw służbowych, to akurat Kwaśny dobrze wiedział.

Problem polegał na tym, że w działania, jakie podejmował Zawistowski przy pomocy Teofila oraz jednej absolutnie zaufanej pani z wydziałowej sekcji finansowej, z którą prowadzili kreatywną – bardzo kreatywną – księgowość, była zaangażowana jeszcze jedna

osoba. Gdyby Kwaśny wiedział kto, wówczas może mógłby opanować ten bajzel bez Tadeusza, dopiąłby wszystko we własnym zakresie, dogadał. Gdyby tylko wiedział. Ale, kurwa, nie wiedział, mógł się tylko domyślać. Równie dobrze mógłby szukać pomocy u wróżki.

Jeśli ten gliniarz o śmiesznym nazwisku i jego niepozorna partnerka jakimś cudem dogrzebią się do ich średnio legalnej działalności, to on, Teofil, będzie miał przesrane.

Po prostu przesrane.

A do tego nie mógł dopuścić.

Budryś doskonale wiedział, że tak będzie. Że zanim na dobre wgrzyzą się w jedną sprawę, zwali się na głowę jakaś inna. Ktoś zaszantażuje, porwie, zastraszy, wymusi, komuś wpadnie do głowy durny pomysł żartu o podłożonej bombie. I będzie po spokojnym śledztwie.

No i było.

Siedząc w czwartkowy wieczór w ich pokoju na komendzie, Jacek pomyślał, że może Marylka miał rację z tymi przesadami. Rozsypana sól, drabina, czarny kot, zakonnica, zła godzina, złe oko.

Ledwo wyszli wczoraj ze strzelnicy, na której Muminek nawet, nawet sobie poradziła, od razu dostali cynk o nielegalnej broni w melinie na Woli u jednego typa, za którym komisarz chodził już dłuższy czas, ale dotąd nie miał na czym go przyłapać. Teraz w końcu pojawiła się szansa, więc sprawa uniwersyteckiego zabójstwa zeszła chwilowo na dalszy plan. Trup był trupem i już nic nie mogło mu pomóc, a z nielegalnej broni ludzie dopiero mieli zginać. Sprawdzian z WF-u został przełożony, wyszli z roboty o drugiej nad ranem, przed ósmą byli z powrotem. A to było dobre dwanaście godzin temu.

– Chyba jest koło zera – oznajmiła Mirska, wkraczając do pokoju z plastikową torbą, z której wydobywał się charakterystyczny zapach fastfoodowego kurczaka.

– Być może. – Warunki pogodowe zupełnie Jacka nie obchodziły, przynajmniej póki siedział w ciepłej komendzie. Znacznie bardziej

interesował go kubełek pełen jedzenia, który Iga postawiła na pustym biurku Wegnera. Pociągnął nosem, ale fast food zawsze pachnie tak samo, niezależnie od rodzaju. – Co wzięłaś? – zapytał, przysuwając się na piszczącym fotelu i dobierając się do kubełka.

– Zestaw klasyczny – odparła, zrzucając kurtkę.

Przysunęła fotel i także sięgnęła do kubełka. Ze wszystkich knajp w centrum, oferujących nie tylko jedzenie na wynos, ale i dostawę, musieli wybrać oczywiście tę po drugiej stronie ulicy. Po pierwsze, była blisko, a oni byli głodni. Po drugie, była długo otwarta, co poza sezonem turystycznym wcale nie było regułą. Po trzecie, robiła żarcie kaloryczne, a kalorie dodatnio wpływały na procesy myślowe. Przynajmniej dopóki nie przychodził ból żołądka. Policjanci ze stołecznej często przemykali korytarzami z charakterystycznymi biało-czerwonymi kubełkami z woniejącym kurczakiem albo z pudełkami z logo sieciowej pizzerii, która ulokowała się tuż obok fast foodu. Szybko, powiedzmy, że tanio, zapychająco.

W zasadzie ani Budrysia, ani Mirskiej nie powinno już być w pracy, ale byli – otoczeni notatkami, zdjęciami i protokołami usiłowali dojść do jakichś ustaleń w sprawie morderstwa na uczelni. W kwestii nielegalnej broni mieli akurat chwilową przerwę, klient rozważał swoją sytuację na dołku i Budryś był niemal pewien, że jeszcze jedna, dwie sesje przesłuchań i będzie miał nazwisko kupca w kieszeni. Na razie korzystali więc z małego okienka i sprawdzali archeologów.

Nie zjedli nawet połowy z dwudziestu kawałków kurczaka, kiedy drzwi do pokoju uchyliły się i do środka zajrzał Różny.

– Jacek, na litość boską, oczyśćcie te drzwi, bo nie widać, czy u was ktoś jest, czy nie – powiedział z lekką irytacją.

Budryś wzruszył tylko ramionami i oblizał palce.

– Jasne – mruknął bez przekonania. To był już stały punkt większości ich rozmów.

– Co tak siedzicie po nocy? – zapytał naczelnik, wchodząc do pokoju. – A to jest bardzo niezdrowe – dorzucił, zaglądając do kubełka, i sięgnął po panierowane skrzydełko. – Bardzo, bardzo

niezdrowe.

– Morderstwo na archeologii. – Budryś machnął frytką w kierunku suchościeralnej tablicy, na której rozpisali wersję zagadnieniową. – Jeszcze świeże, więc warto trochę posiedzieć. A ty co, boisz się, że na obiadkach żony przytyjesz, i dlatego jeszcze nie w domku? – zapytał złośliwie.

Różny udał, że nie dosłyszał, bez ceregieli przysunął sobie pusty fotel Wegnera i usiadł, wpatrując się uważnie w tablicę, a jego ręka odruchowo powędrowała do kubelka po kolejny kawałek bardzo, bardzo niezdrowego.

– Dobra, zrobimy sobie dodatkową odprawę, poprowadźcie mnie, bo zapomniałem, co napisałeś w raporcie – powiedział z rozbijającą szczerością. – Co mamy? Tylko ze szczegółami, a nie ogólnie! Co powiedział lekarz sądowy? Kto w ogóle przeprowadzał sekcję? Tak poza tym napiłbym się pod tego kurczaka.

– Pod kurczaka to kawę co najwyżej możesz dostać. Jak nie pasi, to idź do obyczajówki. Nas za procenty zawsze strasznie goniłeś. A sekcję robił Lubczyk, jak zwykle. – Budryś dolał do czajnika wody z dużej butelki po coli, pstryknął guzikiem i przygotował trzy kubki. – Nie znalazł co prawda nic ciekawego pod paznokciami, ale powiedział, że nasz denat miał wątrobę w opłakanym stanie.

– Archeolodzy chyba piją. – Różny znowu udał, że nie słyszy uwag Budrysia, pokiwał głową i ugryzł kurczaka jak gdyby nigdy nic.

Mirska przyglądała mu zaskoczona; pierwszy raz widziała, żeby szef wypytywał o śledztwo poza zwyczajową odprawą, po godzinach pracy. Dziwne towarzystwo. Komisarz pracuś, nadaktywny prokurator, angażujący się przełożony. Kto by pomyślał.

– Pewnie, że piją, ale ten w szczególności – odparł Budryś. – Rasowy alkoholik niemalże. Może i kulturalny, w sensie naukowy, ale jednak alkoholik. Lubczyk mówi, że zabójca niepotrzebnie się pospieszył, bo jeszcze trochę i facet sam by się przekreślił.

– No dobrze. – Naczelnik rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, w co mógłby wytrzeć tłuste palce, żeby nie upaprać sobie munduru; tłuszcz kiepsko się spierał. Iga sięgnęła w stronę swojego biurka po

pudełko chusteczek i bez słowa podała je szefowi. – A tak właściwie, to jak zmarł?

– Przyczyną wyjściową była rana kłuta klatki piersiowej. – Mirska oblizwała dwa palce i przerzuciła kilka kartek notesu. – Przyczyna wtórna to wstrząs hipowolemiczny, przyczyna bezpośrednia to zatrzymanie krążenia – odczytała i zerknęła na szefa. – Tak mówił doktor Lubczyk.

– Ale czekaj, to jeszcze nic – mruknął Budryś i zalał wrzątkiem trzy kawy, nawet nie pytając, czy któreś z nich nie wolałoby czegoś innego. – Facet był cały podziabany. Miał dwadzieścia dwie rany kłute i cięte, wyobrażasz to sobie?

– Dwadzieścia trzy – poprawiła Mirska i przesunęła naczelnikowi duże zdjęcie ogólne z sekcji.

– Jezu... – Różny przyjrzał się fotografii z niesmakiem. – Tak przy jedzeniu...

– Schowaj to, bo pan naczelnik widać dawno w terenie nie był i zapomniał, jak jedzie trup; jeszcze nam tu zwróci naszą kolację – mruknął Budryś ze źle ukrywaną satysfakcją w głosie. Zamieszał energicznie tą samą łyżeczką we wszystkich trzech kubkach po kolei. Mirska posłusznie schowała fotografię, a Różny powstrzymał westchnienie.

– Daj no to zdjęcie jeszcze raz – zażądał. – I to wszystko jedna ręka?

– Lubczyk uważa, że raczej tak, wszystkie rany są do siebie podobne, zadane z podobną siłą i w ogóle. – Komisarz postawił przed szefem kubek z kawą. – Ale najlepsze jest to, że z tych dwudziestu trzech ran w zasadzie tylko trzy były śmiertelne. Reszta to pic na wodę, pewnie po to, żeby nas zmylić.

– Czyli mamy klasyczny przypadek overkillingu – podsumował Różny z mądrą miną, przeglądając pozostałe zdjęcia. – Ktoś go musiał bardzo nie lubić.

– Na to wygląda. – Budryś, siadając z powrotem na swoim miejscu, podał czerwony kubek Mirskiej. – Obrona oczywiście pójdzie w afekt. Będą się zasłaniać emocjami i niepoczytalnością.

– Nie dziel skóry na niedźwiedziu – upomniał go podinspektor. –

Najpierw musicie tego kogoś w ogóle złapać, a póki co to chyba daleka droga. Inaczej byście tu nie siedzieli.

Mirska spróbowała kawy i podniosła się. Budryś nie słodził i oczywiście notorycznie zapominał, że reszta świata mogła chcieć używać cukru.

– A ja mam wrażenie, że gdzieś już o czymś takim słyszałam – odezwała się, sięgając po filiżankę, której używali jako cukiernicy. Szybko przyswoiła sobie zwyczaje panujące w zespole. – Dużo ran kłutych, a zaledwie kilka śmiertelnych. Brzmi jakby znajomo.

– A gdzie o tym słyszałaś? – zainteresował się Różny, podjadając frytki, które zdążyły wystygnąć.

Mirska zakłopotana się nieco.

– No właśnie nie jestem pewna. Ale wiem, że to znam, i nie, nie chodziło o żadną pijacką burdę dzielnicowych rozrabiaków.

– To jak sobie łaskawie przypomnisz, to nas oświeć. – Budryś wznosił oczy do sufitu. Wie, że gdzieś jej dzwoni, ale nie wie gdzie. Świetnie. – A tymczasem może skupmy się na tym, co wiemy, co? Na przykład na narzędziu zbrodni – zaproponował, sięgając po kurczaka. Świetny zestaw z gorącą kawą. Smakowało to wszystko jak tłusta tektura i chemia z dziesiątego parzenia, ale zapełniało żołądek. – Coś na kształt sztyletu. Dwusieczny, raczej ostry, szerokość maksymalna jakieś pięć centymetrów. I długi – dorzucił, podsuwając Różnemu zdjęcie ze zbliżeniem jednej z ran. – Dziabnął go kilka razy dość głęboko.

– Hm – mruknął naczelnik i znów sięgnął po frytkę. – A czas zgonu?

– Dupa blada – odparł Budryś i siorbnął kawy. – Lubczyk mówi, że zapewne sobota i że raczej wieczór. I w zasadzie tyle.

– No i tu się schody zaczynają. – Mirska odstawiła kubek na najbliższe biurko, podeszła do tablicy suchościeralnej i sięgnęła po pisak. – Nikt nie przyznaje się do bycia w instytucie w sobotę ani w niedzielę. Gorzej, nikt nawet nie przypomina sobie, czy Zawistowski wspominał, że będzie albo że go nie będzie w instytucie po powrocie z Wrocławia.

– Doktorant był we Wrocławiu na tej samej konferencji, nawet

nam swój bilet kolejowy na jedenastego pokazał. – Budryś westchnął, przeczesując włosy palcami i zakładając ręce na kark. – Adiunkt spędzał weekend z kobietą, na którą nie ma podobno namiarów, i jakoś nie pamięta, jak ona się nazywa, ale zarzeka się, że w okolicy nie był. Sekretarz i jedna z doktorantek twierdzą, że każde z nich było w domu samo przez cały dzień i całą noc. Wice mówi, że miała jakąś rodzinną imprezę i to się niestety potwierdziło. Żona była w Londynie. Też sprawdziliśmy. A portier odwiedzał córkę pod Lublinem. Nie jesteśmy też w stanie wykluczyć, że to był ktoś spoza instytutu, kto jednak tam bywał i znał się z Zawistowskim.

Wszystkie osoby z listy Budrysia były wypisane na tablicy, a dodatkowo Mirska przy każdej z nich przyczepiła podobiznę; zdjęcia pracowników wyciągnęła we wtorek z uniwersyteckich kadr. Przy haśle „sprawca z zewnątrz” wyrysowano czarną główkę ze znakiem zapytania.

– Nie mają monitoringu? – Różny sięgnął po kubek z kawą. Jezu, jakim cudem ci ludzie wlewali w siebie hektolitry tego czegoś? Chyba się odzwyczaił. – Teraz byle firmy mają kamery.

Mirska skrzywiła się i sięgnęła po drugi flamaster, bo ten, który trzymała w ręku, kiepsko pisał.

– Rzecz w tym, że to nie jest byle firma, tylko duża instytucja państwowa. O monitoringu możemy zapomnieć, nigdy czegoś takiego u nich nie było. Alarmu również nie mają, co wieczór portier zamyka budynek wielkim, oldskulowym kluczem. Naprawdę, sama widziałam ten klucz. Jak z bajek.

– I co, portier tak wozi ten klucz ze sobą do domu?

– Nie, pobiera i zdaje, wpisuje godziny. Wszystko elegancko.

Różny westchnął.

– Czemuś wyczuwam tu jakieś ale – mruknął.

– Bardzo słusznie pan wyczuwa. – Mirska pokiwała głową. – Zawistowski miał swój klucz. Nie musiał się wpisywać, jeśli mu się spieszyło, wszyscy przymykali na to oko, no bo kto by się czepiał dyrektora, przecież nie okradnie swojego własnego instytutu z pięściaków... To takie prehistoryczne narzędzia, pierwsze

obrobione przez człowieka – dodała na wszelki wypadek.

– Niech zgadnę, drugiego klucza nie znaleźliście przy denacie.

– Nie. – Budryś wzruszył ramionami. – Portier zarzeka się, że w poniedziałek otwierał wszystko jak zwykle. Facet ma co prawda siedemdziesiąt dwa lata, ale trzyma się świetnie, nie wygląda, żeby miał zaburzenia pamięci. Sprawca działał pojedynczo, tyle wiemy. Technicy pobawili się z chemiluminescencją w jeden wieczór, popsikali wszystko luminolem, ale nic ciekawego nie wyszło. Na razie nasza wersja robocza jest taka, że ktoś, kto znał denata, spotkał się z nim nie wiadomo w jakim celu w budynku archeologii w sobotni wieczór, kiedy nikogo miało nie być.

– Więc pewnie nie chcieli, żeby ktoś ich tam razem widział – wtrąciła Mirska, odruchowo rysując flamastrem małe kwiatki w rogu tablicy.

– Nie zaczyna się zdania od więc – pouczył ją machinalnie Budryś. Był przyzwyczajony do błędów językowych popełnianych przez wszystkich dookoła, zwłaszcza przez Marylkę. Odkąd jednak młoda Budrysiówna zaczęła chodzić do szkoły i czytać książki nie do końca odpowiednie dla jej wieku, stał się wyczulony na formy. – Poza tym weź mi się nie wcinaj! Jeszcze nie skończyłem.

– Jacek, proszę cię, do rzeczy, nie mam całej nocy – powiedział Różny.

Nikt cię tu nie trzyma, pomyślał komisarz. Naczelnik czasami lubił zaznaczyć, że on sam jeszcze niedawno był jednym z nich. A Budrysia wkurzało to potwornie, zainteresowanie Różnego po prostu mu przeszkadzało, choć naprawdę starał się nie być uprzedzony.

– Jasne. Mamy więc sobotni wieczór, kampus uniwersytecki, który jest ogólnodostępny i zamyka się go dopiero późnym wieczorem...

– I nawet po zamknięciu nie jest to twierdza nie do opuszczenia – wtrąciła znowu Iga. – Tam od tyłu jest takie niewysokie ogrodzenie, wystarczy przeskoczyć na skarpę...

– Słuchaj, czy ja ci ciągle przerywam? – Budryś odwrócił się do Mirskiej, która wykrzywiła twarz, stając do niego tyłem. – Z łaski swojej milcz. Dobra. Zabójca, denat, budynek – powiedział do

Różnego. – Wchodzą na górę do slajdoteki, może Zawistowski chciał gościowi coś pokazać, nie wiemy na razie. W ogóle niewiele wiemy. W każdym razie wchodzą, ktoś coś mówi, od słowa do słowa, zaczyna się kłótnia...

– Podobno Zawistowski był dupkiem, twierdzą, że z Panem Bogiem by się pokłócił. – Policjantka odwróciła się od tablicy i napotkała wzrok Jacka. – Przepraszam, już nic nie mówię – powiedziała potulnie i sięgnęła po kawę.

– Zaczyna się kłótnia – podjął wątek komisarz, rzucając Mirskiej ostrzegawcze spojrzenie – gość łapie sztyletopodobne coś, które jeden z nich musiał przynieść ze sobą, i zadaje Zawistowskiemu kolejne ciosy na oślep. Facet umiera, a nasz gość wychodzi, zabierając ze sobą narzędzie zbrodni, gasi światła w budynku i zamyka go kluczem zabranym Zawistowskiemu... Nie panikuje, nie stara się usunąć swoich śladów, po prostu zabiera zabawki i wychodzi. Jak dla mnie to wyklucza niepoczytalność. To logiczne, sensowne działanie niegłupiej osoby.

– Czyli twoim zdaniem zabójca przyszedł ze sztyletem i zamiarem zabicia? – Różny zmarszczył brwi.

– Niekoniecznie. – Budryś pokręcił głową. – To znaczy: nie jest to wykluczone. Faktem jest jednak, że po zabójstwie zachował zaskakujący spokój.

Mirska uniosła rękę, jakby zgłaszała się do odpowiedzi. Podinspektor westchnął.

– Pani Igo, nie musi pani prosić o głos, proszę nie słuchać Jacka.

– Chciałam powiedzieć, że to wszystko wskazuje na osobę ze środowiska zawodowego. Miejsce zbrodni, okoliczności. Zabójca musiał wiedzieć, że pomieszczenie slajdoteki było rzadko wykorzystywane, wiedział, jak zamknąć budynek i czym, wiedział, jak wyjść niezauważonym...

Podinspektor zastanowił się. No cóż, on również przychyłałby się do wersji z zabójstwem zawodowym, ale...

– A jego sytuacja rodzinna? – zapytał dla porządku.

– A zdrowa, zdrowa, dziękować – mruknął Budryś. – Ekszona i żona nie żywią do siebie większej urazy. Zawistowski rozwiódł się

dziesięć lat temu z pierwszą żoną, zostawił jej dwoje dzieci i mieszkanie, ożenił się ponownie i rozwodu nie planował, a przynajmniej nikt nic o tym nie wie. – Sięgnął po kubek z resztkami kurczaka i frytek i wepchnął wszystko do plastikowej torby, którą zamierzał wynieść, jak będzie wychodził. – Alimenty płać w terminie. Konta nie są obciążone, z drugą żoną miał intercyzę. Dziedziczą po nim jego bliźniaki, mają teraz szesnaście lat; rozwód rodziców i druga żona ojca ani ich grzeją, ani ziębią. Generalnie wszyscy się dziwią. Druga żona nawet bardziej, bo pierwsza twierdzi, że Zawistowski w sumie sam się prosił, bo potrafił być chu... tego, chamem.

W kilku zdaniach podsumował prawie cały dzień, jaki spędził u obu żon denata. Wizyta u drugiej była dla niego ciekawsza, bo dziwnym trafem kiedyś ją znał, jeszcze za jej czasów panieńskich. Poznał ją w banalny sposób, wręczając mandat. Poprosiła o anulowanie, na co się nie zgodził, zaproponował za to kawę na osłodę i jakoś poszło. Znajomość jak znajomość, pospotykali się kilka razy i przestali. Julia – o nazwisku panieńskim, którego wciąż nie pamiętał – po latach go poznała, powspominali to i owo, po czym gładko przeszli do tematu Zawistowskiego. Wcześniejsza znajomość okazała się niezłym wytrychem, bo Julia bez większych oporów opowiadała o mężu nieboszczyku.

– Czyli prywatnie pustynia – podsumowała Mirska i zreflektowała się: – Przepraszam, chciałeś coś jeszcze dodać...?

Budryś machnął ręką. Zaczyna się rozkręcać, pomyślał. Na początku tygodnia była milcząca i spokojna, ale teraz, raptem po kilku dniach, proszę: wchodzi w słowo, stroi miny, kiedy sądzi, że on nie widzi, i generalnie poczyna sobie coraz raźniej. Strach myśleć, co będzie dalej. Muminek okazał się nie bardzo adekwatną ksywą, Muminki się tak nie rzucały. Prędzej wredna Mała Mi.

– Pustynia, mówicie – powtórzył Różny i wstał z miejsca. Pomyślał, że należałoby załatwić im nowe fotele, bo te, które mają, są koszarne. Kawa zła, fotele złe, meble stare. Już zapomniał, jak to było, zanim został naczelnikiem. – No to działajcie w stronę zawodową w takim razie. Znajdziecie tego, kto miał do niego

najwięcej pretensji, to znajdziecie zabójcę.

– Wiemy. – Budryś z lekkim zniecierpliwieniem skinął głową. – Muminek popyta, kto widział go ostatni i kiedy, bo żona nam tu nie pomoże, w Londynie była, jej przyjaciółka potwierdza, razem z jakimś tabunem osób... Sprawdzimy papiery w miejscu pracy, przywieźliśmy zresztą prawie wszystkie wczoraj do nas, a Tarnowski ma dać kwity na przeszukanie mieszkania. Zwrócimy się do operatorów sieci komórkowych, analityk nas za to pobłogosławi.

– No dobrze, szukajcie, szukajcie. Pani Igo, byłaby pani tak dobra i od razu wyrzuciła ten śmieć? – Naczelnik podsunął Mirskiej plastikową torbę z pustym kubkiem po jedzeniu. – Tylko nie tu, bo wam pokój zaśmierdnie, od razu na dole, do kontenera.

Mirska spojrzała na niego dziwnie. Już cisnął się jej na usta komentarz na temat szowinistów i stereotypowego traktowania kobiet – nie po to harowała w rejonowej, żeby wyrzucać śmieci w stołecznej! – ale się powstrzymała. Różny był jednak naczelnikiem wydziału. Atmosferę starał się wprowadzić w miarę luźną i koleżeńską, ale mimo wszystko był szefem, a ona była nowa. Trudno. Reguły to reguły, a reguły mówiły, że z szefem się nie dyskutuje. Chyba że szef był taki jak Szefu, czyli Budryś.

Mimo to zapisała w pamięci, żeby zorientować się – może w sekretariacie – jaki jest Różny wobec zatrudnionych w komendzie kobiet. Przyda się wiedzieć.

Sięgnęła po reklamówkę.

– A jak już idziesz, to możesz przy okazji umyć kubki – odezwał się Budryś, obserwujący Mirską kątem oka. – Chyba nie chcesz, żeby nam zarosły pleśnią?

Iga zawahała się. W drzwiach niby przepuszczał, ale jak się odezwał, wyłaził z niego buc. Miała ochotę odpyskować, ale krępowała ją obecność naczelnika. Tym bardziej że ten nie reagował. Przeklinając w myślach, zgarnęła trzy kubki po kawie i wyszła z pokoju.

– No – powiedział Budryś, kiedy za Mirską zamknęły się drzwi. – Teraz możesz mówić, bardzo ładnie ją spławiłeś.

– Oj, Jacek, Jacek – mruknął protekcjonalnie Różny i pokręcił

głową. – Lepiej mi powiedz, jak ta Mirska tak w ogóle.

– Złośliwa mała bestia – odparł bez namysłu komisarz. – Sam zresztą słyszałeś. Odgryza się. Wtrynia bez hamulca. Ale głupia nie jest. I zeza nie ma, w tarczę trafia.

– Czyli może zostać. – Różny poczuł ulgę. Poprzednich dwóch kandydatów do zespołu Budryś uwalił błyskawicznie, bo mu nie pasowali. Szczerze mówiąc, podinspektorowi nie chciało się już szukać nikogo na to miejsce. Gdyby Budryś pozbył się dziewczyny, on jako naczelnik musiałby się przed pewnymi osobami gęsto tłumaczyć, na co nie miał najmniejszej ochoty. A teraz w dodatku przyszły wytyczne z Komendy Głównej i Różny zwyczajnie musiał umieścić w zespole jakąkolwiek kobietę, bo inaczej rypnęłyby się statystyki.

– No przecież mówię, że nie jest głupia. – Budryś wzruszył ramionami.

– Słuchaj, wy się nie musicie lubić. – Różny ruszył w stronę drzwi. – Grunt, żebyście potrafili ze sobą pracować.

– Aha. Tak jak ty i ja, co?

– Dokładnie. Widzisz, nawet daleko przykładów szukać nie musisz. No to działajcie z tym morderstwem. A tak przy okazji, to mógłbyś się wreszcie ogolić.

– Jasne – mruknął Budryś pod nosem, kiedy za zwierzchnikiem zamknęły się drzwi. Różny zawsze truł o goleniu się i schludnym wyglądzie, co komisarz zupełnie olewał. – Bo jak tylko się ogolę, to natychmiast wszystko rozwiążemy. I poprawimy statystyki wykrywalności. O ile nikomu innemu nie przyjdzie do głowy się mordować.

Tutu było jadowicie różowe. Tak różowe, że bolały zęby.

Samo tutu jeszcze by jakoś przeżył. Gorsze było to, że kiedy Jacek się schylił, odkrył, że baletki i ich troczki zawiązane wokół jego łydek też są jadowicie różowe.

Stroju dopełniały czarne getry i czarna obcisła koszulka.

Kiedy spojrzął przed siebie, zobaczył swoje odbicie w wielkim lustrze, zajmującym całą ścianę dużej sali. Z niedowierzaniem

podniósł rękę i dotknął różowej opaski na głowie. Nie pasowała do jego zaróżnianej gęby.

Krótko mówiąc, wyglądał jak ostatni idiota.

Zaczęła grać muzyka. Czajkowski, o ile się nie mylił. Coś z *Dziadka do orzechów*, w zeszłym roku był ze szkołą Janki na balecie, jako opiekun. Wynudził się, bo jednak faceci w rajtuzach to kompletnie nie była jego bajka.

– Tańczyć! – usłyszał z boku. Przy pianinie – skąd się wzięło pianino? – zmaterializowała się ruda wicedyrektorka archeologii, Parys, w generalskim mundurze z pagonami. Mundur opinał się na jej okazałym biuście. W dłoniach trzymała szpicrutę. – Tańczyć! – zawołała, ewidentnie do niego, bo nikogo poza nimi w sali nie było. Tylko dlaczego miała głos skwaszonego sekretarza z instytutu? – Tańczyć! – wołała Parys głosem Kwaśnego, waląc szpicrutą w pianino.

Jacek zaczął więc drobić w miejscu w sposób, który miał przypominać lekkie kroczyki baletnic.

– Ręce! – wrzasnął Teofil o aparycji Parys, więc Jacek posłusznie unióś ramiona i złączył dłonie nad głową. – Tańczyć!

Nawet dobrze mu szło, udało mu się zgrać kroczyki z muzyką. Był z siebie bardzo zadowolony. W odbiciu obok siebie zobaczył nagle zamordowanego Zawistowskiego, który w podobnym tutu zapamiętale wyginał się w arabeskach. Zaskoczony Jacek spojrział w bok, ale nikogo tam nie było. Zawistowski próbował różnych póz tylko w lustrze.

Muzyka zgubiła rytm i Jacek od razu pomylił kroki.

– Nie tańczyć! Nie tańczyć! – krzyczała Parys i waliła szpicrutą, a on próbował bezskutecznie odnaleźć właściwe tempo.

Zawistowski zaczął nagle ćwiczyć skoki.

Muzyka całkowicie się zmieniła, po czym przekształciła się w dzwonek telefonu.

Jacek poderwał głowę.

Był we własnym łóżku, we własnym mieszkaniu. Światło latarni za oknem kładło się jasną plamą na podłodze, a na nocnym stoliku świeciła i terkotała komórka.

– Kurwa – warknął, sięgając po telefon. Nawet nie spojrzał na numer, oczy same mu się zamykały. – Czego?

– To ja, posłuchaj, coś ci przeczytam – usłyszał podekscytowany głos Mirskiej.

Wyciągnął rękę w stronę szafki nocnej, wymacał zegarek i sprawdził godzinę.

– Jezu, kobieto, jest prawie trzecia nad ranem – jęknął. – Popieprzyło cię?

– Jest dopiero druga trzydzieści. – Iga zbagatelizowała problem. – Słuchaj, tylko uważnie: „Cezar zasiada. Spiskowcy niby dla okazania czci otoczyli go zwartym kołem. Najbliżej staje Cymber Tyliusz, który pierwszą podjął rolę...”. Nie, ten kawałek nie...

– Jesteś pieprznięta, rozłączam się – zakomunikował i opadł na poduszkę.

– Nie, czekaj, słuchaj! O, tu: „Wtedy jeden z Kasków zadaje mu cios z tyłu, trochę poniżej gardła. Cezar chwyta Kaskę za ramię i przebija je piórem metalowym”.

Może coś wzięła. Na pijaną nie brzmiała, ale może naćpała się amfetaminy i wydaje się jej, że odkrywa Amerykę. O czym ona w ogóle pieprzy?

– „Pragnie skoczyć naprzód. Nie zdążył. Znowu cios” – czytała tymczasem Mirska prosto do jego ucha. – „Gdy spostrzegł, że ze wszystkich stron grożą mu wyciągnięte sztylety, zasłonił sobie twarz togą, jednocześnie przy pomocy lewej ręki owinął się fałdem togi aż poniżej goleni, aby przystojniej upaść, nawet dolną część ciała zdążył zakryć. Tak zakłuty został dwudziestoma trzema ciosami”. Rozumiesz? To ze Swetoniusza!

– Może być i z Mickiewicza – burknął, zamykając oczy. Jezu, jak mu się chciało spać. – Co z tego?

– Dwadzieścia trzy! Dwadzieścia trzy rany! Tak samo jak w zabójstwie Cezara!

Budryś wydał z siebie ponury pomruk. Chryste, ona nie może być normalna, wyjeżdża mu w środku nocy z Cezarem...

– Mówiłam ci! Mówiłam ci, że gdzieś już to słyszałam, o tych dwudziestu trzech ciosach! – emocjonowała się Mirska. – Myślałam

o tym, gdzie to było, i wreszcie mnie oświeciło: Cezar! No pewnie, przecież to takie proste i oczywiste!

– Proste i oczywiste... – powtórzył Budryś i niechętnie wyciągnął rękę, żeby zapalić lampkę obok łóżka. Pokój zalało przytłumione światło żarówki wkręconej w lampkę z Ikei. Czterdzieści dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć w promocji. – Kim ty w ogóle jesteś? Czytujesz Agathę Christie i Swetoniusza, może kariery pomyliłaś, było iść na uniwersytet – mruknął, pocierając oczy.

– O rany, mówiłam ci, że mój ojciec jest wykładowcą na muzykologii!

– Muzykologii... – powtórzył znowu Jacek. Nie pamiętał, żeby coś mówiła o tej muzykologii. Inna rzecz, że jakoś nie starał się specjalnie zapamiętywać tego, co mówiła.

– Opera Kameralna wystawiała *Juliusza Cezara* Händla, ojciec się tym zajmował, czytał o Cezarze, cała rodzina się wyszkoliła – mówiła szybko Mirska. – I ten Swetoniusz, sprawdziłam, facet na przełomie pierwszego i drugiego wieku spisał *Żywoty cesarów*, dwunastu, Juliusz był pierwszy, rozumiesz? Ten fragment to był rozdział osiemdziesiąty drugi, wszystko się zgadza!

Budryś pomyślał, że los musi go jednak bardzo nie lubić.

– Co się zgadza, młotku? – zapytał. – To, że Zawistowski został zabity przez Brutusa, jak Cezar?

– Przez Kaskę – poprawiła Mirska. – Wiesz, jest teoria, że Brutus chciał go ratować. Cezara, znaczy. A tak w ogóle to były dwadzieścia trzy ciosy, nie słuchałeś, jak czytałam? I poczekaj, jeszcze to...

– Mirska.

– Też pasuje, jak cholera, posłuchaj: „Mimo tylu ran, wedle oceny lekarza Antystiusza nie znaleziono żadnej śmiertelnej oprócz tej jednej, którą przy drugim ciosie otrzymał w pierś”.

– Iga, kurwa mać! – zirytował się Budryś. – Dzwonisz do mnie w środku nocy, czytasz jakieś historyczne bzdety, co to ma do rzeczy? No powiedz mi, co to nam daje!

– No... jak to co? – spieszyła się odrobinę. – Wiemy, że zabójca znał Swetoniusza, te dwadzieścia trzy rany, dla niepoznaki...

Zawistowski był jak Cezar, nie widzisz? Tyran. Zabił go ktoś ze środowiska. „Niech żyje wolność! Skonała tyrania!”.

– Ja pierdolę, Mirska, weź się, kurwa, ogarnij! Wciągnęłaś coś?

– Co...? Nie, no co ty!

– To idź, kurwa, spać – warknął. – Jutro pogadamy. O ile będzie o czym.

– Dzisiaj – poprawiła go Mirska. – Kalendarzowo już jest piątek, więc pogadamy dzisiaj. Chyba że cię nie będzie i chcesz rozmawiać w sobotę.

– Pieprz się – powiedział od serca i się rozłączył.

Przez chwilę leżał bez ruchu, z telefonem w dłoni. Diabli wiedzą, czy nie wpadnie jej do głowy dzwonić jeszcze raz, ale chyba na szczęście zrozumiała przekaz. Odłożył telefon na szafkę i zgasił lampkę.

Oczywiście odechciało mu się spać.

Przewrócił się na bok i zaczął myśleć o tym cholernym Swetoniuszu. Bzdet, kompletny bzdet. Mirska miała oczywiście rację, mówiąc, że zabójcą jest ktoś ze środowiska archeologów – nikt inny nie wykazałby się tak chorym poczuciem humoru, żeby robić morderstwo na wzór historycznego. To jednak nie powód, żeby wydzwaniać do niego po nocy.

Nie, ten głupi Swetoniusz nic im nie dawał. Nie złączą przecież pytać ludzi na archeologii, czy go czytali i czy nie myśleli czasem o ściągnięciu od niego kilku pomysłów. Inna rzecz, że pewnie trzy czwarte durnych archeologów zna tego całego Swetoniusza na pamięć.

Kiedy po dziesięciu minutach Budryś jednak zasypiał, miał przed oczami obraz Zawistowskiego w laurowym wieńcu na głowie i w różowym tutu.

Rozdział 5

Mirska dostała od Budrysia opieprz. Za, jak to ujął, zawracanie dupy.

No dobra, mogła się zgodzić, że może porę wybrała niezbyt szczęśliwie. Kiedy jednak o północy wróciła do domu, nie mogła tak po prostu pójść spać. Nowa praca okazała się zbyt absorbująca, w pierwszym tygodniu mieli i morderstwo – może średnio wyrefinowane, jeśli chodzi o sam sposób wykonania, ale za to w środowisku ciekawszym niż menelstwo – i handel bronią. W jednym tygodniu!

Dobrze wiedziała, że to jej spowszednieje, i to zapewne dość szybko, a kolejne sprawy zaczną przytłaczać. Na razie jednak przepelniała ją ekscytacja związana z nowością wszystkiego dookoła; należało to wykorzystać, zarówno dla własnej przyszłości, jak i dla prowadzonych spraw.

Sen zatem odpadał. Zaczęła myśleć o morderstwie – idealny sposób, żeby na dobre pozbyć się nawet załączka senności. Usiadła po turecku na kanapie z kubkiem gorącej czekolady, włączyła Prokofiewa i wsadziła słuchawki do uszu, po czym otworzyła laptopa oraz notatki ze śledztwa i zaczęła myśleć. Zabójstwo Zawistowskiego z czymś jej się kojarzyło, ale z czym?

O drugiej, przy marszu z *Miłości do trzech pomarańczy*, nagle skojarzyła. Może przez to, że skupiła się na samej operze, w każdym razie coś jej w głowie przeskoczyło – bo znienacka przypomniała sobie o *Juliuszu Cezarze*. Kiedy Opera Kameralna wystawiała go kilka lat temu, podczas rodzinnych niedzielnych obiadów jej ojciec zanudzał wszystkich nieustannymi opowieściami o starożytnym Rzymie i Kleopatrze oraz o Händlu, znanym wszystkim fanom europejskiego futbolu, bo przecież kompozycja *Zadok the priest* ponad dwadzieścia lat temu stała się hymnem UEFA. W każdym razie rozważania o losach antycznych dyktatorów zajmowały im

spora część rodzinnych obiadów, bo wszyscy się w to wkęcili. Z wypiekami na twarzy wrzuciła teraz do wyszukiwarki hasło „żywot Juliusza Cezara”, dziękując w duchu wszystkim, którym chciało się udostępniać w sieci skany książek i opracowania oraz pisać hasła w wirtualnych encyklopediach.

Jasne, że Cezar – właśnie to od samego początku ją męczyło. Facet zajmujący odpowiednią pozycję, w podobnym wieku, cholera, nawet z wyglądu Zawistowski trochę przypominał Cezara! Jak mogła tego nie dostrzec wcześniej?

No i zadzwoniła do Budrysia. Faktycznie nie spojrzała na zegarek, jakoś nie przyszło jej do głowy, że komisarz pewnie śpi.

Powiedzieć, że nie był zachwycony jej telefonem, to mało. Udało jej się go wkurwić. No cóż, bezcenna wiedza na przyszłość – jeśli będzie chciała doprowadzić go do furii, wystarczy zadzwonić w środku nocy.

A Budryś potrafił się zemścić. Z samego rana kazał jej uzupełniać dokumentację w ramach szkolenia. Notatki służbowe, raporty, protokoły, plany śledztwa... Ugrzęzła w papierach, tymczasem Budryś udał się na wizję lokalną do innej sprawy, nawet nie starając się ukryć złośliwego uśmiechu. Wreszcie miał na kogo zwalić najnudniejszą robotę.

Mirska siedziała zatem za biurkiem zawalonym stosem papierów i klęła pod nosem.

– No i jak ci idzie? – zapytał Wegner, wpadając do pokoju w porze obiadowej i szeleszcząc elegancką dresową kurtką.

– Szajsowo – mruknęła Mirska i zerknęła na niego znad komputera. – Ciebie to czasem nie zniechęca? To, że każdy ruch musimy usprawiedliwiać? Jak oni chcą efektów, skoro dziewięćdziesiąt procent naszej pracy to biurokracja?

– Nie wiem. – Wegner wzruszył beztrosko ramionami i zajrzał do lodówki. – Moją część na ogół odwała Marylka, on jest dobry w te klocki, a ja w tym naszym think tanku jestem głównie od *know-how*, znam kogo trzeba, kiedy trzeba i jak trzeba. Jacka nie ma?

Mirska westchnęła.

– Na wizji lokalnej jest – odparła. – Podobno ten handlarz bronią

się złamał. Ma pokazać, w jaki sposób przekazywali sobie towar.

– E, to szybko nie wróci – ocenił Wegner i wyciągnął z lodówki pudełko obiadowe. Zabrał z szafki łyżkę, usiadł na swoim miejscu i otworzył pojemnik. Powąchał i zaczął jeść w takim tempie, jakby ktoś zaraz miał mu to zabrać. Mirska przyglądała mu się przez chwilę.

– Niech zgadnę: to jedzenie Budrysia – odezwała się.

Wegner wzruszył ramionami.

– A czyje ma być? – odparł się z pełnymi ustami. – Latam od świtu, nawet nie miałem chwili, żeby do sklepu pójść, zaraz muszę spadać i kiblować pod domem Zbyniowej, no to trzeba coś zjeść, nie? Poza tym ty wiesz, jak ten facet gotuje? Niewiarygodne, że jest chudy jak szczapa przy takim żarciu. Chcesz? – Podsunął jej pudełko, do połowy opróżnione. Iga zerknęła niepewnie. Kurczak, ryż i natka pietruszki. I coś jeszcze. Nie wiedziała co, bo nie było czekoladą, a tylko czekoladę zawsze bezbłędnie rozpoznawała.

Zaburczało jej głośno w brzuchu. Jej własne kanapki zniknęły już dawno, a automat z batonikami na parterze obiecała sobie omijać szerokim łukiem, batoniki nie były zdrowe.

Wegner podsunął pojemnik jeszcze bliżej i Mirska nie wytrzymała. Sięgnęła po swoją łyżeczkę od herbaty.

Musiała przyznać, że Marcin miał rację. Obiad Budrysia był zaskakująco dobry. Nie tego się po nim spodziewała. We dwójkę opróżnili pojemnik do ostatniego ziarenka ryżu w błyskawicznym tempie.

– I co teraz? – zapytała, oblizując łyżeczkę. – Zostawimy mu takie puste? Trochę głupio chyba, nie wiem, jakie tu macie zwyczaje...

– Eee tam. – Wegner machnął beztrosko ręką i sięgnął po wieczko. – Umyjemy, kupimy batonika w automacie i zostawimy na biurku. I tyle.

Mirska pomyślała, że Budryś nie będzie zachwycony. Tym bardziej że chyba nie był w najlepszym humorze. Jakiś niewyspany czy coś... Trudno.

Batonik został nabyty i umieszczony w pustym pudełku, starannie wyczyszczonym i osuszonym, Mirska zaś udała się do magazynu dowodów

rzeczowych. Chciała raz jeszcze przejrzeć rzeczy po zamordowanym Zawistowskim. Zwłaszcza portfel. Tacy mężczyźni jak on w portfelach nosili całe życie. Niby już wszystko oglądali, ale liczyła na to, że może coś rzuci jej się w oczy, w kontekście Cezara albo czegoś podobnego... Bo niestety w samochodzie Zawistowskiego nie znaleziono niczego ciekawego poza kluczami do mieszkania, które były w schowku. Cóż, może facet lubił tam trzymać klucze. Poza tym najwyraźniej uwielbiał wozić swoim samochodem własnych pracowników, bo śladów ich paluchów było zatrzęsienie.

Skoro zatem wóz denata nie wniósł nic, Mirska liczyła, że może jednak coś przegapili w związku z portfelem. Zanim zdążyła do niego zajrzeć, jej komórka zawibrowała.

– Mirska, słucham – rzuciła, odbierając połączenie.

– Dzień dobry, starszy posterunkowy Radowski, dyżurny w kaerpe jeden – przedstawił się męski głos.

– Słucham – powtórzyła. Nie bardzo wiedziała, jaki interes mogła mieć do niej Komenda Rejonowa Śródmieście.

– Podobno razem z komisarzem Budrysiem zajmuje się pani zabójstwem Zawistowskiego Tadeusza – powiedział dyżurny.

– A skąd pan ma takie informacje? – zapytała podejrzliwie. Depozytariusz z magazynu dowodów przysłuchiwał się rozmowie z ciekawością, co Mirską nieco krępowało. Najchętniej by wyszła, ale nie chciała zostawiać dowodu na wierzchu, żeby nie było, że jest nieprofesjonalna. Choćby i tylko wobec depozytariusza. Zresztą Szefu na pewno by się o tym dowiedział w jakiś swój sposób. I znowu by ją objechał.

– Sierżant Polowy powiedział, że to wy przejęliście sprawę. Dzwonię, żeby poinformować, że dzisiaj wpłynęło do nas zgłoszenie o włamaniu od Zawistowskiej Julii, zamieszkałej przy Wiejskiej. Polowy powiedział, żeby dać wam cynk na wszelki wypadek.

– Włamanie! – Po kręgosłupie Mirskiej przebiegł dreszcz. Bardzo tego nie lubiła. Dreszcze jeszcze chyba nigdy nikomu nie zwiastowały niczego dobrego. – Była kradzież? Dwieście siedemdziesiąt dziewięć? Czy tylko uszkodzenie mienia?

– Co mi tu pani wyjeżdża z kwalifikacją? – zdziwił się niemiło

dyżurny. – Ja tylko miałem dać znać, żebyście się może zainteresowali. Nasze chłopaki właśnie jadą na miejsce, więc może ruszycie łaskawie swoje zadki, sami podjedziecie i zorientujcie się, czy będziecie to chcieli przejąć, czy nie.

Chrzanić portfel. Dowód nie zajac, nie ucieknie. Uśmiechnęła się przepraszająco do depozytariusza, oddała mu portfel i złożyła podpis we właściwym miejscu, po czym wyszła z magazynu i popędziła do pokoju, wybierając po drodze numer Budrysia. No proszę, włamanie w domu denata, a nie zdążyli tam się dokładniej rozejrzeć. Budryś rozglądał się trochę sam we wtorek, kiedy wizytował rodzinę. Nic podejrzanego nie zauważył, a i wątek rodzinny zdążyli odrzucić, ale mimo to należało porządnie się rozejrzeć. Miejsce pracy czekało na nich zapieczętowane, prokurator miał wydać nakaz przeszukania także i domu, Jacek miał wziąć kwit od Tarnowskiego, gdzie ten Budryś, że nie odbiera, kiedy trzeba...

Mirska podeszła do drzwi pokoju zespołu i zamurowało ją w progu na dobre.

W pokoju był pies.

Jamnik. Długowłosy. Siedział na wprost drzwi, obok jej biurka, i kiedy otworzyła drzwi, odwrócił w jej stronę łeb.

Poczuła, jak przyspiesza jej puls. W uszach zaczęło jej lekko szumieć, oddech stał się krótszy, dłonie zwilgotniały, a serce zaczęło kołatać.

– Co to jest? – powiedziała w przestrzeń drewnianym głosem, nie ruszając się z miejsca i nie spuszczać z psa oka. Zwłaszcza że jego ogon, dotąd leżący spokojnie na podłodze, zaczął się nagle poruszać. Iga spięła się w sobie – wiedziała, że te bestie tylko wyglądają na sympatyczne i niewinne, a tak naprawdę są piekielnie szybkie i zwinne. W końcu używano ich do polowań na lisy!

– Pan Longinus – rozległ się czyjś głos. – On nie gryzie. Nie trzeba się bać.

Mirska wciąż stała w drzwiach, jak zahipnotyzowana wpatrując się w brązowowłosego psa. Jamnik siedział obok jej biurka, poruszając rytmicznie ogonem i wpatrując się w nią bystro ciemnymi ślepiami. Iga zacisnęła rękę na klamce tak, że aż zbieleły

jej kłykcie. Oblał ją zimny pot – czemu ten potwór tak się w nią wgapia?!

Pies wstał nagle, wstrząsnął głową, furkocząc uszami, i ziewnął szeroko, a po plecach Mirskiej po raz drugi tego dnia przeszedł dreszcz. Nagle odniosła wrażenie, że zaczyna się dusić, jakby w powietrzu zabrakło tlenu.

Nienawidziła psów. Nienawidziła ich zwłaszcza w zamkniętych pomieszczeniach.

– Pan Longinus naprawdę nie gryzie – powiedział ten sam głos, a pies rzucił Idze jeszcze jedno spojrzenie, po czym z godnością przeparadował przez cały pokój i usiadł obok lodówki. Dopiero wtedy Mirska odważyła się podnieść wzrok i spojrzeć w stronę, z której dobiegał głos, to znaczy na fotel Budrysia. Siedziała na nim dziewczynka odrobinę starsza niż ta ze zdjęcia, które pokazywał jej kilka dni temu Marylka. Blondyneczka z grzywką wpadającą w oczy, wsuwająca czekoladowy batonik, który razem z Wegnerem zostawili Budrysiowi jako zapłatę za obiad.

– Ty jesteś Janka, prawda? – zapytała Mirska, próbując uspokoić nerwy i skupić się na dziewczynce, ale pies obok lodówki zdecydowanie jej w tym przeszkadzał, choć w zasadzie nic nie robił. Cóż, dosyć, że był. Dla Mirskiej już samo to stanowiło wystarczający problem.

– No – potwierdziła dziewczynka, przypatrując się ciekawie Idze, która starała się właśnie przełamać, wejść do pokoju i dotrzeć do swojego miejsca tak, żeby nie zwracać uwagi psa. Musiała się przełamać, bo w szufladzie biurka miała broń. Powinna być w szafie pancерnej, ale nie była, włożyła ją dzisiaj do szuflady, na całe szczęście. A gnata wolała mieć przy sobie, póki w pokoju było to bydło. Na wszelki wypadek. – A ciebie to ja nie znam. Nowa jesteś? – zapytała bez pardonowo Janka.

– Można tak powiedzieć – odpowiedziała Mirska, siadając ostrożnie na swoim fotelu i zerkając w stronę psa. Widziała, że na biurku leży nakaz rewizji w mieszkaniu Zawistowskiego, załatwiony przez Budrysia nie wiadomo na jakiej podstawie, ale nie zwróciła na niego większej uwagi, zaabsorbowana obecnością czworonoga.

Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, sięgnęła w stronę szuflady, uchyliła ją i wymacała broń w kaburze. Duszność nieco zelżała, ale serce wciąż waliło jak oszalałe.

– Ty jakaś dziwna jesteś – oznajmiła Janka, nie kłopotząc się konwenansami. Przekręciła się na fotelu ojca tak, aby być frontem do Mirskiej. – Aż słuchać hadko – dodała z dorosłym westchnieniem, sierżant zaś zmarszczyła brwi; dziwne stwierdzenie odwróciło jej uwagę od problemu psa. „Słuchać hadko”? Gdzie Budryś ją wychowywał, na Kresach? W siedemnastym wieku w dodatku? – Kto to widział bać się jamnika? Przecież mówię, że Pan Longinus nie gryzie. Jamniki w ogóle nie są agresywne – pouczyła dziewczynka. Na dźwięk swojego imienia pies zerwał się spod lodówki, w radosnych susach dopadł swojej młodej właścicielki i władował się jej na kolana. Mirska zmartwiała. Jej oddech znowu przyspieszył i spłycał się. Doskonale wiedziała, że jamniki wcale nie były łagodne, cholera, były bardziej zażarte od pitbulli!

Problem polegał na tym, że panicznie bała się psów. Nie wiadomo dlaczego. Nigdy żaden pies jej nie pogryzł, atakującego zwierzaka widziała tylko raz, kiedy rzucił się na sąsiadkę z kamienicy. Mimo to na sam ich widok robiło jej się nieswojo, a strach zwiększał się wraz ze zmniejszaniem dystansu, niemal arytmetycznie. Prawdziwy problem pojawiał się wtedy, kiedy Iga znajdowała się w tym samym pomieszczeniu.

– Tatuś gdzie? – zapytała z napięciem w głosie. Co to dziecko robiło samo w ich pokoju na komendzie, gdzie plątali się pedofile i mordercy, gdzie wisiały zdjęcia trupów i była broń? Poza tym – jakim cudem wpuszczono tu ten psi pomiot?!

Janka wzruszyła ramionami, zjadła do końca batonika i starannie złożyła papierek po nim, utykając go elegancko między papierami na biurku ojca. Jamnik na jej kolanach szczechnął, a Iga wzdrygnęła się mimowolnie. Gdzie Marylka i Cinek?! Właśnie, Marylka – to przecież on mówił, że pies Budryś nie szczeka!

– Może nabija kogoś na pal – rzuciła beztrąsko Janka i uśmiechnęła się. Mirska zdębiała.

Nie miała pojęcia, że Janka jest dzieckiem co najmniej

osobliwym. Być może rozwód rodziców w nie najlepszej atmosferze sprawił, że była nad wiek rozwinięta. Czytać zaczęła w wieku lat czterech i pół, do szkoły poszła rok wcześniej, niż przewidywała ustawa, a na przerwach biła się ze starszymi, przez co jej rodzice musieli się gęsto tłumaczyć na zebraniach klasowych i na dywaniku u dyrektorki. Po osiedlowych uliczkach śmigała na desce, a sukienkę miała na sobie ostatnio podczas Pierwszej Komunii, przy której zresztą uparła się jej matka. Jacek był ateistą, a sama Janka sceptycznie podchodziła do idei Boga, ku rozpaczy reszty rodziny i cichej radości Budrysia. Jakiś czas temu dobrała się do Trylogii, co Jacka rozeźliło, bo nie była to lektura dla dziesięcioletnich dziewczynek. Doszli jednak do porozumienia, Janka dostała pozwolenie na czytanie Sienkiewicza podczas weekendów spędzanych u ojca, ale w wersji przez niego ocenzurowanej. Jacek oczywiście nie miał pojęcia, że Janka z wypiekami na twarzy czytała i ocenzurowane fragmenty o obcinaniu głów, przypiekaniu pięt i nabijaniu na pal. Skutkiem tego pies, którego wyblagała od dziadka, a który formalnie należał do Jacka, został nazwany przez młodą Panem Longinusem. Choć sam Budryś mówił na niego po prostu Pies.

Pan Longinus poderwał nagle łeb, zeskoczył z kolan Janki i podbiegł do drzwi, merdając radośnie ogonem.

– Dobra, młoda, zbieraj manatki – powiedział Budryś, stając w drzwiach. Pies szczeknął krótko, próbując ściągnąć na siebie uwagę Jacka. – Cicho, mordo psia – mruknął, schylając się i poklepując psa po zadzie. Jamnik zaczął kręcić się wokół nóg komisarza z rozdziawionym z radości pyskiem; między czarnymi fąflami błyskały kły. Mirska poczuła, jak ściskają się jej własne szczęki.

Janka zsunęła się z fotela ojca, wsunęła ręce w rękawy za dużej granatowej kurtki i sięgnęła po plecak z Batmanem, wyładowany do granic wytrzymałości.

– Pan Longinus! – zawołała, uderzając jednocześnie dłonią o udo. Pies natychmiast porzucił nogi Jacka i podskoczył do Janki, która schyliła się i wzięła go na ręce, nakrywając połą rozpiętej kurtki.

– Zapnij się – polecił jej Jacek, ściągając z oparcia fotela swoją kurtkę.

– Oj, taaatooo – zaprotestowała natychmiast młoda. – Jest ciepło!
– Jest listopad, a nie ciepło. Poza tym masz ukryć psa.

To był ich sposób. Pani Wandzia na portierni знаła Jankę od małego, wszyscy wiedzieli o Jackowych przeprowadkach rozwodowych i przymykali oko, kiedy mała blond torpeda raz na pewien czas zasuwała po schodach albo korytarzach komendy. Raz na pewien czas, czyli zawsze w co drugi piątek po szkole. Janka dostawała własną przepustkę – pokemona, jak to się uroczo nazywało – i surowy przykaz, żeby go nie zgubić. I nie ruszać się nawet na krok z pokoju ojca. I unikać kamer. Od kiedy pojawił się Pan Longinus, wiernie spędzający co drugi weekend z co drugim rodzicem, i on zaczął bywać na komendzie, przemycany pod kurtką. Pani Wandzia i dyżurny zawsze odwracali wzrok i udawali, że nic nie dostrzegają, choć doskonale widzieli błyszczące ciemne ślepia i sterczący spod kurtki pysk brązowego jamnika.

– Idziemy – zakomenderował Budryś, popychając lekko córkę z psem w stronę drzwi. Na Mirską nawet nie spojrział. Ciekawe, czy był bardziej wkurzony tym, że obudziła go w środku nocy, czy tym, że jego obiad zniknął, czego jednak nie skomentował nawet jednym słowem.

Janka zatrzymała się, odwróciła do Igi i stuknęła piętami na pożegnanie, obdarzając ją zdawkowym uśmiechem, dokładnie takim samym, jakim obdarzał Mirską Budryś, kiedy w myślach obrzucał ją inwektywami.

I dopiero ten uśmiech na dziewczęcej twarzy odblokował Ige.

– Budryś, czekaj! – zawołała, zrywając się z miejsca. Nie zrobiła jednak ani jednego kroku. Ojciec i córka zatrzymali się w drzwiach i spojrzeli na nią pytająco. – Dzwonili do mnie z Wilczej, podobno u Zawistowskich było włamanie. Nie powinniśmy tam pojechać i sprawdzić...? Mamy nakaz, więc... – Popukała palcem w dokument na swoim biurku. Jacek nawet się nie zastanawiał.

– No to jedź i sprawdzaj.

– Ale jak to...? A ty nie...?

Budryś cofnął się do pokoju. Podszedł do Mirskiej blisko, bardzo blisko, aż poczuła zapach jego skórzanej kurtki.

– Zapierdalam w tej robocie od lat i co drugi weekend mam prawo mieć wolny. I spędzam go zawsze z córką – powiedział cicho, nachylając się do ucha Igi. – Więc nie, ja nie pojedę i nie sprawdzę. Powiem ci nawet więcej: zadzwonisz do mnie w trakcie tego weekendu, to nogi ci z dupy powyrywam, czy to jasne? – W jego głosie było coś, co kazało jej w to uwierzyć, zwłaszcza że po plecach znów przeleciał jej dreszcz. Budryś wyprostował się i spojrzał jej w oczy. – To dobrze, że się rozumiemy.

Miał w dupie karierę, morderców i włamania. W co drugi weekend przestawał być gliną – a przynajmniej starał się przestać nim być – bo czas z Janką był ważniejszy od aktualnych śledztw i terminów. Mogli go wylać za nieprawidłowe podejście do obowiązków służbowych, gównno go to obchodziło, bo w momencie kiedy odbierał córkę, zwyczajnie przestawał istnieć dla firmy. Miał swoje priorytety i w tej jednej kwestii nie zamierzał iść na żaden kompromis. Ani teraz, ani nigdy. Tak po prostu. Rozwód z żoną już go ustawił w tej kwestii – od momentu kiedy jego była wystąpiła o wyłączne prawo opieki nad Janką, motywując to niebezpieczną pracą Jacka, znacznie wykraczającą poza ogólnie przyjęte ramy czasowe. Kiedy przed sądem usłyszał, że jest nierzetelnym ojcem, który nad własne dziecko przedkłada zboczeńców i morderców, coś go zmroziło. Tylko swojemu adwokatowi – załatwionemu, rzecz jasna, po znajomości przez Tarnowskiego – zawdzięczał z trudem wywalczoną łączoną opiekę, na którą składały się co drugie weekendy, co drugie święta, połowa wakacji i prawo do kontaktów dodatkowych ustalanych indywidualnie.

– Nie ma cię dla świata, okej, zajarzyłam. – Wzrok Mirskiej mimowolnie powędrował w kierunku psa ukrytego za pazuchą Budrysiówny. Cóż, jeśli ta bestia miała spędzać weekend z komisarzem, to nie było szans, żeby Iga się z nim kontaktowała, tak na wszelki wypadek. Choćby się waliło i paliło. – Widzimy się w poniedziałek.

– No. – Budryś wyprostował się. – A gdyby było coś naprawdę

ważnego, to dzwoń do Marcina albo do Artura – dodał łagodniejszym już tonem i podał jej wygnieciony świstek papieru. – Tu masz ich telefony, jeśli do tej pory jeszcze ich nie zapisałaś.

Nie dodał, że Artur Madyjak był jego dupochronem co drugi weekend. Ta wiedza nie była jej do niczego potrzebna.

Mirska spojrzała na zgniecioną kartkę.

Szczerze mówiąc, z jednej strony miała nadzieję, że nie będzie musiała do nikogo dzwonić. Z drugiej strony nie obraziłaby się, gdyby przyszedł jakiś przełom w śledztwie...

Hasła rzucane podczas kampanii wyborczych miały na ogół to do siebie, że nikt się nie przejmował ich realizacją. Politycy „zapominali” o słowach, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej z ogniem głosili z mównic i scen, a wyborcom nawet nie śniło się rozliczanie ich z obietnic, bo a to w firmie rozpoczynały się restrukturyzacje, a to nie sposób było dostać się do specjalisty, ale podobno tam, dwieście kilometrów stąd, jeszcze mają wolne miejsca na przyszły rok. Bywa jednak i tak, że niektóre hasła, mające być zwykłą kiełbasą wyborczą, zapadają w pamięć na dłużej. Tak było ze słynnymi trzema milionami mieszkań dla młodych, obiecany podczas kampanii w dwa tysiące szóstym przez jedną z głównych partii. Młodzi mieszkań rzecz jasna nie zobaczyli, w Warszawie jednak budowano coraz więcej. Choć nie była to bynajmniej zasługa polityków. Nowe mieszkania wykupywali często „kolekcjonerzy”, posiadający po trzy i więcej lokali przeznaczonych pod wynajem dla gwałtownie rozwijającej się klasy średniej z korporacji. Jej przedstawiciele było stać na kilka tysięcy czynszu. Inni – studenci czy pracownicy zatrudnieni w budżetówce bądź na śmieciówkach – musieli zadowolić się lokalami w mniej prestiżowych lokalizacjach niż Dolny Mokotów czy Śródmieście. Dla nich były Targówek, Wola, Bielany, peerelowskie bloki, małe klatki i wieczne problemy komunikacyjne.

Mirska sama coś o tym wiedziała.

Wychowywała się co prawda w samym centrum, tuż obok Politechniki Warszawskiej – zajmowali w pięcioro, razem z babcią,

całkiem spore mieszkanie w starej kamienicy przy Noakowskiego. Mirscy mieszkali tam jeszcze przed drugą wojną światową; potem, zepchnięci do jednego pokoju, stopniowo i z uporem odzyskiwali kolejne, by po upadku komunizmu szarpnąć się i wykupić prawie całość. Iga jednak już od lat nie mieszkała w rodzinnym domu, tylko wynajmowała mieszkanie na Pradze, zresztą od własnej ciotki. Na kupno nie było jej stać, ciotce było głupio żądać wysokiej ceny, a ona sama do Targówka już się przyzwyczaiła. Nie był taki zły. Podobno w planach była budowa nitki metra.

Wchodząc do mieszkania Zawistowskich, pomyślała, że denat musiał wkładać sporo pieniędzy w utrzymanie swojego apartamentu przy Wiejskiej. Prestiżowa ulica, w cenie. Budryś mówił, że Zawistowski kupił lokal po rozwodzie z pierwszą żoną, jakieś dziesięć lat temu. Już wtedy ceny nieruchomości w tej okolicy musiały być zawrotne. Cóż, facet był widać obrotny, skoro mógł sobie pozwolić na taką ekstrawagancję.

Mieszkanie nie przypadło Mirskiej do gustu, nie zamieniłaby swojej klitki na ten apartament. Wchodzącego już przy drzwiach atakowała sztuka, która pewnie miała być kontrowersyjna – okropny czerwony akt kobiecy wisiał tuż obok wejścia, co może było i niezłym sposobem na odstraszenie niechcianych gości. Złodziei już niekoniecznie, skoro Zawistowska zgłosiła włamanie. Stolarka w mieszkaniu była z jasnej sosny, pasującej do ścian pomalowanych na biało i ozdobionych dziwaczными dziełami. Na lewo od drzwi znajdowała się kuchnia, a naprzeciwko niej, po prawej – salon. Przy wejściu do kuchni stała wielka skrzynia nakryta czerwonym kilimem. Wieszaka ani szafy na ubrania nie było. Salon był równie ascetyczny jak korytarz, także z białymi ścianami i sosnowym parkietem. W rogu umieszczono kominek, przy ścianach rozstawiono drabiny z ułożonymi na szczeblach deskami, które służyły jako półki na zdjęcia, jakieś drobiazgi i kilka książek. Na środku pokoju stał stary ozdobny stół, z którego obłaziła farba; Mirska była pewna, że taki efekt kosztował gospodarzy przynajmniej pół miesięcznej pensji policyjnej trzeciej grupy. W dwóch głębokich fotelach siedzieli z nieszczególnymi minami

dwaj funkcjonariusze. W jednym z nich rozpoznała policjanta, który w poniedziałek zabezpieczał wejście do Instytutu Archeologii.

Iga przyjechała z technikiem z laboratorium kryminalistycznego oraz pomocniczą siłą roboczą, również zgarniętą ze stołecznej. Żona Zawistowskiego zaprosiła ich do salonu.

– Pani wybaczy, ale chcielibyśmy rzucić okiem na rzeczy pani męża – powiedziała uprzejmie Mirska.

Żona Zawistowskiego skinęła głową, sięgnęła po papierosa i wskazała Idze trzeci fotel, obok już siedzących policjantów. Sama zasiadła przy stole, a czarna sukienka w infantylne białe groszki nieprzyzwoicie podjechała w górę wzdłuż jej ud, na co Zawistowska nawet nie zwróciła uwagi.

– Ja nie wiem, czy w ogóle jeszcze jest na co rzucać okiem – wygłosiła grobowym tonem, zaciągając się papierosem i odgarniając pulchną ręką pasmo jasnych włosów z czoła.

Tymczasem Mirska usiadła na wskazanym przez gospodynię miejscu i od razu tego pożałowała. Fotele, choć wcale na to nie wyglądały, były pułapkami – człowiek zapadał się w nie i podniesienie się wymagało nie lada wysiłku. Stąd pewnie niewyraźne miny dwóch policjantów.

– Czy coś zginęło? – zapytała Iga, starając się skupić na zadaniu, nie na fotelu.

Zawistowska wydmuchnęła dym, po czym westchnęła głęboko.

– Nie wygląda na to – odezwał się jeden z policjantów, poruszywszy się ostrożnie w fotelu. – Złota biżuteria na miejscu, te obrazki na ścianach podobno są cenne...

– To młoda amerykańska sztuka! – fuknęła gospodyni, przewracając oczami. – Oczywiście, że są cenne!

– ...ale wszystkie wiszą. Pani mówi, że na pierwszy rzut oka niby wszystko jest na miejscu.

– Niby! – zawtórowała z naciskiem Zawistowska. – Niby! Ale przecież sprawdziłam tylko biżuterię, prawda?

– Ale to na pewno było włamanie? – zapytała Mirska.

– No chyba. – Zawistowska spojrzała na nią dziwnie. – Klucze męża były w samochodzie, który wy byliście uprzejmi zabrać! Poza

tym, jak wysiadłam z windy, po schodach z naszego piętra zbiegał jakiś facet, spojrzałam nawet za nim, ale miał kaptur. Pewnie usłyszał przez domofon, że idę, i całe szczęście, bo przecież mógłby mi jeszcze przyłożyć, jakbym go tu zaskoczyła. A poza tym na drzwiach to co, niby to podrapane to ja, co?

– Na drzwiach faktycznie są ślady po próbie włamania – przyznał drugi policjant, ten znajomy. – Ale pani mówi, że drzwi były zamknięte, ze środka też raczej nic nie zginęło... Więc chyba tylko próba włamania. Mamy protokół – dodał.

Mirska skinęła głową. Próba włamania, no proszę. Szkoda tylko, że nie wiadomo, kto próbował się włamać.

– Proszę pani, chcemy przejrzeć rzeczy pani męża – zwróciła się do Zawistowskiej. Skupiła się w sobie i wyrzuciła ciało do przodu, żeby wydostać się z fotela. Udało się, więc przysiadła ostrożnie na samym brzegu, choć twarda krawędź ramy fotelowej wrzynała się jej w tyłek.

– W sensie jego gabinet? Proszę bardzo. Tylko niech mi pani powie, kiedy dostanę ciało męża. Trzeba wyznaczyć datę pogrzebu, wszystko gotowe, tylko ciała nam brakuje – dodała.

Mirska zauważyła, że technik i funkcjonariusz stojący w progu salonu zerkają wymownie na zegarki, więc zdecydowanie podniosła się z fotela.

– W sprawie wydania ciała niech pani kontaktuje się z prokuratorem prowadzącym śledztwo – oznajmiła Mirska zdecydowanym tonem, ciesząc się, że nie musi wyciągać nakazu od Tarnowskiego. Głupio byłoby świeżej wdowie machać nakazem przed oczami. – Albo z oficerem prowadzącym. To co, możemy do tego gabinetu?

Zawistowska podniosła się ociężale zza stołu. U siebie w domu, bez obcasów i modnego płaszczu ściągniętego w tali paskiem, wyglądała na krągłą niż podczas pierwszego spotkania. A także na bardziej zmęczoną. No ale w tych okolicznościach było to zrozumiałe.

– Proszę – wskazała Mirskiej korytarz. Wyminęła technika i mundurowego stojących w progu salonu, przeszła przez korytarz

i otworzyła drzwi na jego końcu po lewej. – Róbcie, co chcecie – mruknęła.

W mieszkaniu może nie panowały afrykańskie temperatury, ale jednak było ciepło. I wyglądało na to, że trochę tu posiedzą. Mirska rozpięła kurtkę i zrzuciła ją z ramion, po czym rozejrzała się za wieszakiem. Nie znalazła, więc ostrożnie położyła kurtkę na skrzyni nakrytej czerwonym kilimem, domyślając się w niej czegoś w rodzaju schowka na płaszcze, wyjątkowo mało praktycznego. Technik i towarzyszący im policjant poszli jej śladem.

– Pani tu była? Od śmierci męża? – zapytała Mirska, wciągając na dłonie rękawiczki i wchodząc do pokoju denata.

Zawistowska wzruszyła ramionami.

Gabinet jej męża wyglądał zupełnie inaczej niż reszta domu, urządzana widać przez gospodynię. Mirska od razu poczuła się tu znacznie swobodnej. W gabinecie przy wszystkich ścianach stały wysokie do sufitu ciemne regały, uginające się pod ciężarem książek i porządnie oprawionych kserówek. W jednym z regałów zamontowano barek. Na środku pokoju stało wielkie biurko na wysoki połysk, z pięcioma szufladami i zamkniętym laptopem na blacie. W oknach wisiały ciężkie, grube zasłony, a pod jednym z nich rozpierał się fotel obity zielonym pluszem. Jak w angielskich filmach o klasie wyższej. Brakowało tylko portretu przodka z szablą u boku, względnie jakiejś grafiki Grottgera na honorowym miejscu. Albo portretu Marszałka. Do wyboru.

Cel pierwszy – biurko. Jeśli faktycznie Zawistowski został zabity z powodów służbowych, to należało przypuszczać, że miał coś w domu. Świadczyła o tym choćby próba włamania, nieudana co prawda, ale jednak próba.

– Przejdziemy się po sąsiadach – oznajmił policjant z komendy na Wilczej. Jemu i jego koledze udało się w końcu wyswobodzić z foteli i zajrzeli do gabinetu. – Popytamy, czy nikt nie widział jakiegoś podejrzanego indywiduum.

– Popytajcie. – Sierżant skinęła głową i zwróciła się do Zawistowskiej: – Czy mąż trzymał tu jakieś służbowe dokumenty?

Zawistowska znowu wzruszyła ramionami. Chyba jej małżeństwo

z profesorem archeologii nie było szczególnie udane. Choć równie dobrze mogło być bardzo udane, tylko każde z nich lubiło dystans. Bywa.

Mirska podeszła do biurka i przyjrzała się zamkniętemu laptopowi. W dzisiejszych czasach ludzie na dyskach przechowują całe swoje życie. Nie w szufladach, tylko właśnie na gigabajtach dysku twardego.

– Zajmiesz się tym? – zwróciła się do technika, który spojrzał na nią tak, jakby wyrosła jej co najmniej druga głowa.

– Zwariowała pani? Takie rzeczy robi się w firmie, nie na miejscu. Poza tym to nie moja działka.

– Proszę. – Mirska uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała. – Muszę wiedzieć, co tam miał.

Technik pokręcił głową i popukał się w czoło, na co Zawistowska oderwała się od futryny, o którą się dotąd opierała, weszła do gabinetu i wskazała na laptop.

– Przepraszam, a może ja go po prostu włączę? – zaproponowała.
– Znam hasło, Tadeusz wszędzie używał tego samego. Myślał, że tego nie wiem.

Mirska i technik popatrzyli na siebie. Technik uniósł dłonie, sygnalizując, że on się od tego odcina i to w ogóle nie jest jego pomysł. Iga błyskawicznie podjęła decyzję.

– Pani włącza – powiedziała stanowczo. – W końcu mogła go pani włączyć przed naszym przyjściem.

Zawistowska otworzyła komputer, wcisnęła klawisz zasilania i po chwili laptop rozjaśnił się. Mignął logotyp Windowsa i pojawił się niebieski ekran logowania. Zawistowska pochyliła się, ukazując nieco więcej dekoltu, niż zamierzała, i wpisała hasło.

– Jakby co, to pani się będzie z tego tłumaczyć, pani sierżant – mruknął technik, nie odrywając wzroku od dekoltu wdowy.

Mirska wzruszyła ramionami. Proszę bardzo, może się tłumaczyć.

– Już – powiedziała Zawistowska, prostując się. – Hasło to Mediolan313, wielką literą, od edyktu mediolańskiego. Zboczenie zawodowe męża – dorzuciła usprawiedliwiająco.

– Dziękuję. – Mirska wskazała technikowi fotel przed

komputerem, sama zaś zajęła się szufladami.

Umundurowany policjant przeglądał książki na półkach i sprawdzał, czy nic się za nimi nie kryło.

Zawistowska wycofała się pod drzwi gabinetu, skąd obserwowała ich w milczeniu. Po chwili zaproponowała kawę albo herbatę, ale grzecznie odmówili. Udała się więc do kuchni i zrobiła kawę tylko sobie. Wróciła na próg gabinetu z filiżanką w dłoni; do środka nie weszła.

– Często bywała pani w gabinecie męża? – zapytała Mirska jakby mimochodem, kartkując plik pożółkłych, zadrukowanych stron; chyba czyjaś stara praca naukowa, bez strony tytułowej i nazwiska autora.

Zawistowska potrząsnęła głową.

– Prawie nigdy – odparła niechętnie. – Tadeusz nie lubił, kiedy tu wchodziłam. To znaczy – poprawiła się, bo Mirska rzuciła jej uważne spojrzenie – prawie nigdy nie wchodziłam, bo mam własną pracownię, wie pani, ilustruję książki; też nie lubiłam, kiedy Tadeusz tam wchodził. Mieliśmy zasadę, że to były nasze prywatne strefy. Rozumie pani, o czym mówię?

Iga przytaknęła, choć w gruncie rzeczy wcale nie wiedziała. U nich w domu nie było prywatnych stref, każdy wchodził wszędzie. Wiedziała za to, że Zawistowski nie był osobą łatwą do współżycia, zarówno służbowo, jak i prywatnie.

Notatki do zajęć, notatki do spotkań z dziekanem, notatki z zajęć, rad wydziału i szkoleń. Wszystko w normie, Mirska doskonale знаła ten typ dokumentów – mniej więcej połowa mieszkania przy Noakowskiego od lat tonęła w czymś takim. Notatki z zajęć i nudnych rad wydziału różniły się od innych tym, że znajdowały się na nich urywki zdań, głupie słówka i abstrakcyjne szkice, które powstawały wtedy, kiedy studenci podczas referatów pletli bzdury, a z kolei kochani koledzy na radach nudzili jak na spotkaniach partyjnych. Na razie nic, za co można by zabić.

– Aaaa... pan komisarz nie mógł przyjechać? – zapytała zniechęta Zawistowska.

– Nie mógł – odparła Mirska, siedząc po turecku na podłodze

i przeglądając teczkę z rachunkami. – Niestety zatrzymały go inne obowiązki.

Rodzicielskie – jednak też obowiązki.

– No cóż... – Zawistowska westchnęła lekko. – Może jednak się państwo czegoś napiją?

– Nie, dziękujemy.

– Ale może jednak? – W głosie Zawistowskiej Iga wyczuła nacisk. Podniosła wzrok znad rachunków. Żona denata patrzyła na nią znacząco i wskazała głową kuchnię.

Mirska zawahała się przez moment, ale wstała z podłogi.

– Nie przeszkadzajcie sobie – rzuciła do technika i policjanta. Jeden przewrócił oczami, drugi uśmiechnął się pod nosem. Baby i ich wycieczki parami, nieważne, czy do kibla, czy do kuchni.

Nie wypuszczając z rąk teczek z rachunkami, Mirska podążyła za gospodynią. Z bliska Julia Zawistowska wyglądała gorzej. Twarz miała jakby obrzękniętą od nadmiaru wody w organizmie. Pod makijażem próbowała ukryć zmarszczki, choć te na czole i wokół ust były zbyt głębokie. Z daleka wyglądała na góra trzydzieści lat, z bliska zyskiwała dobre dziesięć.

– Pani długo pracuje z Jackiem? – zapytała bez ogródek, kiedy znalazły się same w kuchni.

Mirska poczuła zniecierpliwienie. Zamiast pozyskiwać informacje o denacie, ma rozmawiać o własnym szefie, super.

– Nie wiem, o czym pani mówi – odparła chłodno.

– Po prostu pytam, czy długo razem pracujecie. – Zawistowska machnęła ręką i uśmiechnęła się. I zrobiła się całkiem ładna. – Wie pani, kiedyś Jacek w ogóle nie chciał nawet słyszeć o pracy z jakąś kobietą... Bo pani wie, że my się kiedyś znaliśmy, prawda?

Mirska popatrzyła na nią z nieukrywaną niechęcią. Mąż tej kobiety został zaciukany i jeszcze nawet nie było pogrzebu, a ta już zaczyna rozpytywać o komisarza. Poderwać go chce czy co? Fantastycznie, po prostu fantastycznie.

– Wiem.

– No właśnie. – Zawistowska odwróciła się i nalała wody do elektrycznego czajnika. – Widzi pani, Tadeusz był do niego trochę

podobny. To znaczy, jeśli chodzi o zaufanie w pracy – dodała szybko. – Mało komu ufał. Ja wiem, że policjanta i archeologa ciężko porównywać, no ale mimo wszystko... – Pani domu postawiła napełniony czajnik na podstawce i przytknęła guzikiem. – Dlatego może by to pani lepiej zrozumiała, gdyby dłużej pani z Jackiem...

– Przepraszam, ale nie wiem, co pani ma na myśli. – Mirska oparła się biodrem o szafkę, ustawiając stopy w piątej pozycji baletowej, jej ulubionej, czyli skrzyżowane i skierowane na zewnątrz. – O co pani właściwie chodzi?

Zawistowska westchnęła ciężko i odwróciła się do Mirskiej.

– Proszę panią, żeby pani mi powiedziała, jak kobieta kobiecie, a nie policja – podkreśliła – kogo podejrzewacie o zabójstwo mojego męża.

Iga pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie mogę pani udzielić takich informacji – odparła. – Niech się pani zwróci do oficera prowadzącego albo do prokuratora bezpośrednio.

Zawistowska prychnęła.

– Pani sierżant, ja rozmawiam z panią, bo pani mnie na pewno zrozumie. Widzi pani, nie poruszę tego tematu z Jackiem... znaczy komisarzem Budrysem. Głupio mi trochę, a z panią to tak jakoś łatwiej, bo pani jest kobietą. Chodzi o to, że ja doskonale wiem, że mój mąż nie był święty – powiedziała, ścisząc nieco głos. – Był... był sukinsynem, to fakt. Nie dla mnie, to znaczy nie żeby był agresywny czy coś. Ale widziałam przecież, jak rządził tymi biednymi chłopakami od niego z zakładu. To był kawał cholery, może i owszem, tyle że on naprawdę na swój sposób o wszystkich dbał. Nie zasługiwał, żeby umrzeć, a już na pewno nie w taki sposób... – Głos Zawistowskiej załamał się nieco, szybko jednak odzyskała równowagę. – Tadeusz był mi bardzo bliski. Nie żadna tam pasja, ale mieliśmy do siebie zaufanie, byliśmy partnerami. Tak jak pani i Jacek, znaczy komisarz Budryś. Gdyby pani znalazła się na moim miejscu i gdyby to Jacka ktoś zabił, to na pewno też chciałaby pani sprawiedliwości, prawda? Dlatego chciałam panią poprosić o to, żebyście potraktowali sprawcę, jak go już

znajdziecie... *adekwatnie*.

Mirska słuchała jej bez słowa. Zrozumiała intencje, ale nie miała ochoty wchodzić z nią w dyskusje na temat sprawiedliwości i adekwatności. Była dziwnie pewna, że zupełnie inaczej rozumiały te pojęcia.

– Co to znaczy: „rządził chłopakami z zakładu”? – zapytała, pomijając całkowicie drugą część wywodu Zawistowskiej.

– Wie pani, rozstawiał ich po kątach, mówił „skacz”, a oni skakali. – Czajnik od dłuższej chwili bulgotał coraz głośniej, w końcu się wyłączył, a Zawistowska odwróciła się i sięgnęła do szafki po filiżanki. – Z drugiej strony, sami na to pozwalali. A wracając do tematu...

Mirska przestała jej słuchać i bez słowa przełożyła kilka kartek w teczkę z rachunkami. Nagle zapaliła jej się lampka w głowie; cofnęła się o dwie kartki.

Między rachunkami za światło mignął jej rachunek do umowy-zlecenia. Wystawiony na samego Zawistowskiego przez firmę, która, sądząc po występowaniu w nazwie liter „b”, „d” i „u”, zajmowała się czymś budowlanym. Zastanowiła ją jednak data na rachunku, grudniowa. A jeszcze mieli listopad.

– Chce pani rzucić okiem na zawartość kompa? – Do kuchni zajrzał technik. – Czy może zmieniła pani zdanie i jednak woli w fabryce, jak normalny człowiek?

Mirska chciała rzucić okiem, więc podążyła za technikiem do gabinetu. Usiadła przy biurku i skupiła się na ekranie laptopa. Jeden dysk, drugi, folder, drugi, trzeci, nazwy z kosmosu chyba wzięte, Chryste, zanim się przegrzebią przez te dane, to będą święta...

– Ten folder jest zaszyfrowany – mruknęła, próbując otworzyć plik wybrany na chybił trafił. Technik przysunął sobie laptop i coś wklepał do komputera.

– Betka – rzucił z lekceważeniem. – Dla laika trudność, dla specy betka – dodał, żeby nie było wątpliwości, do jakiej kategorii on się zalicza. – Ma pani szczęście, pani sierżant, że mnie tu z panią wysłano.

Zawistowska znów pojawiła się w progu gabinetu, z tacą zastawioną filiżankami z herbatą.

Mirska przeglądała zawartość zaszyfrowanego jeszcze przed chwilą folderu.

– Pani nie jest archeologiem, prawda? – zapytała nagle głośno.

Zawistowska roześmiała się nieco wymuszenie, przekładając filiżanki z tacy na skraj biurka.

– Nie – odparła. – Jestem po historii sztuki, ilustruję książki dla dzieci. Ale byłam żoną Tadeusza prawie dziesięć lat, więc to niemal tak, jakbym była archeologiem.

– A wie pani, czym są badania inwestycyjne?

Mirskiej zawsze dobrze myślało się podczas biegania. Na początku zawsze starała się wyłączyć oraz skupić na równym kroku i zgraniu go z oddechem, ale potem, kiedy już złapała rytm i jej ciało biegło samo, oddawała się rozmyślaniom. W zasadzie o wszystkim, a najczęściej o pracy.

Lubiła biegać rano, bo to świetnie budziło. Czasem jednak, kiedy miała coś szczególnie ważnego do przemyślenia, robiła przebieżkę także i wieczorem. Równie dobrym pomysłem byłby wieczorny trening na siłowni, ale biegi były prostsze do ogarnięcia. Nie bała się biegać po nocy, bo samoobronę miała opanowaną na niezłym poziomie.

W piątkowy wieczór też uznała, że to niezła pora na bieg, zanim jednak zdążyła się przebrać, wydzwonił ją jej poprzedni szef.

– No helo! pani pałacowa! – huknął jej prosto do ucha, kiedy odebrała telefon.

Uśmiechnęła się szeroko i wstała z kanapy, na której zazwyczaj pracowała. Zrobiła dwa kroki i stanęła przy drzwiach balkonowych – jedyną zaletą peerelowskich mieszkań było to, że do każdego kąta było blisko.

– Czołem, Wilku – rzuciła. Poprzedni szef był zupełnie w porządku. Zresztą cała poprzednia ekipa była niezła. Co do swojego nowego zespołu, to jeszcze nie zdążyła sobie do końca wyrobić zdania. – Co tam u was słychać? – zapytała, odsuwając na

bok firankę. Okna mieszkania wychodziły na klimatyczny skwerek tuż obok śmietnika, ulubione miejsce spotkań okolicznej elity. To tu toczyło się życie towarzyskie osiedla, niezależnie od pogody i pory roku kolejne Zdzichy próbowały naciągnąć kolejnych Janków na kolejne wina marki wino, w ostateczności na browarka będącego w promocji w osiedlowej Małpce, Żabce czy innym odzwierzęcym sklepie. Teraz też, na starych krzesłach, które ktoś kiedyś wyrzucił na śmietnik, a które stanowiły umeblowanie tego ekskluzywnego salonu, siedziało dwóch gości, którzy gromkimi głosami usiłowali przekonać się nawzajem co do sensu życia.

– Po staremu, po staremu. – Wilku miał szampański humor. – Byliśmy wczoraj na zetkaesie, poza tym nasz kibic poszedł robić dziesionę tam gdzie zwykle i się chłop zdziwił, jak czekaliśmy na niego przy wyjściu, dasz wiarę? – Mirska uśmiechnęła się do siebie. Kibic był ich stałym klientem, fanem Hutnika Warszawa; niespecjalnie grzeszył rozumem i wciąż z uporem próbował obrobić jeden lokal. Jeden. Zetkaesu nie żałowała, Budryś w końcu też jej urządził ćwiczenia strzelnicze, tylko w innej części miasta. – No, ale słuchaj, to raczej ty się powinnaś spowiadać. Jak tam w pałacu, nie zajechali cię jeszcze?

– Zajebicie – odparła.

Głosy filozofów spod śmietnika przybrały na sile i nawet zastanowiła się przelotnie, czy to aby nie moment na wezwanie straży miejskiej. Przecież nie będzie wyskakiwała do nich ze swoją odznaką.

– Na razie zaczynam, ale wiesz, już teraz mamy dwie naprawdę duże sprawy.

– Jasne. – Wilku westchnął jakby z lekką zawiścią. – Ciebie to zawsze ciągnęło do takich bardziej. W końcu jeszcze do Szczytna pojedziesz.

Filozofowie nagle padli sobie w ramiona, widocznie doszli do wspólnych wniosków, a Mirska opuściła firankę i roześmiała się głośno.

– Wilku, dobrze wiesz, że tam to mnie akurat nie ciągnie.

– Teraz tak mówisz. Ale słuchaj, Szczytno-srytno, ja w ogóle

dzwonię w innej sprawie – ożywił się nieco. – Siedzimy u Edka, kojarzysz Edka, nie? No więc Edek się chajta, dasz wiarę? Więc wpadnij, dzisiaj świętujemy, to blisko ciebie jest, na Krasnobrodzkiej, potem może na jakieś balety byśmy skoczyli, co? Uczymy od razu twój pierwszy tydzień wśród elity.

Iga nie dała się długo przekonywać. Bez wielkiego żalu zrezygnowała z wieczornego biegu, uznając, że balety ze kumplami są nawet lepszym pomysłem. Wilku miał rację, po tygodniu w nowym miejscu należała się jej jakaś nagroda. Niewątpliwym plusem spotkań z chłopakami było to, że mogła pójść jak stała, w dżinsach, bluzie i wygodnych butach.

Kiedy wyszła z bloku, po śmietnikowych myślicielach pozostały tylko puste flaszki. Mirska pokręciła głową i ruszyła z buta, zerkając na adres zapisany na ręku. Od niej z Kondratowicza do Krasnobrodzkiej był kawałek spacerem, więc po drodze zajrzała jeszcze do monopolowego po flaszkę. Nie wypadało przychodzić z pustymi rękami na imprezę zaręczynową Edka, choć wiedziała, że chłopaki na pewno zadbali o zaopatrzenie.

Edek mieszkał w jednym z mrówkowców na Bródnie. Z dziesięć klatek schodowych, dwanaście pięter, co najmniej dziewięćset mieszkań, lekko licząc tysiąc osiemset dusz ludzkich. Mniej więcej tyle co jedna większa wieś, w sam raz dla Gogola. Z butelką w kieszeni kurtki wbiła kod do drzwi klatki schodowej, który Wilku podał jej wcześniej przez telefon. Weszła po kilku schodkach i wcisnęła guzik windy. Coś zgrzytnęło w szybie i jeden z dwóch dźwigów rozpoczął powolny zjazd na parter. Tymczasem szczęknęły drzwi na klatkę.

– Stary, co mi po twojej kasie! Jak mam ci podać hasło do jego kompa, skoro go nie znam! – powiedziała jedna z wchodzących do bloku osób. Mirska odruchowo zerknęła w stronę wejścia i ku swemu zaskoczeniu ujrzała Tadka Borówkę i Pawła Matejkę, co gorsza w towarzystwie psa rasy bokser, puszczonego luzem, bez smyczy. Serce natychmiast szybciej jej zabiło, dłonie zwilgotniały. Cała trójka ruszyła po schodkach w stronę wind i wówczas oni również ją dostrzegli. Byli tak samo zaskoczeni jej widokiem, jak ona ich.

– O, pani sierżant. – Matejko szybko ukrył zdumienie i skinął jej głową, stając obok. – Dobry wieczór.

Mirska popatrzyła na psa, modląc się, żeby tylko do niej nie podszedł. Niestety, bokser właśnie zaczął ją obwąchiwać; zeszywniała. Poczowała nagłe uderzenie gorąca, w głowie jej się zakręciło. Uświadomiła sobie, że nad górną wargą wystąpił jej pot.

Borówka chyba dostrzegł jej reakcję, bo gwizdnął cicho i bokser posłusznie wrócił do jego nogi.

– Pani do nas...? – zapytał z lekkim wahaniem, kołysząc wiszącymi na palcu kluczami z breloczkiem w kształcie liścia.

Mirska pokręciła głową; nie odrywała wzroku od psa i nie była w stanie wykrztusić ani słowa przez zaciśnięte gardło. Archeolodzy też milczeli, choć najwyraźniej przerwali jakąś ważną dla nich rozmowę.

Kabina w końcu zjechała. Matejko otworzył ciężkie drzwi i przytrzymał je, zapraszając Mirską gestem. Iga wciąż wpatrywała się w psa – tutaj, na korytarzu, jeszcze mogła obok tej bestii stać. Ale dać się zamknąć w klatce o wymiarach metr na półtora? Nie było takiej siły, która by ją do tego zmusiła.

– Nie, dziękuję – wydusiła z siebie z trudem. – Pojadę następną.

Matejko spojrzął na Borówkę. Ten wzruszył ramionami i wsiadł do windy razem z psem. Matejko zawahał się jeszcze i zerknął na Mirską, upewniając się, że naprawdę nie chce z nimi jechać. Nie chciała, odsunęła się krok w tył i potrząsnęła głową.

– No cóż, to w takim razie... udanego weekendu życzę – powiedział i wszedł do windy. Metalowe drzwi zamknęły się i kabina pojechała w górę.

Mirska odetchnęła. Naprawdę nie lubiła psów. Dotąd nie było to aż takim problemem, nawet w pracy udawało się z tym jakoś prześlizgiwać, więc chyba nikt się nie zorientował. Szczerze liczyła na to, że i teraz da radę, nie aplikowała przecież na przewodnika psa, w ich zespole psów nie było, poza, rzecz jasna, Panem Longinusem młodej Budrysiówny. Ale dwa razy w ciągu jednego dnia mieć tak bliskie spotkanie z tymi potworami? To było stanowczo za dużo!

Przyjechała druga winda, na szczęście pusta. Jadąc na piąte piętro, Mirska przypomniała sobie, co Borówka mówił Matejce, kiedy wchodzili do klatki, zanim zorientowali się, że ona tam stoi. Coś o kasie. I o haśle do komputera.

Matejko widać chciał się dostać do jakiegoś komputera, pewnie Zawistowskiego. Ciekawe, na czym mu tak zależało, że był gotów za to płacić. Zresztą, ciekawe również, na jakim komputerze tak mu zależało, może na tym domowym. Może to jego przepłoszyła Zawistowska, wracając wcześniej do domu.

Przypomniała sobie dokumenty, na które natknęła się w gabinecie Zawistowskiego. Słusznie mówiła jego druga żona, nie był on święty... Pomyślała, że nie ma co czekać do poniedziałku. Coś było na rzeczy i należało kuć żelazo, póki gorące. Tylko co tu zrobić, kiedy Budryś miał ważniejsze sprawy.

Sięgnęła do kieszeni džinsów po zgniecioną karteczkę z dwoma numerami telefonów, którą wcisnął jej Szefu przed wyjściem. Marcin i Artur.

Zanim zadzwoniła do drzwi mieszkania Edka, zatelefonowała do jedynej osoby, która do tej pory wydawała jej się normalna.

Marylka naprawdę okazał się normalny. Kiedy Mirska zadzwoniła do niego w piątek późnym wieczorem i wyłuszczyła, o co jej chodzi, najpierw przez chwilę milczał, a potem podał jej adres. Ulica Akantu, tuż obok dawnego lotniska wojskowego w Babcicach. Na Boernerowie. Na Bemowie. Mirskiej zawsze myliły się północno-zachodnie części miasta. W końcu była ze Śródmieścia, jej wiedza o północy Warszawy obejmowała głównie Żoliborz i Bielany.

Piętnaście po jedenastej w sobotę, o dziwo bez większego kaca, stała w wąskiej uliczce, przed bliźniakiem, który w tej okolicy był chyba jednym ze starszych. Przylepiony do domu garaż ze zjazdem, nad nim sprytnie ulokowany pokój mieszkalny, na dachu duży taras. Przed wejściem rośło rachityczne drzewko. Od strony ulicy posesja wydawała się niewielka, ale Mirska wiedziała, że to może być zwodnicze. Prawdziwy ogródek pewnie był z tyłu.

Zdecydowanym ruchem przycisnęła dzwonek przy furtce. Po

chwili rozległo się ciche brzęknięcie. Iga pchnęła furtkę i ruszyła w stronę drzwi wejściowych, które już otwierał skwaszony starszy pan.

– Dzień dobry, Iga Mirska, byłam umówiona z Arturem – przywitała się grzecznie.

Mężczyzna przyjrzał się jej krytycznie.

– No, do Marty Mirskiej to ty w ogóle nie jesteś podobna, ty wyglądasz jak Żydówka. Tym lepiej dla ciebie, bo ona na starość okropna się zrobiła. – Westchnął, otwierając szerzej drzwi i wpuszczając ją do środka. – Ty to bardziej jak Koterbska wyglądasz.

Zanim Iga zdążyła wyjaśnić, że między nią a słynnymi powojennymi piosenkarkami nie ma żadnego pokrewieństwa, starszy pan z hukiem zatrzaskał za nią drzwi i pokierował ją do dużego pokoju, urządzonego w stylu lat dziewięćdziesiątych. Tam, przy niemiłosiernie piszczącym magnetofonie, który zarzynał właśnie kasetę z Czajkowskim, ruda dziewczynka w wieku młodszym nastoletnim usiłowała ćwiczyć balet. A dokładniej *petit changement de pied*, w dodatku przy złym ustawieniu stóp, co Iga wyłapała momentalnie. Jak w ogóle można było robić *changement* bez zamiany stóp?!

– Proszę, to nasza primabaleron, Ola – rzucił starszy pan drwiąco.

Dziewczynka, czerwona na twarzy z wysiłku, z uporem próbowała chwiejnych skoków.

– Przy *petit changement* najpierw robisz *plié* w piątej pozycji stóp – nie wytrzymała Mirska, obserwując wysiłki młodocianej tancerki. Jej nieudolność fizycznie sprawiała Idze ból. – Potem wybijasz się do góry. Wiesz, co w ogóle znaczy *changement*? – zapytała z lekkim niepokojem w głosie. Zarumienione dziewczę pokręciło głową. – Zmiana. Przy wybiciu z przodu jest prawa noga, w powietrzu zamieniasz i lądujesz z lewą stopą z przodu, rozumiesz?

Dziewczynka skinęła głową i spróbowała zastosować się do wskazówek Mirskiej, wysuwając z przejęcia koniuszek języka. Iga z trudem powstrzymała się przed uwagą, że zaraz sobie język w ten sposób przygryzie. W końcu to nie jej broszka. Ani jej język.

Tym razem skok i zamiana nóg zostały znacznie lepiej wykonane.

– Stopy bardziej na zewnątrz skieruj – dodała Mirska, uważnie obserwując ruchy nóg dziewczynki w jadowicie zielonych legginsach. – Zupełnie równolegle do siebie, rozumiesz? Skrzyżuj, ugnij, a potem wybij się. O, właśnie.

– A pani to się na tych tańcach niby zna? – Starszy pan łypnął podejrzliwie okiem. – Jakież kursa pani kończyła, że się tak dzieciakiem rządzi?

Mirska otworzyła usta, żeby wyjaśnić upierdliwemu staruszkowi, jakie to kursa kończyła, ale ponownie ugryzła się w język. Prawie dosłownie. Głupio byłoby objechać ojca Marylki, w dodatku w ich domu. Dziewczynka jednak naprawdę powinna popracować nad postawą, głównie dlatego, żeby samej sobie nie zrobić krzywdy. Nie było nic gorszego niż nabycie złych nawyków; wyplenienie ich później było koszmarem. Choć zawodową baleriną aspirująca tancerka i tak raczej nie zostanie.

Zanim jednak zdecydowała się coś powiedzieć, za jej plecami rozległ się odgłos stóp zbiegających po schodach i do pokoju wpadł Artur z kurtką w ręce.

– Niech fater szanowny da jej szpas – powiedział stanowczo i mrugnął do Mirskiej. – Dobra, możemy się zawijać.

– Szpas, szpas – zaczął gderać starszy pan, podchodząc do jednego z wysłużonych foteli i siadając na nim z rozmachem; mebel zatrzeszczał ostrzegawczo. – Jak ja mam spokój mieć, jak przychodzą obce jak do siebie, rzucają czymś mądrym, a potem żądają grubej kasy za konsultację, jak mówią!

– Fater! – Marylka rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, po czym zwrócił się do córki: – Jak twój brat będzie chciał wykorzystać moją nieobecność, to przypomnij miglancowi, że ma ślaban do odwołania.

W oku nastoletniej gwiazdy baletu błysnęło. Najwyraźniej miała z bratem na pieńku i zamierzała wykorzystać jego karę do własnych celów. Mirska z trudem ukryła uśmiech, bo doskonale ją rozumiała, kilkanaście lat temu błyskało jej w oku dokładnie tak samo.

– No. – Marylka uznał, że front domowy został opanowany.

Odwrócił się do Igi i z szerokim uśmiechem na twarzy wskazał jej drzwi wejściowe.

Mirska pożegnała się – starszy pan pokiwał tylko ręką ze zniecierpliwieniem, Ola za to wykonała nawet całkiem niezłe *changement* – i ruszyła we wskazanym kierunku.

Czarny opel astra Marylki stał przed posesją, tuż obok furtki. Najwyraźniej jego właściciel uznał, że nie opłaca mu się użytkować garażu zgodnie z przeznaczeniem.

– Wybacz za mojego teścia i jego bukiety, w sensie nieprzyjemności – powiedział komisarz, kiedy ruszyli spod domu. – Jest byłym wojskowym i nie może żyć bez zrzędzenia.

– Nie ma sprawy. – Mirska uśmiechnęła się, myśląc jednocześnie, że taki teść bardziej by pasował do Budrysia niż do Marylki.

– A tak swoją drogą, to nie nawijałaś z kitem o tych baletach? – Artur zerknął na nią. – Skąd się znasz na tańcach majstrowańcach?

Mirska patrzyła przez przednią szybę na ulice Bemowa. Boernerowa. Wszystko jedno.

– Kiedyś tańczyłam – odparła po prostu. – Prawie zawodowo.

– Prawie? – Marylka uniósł jedną brew i poruszył zabawnie wąsami. – A dlaczego kiedyś? Bo wiesz, mimo wszystko trochę tańcom daleko do krawężnikowania, pieniądze to nie jest, więc zamiana z letka dziwna – powiedział ostrożnie.

– Wypadek samochodowy – stwierdziła krótko Mirska.

– No ale żeby od tańcowań tak do glinowa przejść?

– Normalnie. – Iga wzruszyła ramionami. – Po wypadku miałam problem z kręgosłupem, balet był dla mnie skończony, ale policja na szczęście przyjmuje łamagi – zażartowała.

Wypadek okazał się punktem zwrotnym w jej życiu. Mimo stosunkowo niskiego wzrostu była naprawdę niezłą. Na scenie czuła się fantastycznie, miała już za sobą występy w różnych produkcjach, przed sobą pewny angaż do *corps de ballet* Polskiego Baletu Narodowego. Wszystko było tak ładnie poukładane. A potem, tuż przed egzaminami kończącymi szkołę baletową, zdarzył się ten głupi wypadek, którego w ogóle nie pamiętała. Tylko moment, kiedy wsiadały z siostrą do samochodu. A potem obudziła się w szpitalu,

nie czując nóg. I tak jej kariera baleriny skończyła się, zanim się na dobre zaczęła. Truli jej co prawda, że jeśli się przyłoży i poświęci, to może wróci do baletu. Nie miałyby szans na bycie solistką, ale do *corps de ballet* mogłaby się załapać, a może i na koryfejkę by się udało kiedyś wskoczyć, jakby miała dużo szczęścia. Może. Jednak pozostawanie przez cały czas w tle niespecjalnie jej odpowiadało i wtedy, ku rozpaczy rodziny, pojawił się pomysł z policją. Oba zawody były przewrotnie podobne – wymagały zaangażowania, dyscypliny i gotowości do tańczenia tak, jak zagrają inni. Na szczęście poza tymi kilkoma wspólnymi punktami policja była dokładną odwrotnością baletu, a tego właśnie jej było trzeba.

– Olka wymyśliła sobie te swoje tańce, więc łamaga czy nie, rzucisz na nią ślipiem, czy głupot nie robi – zdecydował Marylka, nie drążąc tematu głębiej. – A już teraz tak kunkretnie, to na co jadziemy, Muminku sianowny?

– Na Grójec. – Mirska wydobyła z kieszeni wydruk z Google Maps, o który zadbała nad ranem, kiedy wróciła z baletów z chłopakami. – A potem od Grójca w bok, Wilczoruda Parcela, czymkolwiek to jest. W ogóle wielkie dzięki, że się zgodziłeś robić za kierowcę.

– Szpas. – Marylka wzruszył ramionami. – Budryś uprzedzał, że możesz zawracać dupę... tego... coś chcieć. A swoją drogą, chiba masz prawo jazdy tak w ogóle, nie?

– Mam. Tylko samochodu nie mam.

Wobec niepodważalnego faktu, że to on siedział za kierownicą, Marylka uznał, że ma pełną dowolność w kwestii dojazdu do Wilczorudy Parceli, która w papierowym atlasie była zaznaczona jedynie z nazwy. Wybrał zatem nieco mniej uczęszczaną trasę i pojechał na Grodzisk Mazowiecki i Radziejowice. Za Karolewem skręcił w wąską asfaltową drogę wiodącą przez mieszany las. W końcu zatrzymał się przed niewielką zaporą na rzece o nazwie Jeziorka i wyłączył silnik, a następnie wysiadł z samochodu.

– No i co teraz? – zapytał i odetchnął głęboko, bo powietrze było tu jakby inne.

Mirska również wysiadła.

Rzeczka może i była niewielka, ale szumiała zaskakująco głośno.

Gdzieś darły się jakieś ptaki, choć była przecież połowa listopada. Okoliczne drzewa potraciły już co prawda liście, ale mimo to było naprawdę pięknie. Mirska podeszła do zapory i spojrzała na wodę, zaskakująco czystą. Dotąd była przekonana, że w kraju nie ma już czystej wody, zwłaszcza w stosunkowo niewielkiej odległości do stolicy. Latem musiało tu być całkiem fajnie.

– To chyba resztki przedwojennego młyna – powiedziała niepewnie, wskazując na stary jaz. – Podobno młynarz pomagał partyzantom. A po powstaniu warszawskim także uciekającej ludności.

– Dobry chłop z tego młynarza. – Marylka również podeszedł do zapory. – A skąd ty to właściwie wiesz, he?

– Lubię sobie wszystko zaplanować, więc wczoraj pogrzebałam trochę w internecie. I siostra mi czytała z przewodnika po Mazowszu. – Nie dodała, że kiedy zadzwoniła do Ulki dzisiaj z samego rana z żądaniem sprawdzenia wszystkich informacji o rejonie od Grójca na zachód, siostra ją najpierw zwymyślała, potem zażądała wyjaśnień i kiedy usłyszała, że Idze jest to potrzebne do wizji lokalnej, uparła się, że sama ją zawiezie. Wyperswadowanie jej tego pomysłu było, jak zwykle, sporym problemem. Niestety, Ulka była podręczną rodzinną biblioteką, zajmowała się architekturą dworską na Mazowszu i tematycznych publikacji miała co niemiara.

– Tylko gdzie tu te twoje archeologi? – Marylka podrapał się za uchem. – Co, w wodzie kopali? A może mają tu jakąś głuchą chawirę, co? Wakacje w głuszy, nawet bym się cekinów tu mógł pozbywać bez żalu. – Przeciągnął się leniwie. Faktycznie, miejsce na letni wypoczynek wydawało się wymarzone.

Mirska wróciła do samochodu i sięgnęła na deskę rozdzielczą, na którą rzuciła wcześniej swoje wydruki z Googli. Wyglądając pogniecione kartki, wróciła do Artura.

– Nie wiem, czy w wodzie kopali, być może – powiedziała, przeglądając notatki na odwrocie wydruków. – Wiesz, że Grójec jest jedną z najstarszych osad na południowym Mazowszu? Podobno ślady pochodzą z siódmego wieku pene.

– No co ty nie powiesz – zdumiał się Marylka. Podniósł z ziemi kamyk i cisnął do wody.

– No – potwierdziła Mirska, czytając pobieżnie wczorajsze zapiski.
– W jedenastym wieku naszej ery był z tego Grójca gród kasztelański z archidiakonatem. Może tu też coś było, licho wie. W każdym razie – podniosła wzrok znad kartki – według dokumentów, jakie wygrzebałam wczoraj u Zawistowskich, właśnie teraz trwają tu badania inwestycyjne. To znaczy, że powinna tu siedzieć grupa archeologów, którzy powinni grzebać w ziemi, bo ktoś na przykład chce coś budować i trzeba stanowisko szybko przebadać, żeby nie było kichy, że rozwalają relikty przeszłości. Ich odwrotnością są wykopaliska ratunkowe, to znaczy, że ktoś coś zaczął i w trakcie prac zaczęły wyłazić zabytki. Albo że same z siebie zaczęły wyłazić, a miejscowa ludność na przykład chce je rozgrabić. Albo coś.

– Nie wiem jak ty, ale ja tu żadnej miejscowej ludności nie widzę – mruknął Marylka. – I naprawdę nie czuję, czego mogliby tu szukać archeolodzy. Resztek tego młyna? Ktoś chce w niego inwestować czy jak? Że to jakaś moda eko?

– Nie mam pojęcia. – Mirska westchnęła i zapatrzyła się w wodę.

– A państwo tu czego? – zapytał ktoś nagle za ich plecami. Oboje obrócili się jak na ćwiczeniach, równocześnie i przez prawe ramię.

Przed nimi stała kobieta w dojrzałym wieku, z rękami wbitymi w kieszenie czarnej kufajki. Przyglądała się im ciekawie, jakby byli co najmniej przybyszami z obcej planety. W ogóle nie słyszeli, kiedy do nich podeszła. Pewnie przez tę wodę, której szum zagłuszał wszystkie dźwięki poza wrzaskiem ptaków.

– Może wy w sprawie wynajmu pokoju? – W oku kobiety błysnęła nadzieja. – W zasadzie już po sezonie, to spuszczę z ceny, okolica zacna, żeby – zerknęła na warszawskie tablice samochodu Madyjaka – odpocząć od wielkiego miasta.

– A o jaką kwotę by się tu rozchodziło? – zapytał rzeczowo komisarz, który najwyraźniej miał ochotę przyjechać prywatnie.

Kobieta spojrzała na niego przychylniej.

– Dogadamy się – powiedziała uspokajająco. – Będą państwo zadowoleni.

– Nie, zaraz, my nie w sprawie pokoju – wtrąciła się Mirska i zrobiła krok w stronę kobiety. – My w sprawie archeologów.

– Taaak? – Kobieta zmrużyła lekko oczy, a Madyjak westchnął i z kolei wzniósł oczy do błękitnego nieba. – A po co wam archeolodzy?

Mirska już sięgała do kieszeni kurtki po legitymację, ale zmieniła zdanie.

– Nam jak nam – odparła lekko. – Widzi pani, mój chłopak... a jego brat – wskazała głową Artura – ma niedługo urodziny, kupiliśmy mu w prezencie wykrywacz metali, no i trochę głupio, bo wie pani, kopanie z wykrywaczem jest generalnie nielegalne... Więc chcieliśmy się dogadać z archeologami, żeby go na swój wykop wpuścili, niech się u nich przeleci i w ogóle. A podobno gdzieś tutaj siedzą ci archeolodzy i w ziemi grzebią.

Kobieta wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnęła zachęcająco w kierunku policjantów. Mirska potrząsnęła głową; Artur zawahał się, ale w końcu wbił dłoń w kieszenie dżinsów. Kufajka wzruszyła ramionami, wytrząsnęła z pudełka papierosa i wsadziła go do ust. Pogrzebała w kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki.

– Tu nigdy nie było żadnego archeologa – mruknęła, zapalając papierosa i zaciągając się dymem. – Nawet nie wiem, jak taki by wyglądał. Z pędzelkiem by był czy jak?

– Raczej z łopata. – Mirska westchnęła. – A nie wie pani, czy nikt tutaj czegoś nie zamierza budować? Jakaś duża inwestycja, nie wiem, autostrada, centrum handlowe, coś takiego.

Kufajka i Marylka spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

– Centrum handlowe? – Kobieta postukała się w czoło. – Tu? Pani oszalała chyba! Ci miastowi!

– Oj, to przykład był tylko. – Mirska pokręciła głową. – Chodzi o inwestycje zaplanowane w terenie. Czy coś.

– No przecie mówię, że tu zadupie jest! – zdenerwowała się kufajka i dmuchnęła dymem z papierosa. – Zaplanowane w terenie to chyba tylko Maliniak, tam za rozjazdem przy lesie, hacjendę sobie robi, ale jak to się niby Maliniak ma mieć do tych tam... detektorów

na urodziny?

Ale Mirska nie zamierzała już się tłumaczyć z nieistniejącego chłopaka ani z równie nieistniejącego wykrywacza metali. Rzuciła Marylce znaczące spojrzenie, podziękowała kobiecie w kufajce i wsiadła do samochodu. Komisarz westchnął i podążył za nią.

– Panie! – Kufajka złapała go za rękaw, zanim zdążył wsiąść do wozu. – Pan tu ma zamiary na nas. Pokoje letniskowe, przyroda, a do miasta blisko. – Wcisnęła mu do ręki kartonik wizytówki, który nie wiadomo skąd wyciągnęła.

Marylka skinął głową, uśmiechnął się i schował wizytówkę do portfela; pomysł wypoczynku na łonie natury bardzo przypadł mu do gustu. Po chwili już wycofywał samochód znad zapory.

– Totalne zadupie, co? – mruknęła Mirska, kiedy jechali przez las.

– Ale za to klawe. Tu park krajobrazowy jest niedaleko, wiesz? Szybki skok automobilem i bam, jesteś kurturarnie na natury łonie. Fajno, co?

Mirska wzruszyła ramionami.

– Być może.

Dojechali do krzyża przy rozjeździe w lesie. Marylka skreślił w lewo na drogę gruntową, bo z prawej strony wcześniej przyjechali i żadnej inwestycji nie mijali. Po kilkunastu metrach pożałował swojej decyzji. Koło samochodu wpadło w dziurę i podwozie opla jęknęło.

– Bryka mi się rozsypie – powiedział z niepokojem, zwalniając i starając się omijać większe nierówności.

– Nie marudź, trzeba znaleźć hacjendę tego Maliniaka i dowiedzieć się, co on tam robi. – Mirska przeglądała swoje notatki. – Przecież tutaj naprawdę nic nie ma, po kij komu inwestycje i archeologia.

Las skończył się, przynajmniej po jednej stronie. Po drugiej zaczęły się pola i łąki, pośród nich zaś faktycznie trwała budowa. Nawet teraz, w sobotę, działali robotnicy w kamizelkach i kaskach – jeden siedział w koparce i rył ziemię, usypując ją w górkę, drugi stał z rulonem pod pachą przy wykopie i patrzył w dół, kilku kolejnych opierało się o łopaty, najwyraźniej czekając, aż ich kumpel

w koparce skończy.

Obok piętrzyły się palety cegieł i drewna, kręciła się betoniarka.

– Z Maliniakiem też motasz o wykrywaczu metali? – zapytał Marylka, zatrzymując samochód.

– Zobaczę – odparła Mirska. – Słuchaj, ja to sama załatwię, w porządku? – I nie czekając na odpowiedź, wysiadła z wozu, prosto w błoto. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia, jej buty już niejedno widziały. Ruszyła w kierunku robotnika z rulonem, który wydał jej się tu najważniejszy. Budowa trwała w najlepsze, panowie szykowali się pod wylew fundamentów i Mirska nawet się zdziwiła, że robią to w listopadzie. Wydawało jej się, że późna jesień nie jest najlepszym czasem na budowanie, choć z drugiej strony ten rok był wyjątkowo ciepły.

Chciała to załatwić to we własnym zakresie. Bez pomocy Madyjaka, bez nadzoru Budrysia. Sroce spod ogona w końcu nie wypadła. I aż ją ręce świerzbiły, żeby zrobić coś w terenie, coś innego niż przegrzebywanie się przez dokumenty i przepytywanie zestresowanych urzędników administracji uczelnianej.

– Przepraszam, mogę z panem chwilę porozmawiać? – powiedziała do faceta z rulonem, stojącego nad krawędzią wykopu. Odwrócił się do niej gwałtownie i zmierzył ją wzrokiem.

– A pani to kto? – rzucił ostro. – To teren budowy! Wstęp wzbroniony! Wynocha, laluniu, ale już!

Pomyślała, że w takim razie powinni najpierw wszystko ogrodzić, a dopiero potem budować, ale nie zamierzała mówić tego głośno. Jeszcze była szansa na załatwienie sprawy polubownie.

– Tylko na momencik. – Uśmiechnęła się czarująco, podeszła do mężczyzny i ujęła go pod ramię. Robotnicy z łopatami przyglądali się im ciekawie, a zbaraniały facet z rulonem dał się odprowadzić kilkanaście kroków dalej.

– Kim jesteś, durna babo?! – Wyszarpnął jej ramię, kiedy znaleźli się kilka metrów od wykopu.

– Woli pan porozmawiać z moim kolegą? – Mirska odwróciła się w stronę stojącego przy opłu Madyjaka, który widząc podniesioną rękę Mirskiej, również uniósł dłoń.

Facet z rulonem łypnął okiem.

– Czego pani chce? – zapytał niechętnie, poprawiając kask, a Mirska uśmiechnęła się pod nosem. Wiedziała, że z policją wyskakiwać nie może, bo niczego się nie dowie. Ale Marylka szczęśliwie miał wygląd zbója. Dobrotliwego, ale jednak zbója. Jako straszak na odległość sprawdzał się doskonale.

– Od kiedy tu robicie?

– Chodzi o to odrolnienie? – zaniepokoił się facet. – SzeF już przecież załatwił.

– Aha. Od kiedy robicie? Był tu ktoś przed wami?

– Pani z jakiegoś nadzoru? Bo jak nie, to won. Razem z pani uroczym kolegą, kimkolwiek jest!

Mirska westchnęła, obejrzała się i upewniła, że nikt niczego nie zobaczy, po czym sięgnęła pod kurtkę, wyjęła broń i płynnym gestem przeładowała, celując w ziemię pod nogami faceta.

– Co, kurwa...? – zapytał zaskoczony i cofnął się.

– Stój, gnoju – powiedziała spokojnie i niemal przyjaźnie. – I nie denerwuj mnie, bo mi się palec obsunie, a z celowaniem u mnie różnie i jeszcze trafię w twoje kolano. Albo wyżej, a chyba nie chcesz pożegnać się z klejnotami, co?

Nie musiał wiedzieć, że blefowała. No cóż, sytuacja sama się tak rozwinęła, a ona przecież nie zamierzała strzelać!

– Czego chcesz? – Nie spuszczał wzroku z pistoletu. Szczęśliwie dla Mirskiej nie był typowym robotnikiem, nie miał imponujących mięśni i sam z góry założył, że nie ma szans z kobietą z bronią palną w ręku.

– Pytałam, od kiedy tu robicie i czy był ktoś przed wami.

– Nie, kurwa, nikogo nie było! – Z nerwów głos faceta stał się nieznośnie wysoki. Iga pokiwała bronią, co natychmiast zrozumiał i ściszył głos. – Kto niby miał być! Weszliśmy tydzień temu, okej?! Odrolnienie będzie obowiązywało od stycznia, szef mówił, że wszystko dograne, ja nic nie wiem, ja tu jestem tylko kierownikiem budowy, on chce mieć chatę, ja mu nadzoruję stawianie, koniec!

Mirska przez chwilę milczała, wciąż z pistoletem wycelowanym w faceta. Nie dlatego, żeby chciała coś z niego jeszcze wyciągnąć –

po prostu egoistycznie napawała się swoją przewagą i chciała przedłużyć tę chwilę. Inna rzecz, że nic jej się tutaj nie składało, ale może to i dobrze, bo w tym właśnie bajzlu, którego ślady znalazła wczoraj w rachunkach Zawistowskiego, musiał być pies pogrzebany.

– Ej, wszystko w porządku? – zawołał Marylka od strony samochodu.

– Tak, spoko! – odkrzyknęła przez ramię, zabezpieczając pistolet, po czym schowała broń pod kurtkę. Facet odetchnął głęboko. – No widzisz? – Uśmiechnęła się do niego czarująco. – Wcale nie było tak strasznie. A teraz zapomnisz o tej rozmowie i nikomu nie powiesz, tak? – Uniosła jedną brew. Kierownik budowy pokiwał skwapliwie głową. – No to śmigaj do kumpli. – Poklepała go po ramieniu. – I pamiętaj, morda w kubeł. A na przyszłość radzę nie sądzić ludzi po pozorach. Mogłabym cię przecież zastrzelić, gdybym była totalnym świrem – dodała poważnie na odchodnym.

Spokojnym krokiem wróciła do Marylki, czując na sobie ciekawe spojrzenia robotników. Choć wolałaby iść w podskokach, bo w żyłach buzowała adrenalina po niespodziewanej i szybkiej konfrontacji. Czuła się tak, jakby schodziła ze sceny po występie solowym nagrodzonym owacją.

Wiedziała, że to jednorazowa akcja, element zaskoczenia, w końcu nikt nie spodziewa się gróźb z bronią od drobnej, młodej kobiety. I bardzo dobrze. Przy pomyślnych wiatrach cała sprawa nie wyjdzie na jaw, a jeśli nawet, i tak nikt nie uwierzy, że policjantka mogłaby komuś grozić. Poza tym nie miała najmniejszego zamiaru strzelać, musiała tylko być wiarygodna.

A ten cały Maliniak najwyraźniej robił lewe interesy, które łączyły się z archeologami z Warszawy. Tego była pewna. I z odrośnięciem. Choć wątpliwe, żeby wiązały się też z doktorem Matejką. Musiała to przemyśleć.

– Możesz odjechać z wizgiem? – poprosiła, wsiadając do samochodu.

– Jezusie Mario, coś ty im naopowiadała? – zaniepokoił się Madyjak, zapalając silnik.

– Nic takiego. – Mirska uśmiechnęła się. – Byle z wizgiem...

Koła zabuksowały w błocie, a Iga uznała, że dało to nawet lepszy efekt niż sam wizg. Bardziej dramatyczny.

Piękny finisz klasycznego *pas de deux*.

Rozdział 6

Mirska była zdania, że ludzie nie doceniają potęgi internetu. Zakładają sobie profile na portalach społecznościowych, wrzucają zdjęcia, informacje o pracy, daty urlopów. Raj dla stalkerów i włamywaczy. Nawet jeśli ktoś uważał się za ostrożnego i nie założył sobie konta, zawsze można było liczyć na kochanych znajomych, którzy opiszą, kto, gdzie, kiedy i dlaczego jest na danym zdjęciu. A sam zainteresowany na ogół żył sobie w wygodnym przekonaniu, że pozostaje zupełnie anonimowy.

Dlatego też Iga potrzebowała dosłownie jednego dnia, żeby dowiedzieć się sporo zarówno o Zawistowskim, jak i o Maliniaku, dyrektorze jednego z działów potężnej firmy zajmującej się między innymi budową autostrad na terenie całego kraju. Grunt to wiedzieć, gdzie i jak szukać. A ona uważała, że szukać potrafi. Dlatego w poniedziałek pojawiła się w pracy grubo przed siódmą. Fakt, trochę ją roznosiło. Co prawda jeszcze przed świtem zrobiła swoją rundkę, ale najwyraźniej nie wystarczyło. Pewnie, że w komendzie rejonowej również prowadzili śledztwa, ale jednak mniejszego kalibru, niekoniecznie w sprawie morderstw w takich miejscach jak największa polska uczelnia, niekoniecznie z widokami na przestępstwa towarzyszące. Bo Mirska miała w ręku dowody na drugie dno sprawy, tylko jeszcze musiała połączyć ze sobą wszystkie punkty.

Chciała jak najszybciej opowiedzieć wszystko Budrysiowi, trzymając się ściśle zakazu telefonowania w weekend, ale komisarz mocno się spóźnił. Kończący nocny dyżur Wegner mimochodem rzucił, że komisarza czeka z rana narada u komendanta i jeśli Mirskiej zależy na złapaniu Jacka, to musi na niego czatować gdzieś tam w pobliżu. Zależało jej, owszem, więc zaczęła krążyć w okolicy gabinetu przełożonego, zerkając co chwila na zegarek i wzdychając ze zniecierpliwieniem, budząc przy okazji zainteresowanie

pozostałych uczestników odprawy, zmierzających do komendanta.

– Budryś! – zawołała Mirska, dostrzegając w końcu swojego szefa na korytarzu przed gabinetem.

– Później – warknął. I tak był już prawie spóźniony. Chciał ją wyminąć, ale zastąpiła mu drogę.

– Wiem, że masz zaraz odprawę, ale to dosłownie chwila.

Budryś westchnął ciężko i zerknął na zegarek.

– Masz minutę. I uprzedzam, że dzisiaj wyjątkowo nie mam ochoty na wysłuchiwanie bzdur – ostrzegł.

Kiwnęła głową.

– Z mieszkania Zawistowskiego raczej nic nie zginęło, ale za to znalazłam umowy, dla instytutu, na archeologiczne badania inwestycyjne na okrągłą sumkę miliona złotych.

– Milion? Ładnie. – Budryś gwizdnął i pociągnął Mirską nieco na bok.

– Tak, to jest wyliczane na podstawie przebadanych arów; z umowy wynika, że facet chciał przebadać prawie całą działkę pod Grójcem, dwa i pół hektara. Nikt mu nie kazał, sam chciał. Pytałam żonę Zawistowskiego, byli małżeństwem chyba z dziesięć lat, więc orientuje się w takich archeologicznych dyrdymałach. Powiedziała, że ludzie na ogół badają jedynie teren pod zabudowę, a nie całą działkę, czyli kilkanaście do kilkuset metrów kwadratowych, a nie od razu hektary – wyrzucała z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. – Może facet jest upiornie bogaty i już sam nie wie, co robić z kasą; możliwe, bo to Janusz Maliniak, on jest szefem firmy od autostrad, sam wiesz, że to teraz na topie jest, ale to mniej istotne. Istotne jest to, że umowa ładnie podpisana z września, ale rachunek grudniowy, a mamy przecież listopad, a dwa i pół hektara to nie jest takie hop-siup do przebadania, archeolodzy powinni tam teraz siedzieć murem i grzebać. Pojechaliśmy z Marylką pod ten Grójec, do Wilczorudy albo Wilczorudej, sama nie wiem, jak to się odmienia, mniejsza z tym, no i wyobraź sobie, że dupa. To znaczy budują, owszem, ale nikt tam na oczy archeologa nie widział, w dodatku kopiącego... czy też cokolwiek robią archeolodzy na stanowiskach pracy, ale chyba kopią, nie...? – W końcu Ige

zatchnęło.

Budryś przyglądał się jej w milczeniu. Ciężko byłoby zresztą przerwać ten słowotok. Doskonale jednak o wszystkim wiedział – no, poza kwotą – bo Marylka wpadł do niego z piwem w sobotni wieczór i zreferował ich dokonania w terenie. Marylki żadne zakazy nie dotyczyły.

– Skończyłaś? – upewnił się, kiedy Mirska łąpała dech. Skinęła głową. – A nie przyszło ci do głowy, że w listopadzie w ogóle raczej się nie kopie? I że już sam fakt rzekomego kopania jest w tym momencie dość osobliwy?

Popatrzyła na niego dziwnie, ale nic nie powiedziała.

– Zatem do twojej wiadomości: w listopadzie się nie kopie. – Budryś pokręcił głową. – Szkoda, że żona Zawistowskiego nie powiedziała ci jeszcze na przykład o badaniach powierzchniowych. Banda archeologów lata wtedy po polach, na ogół w marcu i w październiku, wypatrując w ziemi zabytków. A wiesz, dlaczego w marcu i w październiku?

– Bo wtedy się nie kopie?

– Na ogół. Zależy od pogody. W marcu już nie ma śniegów na polach, rośliny jeszcze nie urosły. W październiku odwrotnie. I nikt o zdrowych zmysłach nie prowadziłby badań archeologicznych w kraju w listopadzie. Inaczej by to sobie wszystko poplanowali. Budowa to, rzecz jasna, zupełnie inna sprawa. Dla nich to nawet lepiej tak na jesieni i zimą, więc będą się spieszyć, żeby teraz pogodę wykorzystać. Ale budowa a badania prowadzone ze studentami to dwie różne sprawy. A papierki masz podpisane z datą grudniową czy tam styczniową. To co z tego wynika, w naszym kontekście?

– No jak to co? – Mirska popatrzyła na Budryśa z zaskoczeniem. – Przekręt wynika! Umowa jest, kwota spora, badań nie ma i nie było, przekręt na lewo jak złoto!

– A widziałaś kiedyś przekręt na prawo?

– W dodatku jaki dyskretny, przecież nikt by się nie czepiał i nie wnikał, gdyby nie to, że zginął Zawistowski. – Mirska zignorowała jego uwagę. – W ogóle nikt by o niczym nie wiedział! Jestem

pewna, że to się wszystko wiąże!

– To z całą pewnością. – Budryś ponownie zerknął na zegarek. Naprawdę powinien już iść na odprawę. Komendant to komendant, nie wypadało się spóźniać. – Jak chwilowo nie masz nic innego do roboty, to dowiedz się czegoś więcej o finansach instytutu. Zadzwoń do Tarnowskiego, jeśli będą się stawiać. Pociągnij ich za język, prześledź jeszcze raz dokumenty.

– A co, ciebie nie będzie, że teraz mi to mówisz?

Budryś westchnął i znowu zerknął na zegarek.

– Nie – odparł. – Zaraz po odprawie jadę na dywanik do szkoły Janki, bo podobno tak odpyskowała koledze, że aż się nauczycielka zawstydziała. – Po minie Mirskiej zorientował się, że powiedział za dużo. Przeklął w duchu, bo faktycznie nie zamierzał dzielić się z Muminkiem problemami rodzinnymi. – A ty na przyszłość rusz głową, zanim rzucisz się na drugi koniec świata, żeby coś sprawdzać; wydostanie papierów z nadzoru budowlanego i tak cię nie ominie – dodał złośliwie, starając się odwrócić jej uwagę od wcześniejszych słów. Czepiał się co prawda raczej dla zasady, bo choć sam dobrze wiedział, że późna jesień i wczesna zima nie były najlepszymi porami do zabaw w ziemi, to na miejscu Mirskiej też by pojechał, żeby się przekonać, czy coś się tam dzieje.

Iga poczerwieniała lekko. Pogratulowała sobie jednocześnie w duchu, że na wizję lokalną pojechała w towarzystwie Artura, a nie tego buca. Buc tymczasem skinął jej głową i z nagle poweselałą miną zniknął za drzwiami gabinetu komendanta. Z jaką radością starłaby mu z tej zarośniętej gęby głupi uśmiezek! Nic dziwnego, że przy takim ojcu mała Budrysiówna jest pyskata. Pomyślała też mściwie, że Szefu wygląda jak stuprocentowy talib. Tylko mu masudówki na głowie brakowało. I zgrzebnego salwar kameezu zamiast wytartych džinsów i stereotypowej do bólu skórzanej kurtki.

Zawróciła do ich pokoju na drugim piętrze, żeby zabrać kurtkę, i kiedy wciągała ją na grzbiet, przyszło jej do głowy, że proszę bardzo. Budryś chce, żeby najpierw ruszała głową, to właśnie to zrobi – najpierw wysonduje wszystko, a dopiero potem uda się do

źródła, to jest do archeologów. Albo do władz wydziału, jeszcze nie zdecydowała, gdzie uderzy w pierwszej kolejności.

Pogoda się zepsuła. Nie było słońca, choć też i nie padało. Za to wiał przenikliwy wiatr, więc tym chętniej Mirska skorzystała z propozycji podrzucenia przez jeden z patroli. Chłopaki wysadziły ją przed bramą uniwersytetu, ale Mirska nie zamierzała iść prosto na archeologię, jeszcze nie teraz. Cofnęła się do pałacu Tyszkiewiczów-Potockich, na którego fasadzie straszło czterech atlantów. I to naprawdę straszło, bo twarze napakowanych gości podtrzymujących balkon na pierwszym piętrze były po prostu przerażające. Mirską zawsze śmieszył fakt, że uniwersytet składał się z pałaców – Kazimierzowskiego, Uruskich, Tyszkiewiczów-Potockich – jakby mieściło się tam Bóg wie co. A tymczasem były to praktycznie same biura plus zapomniane muzeum, zresztą chyba w reorganizacji. Pociągnęła ciężkie drzwi i znalazła się w przestronnej pałacowej sieni, gdzie mieściła się szatnia. Mirska skierowała się jednak do tylnego wyjścia z budynku, ponieważ najpierw zamierzała odwiedzić swojego ojca, który od lat brał udział w radach Wydziału Historycznego jako uznany profesor muzykologii. Jego gabinet z kolei znajdował się w miejscu, do którego zwykły człowiek nie miał szans trafić – w bocznej klatce pałacu, do której wejście było nieźle ukryte w kącie wewnętrznego dziedzińca. Mirska doskonale jednak znała te tereny, bywała tu w końcu od lat. Wdrapała się wąskimi schodami na drugie piętro i dla formalności zapukała w jedno z trojga drzwi. Dobrze wiedziała, że ze środka dobiegnie ją szorstkie „proszę”.

– Proszę – usłyszała zgodnie z przewidywaniami. Nacisnęła złoconą klamkę.

– Cześć, tato, masz chwilę dla ulubionej córki? – zażartowała, wchodząc do gabinetu o nietypowo nisko umieszczonym oknie.

Niby dowcipkowała z tą ulubioną córką, ale cała rodzina wiedziała, że to prawda. Iga, jako najmłodsza z rodzeństwa, była oczkiem w głowie rodziców, zwłaszcza wówczas, gdy w perspektywie miała jeszcze karierę tancerki. Jej starsza siostra Ulka była w zdecydowanie gorszej sytuacji, choć Iga śmiała się, że

to dzięki niej Urszula zrobiła karierę naukową – żeby w końcu czymś zabłysnąć i odciągnąć uwagę od młodszej siostry.

– Iguś! – Ojciec z radością podniósł się zza zawalonych książkami biurka. Profesor Henryk Mirski należał do czołowych chopinologów nie tylko w Polsce, ale i na świecie, choć czasem robił też wypadki w stronę Strawińskiego. Był niski, łysy jak kolano i miał twarz, która od razu budziła zaufanie. Idealny profesor uniwersytecki. Poza tym tylko jemu wolno było zwracać się do niej „Iguś”. – Cześć, kochanie, co tu robisz? – Uściskał ją mocno. – Nie wylali cię z pracy, prawda? – zaniepokoił się, odsuwając ją na odległość ramienia.

Mirska przewróciła oczami.

– Nie, tato, nikt mnie nie wylał – odparła. Normalka. Ojciec był przekonany, że nie nadawała się do pracy w policji. Grunt to wspierająca rodzina.

– Siadaj, siadaj, zrobię ci kawy zaraz. – Ojciec zakrzętnął się, przełożył z krzesła przy biurku stos albumów. – Babcia się martwiła, że wczoraj nie przyszedł na obiad.

Niedzielne obiady – koniecznie z sernikiem i rosołem, niekoniecznie w tej kolejności – były u Mirskich tradycją. Kiedyś ten zwyczaj doprowadzał Ige do szału, ale odkąd znalazła się na swoim, zaczęła podchodzić do niego inaczej. Poza tym babcia nawet w zarym wieku lat osiemdziesięciu jeden robiła najlepszy pod słońcem rosół z domowym makaronem.

– Wiem. – Iga westchnęła i usiadła na opróżnionym krześle, zdejmując kurtkę. – Sprawa mnie wciągnęła. Nie rozumiem, jak ty tutaj wytrzymujesz tak sam. – Pokręciła głową, wieszając okrycie na oparciu krzesła. W zakładzie u ojca faktycznie na ogół było pusto, pracownicy tak poustawiali sobie dyżury służbowe, że prawie w ogóle na siebie nie zachodziły, w budynku było cicho i spokojnie, tylko zza okna dochodził gwar Krakowskiego Przedmieścia. Pachniało lekko stęchlizną starego budynku pełnego drewna, w które od dziesięcioleci wsiąkała wilgoć. – U nas na komendzie to wiecznie coś się dzieje...

Stojąc przy stolyczku z czajnikiem elektrycznym, Henryk skrzywił się mimowolnie.

– U was, u was – powtórzył, wsypując do kubków kawę. – Szybko się zaaklimatyzowałaś w tej Komendzie Stołecznej. Wśród morderców i gwałcicieli...

– Tato, przerabiamy to od lat. – Iga westchnęła. – Najpierw mówiłeś o wariatach drogowych, którzy rozjeżdżają gliniarzy, potem o psychopatach z melin, a teraz przerzuciłeś się na morderców i gwałcicieli. Dałbyś spokój, przecież potrafię się obronić!

– Tak tylko mówię. – Postawił przed nią kubek z aromatycznym napojem. – A teraz możesz w końcu powiedzieć, co cię tak naprawdę sprowadza. Nie protestuj! – Uniósł dłoń w uciszającym geście, widząc, że Iga już otwiera usta. – Nawet z twoją siostrą rzadko się tu widuję, choć pracuje parę budynków dalej. O tobie nawet nie mówię. Więc skoro przychodzisz w środku dnia roboczego, to coś jest na rzeczy.

Punkt dla niego, miał rację. Jak zawsze.

– No dobra. – Nachyliła się nieco na krzesło i ściszyła głos. – Tylko bardzo cię proszę, tato, nie świruj. Zabójstwo tego archeologa od was kojarzysz? – Ojciec skinął głową. Wszyscy już kojarzyli, informacja wydostała się na zewnątrz i zaczęła krążyć, choć zarówno władze uniwersyteckie, jak i rzecznik prasowy policji starali się ograniczyć plotki. – To właśnie ja je prowadzę. Znaczą razem z moim szefem – zreflektowała się. – Znaczą mój szef je prowadzi, ja mu asystuję. Chociaż... No, nieważne, zajmuję się tym!

– Jezus Maria! – Ojciec wydawał się szczerze wstrząśnięty. Nic dziwnego, dla jego środowiska to była całkowita abstrakcja. Z wrażenia aż posłodził sobie kawę drugi raz, czego nawet nie zauważył, a potem pociągnął solidny łyk, zapominając, że wciąż jest gorąca. – Wiecie już, kto zabił Tadeusza? Ktoś z zewnątrz, prawda? Pewnie jakiś chory psychicznie. Sprawdziliście psychiatryki?

Właśnie dlatego Iga starała się nie mówić o swojej pracy przy rodzinie. Najpierw się czepiali, potem byli przerażeni, a potem, jak u każdego normalnego człowieka, brała w nich górę ciekawość i próbowali się dowiedzieć co bardziej makabrycznych szczegółów.

– Widywałeś go na radach wydziału, no nie? Powiedz mi...

w jakiej kondycji finansowej jest Instytut Archeologii?

Pytanie zawisło między nimi. Ojciec pił kawę małymi łydkami, zupełnie nie zwracając uwagi na jej temperaturę i podwójny cukier. Kawa Igi stygła nietknięta. Przez uchylone okno słychać było Anglików, którzy przekrzykiwali się, robiąc zdjęcia pod atlantami. Ktoś niósł coś ciężkiego piętro niżej, bo ze schodów dobiegało głośne sapanie i jakieś łaskoty. Iga podciągnęła rękawy swetra, ponieważ niespodziewanie zrobiło się jej gorąco.

– Archeolodzy byli mocno pod kreską w zeszłym roku – powiedział w końcu ojciec, odstawiając kawę.

– Jak mocno? – podchwyciła Iga.

– Nie pamiętam. – Wzruszył ramionami. – Nie bardzo mnie obchodzili, nie wiedziałem, że to ci będzie kiedyś potrzebne, więc nie zapamiętałem dokładnie, ale chyba koło dwóch milionów.

– Dwa miliony?

– Uniwersytet bilansuje się jako taki, w całości, a nie na poziomie wydziałów czy instytutów.

– Ale skąd im się taki deficyt zrobił? – Dwa miliony stanowiły kwotę dla Igi niewyobrażalną.

Henryk wyrównał stosik książek leżący na stole.

– A bo ja wiem – mruknął. – Niż demograficzny jest. Ludzie nie idą już tak masowo na studia wieczorowe czy zaoczne, poziom zatrudnienia jest od lat taki sam, z grantami było krucho, a oni tam przecież prowadzą praktyki dla studentów, mają pootwierane przewody doktorskie, sprzętu potrzebują, zajmują się materiałem zabytkopodobnym. – Mirski pozwolił sobie na lekką złośliwość, bo traktowanie skorup wygrzebanych na jakimś śmietniku jako pełnoprawnych zabytków było dla niego świętokradztwem. – Potrzebują analiz, specjalistycznych badań, przecież to wszystko kosztuje. Powodów jest wiele i trudno wskazać jeden konkretny. Jak to w życiu.

Iga zamyśliła się. Wiedziała już, że musi porządnie zapoznać się z dokumentami Zawistowskiego, zarówno tymi domowymi, jak i tymi z gabinetu służbowego. Może uda jej się skłonić Budrysia, żeby kogoś jeszcze do tego zatrudnić. W każdym razie w końcu

uchwyciła jakąś nić w tym całym bajzlu i nie zamierzała jej puszczać. Była niemal pewna, że znajdzie brakujące miliony wśród lewych przychodów Zawistowskiego. Ba, jeden już wysłodziła, w Wilczorudzie pod Grójcem.

Czy to mógł być powód, dla którego zginął dyrektor archeologii? Komuś przestało się podobać ciche finansowanie instytutu czy też może ktoś postanowił pozbyć się archeologów?

– Tato, a czy taki niedochodowy instytut można zamknąć? – zapytała.

Henryk przyjrzał się jej uważnie.

– Można – odparł. – Oczywiście że można, choć nie jest to częste. Jeśli już, to raczej w drugą stronę. Zobacz, taki Instytut Badań Interdyscyplinarnych Artes Liberales od października stał się Wydziałem Artes Liberales. Piękny przykład!

– Nie obchodzi mnie IBI, tato – powiedziała, niecierpliwiąc się lekko. – Tam nikogo nie zabili. A ja się pytam, w jakiej sytuacji można zamknąć jakiś instytut.

Wstała z krzesła i podeszła do regału wypełnionego książkami. Chopin, Chopin, Chopin. Cóż za różnorodność.

– Proste: jak już kompletnie przestanie przynosić zyski. Nie ma studentów chętnych na studia, nie ma grantów, ludzie nie są w stanie wypełnić pensum, poziom nauki jest żenująco niski, pracownicy niczego z siebie nie dają. Likwiduje się kierunki, ewentualnie łączy z innymi. – Ojciec zerknął na nią kątem oka. – Jak szukasz lektury do poduszki, to polecam ci nowo opracowane listy Chopina. Fascynująca lektura.

– Wiem, znam jego listy, czytałeś nam opracowanie Sydowa i Kobylińskiej zamiast bajek, jeśli nie pamiętasz. I nie, nowe wydanie mnie nie interesuje, jeszcze pamiętam to stare. – Ściągnęła z oparcia krzesła swoją kurtkę. – A tak swoją drogą, to jaki był ten cały Zawistowski?

– Tadeusz? No taki... mały kombinator. – Ojciec skrzywił się lekko, zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. – Choć wiesz, ja to się z nim słabo znałem, tyle co na radach. Twoja siostra mogłaby pewnie więcej powiedzieć, historia sztuki ma więcej związków

z archeologią niż muzykologia.

– Dobra, może zapytam.

– A wiesz, że w środę jest jego pogrzeb? Na cmentarzu Bródnowskim podobno. Będziesz? Służbowo, rzecz jasna.

– Pewnie tak – odparła, myśląc jednocześnie, że Budryś niechybnie zagna ją na cmentarz. W taki czy inny sposób. – Dobra, tatuś, leczę. Wpadłam tylko na chwilę, mam kupę roboty. – Zaczęła zakładać kurtkę.

Ojciec wstał.

– Słuchaj, a może ja bym pogadał z taką jedną Zosią z Wydziału Prawa i Administracji – zaproponował nagle. – Ona często tam z wami współpracuje, zdaje się, jeździ do Szczelna na wykłady gościnne...

– Chyba Szczytna.

– Może ona by szepnęła gdzie trzeba i ciebie by też przyjęli do tej waszej Wyższej Szkoły Policji, co? – Chyba nawet jej nie dosłyszał. – Postudiowałabyś trochę, tytuł zrobiła, papiery na komisarza byś miała, możliwości rozwoju kariery.

Kariera. No jasne. Nienawidziła tego słowa. To było chyba pierwsze słowo, które wypowiedziała, a na pewno pierwsze, które zapamiętała. Kariera ojca w muzykologii, kariera matki w teatrze, jej własna kariera w balecie, kariera naukowa siostry. Kariera, kariera, kariera. A co z pracą na rzecz innych? Z tak zwaną służbą?

– Tato, nie chcę – zaprotestowała. – Poza tym to papiery na podkomisarza, komisarza dostaje się później. I nie.

– No ale co ci się w tym planie nie podoba? – zdziwił się ojciec, podchodząc do niej i obracając ją za ramiona w swoją stronę. – Ja wiem, że ty nie lubisz nauki, ale co to za nauka w takiej szkole, proszę cię. – Poglądził ją po głowie. – Zosia by pogadała z kim trzeba, przyjęliby cię...

– Aż tak cię boli, że nie mam żadnego tytułu? – zapytała zgryźliwie, odsuwając się. – Od tytułów masz Ulkę, powinienes się z tym już dawno pogodzić!

– Ale córcia, to nie tak! – Ojciec zamachał rękami. – Chodzi o to, że gdybyś miała wyższy stopień, tobyś miała inne zadania,

rozumiesz? Nie byłabyś tak narażona, przecież ja się o ciebie ciągle boję! Poza tym miałybyś perspektywę awansu...

– Tato, ale ja nie chcę żadnego awansu! – zirytowała się Iga. – Nie chcę komisarza, nie chcę awansu, nie chcę niczego! Mnie jest dobrze tak, jak jest, chcę robić to, co robię, nikt mnie przecież na front nie wysyła!

– No, jeszcze tego by tylko brakowało! Znalazłabyś sobie lepiej w końcu jakiegoś normalnego chłopaka, absolutnie nie policjanta i absolutnie nie żołnierza! Ani strażaka! Z normalną, bezpieczną pracą!

– Tato, przerabialiśmy ten temat setki razy. – Iga uniosła ręce do góry w geście poddania. – I to nigdy do niczego nas nie doprowadziło.

Ojciec liczył po cichu na to, że p r a w d z i w y chłopak – albo mąż – odciągnie ją od służby i że Iga przejdzie wtedy na etat *stricte* biurowy. Odkąd kilka lat temu zmarła matka, ojciec zafiksował się na tym temacie, dodatkowo wspomagała go babcia i niemal każda rozmowa kończyła się tak samo. A Iga nie miała ochoty na prawdziwe związki, jak to określali. Wystarczały jej niezobowiązujące znajomości i nie zamierzała niczego zmieniać. Na pewno nie teraz.

– Po kim ty taka uparta jesteś, no naprawdę!

– Mam pewien pomysł. – Uśmiechnęła się pod nosem i pocałowała ojca w policzek. – Dobra, tatuś, naprawdę muszę lecieć. Powiedz babci, że w ten weekend na pewno wpadnę w niedzielę, niech zrobi górę makaronu. A, tato – zatrzymała się jeszcze z ręką na klamce, jakby coś jej się przypomniało – czy kiedyś wzywali was z mamą do szkoły? Do mnie albo do Ulki?

– Co? – Henryk zdębiał.

– No, tak się tylko zastanawiam. Czyli co, nie wzywali was?

– Nie, dziecko, nie wzywali. – Mirski pokręcił głową. – Byłyście obie dobrymi uczennicami, nigdy nie sprawiałyście kłopotów. Ale nie rozumiem, dlaczego teraz o to pytasz.

– Nie, nic, tak jakoś... Nieważne. – Iga machnęła ręką. – No, teraz to już naprawdę lecę. Ucałuj babcię! Pa!

– Leć, leć – mruknął pod nosem Henryk, obserwując, jak zamykają się za nią drzwi gabinetu. Nie rozumiał, skąd jej się wzięło pytanie o szkołę. Nagle zaniepokoił się, czy też ona nie zamierza wiązać się z jakimś samotnym ojcem – albo rozwodnikiem! – z kłopotliwym dzieckiem, tylko tego by brakowało!

Westchnął ciężko. Jak to mówią, małe dzieci, mały kłopot, duże dzieci... W przypadku Igi to się sprawdzało. Naprawdę, co jej szkodziło zdać na studia jak człowiek? To nie, wymyśliła sobie policję. Żeby chociaż jakieś przestępstwa gospodarcze, ale skąd! Ona, taka drobna, do tych zbrodniarzy najgorszych pchała się od samego początku. No gdzież balerina do tych trupów!

Niechby i uniwersyteckich.

Żeby chociaż poszła do tego Szczytna całego, magistra zrobiła, chociaż jakiego to magistra można tam zrobić. No ale niechby, trudno, tytuł to zawsze tytuł. Zresztą to pewnie tylko kwestia czasu. Grunt, że udało się ją wyrwać z tej komendy rejonowej, tam to przecież całe życie spędziłaby, wykonując pracę poniżej swoich kwalifikacji.

Będzie musiał za to jakoś odwdzięczyć się Zosi z Wydziału Prawa.

Cmentarz Bródnowski słabo jednak skomunikowany jest z uniwersytetem.

Do takiego wielce odkrywczego wniosku doszedł Jureczek, studiując w środowy poranek połączenia, jakie zaproponowała mu strona jakdojade.pl. Nabożeństwo żałobne miało się odbyć w sąsiadującym z uniwersytetem kościele Wizytek, ale sam pogrzeb – na cmentarzu Bródnowskim. Przypuszczał, że będzie przypominał wszystkie inne pogrzeby, z tą tylko różnicą, że dyrektorowi nie zmarło się z powodu choroby czy starości. Jakby nie było, morderstwa chodziły po ludziach rzadko i choćby z tego względu Jureczek chciał iść i zobaczyć, co się będzie działo. Coś przecież powinno się wydarzyć, nie raz widział, jak na filmach i w serialach morderca przychodził na pogrzeb swojej ofiary. Nigdy nie wiadomo. Tak czy inaczej, wydarzenie było niecodzienne i Jureczek życzył sobie wziąć w nim udział. Dla potomności.

Dla kadry, rzecz jasna, przewidziano transport autokarem spod kościoła. Ale kto by się tam przejmował studentami? Nie szkodzi, Jureczek opracował sobie całą trasę, spod bramy UW pod bramę cmentarną. Znowu wyszło słońce, więc przelecenie pół kilometra od przystanku do cmentarza nie stanowiło szczególnego wyzwania. Plan był bardzo dobry.

Jadąc na uniwersytet, uznał, że ma jeszcze sporo czasu i w związku z tym chętnie napiłby się na przykład kawy. Tak, kawa z rana zdecydowanie nie była głupim pomysłem. Zamknął zatem czytany właśnie kryminał Joe Alexa i wysiadł dwa przystanki przed uniwersytetem, przy placu Zamkowym, po czym skierował kroki do jednej z kawowych sieciówek. Niektórzy uważali je za zło wcielone, które serwowało ludziom namiastkę prawdziwej kawy, ale Jureczek nie miał nic przeciwko nim. Całkiem przydatne miejscówki. Czasem może ciut drogie jak na jego gust, choć z drugiej strony nikt nie mówił, że musi non stop tam bywać i się wykosztowywać. Raz na jakiś czas było jednak w porządku.

Być może pod wpływem lektury, a być może wskutek atmosfery panującej w Instytucie Archeologii Jureczek ostatnio dość intensywnie rozmyślał o śledztwie. I za każdym razem coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że za zabójstwem stała albo jego kochana koleżanka Majka, albo doktor Matejko. Może nawet razem byli za to odpowiedzialni, tacy Bonnie i Clyde z UW. Matejko był zbyt przystojny, żeby być niewinnym – w filmach zawsze wychodziło na to, że najatrakcyjniejszy aktor okazywał się największym szubrawcem. A przecież filmy na czymś bazowały, prawda? Poza tym Jureczek znał ludzi w instytucie, różnych ludzi – studentów ze starszych lat, kadre – więc słyszał to i owo o Matejce. Podobno szalał kiedyś na wykopaliskach, a taka Majka na przykład to wcale nie wypadek przy pracy, raczej reguła, podobno Matejko regularnie kogoś sobie znajdował. Zawistowski również, ale dyrektor był znacznie bardziej dyskretny niż jego adiunkt i nie afiszował się z romansami. Tak więc Jureczek był coraz bardziej przekonany, że za zabójstwem stał właśnie Matejko. Zwłaszcza że coraz bardziej wydawało mu się, choć nie miał co do tego pewności,

że to chyba jego widział nad Wisłą w przeddzień Święta Niepodległości. Chyba.

Dlatego też, kiedy po pchnięciu drzwi kawiarni i wkroczeniu do wnętrza pachnącego świeżo zmieloną kawą Jureczek ujrzał komisarza Budryś wchodzącego drugim wejściem, nawet nie poczuł się zaskoczony. Zupełnie jakby spotykali się na porannej kawie co drugi dzień, żeby omawiać kryminalne przypadki.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie, zajmując miejsce w kolejce. Komisarz spojrział na niego przelotnie, stając tuż za nim.

– Dzień dobry – odparł równie uprzejmie, choć nie poznał go. Było to resztą zupełnie normalne, bo Jureczek owszem, komisarza widział w instytucie, wiedział, kim jest, komisarz z kolei nie miał przyjemności poznania Jureczka. Jeszcze.

Przesunęli się o jedną osobę w kolejce.

– Nazywam się Jerzy Szaniawski i jestem studentem archeologii. Wiem, że to pan prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa naszego dyrektora – przedstawił się Jureczek, odwracając się do komisarza. – Ma pan już jakiegoś solidnego podejrzanego?

Budryś spojrział na niego krzywo.

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę rozmawiać o szczegółach śledztwa.

– Kiedy ja nie pytam o szczegóły! – Jureczek obruszył się lekko. – Ja tylko pytam, czy ma pan podejrzanego! Poproszę podwójne espresso – zwrócił się do baristy, gdyż właśnie znalazł się na czele kolejki.

– Może znalazłem. – Budryś studiował menu wypisane kredą nad kontuarem.

– Naprawdę? – Jureczek zapłacił za swoją kawę. – Świetnie. Ja też mam swojego.

– Doprawdy? – mruknął Budryś. – Jedną latte i jedną herbatę zieloną, na wynos – powiedział do baristy po drugiej stronie kontuaru, podając mu jednocześnie banknot dwudziestozłotowy. Wygrzebał jeszcze z kieszeni monetę pięciozłotową i położył na ladzie. Postanowił, że dzisiaj będzie dla Mirskiej miły. I nawet przyniesie jej kawę. Latte była najbardziej babską kawą, jaka

przyszła mu do głowy i jaką w ogóle znał, bo te wszystkie macchiato to w ogóle nie wiadomo, co to jest ani jak się to wymawia. Nie znał się na kawach. Dla siebie wybrał herbatę, zawsze wolał herbatę. Zdrowsza. Choć kawę też w sumie lubił, nie był napojowym rasistą.

– Jestem archeologiem – powiedział Jureczek, przechodząc do końca kontuaru, przy którym wydawano zamówienia. – Znaczący zamierzam być – poprawił się, sięgając po torebeczki z cukrem i wsypując zawartość trzech z nich do swojej kawy. – W każdym razie to naturalne, że mam swoje podejrzenia, archeolodzy są prawie jak dochodzeniówka, tylko taka trochę bardziej... antyczna. Po śladach do celu. Względnie motywach.

Budryś ponownie rzucił mu krzywe spojrzenie. Co za świr się do niego przyczepił z samego rana, no!

– Aha. Świetnie.

Niestety, świr chyba się przy nim uparł, bo stanął obok i czekał, aż Budryś odbierze swoje zamówienie.

– Bo wie pan – odezwał się, kiedy komisarz ruszył w stronę wyjścia – ja mam taką swoją teorię. Ale nie wiem, czy mogę się nią z panem podzielić.

Otworzył przed policjantem drzwi i przepuścił go przodem. Ewidentnie czekał na zachętę ze strony komisarza, żeby wyjawić mu swoją wiekopomną teorię. Budryś pomyślał, że jeśli da świrovi sygnał do mówienia, to na pewno tego pożałuje.

Niech to diabli wezmą.

– Dlaczego pan nie wie? – zapytał z rezygnacją, ruszając Krakowskim Przedmieściem w stronę uniwersytetu. Ulicą, teoretycznie zamkniętą dla ruchu kołowego, co i rusz pędziły w obu kierunkach autobusy, taksówki oraz wszędobylscy ostatnio rowerzyści. Prawie wszystko w zgodzie z literą prawa i znakami drogowymi.

– Bo gdybym powiedział, a moja teoria okazałaby się fałszywa, to mógłbym komuś zrobić świństwo. – Jureczek pospieszył za komisarzem. – A ja nie chciałybym wyjść na dupka...

A było nie ciągnąć go za język, pomyślał Budryś.

– Niech pan mówi – powiedział jednak głośno. – Woli pan kryć

ewentualnego mordercę? W imię czego?

Jureczek nie był pewny, czy powinien wypowiedzieć się policjantowi ze swoich podejrzeń. No bo to jednak trochę tak, jakby był szpiclem. A gdzie w tym wszystkim solidarność archeologów? Braterstwo łopat i szpadli? Czy, jakkolwiek dziwnie to brzmiało, związek szpachelek?

Z drugiej strony solidarność archeologów poszła się bujać, delikatnie rzecz ujmując, w momencie kiedy ktoś zabił dyrektora Zawistowskiego, więc to chyba automatycznie zwalniało go ze wszystkich skrupułów, prawda?

– Pan mi, oczywiście, nic nie powie o waszym śledztwie, nie? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek. Budryś pokręcił głową. – No tak, oczywiście... No więc ja obstawiam doktora Matejkę.

– Dlaczego? – zapytał zwięźle komisarz. Na szczęście dla niego brama uniwersytetu była już niedaleko. Chciał się pozbyć tego dziwaka, czy też raczej wymienić go na drugą szurniętą, Mirską. Ją przynajmniej już znał.

– Dlaczego?

– Musi pan jakoś uzasadnić swoje podejrzania – powiedział Budryś i łyknął trochę zielonej herbaty. Świetny patent, taka herbata w zimne listopadowe przedpołudnie. – Nawet jeśli to tylko pana teoria robocza, to i tak musi mi pan przedstawić jakieś argumenty. Wie pan, co by było, gdyby tak każdy przychodził i mówił, że według niego to zrobił ten czy tamten, a my byśmy musieli to wszystko sprawdzać?

– No tak, argumenty. – Jureczek podrapał się po głowie, a Budryś z trudem powstrzymał się przed przewróceniem oczami. I tacy ludzie kończą później studia i mają teoretycznie wykształcenie wyższe! – No to na przykład argumentem jest to, że Zawistowski go gnębił.

– Gnębił?

– No nie w sensie, że wie pan... – przestraszył się Jureczek i aż przystanął z wrażenia. Budryś też przystanął. – Psychicznie, ma się rozumieć. Publiczne kpiny, wieczne złośliwości, tego typu. Znaczący on wszystkim dogryzał, ale jemu szczególnie.

Komisarz przyjrzał się uważnie towarzyszącemu mu

młodzieńcowi. Próbował się zorientować, czy chłopak chce go wsadzić na minę, czy faktycznie coś było na rzeczy. Jeszcze nie wiedział.

– Mnóstwo osób jest złośliwych, zwłaszcza w relacjach szef–pracownik – zauważył. – To chyba jeszcze nie jest powód do morderstwa.

Jureczek zawahał się. Teraz albo nigdy, wóz albo przewóz, raz kozie śmierć i w ogóle.

– Tak, tylko że doktor Matejko bzykał się z jedną ze studentek z mojego roku – powiedział, unosząc nieco głos, bo obok nich przejechał autobus pięćset osiemnaście, wypluwając z siebie kłęby upiornie śmierdzących spalin przy akompaniamencie ryku silnika. – A dyrektor miał, jak by to powiedzieć... wędrujące ręce, rozumie pan?

Budryś z satysfakcją odnotował, że ta dziwna konwersacja w końcu zaczęła zmierzać w stronę czegoś bardziej konkretnego. Mirska truła mu co prawda o motywach finansowych zabójstwa, w czym nawet się z nią zgadzał, proponowała niby Matejkę na podejrzanego, ale raczej z braku laku, bo póki co nic na niego nie miała poza wątpliwym alibi na czas zabójstwa. Nawet nie mogli wlepić mu włamania do mieszkania Zawistowskich, w końcu nic nie zginęło, z oskarżeń nici, przestępstwa nie było. Miło byłoby tak dla odmiany skupić się na czymś konkretnym, bo choć nie negował przekrętów finansowych, w które zagłębiała się Mirska, to przecież przekręty z niczym się nie wykluczały. Może ten Matejko o wszystkim wiedział? I może nawet brał w nich udział?

No dobra, Muminek coś brzdękał, że Borówka i Matejko mają ze sobą jakieś konszachty, ale na razie nie mieli czasu się w to wgryźć. Mirska rzuciła się na finanse, a on sam od poniedziałku woził się z jedną ze starszych spraw, które mu zalegały i trochę nie miał głowy. Trochę bardzo nawet.

– Czyli sugeruje pan, że poszło o kobietę – podsumował z niejakim zadowoleniem. Zawsze to jakiś motyw.

Jureczek skinął głową.

– Tak jakby – odparł. – Zwłaszcza że ja go chyba widziałem.

Budryś zatrzymał się nagle jak wryty, a wszelkie inne sprawy momentalnie wyparowały mu z głowy.

– Co proszę?!

Jureczek spieszył się, a z tego spieszenia wypił do końca swoją kawę jednym haustem, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu kosza na śmieci, żeby wyrzucić pusty kubeczek. Dostrzegł kosz przy przystanku autobusowym przed Hotelem Europejskim.

– No... chyba go widziałem – powiedział niepewnie i przymknął oczy, próbując przywołać w pamięci właściwą scenę. – Była już noc, to sobota była, trochę ze znajomymi zabalowaliśmy... i chyba go wtedy widziałem.

– Na litość boską, dlaczego mówi pan to dopiero teraz? Kogo pan widział?! Gdzie?!

Jureczek całkowicie zamknął oczy.

Pamiętał, że było ciemno. I zimno też musiało być, choć tego akurat Jureczek nie pamiętał dokładnie, raczej było mu tylko chłodno, nie zimno. Pamiętał, że byli nad Wisłą, cholera wie, co ich zagnało na bulwary w środku listopadowej nocy. Gdzieś niedaleko mostu Świętokrzyskiego, pamiętał jego charakterystyczną sylwetkę. Z trudem wydobywał z pamięci obrazy. Stali na betonowym nabrzeżu, może metr od wody. Patrzyli na rozświetlony na biało i czerwono Stadion Narodowy po drugiej stronie rzeki, światła odbijały się w wodzie i migotały, wszystko migotało. Coś krzyczeli, śmiali się głośno. Ktoś rzucił pustą butelkę, która z pluskiem wpadła do wody, a potem był drugi plusk, inny. Obrazy drgały, zamazywały się w umyśle Jureczka, ale pamiętał, że tam na nabrzeżu był jakiś gościu chyba, on tak pluskał, wrzucał coś do rzeki. Wszyscy wrzucali coś do rzeki. Musiał przejść obok nich, żeby sobie w ogóle pójść, i kiedy przechodził, Jureczek spojrzął na niego. Oświetlały go błyski i migotania od wody i Jurek wiedział, że go zna, tylko nie był w stanie przypomnieć sobie teraz twarzy. Pamięć odmawiała mu posłuszeństwa, rysy twarzy zamazywały się, koniec, scena urywała się.

– Byliśmy nad Wisłą między mostem średnicowym a Poniatowskiego – powiedział w końcu do Budryśa. –

Ciemnowłosa, to pamiętam. Na ciemno ubrany. Wydaje mi się, że to był Matejko, ale nie mogę sobie teraz przypomnieć twarzy.

– Ale na pewno go pan widział? – zapytał z niepokojem komisarz.

Na przystanku zatrzymało się właśnie sto szesnastu i wysiadła z niego grupa turystów, którzy nie wiadomo po co przyjechali do stolicy w listopadzie, kiedy nie było już zieleni, a jeszcze nie rozwieszono dekoracji bożonarodzeniowych.

Budryś i Jureczek ruszyli powoli w stronę uniwersytetu.

– Kogoś na pewno widziałem – powiedział Jurek. – Pamiętam, że nawet się zdziwiłem, bo ten ktoś był ostatnią osobą, której bym się spodziewał nad Wisłą. I wydaje mi się, że to był Matejko. Chyba.

No proszę, świr mógł okazać się przydatny. Może nawet nie był totalnym świrem. Luki w pamięci miał co prawda nieco deprymujące, nie na tyle jednak, żeby zniechęcić komisarza do całej wizji. Informacje od studenta mogły się okazać przydatne, może jeśli połączy się je z finansowymi przekrętami Zawistowskiego, to wyjdzie z tego coś ciekawego. Poza tym nikt nie twierdzi, że młody nie przypomni sobie tej twarzy. Budryś doskonale wiedział, że luki w pamięci czasami wypełniały się treścią. Choć wiedział również, że czasami zostawały. Kazał zatem studentowi zostawić na sobie namiar w postaci numeru telefonu i przykazał mu zgłaszać się natychmiast do pałacu Mostowskich, jeśli tylko coś konkretniejszego sobie przypomni.

Mirska, czekająca na Budryśa w służbowym wozie zaparkowanym przy Traugutta, prezent w postaci wystygłego latte przyjęła z pewną nieufnością. Do kościoła mieli rzut beretem, ale komisarz nie miał najmniejszego problemu z błyskawicznym zreferowaniem rozmowy ze świrem. Mirską trochę te rewelacje zaskoczyły, ale nie na tyle, żeby nie uwierzyć. Wręcz przeciwnie. Dobrze pamiętała swoje przypadkowe spotkanie z Matejką i tym drugim. Nawiasem mówiąc, nie zrobili na niej dobrego wrażenia.

Kościół Wizytek nie był duży, ale miał swój urok. Budryś i Mirska wmieszali się w tłum ciemno odzianych ludzi na tyłach świątyni, znajdując dla siebie odpowiednie miejsca tuż obok wejścia na chór. Gmach był wypełniony niemal całkowicie. Z przodu, przed

barokowym ołtarzem, umieszczono zamkniętą trumnę z ciemnego drewna obłożoną kwiatami.

– Słuchaj – odezwała się półgłosem Mirska, odwracając lekko głowę, bo Budryś stał tuż za jej plecami. Akurat rozdzwoniły się dzwony rozpoczynające nabożeństwo, zagłuszając jej słowa, więc zaczęła mówić głośniej. – Myślisz, że ci wszyscy ludzie rzeczywiście go tu żałują? Tak szczerze?

– Zwariowałaś? – prychnął Budryś. – Przecież facet był dyrektorem i wykładowcą, większość to oficjele.

– Ciiii! – uciszył ich ktoś oburzony, bo dzwony skończyły już walić i słowa komisarza zabrzmiały nieprzyzwoicie głośno.

– Przepraszam – mruknął Budryś i nachylił się do ucha Mirskiej. – Rodziny tu pewnie jak na lekarstwo – szepnął. – Cała lewa strona to uniwersytet.

Rzeczywiście, wśród żałobnych gości po lewej stronie nawy można było dostrzec rektora uniwersytetu oraz jego zastępców, był także niczym wycięty z żurnala rzecznik Małomiejski, był i dziekan wydziału Napiórkowski. Zamordowany dyrektor jednostki uniwersyteckiej zasługiwał najwidoczniej na uwagę najwyższych władz uczelni. Dalej za uniwersyteckimi szachami siedzieli ludzie z Instytutu Archeologii. Z daleka rzucały się w oczy rude włosy Parys i czarny elegancki kapelusz, pod którym ukryła się Masztalierz. Budryś dostrzegł również okrągłego profesora Wyciszka, ponurego Kwaśnego, smętnego Matejkę oraz wyłamującego się z żałobnej konwencji kolorowym szalikiem Borówkę. Było też kilku sponsorów; wśród nich Budryś rozpoznał Maliniaka, którego podgrójecką budowę w ostatni weekend wizytowała Mirska w towarzystwie Marylki.

Rodzina Zawistowskiego zmieściła się w pierwszej ławce po prawej stronie – dwie kobiety w czerni i dwoje ponurych nastolatków. Pierwsza i druga żona zamordowanego, które dla uproszczenia komunikacji w śledztwie nazwali po prostu Pierwszą i Drugą, oraz jego dzieci z pierwszego małżeństwa – mroczne bliźniaki, przy których Janka Budrysiówna była uosobieniem anielskości.

Nabożeństwo nie było szczególnie zajmujące. Ksiądz z wysokości ambony grzmiał w homilii o grzechu pierworodnym i wspominał zmarłego. Tymczasem Mirską zaprzętało coś innego.

– Słuchaj, a co będzie, jak nie rozwiążemy tej sprawy? – zapytała półgębkiem, żegnając się jednocześnie.

– Nic nie będzie, odłożymy na właściwą półkę w archiwum i tyle – odparł szeptem prosto do jej ucha Budryś, stojąc nieruchomo jak posąg. Nie zamierzał wykonywać znaku krzyża ani podawać ręki ludziom, których nie znał, w imię pseudopokoju. Swoją drogą dziwne, Mirska przecież jest w policji nie od wczoraj, a dopiero teraz ma wątpliwości co do nierozwiązanych spraw? Czyli jednak był z niej jeszcze dzieciak. – Nie mów mi, że dotąd znajdowałaś wszystkich piwnicznych złodziei słoików.

– Nie wszystkich – przyznała. – Ale wiesz, to jednak trochę inny kaliber, inna ważność.

– Ważność, jak to ujęłaś, jest zawsze ta sama – zaprotestował komisarz. – Dziewczyna potrącona przez samochód i zostawiona na poboczu na śmierć to taka sama zbrodnia jak zastrzelenie kogoś dla milionów.

Iga zagryzła wargi. Wydawało jej się, że kodeks karny miał na ten temat odmienne zdanie. Przecież gdyby wszystko było taką samą zbrodnią, to sądy byłyby niepotrzebne – albo potrzebne jedynie do orzekania o winie – a każde przestępstwo byłoby karane tak samo. A tak przecież nie można. Zbrodnia nie jest równa zbrodni i kodeks karny to poświadczał. Orzeczenia sądów tym bardziej.

– Nie możesz sugerować się statusem ofiary albo okolicznościami. – Budryś chyba dostrzegł, że coś jej nie pasowało, bo postanowił kwestię rozwinąć. Pociągnął Mirską trochę w tył, żeby nie przeszkadzać uczestniczącym we mszy. – Pamiętaj, masz nie oceniać, bo to nie do ciebie należy. Ty masz znaleźć sprawcę i mieć na to twarde dowody. W tej pracy napatrzysz się na taką ilość nieszczęść, że nie możesz traktować ich personalnie, rozumiesz? Nie możesz się w nie zanadto angażować emocjonalnie, bo się spalisz. – Popatrzył na nią uważnie, sprawdzając, czy jego słowa do Mirskiej docierają. W końcu to pewnie pierwsza sprawa morderstwa, w której siedziała

w samym środku.

– Nie angażować się. – Skinęła głową, ale coś jeszcze nie dawało jej spokoju. – Szefu, a co, jeśli jednak nam się nie uda? Będziemy do tego wracać? Ty na przykład wracasz do spraw, których nie udało się doprowadzić do końca?

Budryś pomyślał o pomarańczowym, nieco już przybrudzonym notesie w szufladzie biurka w domu, o który swego czasu toczył boje z eks. Nazwiska, daty, miejsca, sygnatury, poutykane karteluszeki z kserówkami robionymi pokątnie i na szybko, kontakty do rodzin. Kilkanaście lat służby. Raz nawet jego była wyrzuciła notes przez okno, temperamentu jej nigdy nie brakowało. Awantura ciągnęła się potem przez prawie dwa tygodnie.

– Nie – odparł szorstko. – Mówię ci, zostaw to, nie ciągnij tego bajzlu ze sobą.

Ich rozmowę, toczoną szeptem, przerwał gwałtowny dźwięk dzwonek, którymi wściekle potrząsał ministrant przy ołtarzu. Nabożeństwo zmierzało do końca, i to bez żadnych atrakcji, choć pozostawała jeszcze nadzieja na to, że coś ciekawego wydarzy się podczas samego pogrzebu. Na cmentarzu Mirska i Budryś zamierzali zastosować tę samą strategię i wmieszać się w tłum, obserwując ludzi, plany jednak pokrzyżowała im Julia Zawistowska, czyli Druga.

– Panie komisarzu, może mi pan towarzyszyć? – zapytała, stając przed nimi w cmentarnej bramie. Zaskoczony Budryś spojrział na Mirską, która nagle zainteresowała się koronami drzew pozbawionych liści.

– Pani pozwoli. – Westchnął i podał Drugiej ramię, które przyjęła z godnością.

Kondukt ruszył, a Jacek czuł na swoich plecach zniesmaczony wzrok wszystkich żałobników. W końcu część z nich komisarz przesłuchiwał, a tu nagle prowadzi pod rękę wdowę po Zawistowskim! W dodatku wdowę wciąż raczej młodą i wciąż ładną.

– Można wiedzieć, co ci do głowy strzeliło? – zapytał półgłosem, krocząc powoli za trumną. Cały czas musiał się kontrolować, nie miał doświadczenia w chodzeniu w konduktach i orszakach. Jedyny

orszak, w którym szedł, to był jego ślubny, a że małżeństwo skończyło się rozwodem, to chyba i orszak lichu mu wyszedł. Pomyślał, że to jakiś kiepski dzień, skoro już drugi raz wspomina była żonę.

– Chciałam z tobą porozmawiać, bo jakoś dotąd widywałam głównie twoją asystentkę.

– Mirska nie jest moją asystentką – zaprotestował. – To doskonała funkcjonariuszka. Masz jakieś zastrzeżenia do niej?

– Nie, ale teraz akurat wolałam pogadać z tobą. – Zerknęła na niego z figlarnym błyskiem w oku. Wesoła wdówka, nie ma co.

– Julia, proszę cię, jeśli zamierzasz wracać do tego, że kiedyś coś nas łączyło... – zaczął ostrożnie.

– Naprawdę sądzisz, że nie mam nic innego do roboty? Było, minęło, trudno. Ale właśnie przez wzgląd na to „było” wolę teraz porozmawiać z tobą. Wiesz, jakoś głupio rozmawiać o bardzo prywatnych sprawach z kimś zupełnie obcym, jak ta twoja pani sierżant na przykład. Próbowałam, nie żeby nie, ale ona jakoś nie czuje bluesa...

Budryś z rezygnacją pomyślał, że naprawdę ma dzisiaj pecha, od rana ludzie chcieli z nim rozmawiać. Czyżby nagle zaczął sprawiać wrażenie dostępnego? Zapaliłby najchętniej. Tyle że trochę głupio tak na cmentarzu i w ogóle.

Westchnął ciężko.

Wózek z trumną wpadł jednym kołem w chodnikową dziurę i trumna z kwiatami zachybotała się, Budrysiowi zaś przemknęło przez głowę, czy wypada mu podnosić trupa z ziemi, jak trumna się wywróci. I tak czuł, że wszyscy gapią się na jego plecy, miał tylko nadzieję, że Mirska niczego i nikogo nie przeoczy. O ile będzie coś do przeoczenia.

– Nie żebym cię popędzał, ale zaraz będą wkładać trumnę z twoim mężem do grobu – odezwał się. – Więc jak masz mi coś do powiedzenia, to najwyższy moment.

– Tadeusz i ja byliśmy dobrym małżeństwem – odparła Julia z nutą zadumy w głosie. – Wiesz, żadne tam namiętności i dzikości. Ale wiedzieliśmy, na czym oboje stoimy, ja nie chciałam dzieci, on

już miał. Dawaliśmy sobie dużo swobody, człowiek nie jest stworzony do monogamii. Przynajmniej my nie byliśmy – dodała trzeźwo. – Dlatego nie wiem, czy to okaże się ważne, może tak, a może nie. Ale chyba powinieneś wiedzieć, że Tadeusz miał romans.

To naprawdę był dzień „Zwierzmy się Budrysiowi”. Poza tym już drugi raz słuchał o romansach. Czy ci ludzie na archeologii to w ogóle mieli czas na uprawianie nauki przy tym wszystkim?

– Szkoda, że nie powiedziałaś tego wcześniej – mruknął. – Wiesz może z kim? – zapytał ostrożnie. Jak usłyszy, że z Matejką, to dopiero będzie...

– No pewnie, że wiem! – Druga zaperzyła się lekko. – Przecież nie jestem głupia! Z Joanną Masztalerz, ona jest doktorantką u Ireny Parys.

– Masztalerz – powtórzył lekko zaskoczony Budryś. Owszem, Zawistowski mógł się kobietom podobać, jeśli lubiły starszych. Ale oziębła Joanna Masztalerz jakoś nie kojarzyła mu się z osobą, która w ogóle ma jakiegokolwiek życie uczuciowe.

Druga z uwagą wyminęła dziurę w chodniku.

– Słuchaj, żeby było jasne – powiedziała spokojnie. – Ja nic do niej nie mam i nie zamierzam ci wmawiać, że to na pewno ona. Ale może nagle zachciało się jej czegoś więcej niż tylko romansu, a Tadeusz i ja mieliśmy umowę: skoki w bok tak, rozwód nie.

Z Budrysiem i Drugą zrównała się Pierwsza, rzucając im nieprzychylnie spojrzenie.

– Tadeusz był za życia niezłym skurwysynem – syknęła, poprawiając niewielki czarny kapelusz. – Ale to nie oznacza, że można robić scenę na jego pogrzebie!

– Scenę to ty właśnie robisz – wytknęła Druga, unosząc nieco głos.

Ponure bliźniaki oflankowały ich w milczeniu. Budryś poczuł się nieswojo. Najwyraźniej żony Zawistowskiego miały zupełnie inne podejście do kwestii obyczajowych, jego zaś to nie dotyczyło. Najchętniej uciekłyby na tyły i dołączył do Mirskiej. Udało mu się to dopiero wówczas, gdy orszak dotarł do otwartego grobu.

– Urobiłeś już wesołą wdówkę? – zapytała Iga drwiąco, kiedy

z westchnieniem ulgi stanął w końcu przy niej.

– A ty nie pozwalasz sobie czasem na zbyt wiele? – odparł pytaniem na pytanie, na co Mirska przewróciła oczami.

– Nic się nie działo – oznajmiła. – Nikt na nikogo się nie rzucił, nikt nie zachowywał się podejrzanie, nikt nie przemykał się bokiem, nikt nie wyglądał podejrzanie czy nie na miejscu. Zrobiłam zdjęcia, ale obawiam się, że tylko straciliśmy czas na tym pogrzebie.

– Niekoniecznie – mruknął, rozglądając się. – Naprawdę musisz pozbyć się przekonania, że tracisz czas. Gdzie jest Masztalerz? – zapytał zniechęcony. Mirska dyskretnie wskazała brodą lewą stronę tłumu, gdzie faktycznie można było dostrzec czarny kapelusz archeolożki. – Bardzo dobrze, trzeba ją dyskretnie zwinąć. Musi się nam wypowiadać z ukrywania romansu z denatem.

Mirska z zaskoczeniem spojrzała na Budrysia. Jakim cudem ten facet dowiadywał się takich rzeczy?

– Idę do wozu – zdecydował komisarz i wepchnął dłonie w kieszenie dzinsów. Niby było ciepło, ale jakoś zmarzł. Często marzły mu dłonie, to podobno wina krążenia. Podobno. – A ty weź ją złap i przyprowadź. Czekałem na parkingu – dodał, odwracając się na pięcie i wyjmując jednocześnie paczkę papierosów. Mirska pokiwała głową. Romans co prawda trochę rozjeżdżał się z aktualnym kierunkiem śledztwa, ale Masztalerz mogła okazać się przydatna. Może coś sobie przypomni, może coś wie.

Mirska odczekała grzecznie do końca pogrzebu i ruszyła do ataku dopiero, kiedy ludzie ruszyli składać rodzinie kondolencje. Przepchnęła się do swojego celu.

– Dzień dobry, pani Joanno – powiedziała uprzejmie, stając tuż za Masztalerz, która wymieniała uwagi z Borówką i Matejką. Na szczęście nie mieli ze sobą tego upiornego psa.

– No oczywiście, policja na posterunku – mruknął z przekąsem Borówka.

Mirska nie miała jednak problemów ze słuchem.

– Oczywiście – przyświadczyła z teatralnym uśmiechem, choć wcale nie miała ochoty się uśmiechać. – Jeszcze pan nie wie, że policja prędzej czy później dowiaduje się wszystkiego?

– Wszystkiego, czyli kto z kim, kiedy i dlaczego? – odezwał się Matejko z udawanym zacięciem.

Borówka i Masztalerz nawet nie starali się ukryć uśmiezków. Mirska zaś już miała na końcu języka pytanie, czy może w takim razie zechce jej powiedzieć, po co było mu potrzebne hasło do cudzego komputera – zapewne Zawistowskiego, bo czyjego! – ale uznała, że to nie jest właściwy moment. Lepiej przywalić z grubej rury z konkretnymi dowodami w rękę, a nie tak chodzić dookoła i tu podzucić, tam podzucić...

Na początku wszyscy jakoś współpracowali. W obliczu nietypowej sytuacji każde z nich było wybite z rytmu i dopiero gdy wszystko jako tako wróciło do normy, każdy zaczynał kombinować. Nie bez powodu mówi się, że pierwsze czterdzieści osiem godzin śledztwa jest najważniejsze. Im dalej od zdarzenia, tym trudniej doprowadzić śledztwo do końca. Tymczasem od zabójstwa Zawistowskiego upłynął już tydzień, każdy zdążył ułożyć sobie własną wersję, a policjanci z mędrców opatrzości zamienili się w nic nierobiące potwory. Nie szkodzi, Mirska była pewna, że znajdą się i dowody, i morderca.

– Jeśli pewna studentka z trzeciego roku nie wystarczy, to mogę dać namiary na kolegów z obyczajówki, może zechcą podzielić się bezpiecznymi adresami – zaproponowała złośliwie. Matejko zbladł lekko, więc postanowiła pójść za ciosem. – Na pana miejscu zmieniałabym zeznania i powiedziałabym, kim jest ta tajemnicza kobieta, do której nie chciał się pan przyznać. Bo jak przesłuchamy pewną studentkę, to jeszcze wyjdzie na to, że utrudnia pan śledztwo.

– Majki w to nie mieszajcie! – wyrwało się Matejce, a Mirska z satysfakcją pomyślała, że jutro na spokojnie odszuka właściwą dziewczynę.

– To niech pan jutro przyjdzie na komendę i powie nam prawdę – poradziła i nie czekając na jego odpowiedź, zwróciła się do Masztalerz: – Pani Joanno, jeśli zmierza pani na uniwersytet, to chętnie panią odwieziemy.

Masztalerz zawahała się. Spojrzała pytająco na Matejkę.

– Aśka, to raczej nie jest propozycja, którą się odrzuca – wtrącił

się Borówka. – Ale może na wszelki wypadek powiedz Irenie, że zgarnia cię pani sierżant.

– Pod warunkiem że pani policjant ma na pokładzie twojego adwokata – rzucił Matejko, patrząc na Mirską z niechęcią. – Pamiętaj, że masz do niego prawo!

– A pan ma prawo zachować milczenie. Pani Joanno, zapraszam – powiedziała twardo Mirska i zdecydowanym gestem wskazała kobiecie drogę.

Masztalerz skinęła głową Borówce i Matejce i spokojnie poszła w kierunku, który pokazała jej sierżant. W milczeniu wyminęły żałobników, grabarzy oraz księdza, który z ulgą pozbywał się ornatu i rozpiął kurtkę – widać źle ocenił temperaturę. Tuż przed bramą cementarza, mrugając światłami awaryjnymi, stała służbowa kia z Budrysem za kierownicą. Mirska bez słowa otworzyła przed Masztalerz drzwi na tylne siedzenie, a kiedy ta wsiadła, sama okrążyła auto i również wślizgnęła się na tylną kanapę. Od razu uderzyła ją fala gorąca – nie wiedzieć czemu Budryś podkreślił ogrzewanie. Mirska natychmiast rozpięła kurtkę i ściągnęła szal.

– Weź to przykręć, menopauzę przechodzisz? – mruknęła, zapinając pasy.

Masztalerz poszła za jej przykładem i również sięgnęła po pasy.

– Pomyślałem, że od razu podgrzeję atmosferę. – Budryś zerknął na nie we wstecznym lusterku i ruszył. – Poza tym jeśli już, to andropauzę. I nie, nie przechodzę. Pani Joanno, nic nam pani nie powiedziała o swoim romansie z Zawistowskim – rzucił z wyrzutem, ponownie zerkając w lusterko.

– Bo nie pytaliście – odparła po prostu Masztalerz i również rozpięła płaszcz. Mirska zaś popatrzyła przez okno, usiłując ukryć uśmiech rozbawienia. To zdecydowanie nie była odpowiedź, jakiej się spodziewali. – Zresztą, romans to za dużo powiedziane. Romans implikuje uczucia natury romantycznej i metafizycznej, a to, co nas łączyło, to raczej związek dwóch cielesności.

Budryś wzniósł oczy ku niebu. Pseudointelektualiści byli zakałą tego świata, serio. No i co ta laska chciała osiągnąć, ubierając w mądre słowa zwykłe „to był tylko seks” albo „pieprzenie”? Że

niby co, jak policja, to nie rozumieją, co to znaczy implikować? Pomijając już fakt, że uczucia z natury rzeczy były metafizyczne.

– Aha – odezwała się Mirska. – A ta wasza cielesność to jak długo trwała?

Masztalerz wzruszyła ramionami. Budryś wciąż nie zmniejszał ogrzewania i w samochodzie było już gorąco do tego stopnia, że pani archeolog w końcu się poddała i ściągnęła z głowy kapelusz.

– Z rok – odparła, układając starannie kapelusz na kolanach.

– Rok – powtórzył Budryś, zerkając na nią w lusterku. – I co, przez rok pieprzenia się zamienił chyba z panią kilka zdań, co?

Masztalerz poczerwieniała lekko.

– Pan komisarz ma na myśli to, że Zawistowski niekoniecznie musiał prawić pani o serduszkach i gołąbkach, tylko mógł wspominać o sprawach bieżących – powiedziała Mirska z naciskiem.

– Ludzie na ogół rozmawiają. Nie wspominał pani o niczym?

– Nie – zaprzeczyła twardo Masztalerz. Odruchowo sięgnęła do swojego wisiora w kształcie czaszki i zaczęła się nim bawić.

– A tę błyskotkę to pani skąd ma? – zapytała Mirska.

– Prezent.

Mirska wyciągnęła rękę i wyjęła naszyjnik z dłoni Masztalerz.

– Od Zawistowskiego? – spytała, obracając złotą czaszkę w palcach.

– Nie wasz interes. – Masztalerz chciała zabrać naszyjnik, ale Mirska trzymała go mocno.

– Nasz. – Tym razem Budryś nie zerknął w lusterko. Patrzył na drogę, ale ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie jest zachwycony. – Jeśli dostała go pani od Zawistowskiego, to jest to jak najbardziej nasza sprawa.

– Przywiózł mi kiedyś ze sklepu typu mydło i powidło z Paryża. – Masztalerz wyszarpnęła czaszkę z ręki Mirskiej. – Dla żartu powiedział, że to takie *memento mori*. „Pamiętaj o śmierci”, jeśli państwo nie wiedzą.

– Pan komisarz ma wyższe wykształcenie, prawo rzymskie przerabiał, zna łacinę – powiedziała zimno Mirska. – A *alter alterum docet*, więc sama pani rozumie.

Budryś odwrócił na moment głowę, żeby zerknąć na złotą czaszkę.

– Wy to humor mieliście, pozazdrościć – mruknął pod nosem.

– Swoją drogą z pani to chyba kiepski naukowiec będzie – zauważyła Mirska spokojnie, przyglądając się biżuteryjnej czaszce. Trochę upiorny naszyjnik, choć z drugiej strony na pewno oryginalny. W obu tego słowa znaczeniach. – Przecież to jest złoto i porcelana, ząbki to diamenty, a w oczodołach błyskają rubiny. I wygląda na starość, więc pewnie to rzecz warta kilka ładnych tysięcy. Niech mi pani powie, w którym mydle i powidle sprzedają takie cacka, w dodatku wykonane z taką precyzją. Też sobie kupię. – Z satysfakcją zauważyła, że Masztalerz blednie. Cóż, wychodziło na to, że Ulka przydała się po raz kolejny, choć tym razem zaocznie; kiedy studiowała historię sztuki, cały dom siłą rzeczy studiował razem z nią. Iga naoglądała się dzięki temu albumów i reprodukcji, choć już wcześniej lwią część każdych rodzinnych wakacji spędzali w europejskich muzeach. Uroki dorastania w rodzinie humanistów. Ludzi kultury tak zwanych.

– Tadeusz przywiózł mi to z Paryża. – Masztalerz dość beznadziejnie usiłowała trzymać się swojej wersji. – Jako zabawną tandetę...

– Proszę nam dać ten wisiołek, pokażemy go biegłym – zaproponowała Mirska. – Jak się okaże, że to faktycznie tylko zabawna tandeta, w dodatku legalnie zakupiona, to dostanie go pani z powrotem. I nawet przeprosimy.

– Weź nie szarżuj z tymi przeprosinami – odezwał się Budryś.

Masztalerz pokręciła głową.

– To pamiątka po Tadeuszu – odparła stanowczo.

– Słuchaj, laluniu. – Budryś zerknął na nią wrogo w lusterku. Stracił już cierpliwość, ostatnimi czasy był to u niego towar deficytowy. – Wyglądasz na bystrą dziewczynę, więc trochę nie rozumiem, co tu nam odpierdalasz. Koleżanka proponuje ci wersję grzeczną, ale możemy być oficjalni, jeszcze dzisiaj będziemy mieli nakaz od prokuratora i wtedy tego swojego cuda już w życiu na oczka nie zobaczysz, kapewu? A wtedy będziesz miała problem, bo kiedy się potwierdzi, że to antyk... – Zerknął przez ramię na Mirską,

żeby się upewnić, że mała czaszka naprawdę jest coś warta. Bo jeśli nie jest, to będą mieli wtopę. Mirska jednak pokiwała zdecydowanie głową. Trudno, musi jej zaufać. W końcu zaufanie do partnera w śledztwie to podstawa. – Kiedy się potwierdzi, że to antyk – powtórzył – to postawią ci zarzuty o paserstwo. Bo nikt nie uwierzy, że szanowna pani archeolog nie jest w stanie odróżnić zabytku od tandety.

Masztalerz przez chwilę milczała. W końcu rozpięła łańcuszek i podała naszyjnik Mirskiej.

– Więc jednak wiedziała pani, że to nie jest żadna tandeta – zauważyła sierżant, wydobywając z kieszeni torebkę strunową i chowając do niej biżuterię. Czaszka wyglądała zaskakująco realnie, oddano nawet szwy na kości. Kilku zębów brakowało, przez co sprawiała wrażenie nieco humorystyczne.

– Domyślałam się – przyznała niechętnie Masztalerz i chwyciła kapelusz, gniotąc w rękę jego rondo. – Ale Tadeusz naprawdę przywiózł to z Paryża, był tam z Teofilem Kwaśnym na jakimś wyjeździe służbowym. Nie wiem, skąd to wziął. Naprawdę nie wiem!

– Do tego przejdziemy później – powiedział Budryś zza kierownicy. – A teraz zacznijmy jeszcze raz. Co Zawistowski pani mówił, kiedy się spotykaliście?

– Nic, jak rany...! – Masztalerz miała już zdecydowanie dosyć. – Nie rozmawialiśmy! Od rozmów to on miał Teofila! – Zawahała się, bo coś przyszło jej na myśl. Może nie tylko Teofil był od rozmów. W końcu ktoś był z nim w tym samym zakładzie. I ktoś był jego zastępcą. Ktoś z nim jeździł, był czyimś opiekunem naukowym. Z takimi ludźmi rozmawia się więcej niż z własną żoną. Ale nie powiedziała tego głośno.

Budryś obejrzał się przez ramię i napotkał wzrok Mirskiej. Oboje pomyśleli o tym samym – że to śledztwo robiło się coraz większym bagnem, ale w tym syfie pojawiały się wreszcie jakieś punkty zaczepienia.

Rozdział 7

Mirska zaczynała odczuwać wyraźną niechęć do archeologii jako takiej. I wcale nie miało to związku z tym, że wieczorami siedziała na komendzie przy laptopie Zawistowskiego i wgrzyzała się w dokumenty, umowy na prace zlecone, zestawienia, mapy i opracowania. Ale przynajmniej w piątek mogła przedstawić Budrysiowi wstępny raport. I była z siebie cholernie dumna, że tak szybko jej poszło. Fakt, że kosztem zarwanych nocy, ale jednak.

– Lipne umowy z firmą RemBudInv, której szefem jest niejaki Maliniak Janusz. – Położyła przed komisarzem kopie dokumentów z mieszkania Zawistowskiego. – W dużym skrócie przekręt polegał na tym, że panowie podpisywali umowę na badania inwestycyjne, terenowe czy jak to się tam nazywa. Teoretycznie archeolodzy mieli się taplać w błocie, w praktyce nikt ich nigdy na oczy nie widział. A raporcik był, że można działać, teren sprawdzony archeologicznie. Czysto i elegancko, bo kto by coś sprawdzał, skoro dokumentacja była w porządku.

– System spoko. – Budryś podrapał się długopisem za uchem, rzucając okiem na dokumenty. – Sama wymyśliłaś czy masz jakieś dowody?

Iga stłumiła ziewnięcie.

– Jedno i drugie – odparła niewyraźnie. – Wiesz, to nie jest tak, że tylko Zawistowski w tym siedział.

– No co ty. – Budryś wstał i podszedł do szafki kuchennej, żeby włączyć wodę. Mirska złapała się na tym, że nie może stwierdzić, czy powiedział to z ironią, czy nie. Może była zbyt zmęczona. – Jak na to wpadłaś?

– Każda umowa musiała być podpisana nie tylko przez niego, ale i przez dziekana wydziału i ludzi z kwestury. – Mirskiej nie chciało się reagować na zaczepki Budrysia. Przeciągnęła się, aż chrupnęło jej w kręgosłupie. No tak, dzisiaj akurat odpuściła sobie bieganie,

żeby złapać choć kilka godzin snu, no i już ma skutki, świetnie. – Oni dostawali gotowy produkt, ładnie skonstruowany, na papierze wszystko się pięknie zgadza. Tylko w naturze się rozjeżdża jak żyrafa na łyżwach.

Budryś wyjął z szafki dwa kubki i wsypał do nich kawę rozpuszczalną. Chemia, ale co poradzić. Zalał kawę gorącą wodą i przeniósł kubki na swoje biurko, po czym przesunął ten z widokiem czeskiej Pragi w stronę Mirskiej.

– Czyli formalnie się nie czepniemy – podsumował.

– Czepniemy. Przecież nasz truposz sam sobie umów nie pisał, zwariowałeś? To jak w każdym porządnym przekręcie. Ktoś jest mastermindem, wymyśla całość...

– Kim jest? – Budryś spróbował upić łyk gorącej kawy.

– Głową, szefem, inspiratorem. – Mirska wstała i sięgnęła po cukier. Zdążyła już się dowiedzieć, że Budryś był prawdziwym językowym szowinistą, z uporem tępił obce wyrazy i błędy językowe. Choć sam święty nie był i jemu też wymykały się jakieś niezgrabności. – On wymyślał całość i urabiał ludzi, wygląda na to, że był w tym dobry, ale musiał mieć kogoś od czarnej roboty. Wiesz, kogoś, kto napisze wnioski, opracuje raporty i tym podobne. To strasznie dużo pracy.

– I jeszcze przypilnuje finansów – dodał Budryś, sprawdzając w komputerze pocztę. – Potężna robota, którą trzeba wykonać po cichu. Swoją drogą, podejrzanie szybko to rozgryzłaś.

– Mam oko do drobiazgów. I zgadzam się, że potężna robota. – Mirska pokiwała głową. – Dlatego uważam, że to były co najmniej dwie osoby. Zawistowski był mastermindem... przepraszam, *głową* – poprawiła się, widząc wzrok Budrysia – i miał kogoś od spraw formalno-finansowych i kogoś od merytorycznych.

Komisarz przebiegł wzrokiem informację widniejącą na otrzymanych kartkach.

– Wygląda na to, że możesz mieć rację – mruknął. – Heh, zobacz, ta czaszka, którą nosiła Masztalerz... Swoją drogą, kto nosi na szyi czaszkę, jacyś popaprańcy chyba. W każdym razie miałaś rację z tą czaszką, zabytek jak cholera, w dodatku trochę drogi.

Mirska ożywiła się nieco.

– Skąd wiesz? Masz jakąś ekspresową ekspertyzę?

– Co ty – prychnął Budryś. – Tarnowski zlecił wykonanie oficjalnej ekspertyzy, mają znaleźć biegłego, więc jak dobrze pójdzie, to ekspertyzę dostaniemy za pół roku. Ale jest taki facet, z którym już kiedyś współpracowaliśmy, pokazałem mu prywatnie zdjęcie tego cacka i mi właśnie zupełnie prywatnie i zupełnie nieoficjalnie odpisał. Zobacz – odwrócił w stronę Mirskiej monitor komputera – jemu to wygląda na siedemnasty wiek, warsztat francuski. Może być kradzione. I pisze, że może być warte kilkanaście kafli.

– Złoty? – zdziwiła się Mirska.

Budryś postukał się w czoło.

– Euro, królewno. – Odwrócił monitor do siebie. – Ciekawe, że takiego profesorka było stać na takie cacko. Wyobrażasz sobie, nosić taką kasę na szyi? Za tę jedną czaszkę można by po świecie pojeździć. – Westchnął rzewnie. – No dobra. Wracamy do rzeczywistości. – Zwinął okienko poczty elektronicznej na monitorze. – Jakies typy, kto był kim w szajce Zawistowskiego?

– Formalny był Kwaśny. – Mirska ponownie stłumiła ziewnięcie. Była dziewiąta rano, a ona myślała tylko o tym, żeby się gdzieś położyć choć na pół godzinki. Albo wypić kawę mocną jak szatan. Nie taką jak ta od Jacka. – A merytoryczny mógł być każdy. Parys, Borówka, Matejko, Masztalierz.

– Merytoryczny nam wyjdzie w praniu – zdecydował Budryś. – Weźmiemy się najpierw za Kwaśnego, przylepimy mu współudział w nie do końca legalnym ruchu zabytków na terenie Unii Europejskiej i paserstwo. Jak dorzucimy do tego zabójstwo, to będzie śpiewał, że ho, ho – dodał z satysfakcją. To nieco Mirską otrzeźwiło.

– Czekał, jakie zabójstwo? – zapytała z niepokojem. – Naprawdę sądzisz, że to Kwaśny zaciukał Zawistowskiego? Ja wiem, że on ma słabe alibi... – zaczęła przerzucać dokumenty, które zawały biurka jej i Budrysia; teraz już rozumiała, czemu oba meble były zsunięte: żeby zmieścić się na nich większy bajzel – ...że niby był w domu, to

żadne alibi, ale naprawdę wątpię, żeby to on za tym stał...

Budryś uśmiechnął się.

– Też nie sądzę, żeby to był on – przyznał. – Ale sprawiedliwości musi stać się zadość, a w ten sposób sprowokujemy go i zmusimy do wyśpiewania wszystkiego. Myślisz, że nic nam nie powie, jak go zakujemy i wsadzimy na dołek na czterdzieści osiem?

Iga z niepokojem przyglądała się lekko uśmiechniętemu Budrysiowi, który zadowolony z siebie popijał kawę. Owszem, sama niedawno stosowała zastraszanie, ale to było tylko postraszenie faceta bronią! Poza tym nie nadużywała swojego stanowiska, nie przedstawiała mu się, on nie przedstawiał się jej, a wiadomo, że wtedy i tak by nie wystrzeliła, liczyły się tylko zdolności dramatyczne! A to zupełnie co innego niż oskarżanie kogoś z kilku paragrafów i sadzanie w areszcie. A jeśli Kwaśny miał chore serce i jeszcze im ze stresu zejdzie?

Do pokoju wpadł Wegner.

– Dobrze, że jeszcze jesteś – powiedział do Budrysia. – Potrzebuję od naszego procka nakaz przeszukania domu siostry Zbyniowej.

Budryś odwrócił się do niego w fotelu z przeciągłym piskiem.

– Jezu, Cinek, ty prowadzisz sprawę, dlaczego ja mam załatwiać nakaz od Tarnowskiego? Coś skopałeś?

Wegner skrzywił się i podszedł do szafki kuchennej.

– Tarnowski uważa, że nie ma podstaw. To ja, kurna, siedziałem dwa dni w krzaczorach pod domem Zbyniowej, zasadzkę robiliśmy, a ten mi mówi, że nie ma podstaw, no, Szefu, no...!

– Ej, czekaj, czekaj, chrzanić Zbyniową! – wtrąciła się Mirska. – Jacek! Chcesz zamknąć faceta tylko dlatego, żeby go skłonić do zeznań?

Wegner oparł się biodrem o szafkę kuchenną i przyglądał się z zaciekawieniem Idze, czekając na zagotowanie wody.

– Muminek jeszcze nie zna Budrysiowego podejścia do litery prawa, jak widzę – oznajmił.

– Jakiego podejścia? – zaniepokoiła się Mirska.

Wegner uśmiechnął się szeroko.

– Ano takiego, że najchętniej wzorem Nergala spaliłby wszystkie

kodeksy na stosie i jechał tylko prawem talionu, jak Hammurabi – wyjaśnił. Czajnik przytknął, więc Marcin odwrócił się i sięgnął po swój kubek.

– Nergal darł, a nie palił. I Biblię, a nie kodeksy, jeśli już – rzucił Budryś przez ramię.

Wegner zalał sobie kawę i odwrócił się, celując w Mirską palcem wskazującym.

– Widzisz? Poprawia, ale nie zaprzecza!

Mirska była pewna, że ktoś tu sobie robi z niej jaja.

– Jakim cudem ty funkcjonujesz jako policjant? – zwróciła się zdumiona do Budryś. – Nie dostałeś jeszcze rozdwojenia jaźni? Myślałam, że działamy w ramach przepisów prawa! Zwłaszcza tu!

Wegner z rozbawieniem popatrzył na Budryś.

– Popatrz, naprawdę jest z niej Muminek – oznajmił z niejakim zaskoczeniem. Pierwszy raz w życiu widział, żeby czyjaś ksywa była aż tak adekwatna. – Posłuchaj, Muminku nasz drogi i głupiutki, lepiej, żebyś się szybko przyzwyczaiła. Otóż nasz szanowny komisarz ma w dupie polski wymiar sprawiedliwości, bo zwyczajnie nie wierzy w jego skuteczność. Ani w skuteczność systemu resocjalizacji, jeśli już przy tym jesteśmy – dodał, siorbiąc gorącą kawę. – Ma stać na straży sprawiedliwości, to stoi, ale nie oczekuj od niego, że będzie przy okazji wielbił kodeks karny. Po trupach do celu, czyli do wykrycia sprawcy.

– Nie wierzę. System zero-jedynkowy, serio? – Mirska potrząsnęła głową.

– Tak.

– Nie! – zaprotestował Budryś. – Żadne zero jedynki, żadne szarości, weźcie się w końcu odczepcie! System karny może mi się podobać albo i nie, mogę się z nim nie zgadzać, ale guzik mnie to obchodzi, nie ja wymierzam kary, nie jestem sędzią, adwokatem ani prokuratorem. My jako policja mamy tylko dostarczyć zbrodniarza pod wskazany adres razem z dowodami winy, już ci to tłumaczyłem, w dodatku całkiem niedawno, o ile mnie pamięć nie myli. Miałem nadzieję, że coś z tego zrozumiałaś. A teraz koniec tych ksiutów! Do roboty, oboje, ale już!

Teofil Kwaśny stał przy oknie w sekretariacie Instytutu Archeologii i gapił się na szary świat na zewnątrz. Czuł w kościach, że nadciąga burza.

Śmierć Tadeusza postawiła wszystko na głowie. Że też ktoś musiał go zabić akurat teraz, kiedy istniała szansa, że wyleżą z tego całego bagna! Wszystko było już dograne. Kto, kiedy, za ile. Plus kilka mniejszych robótek na boku. Wszystko tak pięknie było przygotowane – a potem wziął i trafił to szlag.

A Teofil został z wielkim problemem.

Tadeusz bowiem miał kompleks *divide et impera*. I fajnie, Kwaśny by się tego nie czepiał, gdyby nie to, że Zawistowski w swoim wspaniałym planie nie uwzględnił własnej śmierci. Wszyscy sądzą, że będą żyli wiecznie, a tu dupa. Nawet okaz zdrowia może trafić szlag w postaci pijanego kierowcy, nie mówiąc już o morderstwie. A skutek był fatalny – z Teofilem próbowali kontaktować się inwestorzy, na czele z bardzo wkurzonym Maliniakiem z RemBudInv, wielkiej hybrydy, która robiła w kraju wszystko, od modułowych domków poczynając, poprzez wielkie fabryki, na autostradach kończąc. Chcieli wiedzieć, co dalej z ich umową. A Teofil zwyczajnie nie mógł nic im powiedzieć, Tadeusz bowiem miał kogoś, kto zajmował się preparowaniem opracowań i raportów dla inwestorów, czyli całym tym naukowym bełkotem, za który tamci płacili bez przerzucenia jednej łopaty ziemi. Kwaśny nie miał bladego pojęcia, z kim współpracował Tadeusz, niech go piekło pochłonie.

W dodatku wiedział, że zeszłoroczne zadłużenie instytutu tylko się pogłębiło, a jeszcze nie zdążyli zgarnąć kasy. I pewnie już nie zdążą.

Jest źle.

Nie, wróć, skreśl.

Jest fatalnie.

Próbował coś z tym zrobić, a jakże. Po cichu, dyskretnie, omijając pieczęcie policyjne, przegrzebał papiery Zawistowskiego, które policja zostawiła w jego gabinecie. Ba, włamał się nawet do domu Tadeusza, w nadziei, że coś u niego znajdzie, ale nie zdążył się do niczego dostać, bo wróciła ta cholerna Julcia, jego żona. Dobrze, że

nie użyła przy bramie klucza, tylko wstukała kod, inaczej by go zaskoczyła w mieszkaniu. Mało sobie nogi nie skręcił na schodach, ale i tak szczęście, że był ogarnięty, pożyczył od syna sąsiadki bluzę z kapturem, miał rękawiczki, śladów nie zostawił.

Drugi raz wołał już nie ryzykować. Takie akcje jednak były nie na jego nerwy, mało zawału nie dostał w gabinecie Tadeusza, kiedy usłyszał ten cholerny brzęczyk domofonu. Bogu dzięki, że go w ogóle usłyszał! Nie nadawał się na kryminalistę, nie ma opcji.

A teraz zupełnie nie wiedział, co robić. Nie miał wątpliwości, że czas mu się kończy; w policji już nie pracowały same tłuکی. Teraz jeden z drugim mieli pokończone studia i stopnie oficerskie. Choć z drugiej strony Teofil doskonale wiedział, że tytuł naukowy wcale nie przesądza o inteligencji osobniczej...

Oczywiście pomyślał o glinach w złym momencie, bo kilka minut później zapukano do sekretariatu i drzwi otworzyły się bez czekania na odpowiedź. W progu stała, rzecz jasna, ta policyjna parka. Komisarz Budryś i sierżant Mirska. Niby działali razem, ale Teofil miał nieodparte wrażenie, że są wyjątkowo niedobrani.

Komisarz bez słowa podszedł do biurka Kwaśnego, odwrócił sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem. Pani sierżant z kolei zdecydowała się dzisiaj podpierać drzwi. Dobrze, że otwierały się do środka, bo inaczej młoda dama naraziłaby się na niespodziewany lot w tył.

– Jak się pan miewa, panie Teofilu? – zapytał Budryś na pozór serdecznie, ale Kwaśny od razu się nastroszył.

– Bywało lepiej – burknął, zasiadając na swoim miejscu. Na przykład pięć minut temu, kiedy was tu nie było, dodał w myślach. Splótł dłonie i położył je przed sobą na blacie nieskalanego biurka.

– Nie wątpię. – Budryś podrapał się po zarośniętym policzku. – Na przykład wtedy, kiedy wasz instytut nie był tak bardzo zadłużony, nieprawdaż?

Teofil zacisnął szczęki. Mignęło mu w głowie, że zaraz korona odklei się od trzonu zęba, ale zacisku nie zwolnił.

Budryś zerknął na Mirską i wskazał jej głową nieruchomego Teofila. Sierżant podeszła do biurka i położyła przed sekretarzem otwartą tekturową teczkę.

– W zeszłym roku mieliście zadłużenie na dwa i pół miliona złotych. – Popukała palcem w eleganckie zestawienie, które skończyła tego dnia o świcie. – Wybrnęliście, bo zasłoniliście się umowami na badania inwestycyjne. Ale w tym roku dług wam się powiększył, instytut przynosi coraz większe straty. Posiedziałam wczoraj w waszej wydziałowej sekcji finansowej. I jeszcze się nie wgryzłam – zaznaczyła, wycofując się pod drzwi i ponownie się o nie opierając.

Teofil zerknął na dokumenty leżące przed nim – to było silniejsze od niego. Zaraz też zrobiło mu się najpierw słabo, a potem niespodziewanie dla samego siebie odczuł ulgę, że wszystko wyszło na jaw. Może to i dno, ale przynajmniej poczuł je pod nogami.

Podniósł wzrok na Budryś, który opierał brodę na zwiniętych pięściach i milczał z nieprzeniknioną miną.

– Co... khm! – odchrząknął Teofil, bo jakoś zaschło mu w gardle. – Co teraz?

Budryś wyprostował się, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej paczkę papierosów. Wytrząsnął jednego i zapalił.

– Teraz, panie Kwaśny – powiedział, zaciągając się – to pan nam wszystko ładnie opowie o tym waszym przekręcie.

Teofil łypnął na niego okiem.

– Tu się nie pali – rzucił. Budryś w odpowiedzi dmuchnął na niego dymem.

– Tu się też nie zabija, a jednak mamy trupa. A wasze finansowe machlojki tak nas interesują jak zeszłoroczne gówno – oznajmił komisarz obcesowo. – Przekazujemy sprawę do gospodarczego, chłopaki bardzo się ucieszą i na pewno niedługo się do pana zgłoszą. Póki co ma pan zakaz wyjazdu z miasta, chyba że chce pan, żeby rozesłano za panem list gończy – ciągnął Budryś z nonszalancją w głosie, jakby mu na tym wszystkim kompletnie nie zależało. – Z drugiej strony, może należałoby zastosować w stosunku do pana areszt tymczasowy. Sędzia na pewno się zgodzi, grywa razem z prokuratorem w tenisa podobno. No i rzadko trafia się połączenie niewłaściwego zarządzania finansami publicznymi z paserstwem i nielegalnym obrotem zabytkami. A to morderstwo to już normalnie

wisienka na torcie. Lubi pan wiśnie, tak przy okazji?

Zaskoczony Teofil wpatrywał się w Budryś, jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

– Co pan pieprzy? – zapytał w końcu z niedowierzaniem.

Komisarz wzruszył ramionami i ponownie zaciągnął się dymem z papierosa.

– Muminku, wytłumacz panu, bo chyba wykorzystał już swój limit na kojarzenie faktów – rzucił w stronę Mirskiej i strzepnął popiół do kosza na śmiecie. Sierżant skrzywiła się lekko; nie podobał się jej zarówno tytoniowy dym, jak i strategia Budryś. Na jedno i na drugie nie miała jednak wpływu.

– Zostaną panu postawione zarzuty niewłaściwego zarządzania majątkiem publicznym, czyli zadłużenia instytutu na znaczną kwotę – powiedziała niechętnie. – Dokumenty, jakie posiadamy, pozwalają jednoznacznie wskazać pana jako współwinnego. Ponadto zarzut paserstwa, przewozili panowie zabytkowe przedmioty bez niezbędnych dokumentów. To, że jesteśmy w strefie Schengen, nie oznacza, że można wozić, co się chce i kiedy się chce – pouczyła, nawet nie mijając się za bardzo z prawdą. W teorii należało posiadać zezwolenia, ale wiadomo, że teoria i praktyka często się rozjeżdżają. Zwłaszcza gdy nie ma oficjalnej kontroli granicznej. Cóż, Budryś chciał go postraszyć, no to ona go straszy. – Wreszcie zarzut zabójstwa Tadeusza Zawistowskiego na tle prawdopodobnie majątkowym.

– Zaraz! – Teofil zerwał się z miejsca. – Jakiego zabójstwa?! Przecież nic na mnie nie macie!

Budryś spokojnie wydmuchnął dym.

– Mamy nie mamy – powiedział, machając ręką tak, jakby odganiał natrętną muchę. – Pańskie alibi jest tak jakby... nieistniejące. Każdy może powiedzieć, że był w domu sam. A motyw może pan mieć jak, *nomen omen*, złoto. Siedzieliście po uszy w gównie, więc kto, jak nie najbliższy współnik, miałby zamordować Zawistowskiego, kiedy coś poszło nie tak?

Teofil wstał z miejsca. To samo zrobił Budryś. Podszedł do okna i uchylił je lekko, strzepując popiół na parapet na zewnątrz. Teofil

zerknął przez ramię i zobaczył Mirską opierającą się o drzwi. Pojął w końcu, że policjanci zablokowali mu drogi ucieczki – zarówno normalną, przez drzwi, jak i dramatyczną, czyli skok z okna. Popaprańcy. Nie skakałby przecież, nie jest głupkiem – nie uciekłby w ten sposób, połamałby się, pierwsze piętro w starym gmachu było wysokie.

Usiadł z powrotem na krześle, ale żadne z policjantów się nie ruszyło.

– Niepotrzebnie pan wbił nóż temu swojemu szefowi tyle razy – odezwał się Budryś, dusząc papierosa na zewnętrznym parapecie. – Gdybyście nie robili razem interesów, sąd może łyknąłby niepoczytalność, ale jak na wariata jest pan zbyt sensowny. Wlepią panu dwa pięć, a jak papuga będzie słaby, to prokurator wytarguje dożywocie. Choć w pana wypadku – Budryś zmierzył Kwaśnego krytycznym spojrzeniem – to wychodzi w sumie na jedno.

Teofil pomyślał, że dno musi być jednak znacznie głębiej, niż się spodziewał. Nie zamierzał jednak dać się zamknąć za cudze grzechy! Miał wystarczająco dużo na swoim talerzu.

– Pan da tego papierosa – powiedział z rezygnacją. Budryś bez słowa wyjął z kieszeni paczkę i rzucił ją do Teofila. Sekretarz złapał, lekko drżącą ręką wyjął jednego papierosa i przez chwilę obracał go w palcach. Kołatały się w nim resztki lojalności w stosunku do Tadeusza, w końcu jednak pomyślał, że on i tak już nie żyje, i pomysł był jego, nie Teofila. Nie zamierzał chronić do upadłego tyłka szefa. Tym bardziej że z zabójstwem nie miał nic wspólnego!

– To była nasza ostatnia deska ratunku. – Westchnął ciężko i zapalił wreszcie papierosa. Przez chwilę przyglądał się jego żarzącej się końcówce. – Tak, mieliśmy problemy finansowe, ale kto nie ma, taka ekonomia. Podaż nie szła w parze z popytem, że tak powiem, musieliśmy zaopatrzyć się w sprzęt nowej generacji; żeby nie wypaść z obiegu, trzeba utrzymywać pewne standardy, nawet w archeologii. A byliśmy jedynym instytutem, który nie zwalniał ludzi. Tadeusz się na to nie godził, płacił jak mógł, nawet za głupie kichnięcia, bo uprawianie nauki w tym kraju to czasem doprawdy samobójstwo. – Teofil zaciągnął się i zakaszłał. – Mamy przecież

jeszcze praktyki studenckie, dzieciaki trzeba wysłać na praktyki, żeby zdobyły doświadczenie, tego nie można zlikwidować. I opracować potem wyniki badań, granty nam kompletnie nie szły... Stąd te długi. A Tadeusz wymyślił, jak te dziury załatać. I dogadał się z Maliniakiem z RemBudInvu, mieliśmy im pójść na rękę, podpisaliśmy umowy na badania inwestycyjne, mieliśmy dostać za to tyle, że wyszlibyśmy w końcu na plus.

– Za badania, których nie zamierzaliście przeprowadzać – wyrwało się Mirskiej. Budryś zgromił ją wzrokiem. Jak ktoś zaczynał się zwierzać, to się nie przerywało. – Przepraszam – mruknęła.

Teofil podniósł na nią oczy.

– Większość miała być na przyszły rok, w tym Maliniak miał nam wpłacić milion, za jakieś lipne badania pod Grójcem.

Mirska poczuła satysfakcję.

– I zabił go pan, bo za mało kasy miało wpaść do pana kieszeni? – zapytał uprzejmie Budryś spod okna.

– Nikogo nie zabiłem! – zezłościł się Teofil. – Umowa była taka, że ja ogarniałem formalnie, Tadeusz dawał twarz, a ktoś trzeci odwalał część naukową, prokurował mapy, raporty, całą dokumentację! Nie wiem kto. Tadeusz uważał, że lepiej, żebyśmy zbyt dużo nie wiedzieli! Nie mam pojęcia, kto to był, ale na pewno nie ja!

– Aha. – Budryś wciąż był sceptyczny. – Cóż, jak nie chce pan pomóc, to może w areście zmieni pan zdanie. – Mirska posłała mu znaczące spojrzenie, ale komisarz wzruszył tylko ramionami. – A paserka? Ma pan coś do powiedzenia na ten temat, tak przy okazji?

Teofil zgasił nerwowo papierosa na spodku filiżanki, choć tylko raz zaciągnął się dymem.

– Panie komisarzu, z tym nie mam nic wspólnego! – powiedział stanowczo. – Gdzie ja do paserstwa?! Nie zajmowałem się tym!

– Ale pan o tym wiedział – wytknęła Mirska.

Teofil jakby lekko skłęś w sobie.

– Wiedziałem, że Tadeusz coś przywozi i puszcza w obieg – przyznał. Widać już całkiem postawił kreskę na swoim dawnym szefie i teraz postanowił ugrać jak najwięcej dla siebie. W sumie

słusznie. – Ktoś pisał mu ekspertyzy. Na pewno sam tego nie robił. Nie wiem, czy to ta sama osoba, która robiła dokumentację. Wiem tylko, że ostatnio przywiózł z Austrii sztylet rzymski. Bardzo porządny.

Budryś parsknął.

– Rzymski sztylet? To nie jest lekka przesada?

– Niekoniecznie – odparł chłodno Teofil. – Niech pan sobie pójdzie do muzeum archeologicznego i obejrzy broń z epoki brązu z terenów dzisiejszej Polski. Całkiem nieźle zachowana. Bardzo dekoracyjna, bym powiedział. A w takiej Austrii to naprawdę bywają cacka z czasów rzymskich. To, co przywiózł Tadeusz, miało pójść na jakiejś aukcji na Wschodzie. Rosja chyba, nie orientuję się. I nic więcej nie wiem.

– I gdzie niby jest ten sztylet teraz? – powątpiewał dalej Budryś, ale Teofil tylko wzruszył ramionami. Mirskiej za to przyszedł do głowy raport doktora Lubczyka; patolog mówił, że wszystkie rany zadano czymś w rodzaju sztyletu.

Przeszedł ją dreszcz, bo wszystko coraz bardziej składało się na inscenizację morderstwa Cezara. Zabić dyrektora archeologii prawdziwym rzymskim sztyletem, co za symbolika!

– Nie wiem, naprawdę nie wiem! – Teofil brzmiał przekonująco, ale to jeszcze o niczym nie przesądzało. Seryjny morderca Ted Bundy też był przekonujący. – Nie widziałem go nawet na oczy, Tadeusz tylko wspominał, że go przywiózł, tuż przed swoją śmiercią!

Budryś spojrzał niezadowolony na Mirską przez długość sekretariatu. Mieli szczęście, że Kwaśny sam urzędował w pomieszczeniu, nie musieli nikogo wypraszać ani wzywać sekretarza do siebie.

– Kto z nim współpracował? – zapytała Mirska. – Czy ekspertyzy mógł mu pisać ktoś od niego z zakładu? Borówka albo Matejka?

– Matejko – poprawił odruchowo Budryś.

Kwaśny westchnął ciężko. Na jego biurku rozdzwonił się telefon, ale Teofil odrzucił połączenie.

– Nie wiem – odparł z rezygnacją. – Nie wydaje mi się. Borówka to jeszcze dzieciak, a Matejko... No nie lubili się, nie ma przykazu, że

mają się kochać.

– To kto jest taki merytoryczny, żeby móc mu pisać różne rzeczy?

Teofil zamknął oczy i pomasował nasadę nosa. Trudno. I tak już utonął.

– Parys – powiedział w końcu.

Wiedział, że właśnie wepchnął ją pod autobus.

Odór alkoholu towarzyszył Majce przez całe zajęcia z archeologii starożytnego Rzymu. Towarzyszył jej także, kiedy podczas okienka wyskoczyła z instytutu do kiosku na terenie uniwersytetu po fajki. A to oznaczało tyle, że ten menel Jurek przyczepił się i łązi za nią krok w krok. Strasznie ją irytował – nawet tak na co dzień, a teraz to nawet podwójnie, bo wczoraj Majkę przydybali ci policjanci od morderstwa dyrektora i w tak dziwny sposób pokierowali rozmową, że przyznała się im, że sobotę przed Świętem Niepodległości spędziła w towarzystwie Matejki. Nie miała pojęcia, jak to zrobili, w ogóle tego nie rozumiała, bo wiedziała przecież, że Paweł nic im nie powiedział. A potem zaczęła podejrzewać, że pewnie ten alkoholik coś im chlapnął, niech go szlag.

Nerwy puściły jej przed kioskiem na dużym dziedzińcu uniwersyteckim, wiecznie zastawionym samochodami.

– Już na mnie nakablowałeś, więc czego, do cholery, jeszcze ode mnie chcesz? – wycedziła, odwracając się na pięcie i stając twarzą w twarz z Jureczkiem. Musiała cofnąć się o krok, bo w twarz buchnął jej alkohol z jego oddechu. Jureczek cmoknął i uśmiechnął się krzywo.

– Ene due rike, spała Majka z panem – powiedział spokojnie i zaskakująco trzeźwo. – A pan zabił pana. Drugiego – dorzucił. – Chociaż się nie rymuje. Co ty na to?

Majka przez chwilę przyglądała mu się z odrazą. Czerwony nos i przekrwione oczy ukryte za okularkami. Włosy jednak starannie przyczesane, a spod kurtki wyglądał kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli. Jakim cudem przy swoim trybie życia utrzymywał wygląd kujona?

– Odwaliło ci kompletnie – powiedziała w końcu. – Dlaczego ty

się mnie tak uczepliłeś, co ja ci takiego zrobiłam?!

– Jakie to uczucie sypiać z mordercą? – zapytał z ciekawością Jureczek, przyglądając odruchowo włosy. – Bo to twój kochaś pewnie zabił dyrektora.

Majka poczuła się niepewnie. Nie wiedziała, czy z powodu obecności tego wariata, wariatów zawsze się trochę obawiała, czy z powodu tego, co mówił. Dreszcz przeleciał jej po plecach. Nerwowo ściągnęła z opakowania papierosów folijkę, zmięła ją i rzuciła na ziemię. Jureczek schylił się i podniósł śmieć, po czym zrobił kilka kroków w stronę kiosku, przy którym stały kosze.

– Skąd wiesz, że to Paweł zabił dyrektora? – spytała z niepokojem, otwierając i zamykając pudełko papierosów. Jureczek pomyślał, że to jednak był celny strzał, bo Majka właśnie przyznała się do romansu z Matejką oraz do tego, że wcale nie wyklucza jego udziału w morderstwie.

– Dodałem dwa do dwóch – odparł z dumą w głosie i rozejrzał się konspiracyjnie. Majka odruchowo zrobiła to samo. – Poza tym – Jureczek zniżył głos – ja go widziałem. Tuż po – dodał z naciskiem.

Majka zamrugała oczami. Kuranty uniwersyteckiego zegara zaczęły wydzwaniać kwadrans do pełnej godziny. Trzy sygnały. Majka właśnie zaczęła spóźniać się na zajęcia – Jurek zresztą też – ale mało ją to obeszło.

– Gdzie go widziałeś? – zapytała, kiedy intensywne dzwonięcie ucichło.

Jureczek zaczął kiwać się na piętach, z głupim uśmiechem. Boże, jak on ją irytował.

– Nad Wisłą – powiedział. – Pewnie pozbywał się fantów.

– Niemożliwe. On tę sobotę spędzał ze mną.

Jurek uniósł jedną brew.

– Serio? Spędziłaś z nim również całą noc? Bo to już późno było. Bardzo późno. O tej porze dziewczynki już śpią.

Majka już chciała wypalić, że najpierw powinien zobaczyć jakąkolwiek dziewczynkę, ale dotarło do niej, że to bez sensu. Stała na zimnym wietrze na dziedzińcu i dyskutowała z wariatem, który coś sobie ubzdurał! Roześmiała się serdecznie, co Jureczka mocno

stropiło. Majka nie powinna się przecież śmiać!

– Biedaku – wykrztusiła w końcu, opanowując śmiech. – Aż tak ci wóda mózg wyżarła? Będiesz teraz tworzył teorie spiskowe, kto kogo i dlaczego?

Jurek przez chwilę milczał.

– Policja coś na niego ma – poinformował ją rzeczowym tonem. Trochę blefował, nie wiedział, czy policja faktycznie miała coś na Matejkę. Ale w końcu komisarz obiecał, że sprawdzą trop. Może powiedział to między słowami, które *de facto* padły, ale nic nie szkodzi. – Sama pomyśl. Wszyscy wiedzieli, że wpadłaś dyrektorowi w oko...

– Ja? Nieee. – Majka uśmiechnęła się z czystej przekory. Doskonale wiedziała, że Zawistowskiemu w oku jednak błyskało na jej widok. Nie żeby czegoś od niej chciał, ale podobała mu się. Widziała, nie urodziła się w końcu wczoraj.

Jureczek nie zwrócił jednak uwagi na jej wtęt.

– ...a pan Matejko nie jest typem, który oddaje innym samcom alfa swoje kobiety – ciągnął. – Naprawdę myślisz, że twój Pawełek nie byłby w stanie zatłuc dyrektora, gdyby on zażyczył sobie ciebie?

Tym razem Majka ściągnęła buzię w ciup. Myśl była przerażająca, ale budziła w niej miły dreszcz. Żeby mężczyźni się o nią zabijali, która kobieta by nie chciała takiego dowodu oddania?! Jak w dawnych czasach! Nie była specjalnie przywiązana do Matejki, ale słowa Jureczka wywarły dokładnie odwrotny efekt do tego, który chciał osiągnąć – zamiast odstraszyć, sprawiły, że Matejko wydał jej się znacznie bardziej pociągający.

Majka była kiepską aktorką, nie potrafiła się maskować. Jureczek z przerażeniem obserwował na twarzy dziewczyny myśli, jakie przepływały jej przez głowę – odczytywał je bez pudła. A naprawdę nie życzył jej źle i chciał ją przede wszystkim ostrzec.

– Słuchaj... – Przysunął się nieco do Majki, a ona natychmiast się odsunęła, bo owiała ją silna woń alkoholu. Chyba musiał pociągać na zajęciach. – Bądź choć raz w życiu logiczna: jeśli facet zabił z tak błahaego powodu, to dlaczego zakładasz, że nie zrobi tego po raz drugi? – Jureczek był całkiem inteligentnym chłopakiem, tyle że

kompletnie nie rozumiał kobiet, a Majki w szczególności.

– Uważasz, że jestem białym powodem?! – zawołała z oburzeniem.

– Kobieto, puchu marny! – zirytował się w końcu Jureczek. Chwycił Majkę za ramiona i nią potrząsnął. – Ja ci radzę uważać na tego Matejkę! Żebyś nie skończyła jak dyrektor! I żeby nie było, że cię nie ostrzegałem! – Puścił zaskoczoną dziewczynę, odchrząknął i przyczesał palcami włosy.

– Ty naprawdę jesteś wariatem – powiedziała zdumiona Majka. – Może się lecz, co?

Jureczek obrzucił ją spojrzeniem, poprawił kołnierzyk koszuli, odwrócił się i pomaszerował w stronę bramy i Krakowskiego Przedmieścia.

Nie to nie. On świata zbawiał nie będzie.

Miał dziwne przeświadczenie, że na jednym trupie się nie skończy.

Irena Parys marzyła już tylko o tym, żeby wszystko się skończyło. Miała serdecznie dosyć atmosfery, jaka zapanowała w instytucie, nieufności, z jaką podchodzili do niej wszyscy spoza archeologii, policji, która wpadała i wypadała, ciągle coś pobierała, zamykała i czegoś chciała. Życzyła sobie nie oglądać więcej w wiadomościach i na pierwszych stronach gazet zdjęć instytutu, nie odbierać telefonów od zaniepokojonych partnerów naukowych i komercyjnych, nie tłumaczyć się po raz kolejny przed dziekanem, rektorem i rzecznikiem. Chciała po prostu przyjść do pracy, poprowadzić zajęcia, zająć się sprawami studentów, poczytać nową literaturę...

Ale nie było jej dane. Cały piątek spędziła w biurze konserwatora zabytków. I to jeszcze żeby w pałacu Branickich przy Nowym Świecie! Nie, wywiało ją do Olsztyna. Wiedziała, że większość badań instytutowych jest prowadzona właśnie w warmińsko-mazurskim, ale nie sądziła, że zezdzie jej aż tak długo na tych wszystkich papierkach, wyjaśnieniach i tłumaczeniach. Była w Olsztynie na Podwalu o dziewiątej rano. Przesiedziała tam aż do zamknięcia

urzędu i miała już serdecznie dosyć. Szczerze żałowała, że konserwator wymagał jej obecności, bo w przeciwnym wypadku wysłałaby kogoś w zastępstwie. Joannę może niekoniecznie, choć była jej doktorantką, gdyż była zbyt... zafiksowana na własnym punkcie. Ale Borówkę mogłaby wysłać. Teofil i Tadeusz zawsze żartowali, że młody doktorant wskoczyłby dla niej w ogień. Tylko co z tego, skoro nie mogła się nim wysłużyć.

Do Warszawy wracała po zmroku, instruując męża telefonicznie, co jest jadalnego w domu. Przy odrobinie dobrej woli mógł przygotować kolację dla chłopaków, ale jakoś w to powątpiewała. Pewnie pizzę zamówi, a potem będzie się dziwił, że są grubi. Wszyscy trzej. Właściwie czterej, kot też był gruby.

Dobrze chociaż, że zabrała rano samochód. Dreszcz przechodził ją na samą myśl, że miałyby się tłuc pociągiem z Olsztyna do Warszawy. Albo nie daj Boże jakimś pekaesem. I tak była zmęczona, a po takiej podróży nie ruszyłaby już chyba palcem przez cały weekend. Zastanawiające, że na wykopaliskach potrafiła co dzień zrywać się o świcie i w pełnym słońcu Krety, Grecji albo Libanu pracować fizycznie w zasadzie non stop... Teraz jedyne, o czym marzyła, to gorąca herbata. Albo wódka na rozgrzanie. Względnie gorąca herbata z wódką – podobno hit instytutowych wykopalisk na Mazurach. Ona sama kopała raczej na południu Europy, często w kooperacji z misjami z innych krajów. Ale mogła spokojnie uwierzyć, że herbata z prądem to jedyny ratunek podczas chłodnych i wilgotnych wieczorów we wsiach, gdzie nie było nic do roboty, a psy czekały dupami, jak to ładnie określił kiedyś Tadeusz. Kiedy jeszcze żył, rzecz jasna.

Wjazd do Warszawy powitała z prawdziwą ulgą. Z nieco mniejszą radością wjechała do centrum. Musiała jeszcze zajrzeć do instytutu, gdzie zostawiła dwa doktoraty, które dostała do zrecenzowania prawie miesiąc temu. Nie mogła ich ciągle odkładać na święty nigdy.

Kiedy zaparkowała przed klasycystycznym budynkiem, gmach wciąż był otwarty, choć zajęcia już dawno się zakończyły. Pchnęła ciężkie drzwi i weszła do pogrążonego w mroku wnętrza. Na

parterze jedynie portiernia pana Edzia była rozświetlona mocnymi lampami, a plamy światła padały na podłogę korytarza przez przeszklone ściany pomieszczenia. Stary portier siedział, rzecz oczywista, z nosem w laptopie.

– Dobry wieczór, panie Edwardzie – powiedziała, wchodząc do portierni. – Pan jeszcze nie w domu?

Pan Edzio podniósł siwą głowę i popatrzył na nią znad okularów.

– Joanna jeszcze siedzi – odparł. – Pozostali już chyba wyszli. A pani to też chyba powinna być już w domu, a?

– Powinna, powinna. – Parys westchnęła ciężko i pomyślała o pustych pudełkach po pizzy, które niewątpliwie walały się teraz w jej kuchni. – Ja tylko na chwilę, muszę zabrać kilka rzeczy na weekend. Czyli Joaśka siedzi u nas w zakładzie? – upewniła się.

Pan Edzio odepchnął się od blatu kontuaru, przy którym siedział, i przejechał kilka metrów do tyłu, zajrzał do szafki z kluczami.

– Siedzi – przyświadczył. – A przynajmniej u mnie klucza nie ma.

Parys wyszła z portierni i ciemnym korytarzem, obstawionym witrynkami z zabytkami, przeszła do windy. Niby tylko dwa piętra, ale nie chciało jej się chodzić. Była zbyt zmęczona na wspinanie się po schodach, w dodatku ciemnych. Może za to ewentualnie po nich zejść, w ramach aerobiku.

Korytarz na drugim piętrze był dla odmiany oświetlony, żarówki w kinkietach paliły się ciepłym, choć niezbyt mocnym światłem. Drzwi do ich zakładu stały otwarte na oścież – przy biurku siedziała Joanna Masztalerz, obłożona stosami książek z ich podręcznej biblioteki. Parys uśmiechnęła się do siebie. Joanna była rzadkim przykładem prawdziwego pracusia i siedzenie wieczorami w miejscu pracy nie było w jej wypadku niczym niezwykłym. Miała zresztą okazję czytać trzy rozdziały doktoratu Joanny – sama przyjemność.

Masztalerz prawie nie zwróciła uwagi na Irenę, kiedy ta weszła do pokoju. Odburknęła tylko na powitanie, nie odrywając wzroku od nowego opracowania badań w Cyrenajce. Parys zatem odszukała na swoim biurku dwa opasłe doktoraty, czekające na recenzję, i poleciła Joannie nie przesiadywać po nocy, także ze względu na pana Edzia, żeby go nie trzymać. Joanna nie zareagowała, więc

wycofała się z zakładu bez ociągania. Nie chciało jej się dzisiaj zostawać w pracy. Miała dosyć.

Zeszła bocznymi schodami na pogrążone w ciemności pierwsze piętro, na którym panował martwy spokój. Lampy były tu pogaszone i tylko przez wielkie okna na obu końcach korytarza wpadało blade światło latarni. Parys z przyzwyczajenia podeszła jeszcze do wejścia sekretariatu połączonego drzwiami z gabinetem dyrektorskim – bo czasem ktoś się potrafił zasiedzieć i schodząc z góry, należało pamiętać, żeby sprawdzić, czy wszyscy już na pewno sobie poszli. Klamka nie powinna ustąpić pod naciskiem jej dłoni, jednak ku ogromnemu zaskoczeniu Parys drzwi otworzyły się cicho.

Najwyraźniej ktoś tu jeszcze był.

Parys zawahała się, czując się wyjątkowo nieswojo w opustoszałym, ciemnym budynku, mimo to wsunęła się do sekretariatu. W słabym świetle wpadającym przez okna dostrzegła, że pokój jest pusty, ale drzwi gabinetu dyrektorskiego, dotąd zamknięte i zabezpieczone przez prokuratora i policję, były uchylone, a w dodatku dochodził zza nich cichy, uporczywy skrzyp.

Weszła na palcach do gabinetu i wyteżyła wzrok, jednak gabinet był znacznie gorzej oświetlony i nic nie dojrzała.

– Życie jest do bani – wygłosił ktoś nagle grobowym tonem przy akompaniamencie straszliwego pisku.

Parys wymacała nerwowo przełącznik światła i po chwili pokój zalała jasność. Oczom wicedyrektor ukazał się sekretarz, zagłębiany w wielkim skórzanym fotelu, jeszcze do niedawna należącym do Tadeusza. To właśnie ten fotel był źródłem przerażającego pisku; skrzypiał i wydawał dziwne odgłosy przy każdym ruchu.

– Boże przenajświętszy, Teofil, chcesz mnie przyprawić o zawał serca?! – jęknęła Parys, łapiąc się za pierś. – Nie rób tego więcej!

Teofil rzucił jej ponure spojrzenie.

– Co ty w ogóle tu robisz o tej porze? – Parys oparła się o framugę.

– Mam zakaz opuszczania miasta. – Teofil zaczął się bujać na fotelu. Parys wpatrywała się w niego nierozumiejącym wzrokiem

i Kwaśny przypomniał sobie, że dzisiaj nie było jej w instytucie. Co oznaczało, że jeszcze nic nie wie. Trochę go kusiło, żeby przemilczeć przed nią sprawę lewych inwestycji, ale z drugiej strony nawet mu się to podobało, że już miał wszystko z głowy. – No tak, ty nic nie wiesz...

– O czym nic nie wiem? – zapytała. Podeszła do biurka i usiadła na jednym z foteli, z ulgą kładąc na blacie doktoraty. Oba miały objętość Birkutowej cegły.

Teofil w krótkich, zwięzłych zdaniach wyłożył jej wszystko, a kiedy skończył, przyjrzał się jej krytycznie, po czym otworzył dyrektorskie biurko, wyjął dwie szklanki wraz z butelką whisky i postawił je na blacie. Parys wcale nie poczuła się zaskoczona, że Teofil wie o dyrektorskim alkoholu zabunkrowanym w biurku. Teofil wiedział wszystko.

Rozpięła płaszcz i wciąż oszołomiona usłyszanyymi przed chwilą wieściami przyglądała się, jak Kwaśny nalewa jasnego płynu do szklanek. W milczeniu podsunął jej jedno szkło z alkoholem. W absolutnej ciszy wychylili niemal równocześnie swoje szklaneczki. Sekretarz nalał im ponownie. Parys zdjęła płaszcz i odwiesiła go na oparcie krzesła, usiadła w fotelu, zrzuciła buty i oparła stopy o kant biurka Zawistowskiego. Nigdy tego nie zrobiła za jego życia, a zawsze miała ochotę.

– To właściwie dlaczego cię jeszcze nie zamknęli? – odezwała się po chwili, sięgając po swoją szklaneczkę.

– Bo to nie jest działka naszego dzielnego komisarza i jego pomocniczki – prychnął Teofil. – Może Wydział Gospodarczy przyjdzie aresztować mnie jutro, oni lubią ludzi o świcie wyciągać w gaciach z łóżka, a w takim wypadku chcę się przynajmniej narąbać wcześniej czymś niezłym.

Parys wątpiła, by w biurku Zawistowskiego było tyle alkoholu, żeby Teofil zdołał „się narąbać”, ale nie powiedziała tego głośno.

– Słuchaj. – Teofil zmrużył lekko oczy i popatrzył na Parys przez szklankę z whisky. – A w sumie to dlaczego zabiłaś Tadeusza?

Parys zakrztusiła się alkoholem i zaczęła kaszleć.

– Co... proszę...?

– Słyszałaś. – Teofil wzruszył ramionami. – Czemu zabiłaś Tadeusza.

– Na litość Boga jedynego, Teofil! – zawołała wstrząśnięta i z wrażenia jednym haustem opróżniła szklanę. Przez chwilę miała dziwne uczucie w brzuchu, ale po chwili jej przeszło. Możliwe, że nie powinna pić na pusty żołądek. – Co ci strzeliło do głowy? Dlaczego miałabym zabić Tadeusza?!

– A niby kto inny by mógł? Tak z nim współpracować i w ogóle. Tylko ty jesteś na takim poziomie, żeby mu to ogarniać naukowo. A jeśli nawet nie ty dźgałaś osobiście, to może zleciłaś to Borówce. Wpatrzony jest w ciebie jak w obrazek, jakbyś go ładnie poprosiła, to kto wie.

Parys popukała się w czoło.

– Miło, że tak we mnie wierzysz, ale zapewniam cię, że nie miałam z tym bajzłem nic wspólnego i nic nikomu nie kazałam – powiedziała stanowczo. – Dopiero teraz o tym wszystkim słyszę. To znaczy o umowach słyszałam, że będą, ale nie wiedziałam, na co i od kogo.

Sięgnęła po butelkę i nalała sobie hojnie. Teofil milczał, przyglądając się jej nieufnie. Jeśli mówiła prawdę, że nie pracowała nad tym z Tadeuszem, to kto, u licha ciężkiego? Ona miała przynajmniej doświadczenie, wiedzę, metodologię... Nie, jeśli miałyby obstawiać, kto robił przekręty z Zawistowskim, postawiłby właśnie na nią. Ale jeśli jednak nie ona, to wpuścił Budrysia w maliny. Cóż, niech sobie facet radzi, w końcu jest dorosły.

– Jesteś pewna, że to nie byłaś ty? – rzucił. Parys przewróciła oczami. Gdyby to rzeczywiście była ona, pomyślał, chyba powinna się bardziej przejąć. – No to jeśli nie ty, to kto?

Irena przeciągnęła się leniwie.

– Nie wiem. – Sięgnęła po swoją torebkę i zaczęła grzebać w jej czeluściach. Zrobiło się jej gorąco, podwinęła rękawy golfa. Czują, że na policzki wypływają jej czerwone placki. Jako naturalny rudzielec zawsze się szybko czerwieniła. – Ale pewnie ktoś, do kogo miał zaufanie. Do mnie, jak widać, nie miał.

– Zaufanie! – Teofil zaczął się śmiać. – Tadeusz i zaufanie! Aleś

strzeliła!

– No co? Do ciebie na przykład miał zaufanie – wytknęła. Wyciągnęła z torebki paczkę herbatników. Średnio pasowały do whisky, ale nie miała nic innego.

Teofil parsknął i upił łyk alkoholu.

– Taaa, zaufanie – mruknął. – Ale kto z nami robił przy tym projekcie, to już mi nie powiedział.

– Ty, a może to Paweł Matejko? – Parys pochyliła się nad biurkiem w stronę Teofila.

Sekretarz z głośnym piskiem obrócił się na fotelu.

– Chyba oszalałaś. Albo już się upiłaś.

– Nie. – Parys zachichotała, co nie wzmocniło jej stwierdzenia. – Ale sam pomyśl! Nam się wydaje, że Tadeusz nie lubił Pawła, ale to normalne jest, że jak dwie osoby są do siebie bardzo podobne, to się nie lubią! To zbadane jest!

– Przez kogo? Przez radzieckich uczonych? – zadrwił Teofil.

– Nie, przez amerykańskich. Zobacz, zajmowali się tą samą tematyką naukową – Parys odgięła jeden palec – obaj są na swój sposób przystojni – odgięła drugi – obaj mają słabość do studentek – odgięła trzeci. – W dodatku obaj preferowali taki sam typ! Przypadek? – Uderzyła dłonią w blat biurka. Chyba naprawdę nie powinna pić na pusty żołądek. Sięgnęła po herbatnika.

– Może faktycznie Matejko ma zadatki na Tadeusza... – przyznał ostrożnie Teofil. – Może masz rację. Ale co, myślisz, że dlatego, że byli podobni, Tadeusz wciągnął go do projektu? – Wolał nazywać tę całą aferę właśnie projektem. Jakoś bardziej naukowe, a mniej kryminalne miała wówczas rysy.

– A czemu nie?

W sumie racja, czemu nie... Tadeusz myślał w dziwny sposób, przy czym zawsze był piekielnie skuteczny. A była jeszcze kwestia zabytków. Teofil wiedział, że Zawistowski od czasu do czasu coś przewoził, przekazywał dalej, wystawiał zaświadczenia, opinie, certyfikaty. Ostatnio ten sztylet, podobno cudnej urody.

– Ale sztylet to też nie ty? – upewnił się na wszelki wypadek.

– To pugio z pierwszego wieku spod Wiednia? – odparła pytaniem

na pytanie, chrupiąc herbatnika i kiwając beztrąsko opartymi o brzeg biurka stopami w błękitnych skarpetkach. Tym razem Teofil prawie zachłystnął się whisky.

– Skąd o nim wiesz?!

Parys wzruszyła ramionami i sięgnęła po szklanę z alkoholem. Dzisiaj i tak już nie będzie prowadzić, wezwie taksówkę, a jutro niech sobie mąż sam przyjeżdża po samochód, stoi w końcu na parkingu prawie strzeżonym, na uniwersytecie. Samochód, rzecz jasna, nie mąż.

– Tadeusz mówił, że jego znajomy to kupił, dostał czy coś takiego i że bym napisała do tego ekspertyzę – odparła, potykając się lekko na literze „r”.

– I co? – zapytał Teofil z napięciem.

Parys zachichotała.

– I nic. Nie bardzo miałam czas, a Tadeusz strasznie mi zachwalał, że podobno istne cudo, w fantastycznym stanie, ostrze, tnie, nawet z rękojeścią.

– Widziałaś to pugio?

Parys pokręciła głową, a Teofil przez chwilę rozważał wszystko. Miał mocniejszą głowę niż Irena, poza tym zjadł porządny obiad, alkohol nie miał więc na niego takiego wpływu jak na nią, nie przeszkadzał w myśleniu, wręcz przeciwnie. Czyli jednak trafił z tą Parys, Tadeusz faktycznie chciał ją wciągnąć, skoro proponował jej opracowanie sztyletu, zapewne trefnego.

– Tadeusz miał pugio – odezwał się po chwili. – Tadeusz miał pugio, a teraz go nie ma.

Parys zachichotała.

– Co ty, wierszyki dla dzieci będziesz teraz układał? – zapytała rozbawiona. – Bo to tak brzmi.

– Cicho. Tadeusz miał pugio, nie ma pugia, nie ma Tadeusza, bo ktoś go zasztyletował, rozumiesz? – Teofil łyknął whisky. – Zamiast dać mu ekspertyzę, ktoś go zaciukał, pewnie Matejko...

– To jakaś abstrakcja. – Parys pokręciła głową. – Ktoś zabija Tadeusza antycznym puginalem, jeśli prawdziwym, to wartym majątek, ty siedzisz w jakimś przekrecie finansowym, a Paweł

miałby być mordercą... Przecież to nonsens!

– Nonsens to będzie, jak się instytut rozpadnie. – Teofil westchnął i znów obrócił się na fotelu z piskiem. – A się rozpadnie, bo nikt nie utrzyma tego bajzlu. Mnie wsadzą, Tadeusz nie żyje, ten instytut nie ma prawa działać. Bez obrazy, ale nawet ty nie jesteś w stanie tego ogarnąć. Nikt nie jest w stanie.

– Ho, ho! – obruszyła się Parys i zdjęła nogi z biurka. – Król Słońce się znalazł!

– Nie słońce, tylko realista. – Teofil wzruszył ramionami. – Zobaczysz. Problem polega na tym, że nikogo w tym kraju nie interesuje humanistyka. Nikt nie da złamanego grosza na te wasze badania.

– Archeologia to nie jest żadna humanistyka! – oburzyła się Parys. Sięgnęła po butelkę i rozlała do końca. – Archeologia jest interdyscyplinarna!

– Tym bardziej nie dadzą wam nawet ćwierć grosza. Uświadom sobie, kobieto, że czasy są podłe dla nauki i jak ktoś nie ma z niej wymiernych korzyści, to sobie te wszystkie badania może wsadzić...

– Teofil!

– W nos sobie może wsadzić – doprecyzował Kwaśny. – Naprawdę nie wiem, co ci chodzi po głowie. W każdym razie nie licz na to, że ktoś wam da z dobrego serca kupę kasy na pokrycie długów. A już na pewno nie na to, żeby instytut jeszcze coś zarobił.

– Nie...? – zdziwiła się cichutko Parys, a Teofil któryś już raz tego wieczoru przewrócił oczami.

– Boże, słyszysz, a nie grzmisz – mruknął.

Oboje unieśli szklanki w geście toastu i wychylili je do dna.

Żadne z nich nie zauważyło, że już od dłuższego czasu ktoś stoi w ciemnym sekretariacie, tuż poza kręgiem światła rzucanego z gabinetu, wystarczająco blisko jednak, żeby słyszeć każde ich słowo.

Joanna Masztalerz była porządnie wychowana. Nie trzymaj łokci na stole, ustępuj starszym, nie czytaj cudzych listów i nie podsłuchuj. Czasem jednak zdarzały się sytuacje, kiedy po prostu nie było

innego wyjścia.

Wcale nie miała zamiaru nikogo podsłuchiwać. Chciała tylko zejść na dół i zapytać pana Edzia, ile jeszcze może posiedzieć. Ale nie dotarła na parter, ponieważ na pierwszym piętrze zobaczyła otwarte drzwi do sekretariatu i plamę światła z gabinetu dyrektora oraz usłyszała głosy Parys i Teofila. Chciała nawet podejść i dać im znać, że ona tu jest, ale Parys właśnie zapytała, czy to nie Matejko, na co Kwaśny zareagował niedowierzaniem. A Joanna zamarła w pół ruchu. Przesunęła się trochę, żeby jej nie zauważyli. Na wszelki wypadek. I nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, że ich podsłuchuje. Było nie zostawiać otwartych drzwi! Nie obchodziło jej, że siedzą przy butelce, nie było osoby, która nie piłaby w tym instytucie. Jednak objawieniem było dla niej to, że według Parys – i Kwaśnego chyba również – to właśnie Matejko zabił Zawistowskiego! Dotąd Joanna wszelkie myśli o osobie zabójcy odsuwała od siebie jak najdalej, nie chciała się nad tym zastanawiać, patrzeć na swoich kolegów i rozważać, czy stać ich było na zabicie Tadeusza. Musiała jednak przyznać, że rozważania sekretarza i wicedyrektora miały jakiś sens. Poza tym, że były, oczywiście, zupełnie nieprawdopodobne. Ale jeśli już... Paweł faktycznie był podobny do Tadeusza. Że też nikt tego wcześniej nie zauważył!

Prawdziwy szok przeżyła, kiedy zaczęli mówić o sztylecie, którym zadano ciosy. Antyczny puginał, sztylet rzymskich legionistów! Krótki, szeroki miecz dwusieczny, Boże, jaka ironia losu...! Nie miała wątpliwości, że sztylet został nielegalnie przywieziony przez Tadeusza, tak samo, jak jej złota czaszeczka. Choć nic jej nie mówił o żadnym puginale.

Wiedziała, że takie pugio w dobrym stanie może być sporo warte. Oj, przydałoby się coś takiego – miała pewne problemy finansowe, o których zresztą Tadeusz doskonale wiedział. Teofil powiedział, że sztylet zniknął. Joanna wycofała się cicho z sekretariatu i na palcach przemknęła do schodów. Zeszła na dół i stanęła w pograżonym w ciemnościach korytarzu, obstawionym gablotkami z zabytkami. Ruszyła szybkim krokiem w stronę portierni, ale coś ją

tknęło i cofnęła się do witryny tuż przy windzie. Jeździła nią codziennie, codziennie też przechodziła obok tej samej wystawki i oglądała te same zabytki na szklanych półkach. Ostatnio coś jej w nich nie pasowało, ale nie chciało jej się zastanawiać co.

Teraz stanęła przed gablotką i wydobyła z kieszeni telefon komórkowy. Włączyła latarkę i skierowała strumień światła na eksponaty.

Na środkowej półce, obok średniowiecznych nożyc i nożyków, leżało pugio. Nie mogła mieć żadnych wątpliwości, zawodowo zajmowała się w końcu archeologią klasyczną. Znała na pamięć budowę puginału, tego kształtu nie pomyliłaby z niczym.

I tym właśnie zabito Tadeusza...

Nawiasem mówiąc, genialne posunięcie – ukryć coś takiego na widoku; każdy to widział, każdy na to patrzył, a nikt nie wiedział, że to właśnie przyniosło kres Tadeuszowi!

Joanna rozejrzała się uważnie. Korytarz był cichy i ciemny. Tylko jego drugi koniec rozjaśniały światła portierni. Nie zastanawiała się długo. Ściągnęła windę, wjechała na górę, zgarnęła kurtkę i torbę, nie bawiąc się w zbieranie porozkładanych książek. Wyjęła z kubka na długopisy nożyczki, odpięła kilka spinaczy z kolokwiów studentów i po krótkim namyśle wzięła jeszcze nożyk do owoców. Nie miała kluczyków do gablotki, ale zamek nie był szczególnie skomplikowany, a ona dawno opanowała sztukę otwierania prostych zamków – kiedyś mieszkała z nimi babcia, notorycznie gubiąca klucze do mieszkania.

Pogasiła światła, zamknęła pokój, zjechała windą na dół i od razu wzięła się do otwierania gablotki. Skoro nikt dotąd nie zabrał sporo wartego puginału, a i policja go nie zauważyła, to nikt nie będzie po nim płakał. Niby wiedziała, że to nie jest najlepszy pomysł na świecie, ale nie mogła znieść myśli, że w gablotce leży przedmiot, który poszedłby za ładną sumkę, gdyby tylko się zakręciła. A to i owo wiedziała o kręceniu się tu i tam.

Zamek ustąpił bez oporu; w gablotkach przechowywano eksponaty o wartości naukowej, nie materialnej, nikt więc nie zwracał sobie głowy żadnymi alarmami czy skomplikowanymi

zamknięciami. Joanna otworzyła gablotkę po kilku raptem próbach. Wyjęła puginał z witryny, owinęła ostrożnie szalikiem i włożyła do torby, po czym zamknęła gablotkę. A potem, stukając obcasami, powędrowała do pana Edzia. Oddała mu klucz, dowiedziała się, że pan Kwaśny i pani Parys na chwiejnych nogach już opuścili instytut, po czym sama też wyszła.

W domu nie wyjęła puginału z torby przez całą sobotę. Jakby się bała, że coś się stanie.

Dopiero w niedzielę, siedząc przy kuchennym stole w towarzystwie dużego kubka mocnej kawy, wyciągnęła swój łup. Jeśli chciała zarobić i puścić zabytek dalej, musiała go w końcu dokładnie obejrzeć. I dopiero wtedy dotarło do niej, co zrobiła. Nie tylko ukradła narzędzie zbrodni, ale także ruchomy zabytek archeologiczny, który powinien leżeć w muzeum! Albo pójść na aukcji za grubą kasę.

Trzymając ostrożnie pugio, obejrzała je w świetle dnia.

I natychmiast zrozumiała, czemu Tadeusz chciał, żeby to Parys opracowała to archeologiczne чудо. Była zdolnym naukowcem, potrafiła zajmująco pisać nawet o rzeczach niewiele wartych. Jej opracowanie mogłoby dorównać klasie samego zabytku.

Pugio było zgrabne. Świetnie wyważone, idealnie długie. Doskonale leżało w dłoni. I w ogóle nie było zniszczone. Jakby wcale nie miało dwóch tysięcy lat. Żadnej korozji, żadnych ubytków. Ktoś nad nim najwyraźniej mocno pracował już konserwatorsko. Miało nawet piękną rękojeść z trzema guzkami! I ostry sztych. Joanna dotknęła go palcem, wyobrażając sobie, jak ostrze wbija się w ciało Tadeusza. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty... Aż za dobrze pamiętała widok, jaki zastali wtedy w slajdotece.

Wzdrygnęła się.

Dokładnie w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Joanna drgnęła i ukłuła się sztychem. Na palcu pojawiła się kropla krwi. Odłożyła ostrożnie pugio na kuchenny blat i ssąc palec, pomyślała z przekąsem, że teraz powinna zasnąć jak Śpiąca Królewna i że konserwator zabytku chyba nieco przesadził z przywracaniem go do stanu pierwotnego.

Dzwonek do drzwi natrętnie wwiercał się w uszy.

Przykryła sztylet ścierką i ruszyła do drzwi. Zerknęła przez judasza, po czym przekręciła zamek.

– Cześć – powiedziała lekko zdziwiona, otwierając drzwi. – Co tu robisz?

Intermezzo

Gablotka jest pusta.

To znaczy wciąż leżą w niej średniowieczne śmieci, na które nikt nigdy nie zwracał uwagi, nikomu niepotrzebne i zapomniane przez świat i swoich pożał się Boże odkrywców, ale nie ma mojego puginału.

Mojego.

Formalnie nie jest mój, ale przez to, że posłużył mi do zabicia Tadeusza, tak jakby stał się moją własnością, prawda? Poza tym to dowód w sprawie, narzędzie zbrodni. Mojej zbrodni. Zdecydowanie wolę mieć je na oku, bo czy można oskarżyć kogoś bez narzędzia zbrodni? Pewnie, że tak, ale jego obecność zmienia wszystko. Nie mam w planach dać się złapać, oczywiście, że nie, ale tym bardziej nie mogę pozwolić, żeby sztylet trafił w obce ręce.

A puginał zniknął.

Gdzieś w środku zaczyna kiełkować panika.

Wiem, należało zabrać go wcześniej. Wyczekać odpowiedni moment i wyjąć go z gablotki. A potem pozbyć się go definitywnie – zakopać w Kampinosie, wyrzucić na wysypisku na Radiowie, przetopić, wrzucić do Wisły. Albo pociągnąć pomysł Tadeusza i sprzedać na czarnym rynku, choć akurat ten pomysł podobał mi się najmniej. Nie, lepiej by było się go pozbyć ostatecznie, zniszczyć, to przecież narzędzie zbrodni. Należało to jednak przemyśleć, więc do momentu podjęcia decyzji puginał miał leżeć na widoku. Wydawało mi się, że był tam zupełnie bezpieczny, kto zwróciłby na niego uwagę? Od dnia śmierci Tadeusza nikt się nim nie zainteresował, jeszcze wczoraj, w piątek, pugio spoczywało między średniowiecznym chłamek. A dzisiaj go nie ma.

Pamiętnej soboty instytut był zamknięty na cztery spusty. W niedzielę wypadało Święto Niepodległości, zajęcia odwołano. W ten weekend są, więc można spokojnie pójść i w trakcie zajęć,

kiedy korytarz opustoszeje, zabrać zabytek. Moja obecność w instytucie nie jest niczym nadzwyczajnym. Mówi się, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, ale też że zbrodniarze wracają na miejsce zbrodni. Ja wracam do mojego narzędzia mordu. I przeżywam szok, kiedy nie widzę na szklanej półeczce rzymskiego puginału.

To nie sprawka policji. Komisarz prowadzący śledztwo z tą policjantką kręcą się jak gówno w przeręblu, nic nie mają. Chyba że mają, ale się nie zdradzają. Kilka razy przechodzili obok gablotki, ale żadne z nich ani razu nawet na nią nie zerknęło. Zresztą, nawet gdyby spojrzeli, to i tak nic by im to nie dało. Żadne z nich nie zna się na historii czy antykach, nie było szans, żeby rozpoznali rzymski zabytek wśród średniowiecznego złomu. Nikt zresztą nie rozpoznał. Nikt nie patrzył. Nie, inaczej: patrzyli wszyscy, ale nie widział nikt.

Aż do teraz.

Pana Edzia nie ma. Na weekendy przychodzi inny portier, mniej rozgarnięty. Przy nim można robić, co się chce, więc stoję przy kontuarze i czytam ostatnie wpisy w księdze pobrań kluczy.

Wpada mi w oko Kwaśny. Czy Teofil mógłby zabrać moje pugio? Nie. Kwaśny siedział w naszej robocie z dodatkowymi inwestycjami. Musiał siedzieć, nie było innej opcji. Ale wiem również, że nic o mnie nie wie; Tadeusz potrafił trzymać informacje przy sobie. *Divide et impera*, do cholery, dziel i rządź, jak pieprzeni Rzymianie. Tadeusz znał się na tym jak mało kto. A Teofil jest doskonałym administratorem, ale nie jest archeologiem. Pracując od piętnastu lat w instytucie, podszkolił się z tego i owego, ale do bycia znawcą wiele mu brakuje. Czy byłby w stanie poznać zabytek na pierwszy rzut oka? Nie, Teofil odpada.

Po Teofilu wychodziła już tylko Joanna Masztalerz. Czy Aśka zabrała pugio?

Tak.

Zdecydowanie tak.

Wiem, że ma lepkie rączki. W środowisku krąży opowieść o tym, jak kilka lat temu, będąc jeszcze na studiach, pojechała na wykopaliska do Rosji. I w ramach pamiątki postanowiła przywieźć

sobie kilka zabytków, które powinny były trafić do rosyjskiego partnera wykopalisk. Wyniuchała ją tamtejsza milicja, bardzo wyczulona na punkcie wywozu państwowych dóbr. Musiał interweniować Tadeusz i nasz ambasador, sprawie cudem udało się ukrećić łeb.

A potem Zawistowski przywiózł jej z Paryża wisior. Nie powiedział jej, skąd pochodzi i ile naprawdę jest wart, ale Aśka się domyśliła. I ostentacyjnie się z nim obnaszała. Dla mnie od samego początku nie było to tajemnicą, bo podarunek Tadeusza uszczuplił nasze wpływy finansowe. Zwłaszcza moje. Zarobiłoby się na nim trochę grosza, gdyby Zawistowski zdecydował się puścić go dalej.

Czy Aśka zorientowała się, co tak naprawdę leżało w gablotce? Jak diabli. Tylko co zamierzała z tym zrobić? Mogła zanieść na policję, ale bardziej mi do niej pasuje, że spróbuje to sama opylić na boku. Szlag mnie trafia na samą myśl, że puginał przyozdobi salon jakiegoś spaślaka, udając spadek po pradziadku z Kresów. Nasza polska, kurwa, popieprzona fantazja. I nie chodzi o to, że ktoś będzie go miał – problem polega na tym, że jak znam Aśkę, na pewno opchnie sztylet jakiemuś półgłówkowi, który będzie go pokazywał na lewo i prawo jako dzieło polskiego rzemiosła artystycznego, wieść się rozniesie... Był jakiś powód tego, że Tadeusz nie wciągnął Aśki do naszej działalności – ona jest po prostu fatalna, kiedy trzeba zadziałać na granicy legalności. A to stwarza dla mnie niebezpieczeństwo, że puginał wypłynie gdzieś publicznie i wtedy dopiero się narobi.

Całą sobotę tłukę się po domu, usiłując wypchnąć z głowy myśli o puginalu. Bez skutku. Sztylet to przecież gwarancja bezpieczeństwa – no dobrze, względnego bezpieczeństwa – i dopóki nie znajdzie się ponownie w moim ręku, nie ma pewności, że nie znajdą go gliny. Muszę mieć pewność. Zwyczajnie muszę odzyskać pugio! Może jakoś uda mi się dogadać z Aśką. Choć z drugiej strony to by oznaczało, że ona dowie się o wszystkim, o tym, że to ja. Ale przecież nie mogę siedzieć cicho i pozwolić, żeby jak ostatnia idiotka opchnęła sztylet dalej! A co do tego, że to zrobi, nie mam wątpliwości.

W niedzielę klamka zapadła. Wiem, gdzie Aśka mieszka, wiem też, że mieszka sama. I dobrze, porozmawiamy bez świadków. Bo przecież chodzi tylko o rozmowę.

Jestem jak policyjny pies, słowo daję, nosem czuję, że u niej w mieszkaniu jest pugio. Natychmiast po przekroczeniu progu to wiem. Ona też wie, że ja wiem.

Aśka zasłania sobą drzwi do kuchni i wskazuje mi duży pokój.

– Dobra, wiem, po co tu jesteś. – Zawsze potrafiła mówić prosto z mostu. Teraz chyba też doszła do wniosku, że nie ma co owijać w bawełnę i że zagra *va banque*. – Przyznam, że nie spodziewałam się, że ty Tadeusza... – Na chwilę urywa, ale szybko odzyskuje równowagę. – Nie mam już sztyletu. To znaczy nie mam go tutaj. Mam już na niego chętnego. Możemy się ewentualnie podzielić zyskiem.

Zerkam nad jej ramieniem, na kuchennym stole są tylko ścierka i kubek z kawą. Aśka przesuwa się nieco i blokuje widok na kuchnię, uparcie wskazując na duży pokój. Nie wiem, czy naprawdę ma już kupca, czy tylko blefuje, ale moje przewidywania okazują się prawdziwe.

Czuję, jak wypełnia mnie pierdolone zen. I tym razem wiem doskonale, co muszę zrobić. To jest tak jasne, tak klarowne, tak oczywiste.

Uśmiecham się do Aśki, zgadzam się na rozmowę o zysku ze sprzedaży, ściągam z szyi szalik i wskazuję, żeby poszła przede mną.

I wtedy ona popełnia błąd.

Rusza, mówiąc coś o podziale czterdzieści do sześćdziesięciu, co puszczam mimo uszu; kiedy odwraca się do mnie plecami, jednym ruchem zarzucam jej na szyję szalik, owijam i z całej siły zaciskam.

Zaskoczona Aśka wydaje z siebie zduszony krzyk i podrywa gwałtownie ręce, usiłując pozbyć się szalika z szyi, ale ja zaciskam go mocniej, zmuszając ją, by opadła na kolana. Charczy, macha na oślep rękami, próbuje mnie podrapać, nawet kopnąć, ale kosmiczny spokój, jaki mnie wypełnia, dodaje mi sił.

Nie tego się spodziewała.

– Nie szarp się, będzie ci łatwiej odejść – mówię cichym

i łagodnym głosem, starając się ją uspokoić, ale chyba mnie nie słyszy. Nie słucha mnie tak samo, jak ja przed chwilą jej.

Wciąż się szarpie i próbuje wyrwać, no cóż, w końcu walczy o życie. Gdyby była większa i gdyby nie prowadziła siedzącego trybu życia, może by jej się udało. Ale było, jak było, a mój szalik jest mocny. W końcu Aśka słabnie i przestaje walczyć, zwisa bezwładnie w moich rękach. Tyle że to nie jest wcale koniec. Opuszczam ją na podłogę, poprawiam zacisk pętli, pomagam sobie kolanem.

Jako archeolodzy mieliśmy zajęcia z tak zwanych nauk o człowieku, każdy z nas składał kiedyś puzzle z ludzkich kości, a na wykopaliskach zdarzały się szkielety ofiar mordów rytualnych, pochówki, osobniki porzucone, zapomniane przez świat, jakimś cudem dochowane do naszych czasów. O kościach mówiliśmy najpierw jako studenci, potem do studentów. Wiem, że sama utrata przytomności to jeszcze nie śmierć, a muszę mieć pewność, że Aśka się nie obudzi, że nikt jej nie odratuje.

Kiedy w końcu wstaję, wiem, że ona nie żyje. Patrzę na jej ciało leżące na podłodze, na rozsypane malowniczo jasne włosy zasłaniające twarz i przez moment robi mi się jej nawet żal. Dawała się lubić. Mimo wszystko. Ale potrzeba odzyskania puginąłu – mojego żelaznego listu – była silniejsza. Po co go w ogóle brała? Gdyby go zostawiła tam, gdzie był wcześniej...

Wpycham szalik do torby i idę do kuchni. Pod żółto-zieloną ścierką leży sztylet. Zawijam go w materiał, pod którym jeszcze przed chwilą się znajdował, i wkładam do torby, obok szalika.

Wypełnia mnie energia i adrenalina. Jestem w stanie góry przenosić! Jak dotąd wszystko mi się udawało – i przy Tadeuszu, i teraz. Asia przecież mogła z kimś mieszkać, ktoś mógłby u niej być... Ale nie, nic z tych rzeczy.

Ot, przeznaczenie.

Nie oglądając się za siebie, wychodzę z mieszkania Joanny i zatrząskuję za sobą drzwi.

Rozdział 8

Mirska tkwiła na krześle ze skrzyżowanymi ramionami i bujała się. Odchyły krzesła były coraz większe, w końcu siedzący obok Budryś wyciągnął rękę i ją unieruchomił. Będąc ojcem buntowniczej dziesięciolatki, dobrze wiedział, jak takie huśtanie się na krześle może się skończyć. Poza tym denerwowało go. Nie mówiąc już o tym, że gabinet naczelnika wydziału to nie najlepsze miejsce dla takich rozrywek.

Różny rozparł się za biurkiem i z potępieniem patrzył na swoich ludzi. Budryś wyglądał jak oaza spokoju, siedział nieruchomo, ale bez napięcia, głębokie bruzdy wokół jego ust były rozluźnione. Lekki zarost na twarzy połyskiwał srebrzyście i Różny mimowolnie zastanowił się, czy to kwestia oświatlenia, rodzaju pracy czy uwarunkowań genetycznych, bo facet przecież nawet czterdziestki nie przekroczył.

Budryś miał za sobą setki takich spotkań, często w znacznie bardziej nerwowej atmosferze, Mirska była jednak trochę niespokojna. Strzelała oczami na boki, bujała się na krześle i obracała w palcach dwuzłotową monetę, którą zamierzała wrzucić do stojącego na parterze pałacu Mostowskich automatu z batonikami.

– Do kurwy nędzy, czy ktoś jest mi w stanie to wyjaśnić? – odezwał się Różny cichym głosem.

Mirska drgnęła i zerknęła na Budryś. Komisarz spokojnie wyjął z kieszeni paczkę papierosów i podsunął Różnemu, ale naczelnik spojrzał krzywo.

– Tu się nie pali – rzucił.

Budryś uśmiechnął się; zbyt często był świadkiem, jak Różny palił w swoim gabinecie. Zresztą teraz nie paliło się już nigdzie, a mimo to wszyscy znajdowali sposoby, żeby zajarać. Komisarz nie był jakoś szczególnie namiętym palaczem, ale wiedział, że papierosy to

doskonały wybieg. Przy papierosku można było i wyciągnąć zeznania od opornego świadka, i załatwić sobie dodatkowy urlop, i poderwać nową funkcjonariuszkę. No i palenie zabierało czas, co bywało bardzo wygodne. Dlatego też palił przede wszystkim wtedy, kiedy nie miał nic mądrego do powiedzenia, ale nie chciał tego dać po sobie poznać.

Wyjmując papierosa, wstał z miejsca i podszedł do okna. Na zewnątrz padało, więc Jacek tylko uchylił je lekko.

– Nasz morderca jest na prostej drodze do zostania wielokrotnym – powiedział spokojnie, zapalając papierosa.

– A ty co, w Quantico się szkoliłeś? Może jeszcze mi zaraz powiesz, że to jakiś cholerny seryjniak! – Różny odwrócił się na swoim fotelu w kierunku Budrysia.

– Powiedzieć to ja ci mogę wszystko, tylko nic z tego nie wyniknie. – Komisarz wzruszył ramionami i wydmuchnął dym za okno.

– Kurwa, Jacek... – zaczął Różny, ale zreflektował się, że w gabinecie jest i Mirska. – Proszę wybaczyć – rzucił w jej stronę. – Komisarzu, cholera, macie drugiego trupa w tym samym środowisku, które na co dzień się nie zabija. Co więcej, ci ludzie to szanowane grono naukowe! Najlepszy uniwersytet w kraju! Jak trudne może być znalezienie wśród nich zabójcy?

Budryś zaciągnął się ponownie. Wiedział, że pytanie podinspektora w zasadzie jest retoryczne; Różny przepracował lata w terenie i zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma żadnego algorytmu śledztwa, nie ma tak, że jeśli X, to na pewno Y. Można przyjąć ogólne założenia, ale wszystkie przypadki należało traktować absolutnie osobno.

– Druga ofiara w tym samym, specyficznym środowisku wskazuje na to, że zabójca eskaluje – odezwała się Mirska. – Czuje się pewniej, bo sądzi, że nie wpadliśmy na jego ślad.

– I wyjątkowo ma rację – mruknął złośliwie pod nosem Różny. Mirska na moment straciła wątek i rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Budrysia, który machnął lekceważąco ręką.

– Poza tym zabił gołymi rękami – podjęła. – To znaczy tak jakby.

Doktor Lubczyk ocenia, że Joannę Masztalerz uduszono, ale nie skrecono jej karku. Z mieszkania nic nie zginęło, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale zobaczymy, co powie rodzina. Brak śladów rozboju, szukania, nic.

– No dobrze. – Różny postukiwał środkowym palcem lewej dłoni w blat biurka. – To znaczy niedobrze. Bo o ile rozumiem, nie macie bladego pojęcia, kto mógł ją zabić i dlaczego. A mówiąc „kto”, mam na myśli dane personalne, a nie bzdet typu „wcześniejszy morderca”. Budryś i Mirska milczeli.

Kiedy we wtorkowy wieczór brat Joanny Masztalerz, zaniepokojony brakiem kontaktu ze strony siostry, wybrał się do niej i w zamkniętym mieszkaniu znalazł ciało, wezwani z Pragi Południe funkcjonariusze po błyskawicznej naradzie ze swoim prokuratorem doszli do wniosku, że to zdecydowanie nie jest sprawa dla nich. Jednego archeologa już w mieście zamordowano, nie trzeba było być geniuszem, żeby domyślić się, że drugi trup archeologiczny najprawdopodobniej jest powiązany z pierwszym. Prokurator rejonowy wezwał Tarnowskiego, Tarnowski z kolei w środku nocy wyrwał ze snu zarówno Budryś, jak i Mirską i zmusił do przyjechania na oględziny oraz przejęcia sprawy od kolegów z Pragi. Niezawodny doktor Lubczyk, szczęśliwie będący na dyżurze, również przybył, zobaczył i obiecał szybką sekcję. Z samego środowego rana wieść o nowej ofierze dotarła jednak do Różnego, który natychmiast wysłał na miejsce zdarzenia Madyjaka i w trybie równie natychmiastowym wezwał do siebie prowadzących sprawę Zawistowskiego. Wyniki pracy śledczego duetu najwyraźniej nie spełniały jego oczekiwań.

Tymczasem Budryś i Mirska byli zaskoczeni nowym trupem tak samo jak reszta świata. Pierwszym podejrzanym w dotychczasowym śledztwie stawał się Paweł Matejko i sprawdzali go metodycznie. Znalezienie martwej Masztalerz wybiło ich z rytmu, bo doktorantka kompletnie nie pasowała do całości obrazka.

– Weźcie się do roboty – poradził Różny, wciąż postukując palcem w blat. – Nie może być tak, że jakiś ktoś będzie sobie robił, co mu się żywnie podoba, pod nosem oficerów policji!

Budryś chrząknął spod okna.

– Czego? – Różny łypnął na niego okiem.

– Cóż, formalnie rzecz ujmując, oficerem jestem tylko ja – zauważył Budryś, gasząc niedopalonego papierosa na parapecie. – Ona jest tylko podoficerem.

– Budryś, weź ty mnie nie wkurwiał! – warknął Różny, a Mirska przewróciła oczami.

– Nie wkurwiam, tylko fakty stwierdzam. – Komisarz uśmiechnął się i zamknął okno.

– To ja ci zaraz stwierdzę fakt zgonu, twój, kurwa, własny! A teraz słuchać! Zabójstwo tej baby przejmują Wegner i Madyjak. Świeże oczy, może zobaczą coś, co wam jakimś cudem umknęło. – Popatrzył znacząco na Budryś. – Śledztwa wam się powinny w pół drogi spotkać. Wezmę na siebie Tarnowskiego.

Budryś pomyślał, że w pół drogi to mogą się spotkać dwie kумы na wsi, a nie dwa śledztwa, ale nic nie powiedział. Zresztą po co, i tak było wiadomo, że pokieruje chłopakami. Różny też dobrze o tym wiedział. Diabli wiedzieli, po co mu były te hucpy z prowadzeniem śledztwa, mógł po prostu poprzydzielać wszystko od razu jak trzeba. Efekt i tak był taki, że Marylka i Marcin odwalali czarną robotę, a Budryś spokojnie wiązał luźne sznurki w śledztwie.

Mirska za to nie wiedziała.

– Panie naczelniku, ale prze... – zaczęła, ale Budryś za plecami Różnego wykonał gwałtowny gest podrzynania gardła. Mirska zapatrzyła się na niego. Może nie był to najsubtelniejszy gest świata, ale odniósł właściwy skutek, bo sierżant przestała mówić.

Różny spojrzał na nią uważnie, a następnie obejrzał się przez ramię na Budryś.

– Sierżant Mirska chciała powiedzieć, że w obecnej sytuacji wracamy do naszych obowiązków – powiedział komisarz, podchodząc do Igi i wskazując jej drzwi.

Mirska posłusznie podniosła się z miejsca.

– Taa, wracacie – mruknął pod nosem Różny. – Jeszcze uwierzę. Przekażcie tylko Wegnerowi i Madyjakowi to, co dotąd zebraliście w sprawie Masztalerz. O ile zebraliście cokolwiek – dorzucił. –

I niech się pan ogoli, panie komisarzu!

Wychodząc z gabinetu i niemalże wypychając przed sobą Mirską, Budryś wzniósł oczy do sufitu. Normalnie uważał Różnego za zwyczajnego bufona, ale zdarzało się, że szef doprowadzał go do szału swoimi kretyńskimi zachowaniami.

– Ty, ty, co jest...! – Na całe szczęście Iga zaczęła protestować dopiero na korytarzu. Zastąpiła drogę Budrysiowi i zadarła głowę, podpierając się pod boki. – Co z ciebie za tchórz!

– Odsuń się, królewno – powiedział spokojnie.

– Sam się odsuń, panie komisarzu! Co to miało być tam w środku?! „Wracamy do naszych obowiązków”?! A co my, kurwa, innego robimy?! Zapieprzamy przy tej archeologii jak dzikie wały! W środku nocy! Przecież to się łączy, powinniśmy to pociągnąć! Każdy ślepy to widzi!

Budryś nie bez sympatii pomyślał, że może coś z niej jeszcze będzie.

– Dzikie osły, jeśli już, nie wały. A teraz posłuchaj, królewno Muminków. – Komisarz ujął sierżant mocno pod ramię i zmusił, żeby dotrzymała mu kroku w drodze do pokoju, który zajmował ich zespół. – Wyjaśnię ci, bo widzę, że nie rozumiesz. Marylka i Cinek zdejmą nam z głów tak zwaną papierologię stosowaną, dając czysty wyciąg. A my sobie w tym czasie spokojnie będziemy robić to, co robiliśmy dotąd, rozumiesz? Aż tak bardzo chcesz ugrzęznąć za biurkiem? Bo jak tak, to nie ma sprawy, załatwimy ci przeniesienie, najlepiej do służby cywilnej. Powinnaś się cieszyć, że Różny nie wpadł na to, żeby nam wepchnąć jakiegoś szarlatana czy innego profilera! A tak w ogóle, to powinnaś skakać z radości, bo ta sprawa idzie akurat błyskawicznie, w przeciwieństwie do niektórych, które wloką się jak potępieńcy!

Mirska, zaskoczona, pozwoliła zaciągnąć się do pokoju. Tam, wkładając gruby sweter i parkę z kapturem, w dalszym ciągu zdumiona słuchała Budrysia, który tłumaczył Wegnerowi, czego i gdzie wraz z Marylką mają szukać.

Stwierdzenie o dotychczasowych obowiązkach najwyraźniej odnosiło się do tego, na czym spędzili wczoraj prawie cały dzień,

a co dzisiaj z rana by wznowili, gdyby nie trup Masztalerz. Czyli do przeszukiwania rzeki.

Wisła chlupotała i była szara. Choć może „szara” nie było najlepszym określeniem. Owszem, z daleka Wisła wydawała się po prostu rzeką pozbawioną kolorów, szarą rzeką w szarym mieście pod szarym niebem. Z bliska jednak zyskiwała – światło jakby mocniej załamywało się na rzecznych falach, ciemniejszych w dole, jaśniejszych na górze, czasem z grzywami białej piany. Mocny, hipnotyczny blask halogenu tańczył na wodzie.

Mirska i Budryś tkwili na motorowej łodzi policji rzecznej w pobliżu betonowego nabrzeża. Na drugim brzegu rzeki świecił biało-czerwony koszyk Stadionu Narodowego.

Iga poprawiła kaptur kurtki i zerknęła na Jacka, zastanawiając się, jakim cudem nie zamarznął na kość w tej swojej skórzanej kurtce. Koniec listopada sam w sobie nie jest najcieplejszą porą roku, a co dopiero koniec listopada w deszczu i na środku rzeki. No dobra, Budryś w ramach ochrony przed paskudną pogodą założył czapkę z daszkiem i arafatkę. Jak na jego standardy to chyba był już gotów na zdobywanie bieguna.

Policyjny nurek chlupnął do rzeki, łódź zakołysała się mocniej, światło na powierzchni zamigotało. Mirska zacisnęła rękę na metalowym uchwycie przy kabinie.

Ostatni weekend Budryś miał wolny od obowiązków rodzicielskich. A to oznaczało, że zajął się sprawami zawodowymi. Wyduślił na przykład ze studenta pijaka wszystkie okoliczności spotkania z *kimś* w noc zabójstwa Zawistowskiego, wszystkie – poza zidentyfikowaniem spotkanego delikwenta. Miał być ciemny, tyle przypomniał sobie świrowaty student. Nie bardzo to Budryśia urzędało, bo do opisu „znajomy-chyba-facet z ciemnymi włosami” pasowali zarówno Matejko, jak i Borówka. Obaj mieli ciemne włosy i obu student znał. No i obaj byli facetami. Choć równie dobrze mogło się okazać, że chodziło o rudą kobietę, na przykład Parys. Nawet by się nie zdziwili. Mgliste wspomnienie chlupotu w rzece wystarczyło jednak, żeby komisarz namówił prokuratora, by wyraził

zgode na przeszukanie dna rzeki na ściśle określonym odcinku w poszukiwaniu narzędzia zbrodni, jak to zostało ładnie ujęte na papierze. Tarnowski zaznaczył jednak, że on w poszukiwaniach absolutnie nie zamierza brać udziału, wodne ciągi nie były na jego kości. Budryś się nie upierał. Dogadał się za to z komendantem komisariatu wodnego i szefem samodzielnego pododdziału wydziału realizacyjnego, z którymi był na jednym roku w Szczytnie, i tak oto od poniedziałku razem z Mirską siedzieli na policyjnej łodzi na Wiśle, podczas gdy nieszczęśni nurkowie – całych dwóch, na zmianę – prowadzali podwodne poszukiwania w okolicach miejsca wskazanego przez Jureczka. Na razie z miernym skutkiem. Zwłaszcza że warunki do szukania czegokolwiek w Wiśle nie były sprzyjające. Iga zastanawiała się, czy to w ogóle legalne.

Zawiało mocniej, zacięło deszczem, na szczęście po chwili uspokoiło się i znów równo mżyło. Przenikliwa wilgoć unosiła się w powietrzu. Mirska zadrżała. Szczęśliwie wodna eskapada była mocno ograniczona czasowo, w listopadzie-prawie-grudniu mrok zapadał wcześniej. A nawet głupie pomysły Szefu musiały uwzględniać warunki środowiskowe.

– Słuchaj – powiedziała, przysuwając się do Budryś. Zauważyła, że ma czerwony nos, czyli i jemu było zimno. W końcu coś ludzkiego. – Myślisz, że coś znajdziemy?

– Oby – mruknął, wpatrując się w wodę. – Przydałoby się nam znaleźć na przykład narzędzie zbrodni.

– Niewątpliwie. – Mirska westchnęła. – Ale jaką mamy pewność, że znajdziemy?

– Żadną – wtrącił się jeden z policjantów z komisariatu wodnego, który pilnował halogenu skierowanego w nurt rzeki. Był niski i miał ciemną, zbójnicką brodę, starannie przystrzyżoną. – Wiecie, że w siedemnastym wieku w czasie potopu Szwedzi spławiali Wisłą warszawskie zabytki na barkach?

– Paweł – powiedział Budryś – może wykład zachowasz na inną okazję, co?

– Eee tam. – Paweł zlekceważył komisarza. Najwyraźniej odczuwał potrzebę podzielenia się wiedzą. Granatowa wełniana

czapka nasunęła mu się na oczy podczas rozmowy, niecierpliwym ruchem pulchnej dłoni podsunął ją do góry. – No więc spławiali i wyobraźcie sobie, jakie to chciwe było, bo aż barki potonęły w Wiśle. A ciężki towar był pieruńsko, bo tam armaty były, rzeźby, całe fontanny i obramienia okien!

– I co? – Mirska mimowolnie się zainteresowała, a Budryś poprawił kołnierz kurtki, robiąc przy okazji zniecierpliwioną minę.

– No właśnie rzecz w tym, że nic. – Paweł cmoknął. – Jak zatoneło w siedemnastym wieku, tak do dziś się tego szuka! I dopiero niedawno natrafiono na ślady, wyobrażacie sobie? Przez czterysta lat nikt nie mógł tego znaleźć!

– Może po prostu nikt dobrze nie szukał – zauważył chłodno Budryś. – Weź, Pawełku, nie pierdol. Chcemy tylko nasze narzędzie zbrodni, nie fontanny. Facet nie mógł daleko rzucić, może chłopaki znajdą.

– Może – zgodził się dobrodusznie Paweł.

Łódź ponownie zachybotła się mocniej, światło reflektora zatańczyło na powierzchni rzeki. Mirska rozejrzała się. Warszawa z perspektywy Wisły wyglądała zupełnie inaczej. Jakoś tak... bardziej po miejsku. Może nawet ładniej. A już na pewno zupełnie inaczej wyglądała sama rzeka. Dopiero znajdując się na środku Wisły w niewielkiej łodzi, można było docenić największą polską rzekę, która z tej perspektywy wyglądała znacznie bardziej majestatycznie, niż z poziomu jakiegokolwiek mostu.

– Jacek... – Mirska pociągnęła Budrysia za rękaw.

– Co znowu? – odparł zniecierpliwiony.

– A co będzie, jak nic nie znajdziemy? – zapytała.

Paweł spojrzał znacząco spod wełnianej czapki. Też był ciekaw, ale wolał nie prowokować pałacowego oficera, który potrafił solidnie opieprzyć. Budryś wzruszył ramionami i przysiadł na łódkowej ławeczce.

– Co ma być – powiedział. – To przecież są czynności śledcze. Najwyżej nie przyniosą oczekiwanego rezultatu, za to Tarnowski będzie mógł wykazywać w sądzie, że podejrzany jest geniuszem zła i planuje wszystko trzy ruchy do przodu.

Paweł poprawił sobie czapkę.

– Żebyś ty jeszcze wiedział, czego tak właściwie chłopaki mają szukać – westchnął.

– Będę wiedział, jak to zobaczę – wygłosił Budryś z niezachwianą wiarą.

– Z ciebie to jednak optymista. – Paweł pokręcił głową. – Nie mam pojęcia, jak przekonałeś komendanta do tego szaleństwa. W wielkiej rzece szukasz w listopadzie małego narzędzia zbrodni! Świetny pomysł. Chłopaki w ogóle nie powinni pływać. – Zerknął w stronę kabiny, w której osłonięty przed deszczem siedział drugi nurek. Widać było po nim, że nie ma wcale ochoty wracać do wody.

Dwóch nurków z dodatkowymi reflektorami pracowało na zmianę w pobliżu lewego brzegu rzeki, w miejscu, które wskazał im Jureczek, kiedy Budryś przywiózł go nad Wisłę i kazał przypomnieć sobie wszystko. Mirska wcale nie była przekonana, że słowa nadużywającego alkoholu chłopaka należy traktować aż tak serio. To, że coś chlupnęło, nie musiało oznaczać przecież, że ktoś faktycznie wrzucił coś do rzeki. Żeby jeszcze szukali ciała! Wówczas nurkowanie w lodowatej wodzie może i miałyby jakiś sens. Ale poszukiwanie sztyletu w takich warunkach miało tyle sensu, co szukanie igły w stogu siana. Szefu był jednak odmiennego zdania, a co gorsza, zdołał przekonać do niego także komendanta komisariatu wodnego oraz szefa realizacyjnych, który po znajomości przydzielił mu dwóch ludzi. Czego nie robi się dla kumpla!

Mżawka ponownie zamieniła się w deszcz. Mirska z westchnieniem wydobyła z kieszeni telefon i spojrzała na wyświetlacz; ani Artur, ani Marcin nie dzwonili, czyli też nic nie mieli. Iga była niewyspana, miała już dosyć wody, chłodu, wilgoci i bujającej się łódki. To już wolałaby zajmować się zabójstwem Masztalerz... Popatrzyła tęsknie w stronę praskiego brzegu Wisły.

– Chłopak coś ma – oznajmił Paweł, monitorujący pracę nurka.

Budryś bez większego entuzjazmu sięgnął do kieszeni i wydobył parę lateksowych rękawiczek.

Wcześniej ekscytowało ich każde „coś ma”. Problem w tym, że Wisła była mało przejrzysta, na dnie leżało mnóstwo przedmiotów

i owo coś, co pod wodą mogło wydawać się czymś, czego szukał Budryś, po wyłowieniu zmieniało się w zardzewiały kawałek nocnika albo dziecięcego wózka. Choć wyciągnęli już grot czegoś, co Paweł uznał za lancę ullańską; zamierzali oddać to do Muzeum Wojska Polskiego.

Tuż obok burty wynurzył się płetwonurek i uniósł rękę z foliową torbą ociekającą wodą. Budryś sięgnął, odebrał od niego pakunek i zajrzał do środka. Wewnątrz był tobolek owinięty poplamioną szmatą. Komisarz wyjął go ostrożnie z torby i od razu zabrał się do rozsypywania. Mirska, Paweł i nurek siedzący w kabynie przyglądali się ciekawie, bo pakunek nie wyglądał na typowe znalezisko rzeczne. Drugi płetwonurek czekał cierpliwie w wodzie.

Szmata dała się w końcu rozwiązać i Budryś rozpostarł ją na płasko. Kiedyś była to pewnie męska koszula, teraz była zniszczoną tkaniną nieokreślonego koloru, z ciemniejszymi plamami. Szmata skrywała duży, ciężki, ozdobny klucz w starym stylu, kluczyki samochodowe oraz ciemną metalową pochwę na sztylet z wypukłymi guzami, zakończoną spłaszczoną kulką.

– No i bingo – mruknął komisarz. Wstał z dna łodzi i wychylił się do płetwonurka czekającego za burtą. – To jest to. Szukaj jeszcze sztyletu, może być luzem.

– W wodzie już jest ciemno – powiedział nurek. – Niedługo zapadnie zmrok i już naprawdę gównem będzie widać. Nawet reflektor nie pomoże.

– Dobra, Maciuś, zrób jedną rundkę, a potem cię wyciągamy – wtrącił się Paweł, wychylając się tuż obok Budryś. – I na dzisiaj fajrant.

Mirska pochyliła się nad znaleziskiem. Budryś podał jej rękawiczki z niebieskiego lateksu. Nie spodziewali się, że uda się zdjąć z tych rzeczy odciski palców, woda robiła swoje, ale mimo wszystko należało być ostrożnym.

– To jest to, czego szukaliście? – zainteresował się nurek z kabiny.

– Prawdziwy cud, że się znalazło. – Paweł podrapał się po brodzie. – Jezu, jakie antyki.

– Dokładnie – mruknął Budryś, sięgając po torebki na dowody. Te

porządne były deficytowe, musieli posługiwać się materiałem zastępczym. – Wyobrażasz sobie, że są w tym mieście budynki zamykane na takie ustrojstwa? – zapytał, wkładając do strunówki ozdobny klucz.

– Niemożliwe. – Paweł pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wkręcasz mnie! Wkręca mnie, no nie? – Popatrzył na Mirską. Zaprzeczyła.

– Serio. – Komisarz odłożył zapakowany dowód rzeczowy. – Na własne oczy widziałem, jak takim zamykali drzwi. Jak z bajek dla dzieci, nie?

– No a to? – Paweł wskazał palcem na pochwę sztyletu, którą podniosła Mirska. – Nie wmówicie mi, że tego wciąż ktoś używa!

– No więc najwyraźniej – odparła sierżant, a Budryś skrzywił się; nienawidził, kiedy ktoś zaczynał zdanie od „no więc” – naszego trupa zabito sztyletem. Też mało popularna metoda, nie? A tak poza tym, to na materiał genetyczny z tego tutaj nie mamy co liczyć, nie? – zapytała, zapinając strunówkę z pochwą sztyletu i wskazując brodą na bure plamy na mokrym materiale z Wisły.

– Raczej nie, ale może magicy z naszego laboratorium coś wykombinują. – Budryś wepchnął ociekającą wodą szmatę do trzeciej z kolei torebki. – Nie zapinaj tego, niech odetchnie.

Samego sztyletu już nie znaleziono, więc po kilkunastu minutach Paweł zgasił halogen i dał znak nurkowi z rzeki, który z ulgą wrócił na pokład. Zataczając łuk na wysokości stadionu, łódź zawróciła w kierunku Portu Praskiego, gdzie znajdował się komisariat policji rzecznej. W samą porę, bo zapadł zmrok i miasto rozjarzyło się światłami, które widziane z poziomu rzeki sprawiały wrażenie nierealnych. Podając chłopakom termos z kawą, która jeszcze nie zdążyła wystygnać, Mirska pomyślała, że przecież zbliżają się święta Bożego Narodzenia. W weekend już tradycyjnie miały zapalić się dekoracje świąteczne w mieście.

– To co, po maluchu? – zaproponował Paweł, kiedy zacumowali w przystani i zaczęli wynosić sprzęt na betonowe nabrzeże.

Budryś zawahał się chwilę i popatrzył na trzymane w rękę strunówki z mokrymi rzeczami.

– A w sumie... Muminek dzisiaj prowadzi – zdecydował i wcisnął Mirskiej dowody razem z kluczami do wozu. – Masz, zanieś do samochodu. A potem możesz wrócić do pokoju Pawła na kawę albo coś takiego.

– Poczekam na ciebie w wozie, od razu metryczki wypiszę – powiedziała.

– Jak chcesz. – Budryś wzruszył ramionami. Okrążyła budynek komisariatu, przed którym zaparkowali. Prztyknęła alarmem, otworzyła bagażnik i umieściła w nim torebki z dowodami, po czym wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Z każdą minutą robiło się ciemniej, choć latarnie i światła aut przejeżdżających Wybrzeżem Szczecińskim dzielnie walczyły, żeby tę ciemność rozproszyć. Deszcz wciąż padał, ponownie z mniejszą intensywnością.

Mirska włączyła radio; akurat nadawali muzykę filmową, jej ulubioną. Czasami zastanawiała się, jak by to było, gdyby rodzice byli normalnymi ludźmi, pracowali na przykład w banku i nie wtlączali swoim córkom miłości do tak zwanej kultury wysokiej. Choć akurat w jej wypadku nie na wiele się to zdało, skoro teraz spędzała dnie, wyławiając z Wisły zardzewiałe nocniki.

Wypisała metryczki do dołączenia do materiału dowodowego i w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku sięgnęła do schowka po czekoladę z orzechami, którą wepchnęła tam z samego rana. Miała słabość do słodczy, była w stanie zjeść każdą ich ilość i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby ją zemdliło od nadmiaru słodkości. A teraz była zwyczajnie głodna i zamierzała zjeść całą tabliczkę w oczekiwaniu na Budrysia.

Mogła dołączyć do reszty na komisariacie, wiedziała jednak, że jeśli tam wejdzie, to tak prędko się nie pożegnają. Jeden maluch zamieni się w drugiego, drugi w trzeciego i pójdzie. A jej nie chciało się marnować wieczoru, bo to prawda stara jak świat, że patrzenie, jak inni piją, nie jest żadną przyjemnością. Miała więc nadzieję, że Budryś naprawdę wszedł tylko na jednego – ewentualnie dwa – i że będzie się streszczał. Oby tylko nie umawiał się na pływanie następnego dnia, bo przecież ile można.

Kiedy pół godziny później Budryś wyszedł z komisariatu, Iga zdążyła zjeść całą tabliczkę czekolady, sprawdzić w telefonie maile i nawet trochę się zdrzemnąć, co bardzo się przydało po tym, jak prokurator wyrwał ją ze snu w środku nocy.

Zauważyła, że komisarz potknął się na ostatnim schodku.

– No – powiedział, wsiadając do samochodu po stronie pasażera. – Możemy jechać, Muminku.

To na pewno nie był jeden maluch ani nawet dwa. Ale to w sumie nie jej sprawa. A on był od niej starszy stopniem, choć pozwalał na luźne relacje. W końcu nie była jego żoną, żeby się czepiać.

– Pasy – powiedziała tylko.

Budryś posłusznie sięgnął po pas bezpieczeństwa i zapiał go za drugim podejściem, po czym zdjął z głowy wciąż wilgotną czapkę z daszkiem. Podkręcił ogrzewanie, które Mirska zawsze uparcie zmniejszała, oparł głowę o zagłówek i przymknął oczy. Gestem pokazał, żeby jechała.

Mirska przekręciła kluczyk i wyjechała na Wybrzeże Szczecińskie. Całe szczęście most Śląsko-Dąbrowski był już otwarty dla ruchu samochodowego po długim i uciążliwym remoncie. Dla nich to miało znaczenie, bo zdecydowanie skracało czas dojazdu do Komendy Stołecznej.

Wjeżdżając na most, Mirska zerknęła w bok. Wydawało jej się, że Budryś śpi, i pomyślała, że to fatalnie, bo pewnie będzie musiała odwieźć do go domu, a nawet nie знаła jego adresu. Po kieszeniach i portfelach grzebać mu nie zamierzała.

– Patrz na drogę – mruknął, nie otwierając oczu. Jednak skubany nie spał.

Miasto było zakorkowane. Żadna nowość. Nie o tej godzinie, o tej porze roku i przy takiej pogodzie. Na komendzie świeciło się prawie we wszystkich oknach. Mirska machnęła przepustką i wjechała na wewnętrzny parking. Budryś natychmiast otworzył oczy.

– Zanieś do laboratorium nasze trofea – polecił. – Niech złączą procesować. Na wszelki wypadek.

Mirska zatrzymała się z ręką na klamce.

– A nakaz od prokuratora? Kancelaria?

– Jezu, chrzanić to – zirytował się lekko Budryś. Mówił całkiem wyraźnie i gdyby nie trochę szklisty wzrok oraz dość wyraźny zapach alkoholu, to spokojnie mógłby ujść za trzeźwego. – Te rzeczy są mokre, rozumiesz? Nie możemy ich tak sobie wysuszyć na kaloryferze, bo diabli wiedzą, czy się nie rozwalą!

Mirska pomyślała, że metalowym kluczom wiele nie zaszkodzi, ale nie chciało jej się polemizować.

– A trzymać w wodzie też nie będziemy, bo to wszystko skisnie i zardzewieje – ciągnął Budryś. – Więc niech laboratorium łaskawie się tym od razu zajmie wedle swojej wiedzy, papierki dorobimy wstecznie. Ja tymczasem pójdę przesłuchać naszych chłopaków, na czym stoją z zabójstwem Masztalerz. – Westchnął ciężko. Mirska otworzyła drzwi samochodu i kiedy już wysiadła, Budrysiowi jeszcze coś się przypomniało. – A! Jak będziesz wracać z laboratorium, to przejdź przez sekretariat komendanta.

– Po co? – zdziwiła się, przytrzymując otwarte drzwi.

– Oni mają prawdziwy ekspres do kawy, więc zrobisz mi kawę, podwójną – odparł i uśmiechnął się pod nosem. – Powiedz dziewczynom, że to dla mnie, to nie będą robiły problemów.

– Kawę to ty sobie noś sam – oznajmiła stanowczo Mirska, zabrała wypełnione metryczki i zatrzasnęła drzwi samochodu. Wyjęła z bagażnika torebki z dowodami i mamrocząc pod nosem jakieś inwektywy pod adresem Budrysia, powędrowała do kancelarii dowodowej, żeby zdać rzeczy do magazynu.

– Wyszczekany ten Muminek – powiedział do siebie Budryś, gramoląc się z samochodu. No i w sumie dobrze, bo po co mu w zespole sekretarka, wolał mieć kogoś z jajami. Niechby i Muminka.

Iga bardzo lubiła Wrocław. Dało się w nim oddychać. Nie chodziło o poziom zanieczyszczeń w powietrzu, ale o klimat miasta. Parki, ławki, drzewa, niezliczone mosty i odnogi Odry. No i samo miasto, jakieś takie przyjazne. Nie to, żeby Warszawa była nieprzyjazna; może i była, ale nie dla Mirskiej. Lubiła stolicę, nie miała w planach żadnej przeprowadzki, czuła jednak, że gdyby przyszło jej

decydować się na jakieś inne miasto do życia, to Wrocław byłby pierwszym wyborem.

Dlatego też sama zaproponowała Budrysiowi, że tam pojedzie i sprawdzi alibi jednego z archeologów – w końcu Zawistowski i Borówka byli tam na konferencji archeologicznej, z której Zawistowski wrócił wcześniej. Na swoje nieszczęście, bo wrócił w sobotę rano, a wieczorem już leżał martwy. A Mirskiej zaczęło nagle zależeć na tym, żeby sprawdzić wszystko osobiście. W końcu gdyby nie pojechała sprawdzić prac archeologicznych pod Grójcem, a Szefu nie uparł się na wodne poszukiwania... Podobno w robocie należało słuchać się własnego nosa. A nos wyraźnie mówił: „jedź!”.

– Skoczę z samego rana, popytam, sprawdzę i wrócę – przekonywała Mirska.

Budryś spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Co ty chcesz sprawdzać? – zapytał z lekkim niezadowoleniem w głosie, odbierając od niej kubek z kawą, którą przyniosła z gabinetu komendanta. – Wysłaliśmy zapytanie, chłopaki z wojewódzkiej popytali, potwierdzili wersję Borówki, a on nawet bilet ma. Skasowany, sama widziałaś. Tam nie ma czego szukać, królowo. A jak ci się tu nudzi, to proszę bardzo, przesłuchasz sobie naszych archeologów jeszcze raz, tym razem pod kątem Masztalera, z naciskiem na Parys i Matejkę, bo oboje kręcą. *À propos*, zaniosaś rzeczy? Co powiedzieli?

– Że dadzą znać. Cudów nie obiecują, ale przyjęli. – Mirska westchnęła i rozpięła kurtkę.

Wrócili znad Wisły z łupem, który na pierwszy rzut oka mógł wydawać się przypadkową zbieraniną śmieci, i nie do końca zgodnie z zaleceniem komisarza Mirska zaniosała cały ten ładunek do kancelarii, która jakoś wcale nie było szczęśliwa na widok ich rzekomych materiałów dowodowych oraz dokumentacji wypisanej na kolanie. Potem – wciąż wykonując polecenia szefa – użyła najbardziej ujmującego uśmiechu, na jaki było ją stać, i wycygała kawę u pań z gabinetu komendanta. Udało się, co było o tyle sukcesem, że nigdy wcześniej ich nie widziała. Może po prostu one tam miały słabość do komisarza, który doskonale o tym wiedział

i niecnie to wykorzystywał do zdobycia lepszej kawy. Ona sama z kolei zamierzała wykorzystać to, że Budryś był pod wpływem, i namówić go na zgodę na wypad do Wrocławia, choć na jeden dzień.

– Jasne, jasne – mruknął komisarz, wyciągając się na swoim krześle i opierając nogi o krawędź biurka Marcina. – Niech nie marudzą, tylko zapierdalają z robotą.

– Zapierdalają – zapewniła go Mirska, krzyżując ramiona. – Ale słuchaj, ten Wrocław... Sam wiesz, jak to jest, jak się polega na kimś z zewnątrz. Niby chce dobrze i robi to, o co poprosisz, ale nawet dziecko wie, że jak chcesz mieć coś zrobione dobrze, to zrób to sam. Moja babcia zawsze to powtarza, jak robi domowy makaron, a ma ponad osiemdziesiąt lat. Jak będziesz chciał, to kiedyś przyniosę, sam się przekonasz, że palce lizać – dorzuciła, doskonale wiedząc, że komisarza nie interesują opowieści o babci. Miała jednak nadzieję, że jak go znudzi, to zgodzi się dla świętego spokoju. Na jej ojca ten sposób zawsze działał. – A ja pojedę raz, dwa, dowiem się co trzeba i już będziemy mieli pewność, ale taką na mur-beton, bo teraz to mamy tylko taką na gębę pewność...

Budryś przymknął oczy i odchylił głowę.

– Jezu, jak ty marudzisz – mruknął. – Jesteś gorsza niż Janka. Powiedziałem, że nie. A usłyszę jeszcze jedno słowo, to wracasz do krawężnikowania, jak mi Bóg miły!

Boga w to nie mieszaj, pomyślała Mirska z nagłą irytacją, mówić jednak przestała.

Marylka przysłuchiwał się im dotąd w milczeniu, siedząc przed komputerem i przepisując raport z oględzin miejsca zbrodni. Porzucił jednak swoje zajęcie i przyjrzał się ciekawie Mirskiej i Budrysiowi.

– Szefu – odezwał się nagle.

– Czego... – Jacek nawet nie otworzył oczu.

– Szefu, może jednak ją wysłać, jak ma taką chętność – zaproponował Madyjak. Budryś jednak zdecydował się na otwarcie oczu.

– A ty co, nagle się stałeś jej adwokatem? – zapytał podejrzliwie.

Mirska obróciła się w stronę Madyjaka zaciekawiona.

– Fajnować to się każdy potrafi, Szefu – powiedział Marylka, odsuwając papiery. – Ale sprawunek wygląda inaczej, jak się jest latarnikiem z głową. Nasza brelantowa panna do myślówek ma dryga, więc jak mówi jechać, niech jedzie.

Mirska patrzyła na Marylkę i czuła, jak stopniowo ogarnia ją bezsilność. Przez całe życie sądziła, że zna język polski, czytała przecież Żeromskiego i Mickiewicza. Jednak im dłużej znała Marylkę, tym bardziej przestawała go rozumieć. Teraz na przykład nie miała zielonego pojęcia, co on powiedział, poza ogólnym wrażeniem, że chyba ją chwalił. A podobno pochodzili z tego samego miasta!

– Artur, zlituj się. Jak ma jechać, po co? – Budryś najwyraźniej był bardziej obyty z gwarą warszawską i rozumiał bez problemu. Przynajmniej tym razem. – Żeby wrocławianom udowodniać, jak to ich stolica kocha? Weź się stuknij, mało mamy roboty? Co ona tam niby znajdzie, czego oni się nie dowiedzieli?

– Ekhm, ona tu stoi! – zauważyła Mirska i pomachała Budrysiowi przed twarzą, ale komisarz tylko odepchnął się od biurka nogami i przejechał metr do tyłu na obrotowym krześle, żeby widzieć Marylkę. Zdesperowana Iga znów odwróciła się do Madyjaka.

– Nic do polików z Wrocka nie mam, ale ona na zycher coś wyniucha. – Marylka puścił do niej oko. – Nie od paradejki ma taki duży nos! W końcu tachel pod Grójcem znalazła, nie?

Mirska potrząsnęła głową i zdjęła w końcu kurtkę.

– W ogóle nic nie rozumiem – powiedziała z rezygnacją. – Szefu, co on powiedział?

– Że masz nosa. – Jacek przymknął jedno oko i przyglądał się Idze drugim.

– Langsam tryndyryndasz. – Marylka roześmiał się.

– Ratunku – jęknęła Iga. Skąd ten człowiek to wszystko znał? I jakim cudem jeszcze tego używał?! Niby wiedziała, że kiedyś mówiono gwarą w biedniejszych środowiskach stolicy, że uchowała się ona na Pradze i w dzielnicach głównie robotniczych, takich jak Wola, ale teraz już chyba wyszła z użycia? Powinni Marylkę oddać

do Muzeum Pragi, podobno mieli w końcu otworzyć, byłby niewątpliwą atrakcją ekspozycji.

– On mówi, że się nauczysz z czasem. – Jacek litościwie przełożył gwara na normalny język. – Dobra – zdecydował. – Znam tego faceta od lat i ufam mu bardziej niż sobie. Nie wiem, dlaczego uważa, że powinnaś jechać, ale jeśli mówi, że warto cię puścić, to trudno, jedź do tego Wrocławia. – Sięgnął po kawę. – I lepiej coś stamtąd przywieź istotnego, bo inaczej będę musiał cudować przed Różnym, czemu moi ludzie rozbijają się po kraju za pieniądze podatników.

Mirska pomyślała w uniesieniu, że do końca życia może uczyć baletu córkę Madyjaka, choćby dziewczyna miała dwie lewe nogi. Była przekonana, że wizyta we Wrocławiu coś da. Inaczej rozmawia się z policjantami, którzy choćby i chcieli jak najlepiej, to jednak sprawy nie znają i mają własne zmartwienia. Ale jeśli ktoś specjalnie przyjeżdża z innego miasta i poświęca komuś czas... Poza tym była nieskromnie przekonana, że jej własny urok, którym potrafiła się posługiwać w odpowiednich momentach, pozwoli się czegoś nowego dowiedzieć. No i chciała mieć pewność, że nikt nie robi ich w konia.

Obiecała, że obróci tak szybko, jak tylko się da. Pojedzie we czwartek z samego rana służbowym wozem, a do pracy w komendzie wróci w piątek, jak tylko ogarnie się po powrocie. Na dłużej Budryś zgody nie wyraził, ale była pewna, że dzień na miejscu w zupełności jej wystarczy. Plus po pół dnia na wyjazd i przyjazd – drogę do Wrocławia wciąż przebudowywali i Mirska nie wiedziała, czy krajowa ósemka jest w miarę przejezdna, czy nie. Znając szybkość polskiego budowania autostrad, obstawiała, że nie, stąd też wolała liczyć się z dłuższym przejazdem.

Ja cię chyba nie rozumiem, dziecko.

Iga uśmiechnęła się pod nosem, wracając myślami do rzeczywistości, czyli na wrocławską trasę.

– Oj, tato, tato – powiedziała wesoło. – A co tu jest do rozumienia?

– Zwolnij trochę, bardzo cię proszę, muszę dotrzeć do filharmonii żywy, nie w trumnie – poprosił ojciec, chwytając się rączki nad drzwiami w służbowym wozie, kiedy wyprzedzała kolejnego zawalidrogę. – A nie rozumiem, bo niby dlaczego ty jedziesz do Wrocławia, skoro zabójstwa były w Warszawie? Cieszę się, rzecz jasna, że mnie przy okazji zawozisz, ale nie rozumiem mimo wszystko.

– No normalnie, no. – Iga zwolniła nieco i pozwoliła, żeby wyminął ją ten sam gościu, którego przed chwilą wyprzedzała. Podpytała chłopaków z drogówki, gdzie dokładnie są radary, żeby nie dać się złapać na zdjęciu. Gdyby dostała mandat, Budryś natrząsałby się z niej przez kolejne tygodnie bez litości. – Liczymy na to, że jeden z naszych podejrzanych jednak kłamał i wtedy będziemy ustawieni.

– A jak nie kłamał? – zapytał ojciec, zerkając na wskaźnik szybkościomierza na desce rozdzielczej i puszczając z ulgą rączkę nad drzwiami. Prędkość spadła do wysokości dla niego akceptowalnej.

– Jak nie kłamał, to wtedy też jesteśmy ustawieni – odparła bez namysłu. – Tylko musimy mieć pewność. Taką wiesz, niepodważalną.

– Niepodważalną. – Ojciec westchnął. – A mogłaś pójść na choreografię i teorię tańca.

– Tato, bo cię tu wysadzę i będziesz musiał łapać stopa do Wrocławia – zagroziła, wdeptując znowu pedał gazu. Ojciec momentalnie złapał uchwyt nad drzwiami.

– Nie wiem, czybym nie wolał – mruknął, kiedy znowu wyprzedzała jakiegoś marudera. Zdecydowanie nie pasował mu jej styl jeżdżenia, ale i tak podróż samochodem była wygodniejsza niż tłuczenie się pociągiem. Do Wrocławia musiał pojechać – pewien pianista wyjeżdżał wkrótce do Mediolanu, należało mu przekazać niezwykle cenne materiały z Towarzystwa Chopinowskiego. Konieczne do rąk własnych, a że Mirski nigdy nie ufał kurierom, to propozycja wspólnego wypadu ze strony młodszej córki spadła mu jak z nieba. Iga z kolei nie lubiła jeździć w dłuższe trasy samotnie.

Oczywiście za Oleśnicą zrobił się na drodze tłok. Podobny do tego, nie przymierzając, przy wjeździe do Warszawy od strony Łomianek. Albo Radzymina.

– Możesz mnie wyrzucić gdziekolwiek – powiedział ojciec, sięgając do klamki, kiedy stała na światłach na Powstańców Śląskich. – Ja już sobie trafię.

– Tato, daj spokój. – Pokręciła głową. – Pada, podwożę cię pod filharmonię. I tak przecież jadę w tamtą stronę.

– Ech... – Ojciec pokręcił głową. – Wiesz, to jest straszne, co oni robią z Narodowym Forum Muzyki. No naprawdę, kto zostawia budowę takiego miejsca w połowie?

Iga ruszyła, bo światło zmieniło się na zielone. Doskonale wiedziała, o co mu chodziło. Kiedy kilka lat temu podpisano umowę na budowę NFM, wszyscy się cieszyli. Budynek planowano na skalę światową, Forum miało połączyć Filharmonię i Międzynarodowy Festiwal Wratlavia Cantans. I niby wszystko szło bez większych problemów, aż nagle główny wykonawca wycofał się z budowy i zostawił budynek w połowie prac, w stanie kompletnie surowym. Szukano teraz gorączkowo firmy, która podjęłaby się Forum dokończyć, a ojciec, któremu przyzwoite warunki dla muzyków leżały na sercu, rzucał przekleństwa pod adresem niesłownego Mostostalu. Tymczasem filharmonia wciąż tkwiła w starym, niezbyt pięknym i niezbyt funkcjonalnym budynku przy Piłsudskiego.

Ojciec kręcił się niespokojnie, chcąc jak najszybciej wysiąść i znaleźć się razem ze swoją przesyłką w gmachu filharmonii. Wskoczył z samochodu niemal w tej samej chwili, w której Iga zatrzymała się przy barze Wiking przed pasami dla pieszych.

– Dzięki, córcia – rzucił, wywlekając z tylnego siedzenia swoją torbę podróżną. – Zadzwoń; jak jutro jeszcze będziesz, to skoczmy na obiad. Zaproszę też takiego jednego młodego dyrygenta, fajny chłopak z niego, polubisz go. Pa!

Zanim zdążyła zareagować, zatrzasnął drzwi i przebiegł przed maską na drugą stronę ulicy przy akompaniamencie klaksonów nadjeżdżających samochodów. Mirska zdecydowanie nie miała ochoty na obiady z młodymi dyrygentami; to nie byłby pierwszy raz,

kiedy ojciec próbował ją zapoznać z kimś, jak to określał, odpowiednim. Jakoś nie potrafił przyjąć do wiadomości, że ona doskonale daje sobie radę w życiu bez jego nieustannej pomocy.

Ktoś za nią zatrąbił, więc uniosła rękę w przeproszającym geście i skręciła w Kościuszki. Zamierzała dojechać na Szewską, do tutejszego Instytutu Archeologii, żeby dopytać się, kiedy po raz ostatni widziano obu warszawskich archeologów podczas konferencji. Łatwiej jednak powiedzieć, niż zrobić, bo ruch na ulicach Wrocławia odbywał się w ślimaczym tempie. Wycieraczki skrzypiały po przedniej szybie i Iga z irytacją kombinowała, gdzie by tu się najlepiej pozbyć samochodu. Wołała już iść na piechotę, nawet w padającym deszczu. Przez chwilę rozważała też, czy nie zahaczyć o Wojewódzką Komendę Policji, bo akurat miała do niej rzut beretem, ale uznała, że to nie najlepszy pomysł. Jeśli okazałoby się, że faktycznie panowie archeolodzy wyjeżdżali na raty, jeden wcześniej, drugi później, to tutejsza komenda nabijałaby się z „warszawki” do końca życia i miała za złe, że niedowiarki. Jeśli jednak okazałoby się, że ktoś zełgał i obaj naukowcy wyjechali w tym samym czasie, wyjdzie na to, że tutejsi nie potrafią nawet ludzi przesłuchać, a jednej siksie ze stołecznej się udało. I tak źle, i tak niedobrze. Nie, lepiej w ogóle nie dawać im znać, że tu jest. Nawet za cenę noclegu, którego trzeba będzie poszukać sobie na mieście, a nie w hotelu policyjnym.

Dojechała wreszcie na Szewską; obturlała cały kwartał w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania i w końcu śmignęła przed nosem jakiemuś polonezowi. Trudno, bywa, a ona nie zamierzała tu długo zabawić.

Instytut Archeologii we Wrocławiu, podobnie jak stołeczny, mieścił się w zabytkowym budynku. Wrocławski był bardziej zniszczony. W zasadzie była to jedna z kamienic w zabudowie ciągłej. A tuż obok stał kościół. Bardzo adekwatnie – jak ktoś nie zdał egzaminu, to mógł od razu iść i ukorzyć się przed Bogiem.

Pchnęła odrapane brązowe drzwi i weszła do budynku. Natychmiast otulił ją zaduch starego miejsca, zapach, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Dopytała na portierni, gdzie jest

sekretariat, i krocząc po wyblakłym linoleum, które dziwnie piszczalo pod butami, trafiła do celu. Obsługa sekretariatu w osobie starszej pani wysluchala Mirskiej, po czym popatrzyła na nią z niejaką zadumą.

– Profesorowie nigdy nie pamiętają takich rzeczy – oznajmiła w końcu dama z sekretariatu, zdecydowanie w niczym nieprzypominająca Teofila Kwaśnego, który był, zdaje się, jej warszawskim odpowiednikiem. – Nie ma pani co szukać oficjalnego organizatora. Ale – dama sięgnęła po różową karteczkę i coś na niej naskrobała – niech pani poszuka Kasi Lis. To nasza doktorantka. Jeśli ktoś ma coś wiedzieć, to tylko ona. Powinna jeszcze być w instytucie.

Mirska wyszła z sekretariatu i popatrzyła na karteczkę w dłoni. Numer telefonu. Żeby wszyscy byli tacy pomocni, pomyślała, wybierając cyfry na komórce.

Lis faktycznie jeszcze była. Razem ze studentami nosiła pudła ze skorupami do magazynku w piwnicy. Niska, mocno zbudowana, z modnie wystrzyżonymi, krótkimi ciemnymi włosami; nosiła poszarpane džinsy i obszerną bluzę z harcerską lilijką.

Przywitała się z Igą mocnym uściskiem dłoni.

– Pewnie, że słyszałam o śmierci profesora Zawistowskiego. Wszyscy słyszeli, to w końcu znana postać, zwłaszcza w naszym środowisku. Nasz szef był na pogrzebie – powiedziała, opierając na biodrze pudło z ceramiką. – A profesor był u nas, już mówiłam, jak wcześniej policja spytała o to samo.

– Pamięta pani dokładnie, kiedy był? – zapytała Mirska i przyjrzała się pace ze skorupami. To musiało trochę ważyć. – Może pani to odstawi? – zaproponowała, wskazując pudło oparte o biodro doktorantki, która stała w dziwnym przegięciu.

– Nie trzeba, tak jest całkiem wygodnie – zapewniła ją Lis. Mirska miała pewne wątpliwości, ale w końcu to nie było jej biodro. – Konferencję mieliśmy w czwartek i piątek, tuż przed Świętem Niepodległości. Sporo osób zostawało jeszcze na weekend, mój profesor urządzał przyjęcie z tej okazji... to znaczy...

– Wiem, upłynniał kasę, koniec roku idzie i pieniądze trzeba

wydać. – Policjantka pokiwała głową. – Proszę się nie przejmować, wiem, jak działają instytucje publiczne.

– A! – W oku Lis błysnęło. – No to całe szczęście. Poza tym wie pani, środowisko archeologów wcale nie jest takie duże, ludzie się znają, a zwłaszcza nasze środowisko, wczesnochrześcijańskich jest naprawdę mało, lubimy czasem pokisić się we własnym sosie.

– Domyślam się – mruknęła Mirska. – A profesor Zawistowski? Też zostawał świętować niepodległość *à la* Bizancjum?

Lis poprawiła pudło, chyba jednak zaczęła jej ciążyć. W dalszym ciągu jednak nie zdecydowała się go odstawić.

– Nie – powiedziała. – Profesor wyjeżdżał w sobotę rano. Ale ja już to wszystko wam mówiłam.

– Wiem, wiem, chciałam się tylko upewnić.

Z pomieszczenia, do którego Lis i jej studenci nosili paki, dobiegł jakiś hurgot. Na jego dźwięk Lis aż podskoczyła, a ceramika w jej pudle zazgrzytała.

– Co tam, do cholery...

– Nic, nic, pani magister – powiedział uspokajająco jeden ze studentów, wystawiając z pomieszczenia głowę. – Janek rozwalił jedną tekturę. Ale nic się nie potłukło, zaraz pozbieramy.

Iga z trudem ukryła uśmiech, Lis zaś obrzuciła studenta morderczym spojrzeniem.

– Jeśli zgubicie choć jedną skorupę, to wam nogi powyrywam – obiecała. Student szybko skrył się w pomieszczeniu, Lis zaś odwróciła się do Mirskiej. – Coś jeszcze? Bo jak pani widzi, trochę zajęta jestem.

– Tak. – Mirska wydobyła z kieszeni fotografię Borówki, którą skopiowała w uniwersyteckich kadrach. – Poznaje go pani?

Doktorantka rzuciła okiem na zdjęcie.

– No jasne. To współpracownik profesora, magister Borówka. Ale to pani z pewnością wie równie dobrze jak ja.

– Czyli on był na konferencji? – Mirska chciała się upewnić.

Archeolożka spojrzała na nią jak na osobę niespełna rozumu.

– Oczywiście. Przecież miał referat razem z profesorem Zawistowskim.

– I do kiedy został we Wrocławiu? – Mirska starannie schowała zdjęcie.

– Do niedzieli – odparła Lis bez namysłu. – Już państwu mówiłam, no naprawdę, czy wy ze sobą w ogóle nie rozmawiacie w tej policji?

– A skąd pani wie, że był do niedzieli? – Mirska podchwyciła wątek, który ją interesował.

– No jak to skąd. – Lis ponownie poprawiła pudło w swoich objęciach. – Sama bukowałam mu hotel, znaczy hostel, tylko taki fajniejszy, do niedzieli. Za nocleg w końcu my płaciliśmy, więc wiem, kiedy był. I delegację mu stemplowałam.

– Jasne. Mam jeszcze jedno pytanie: on był na tej waszej niepodległościowej imprezie?

Lis popatrzyła na nią z zastanowieniem.

– Nie pamiętam – powiedziała po dłuższej chwili. – Miał być, zapowiadał się... ale nie pamiętam, czy był.

– Jak na osobę, która tak wszystko zapamiętuje, to trochę dziwne, że tego pani akurat nie jest w stanie sobie przypomnieć, prawda?

Dobra, rób, co uważasz. – Budryś zakończył rozmowę i rozłączył się.

– Muminek? – zapytał Marcin, upychając na półce segregatory tak, żeby sprawiały wrażenie porządku.

Budryś przejechał dłonią po twarzy.

– Muminek – potwierdził. – Ty, nie zapaliłbyś? – zaproponował nagle. Marcin potrząsnął głową.

– Dobrze wiesz, że nie – odparł. – Ale tobie nikt nie broni, nawet twoja eks.

Była żona Budrysia była zagorzałą przeciwniczką palenia i zdecydowanie tępiła wychodzenie na dymka.

– To ja w takim razie też nie. – Jacek zaplótł dłonie na karku. – Cholera, jednak wychodzi na to, że ten cały Borówka robił nas w chuja.

– Nie było go we Wrocławiu, choć miał być? – Marcin otworzył szufladę i zgarnął do niej stos notatek na kartkach różnego rodzaju i pochodzenia, dotąd zalegających na biurku.

– Na to wygląda. Muminek mówi, że Borówka naopowiadał

ludziom, że będzie do niedzieli, a organizatorka konferencji od piątku tak w zasadzie go nie widziała. – Budryś skrzywił się lekko. – Jutro Iga zamierza jeszcze pogadać z dziewczyną z hostelu, która miała dyżur kilka tygodni temu, bo dzisiaj jej w robocie nie było. Boże, to już nikomu ufać nie można, no...

– Wrocki dały dupy – ocenił Marcin krytycznie.

– Dały nie dały – mruknął Budryś. – Pogadamy o tym jutro, na razie procesujemy normalnie, mamy co robić. A jutro zobaczymy, co powie ta z hostelu, bo to, że jedna laska ma selektywną pamięć, jeszcze o niczym nie świadczy. Że też danych telefonicznych nam jeszcze nie dostarczyli, no... Dobra, ogarnąłeś tu trochę?

Wegner w odpowiedzi potoczył dookoła ręką. Ich pokój wyglądał co najmniej osobliwie: na wszystkich biurkach panował zwykły bajzel, leżały teczki spraw, kodeksy pozakładane łyżeczkami do herbaty, walało się jedzenie. Jedynie miejsce Wegnera było uprzątnięte, segregatory na akta stały elegancko wyrównane za jego plecami, na biurku zaś nie było ani jednego zbędnego papierka. Tyle że stosy dokumentów z blatu wylądowały na podłodze obok biurka.

– No i bardzo dobrze – uznał Budryś. – Łącz się na skypie z tym facetem z Niemcowa. Tylko pamiętaj, to wyłącznie konsultacje merytoryczne, żadne oficjalne działania. – Wstał i sięgnął na biurko po komórkę, którą schował do kieszeni granatowej bluzy. – Jakby co, to dzwoń.

– Jakie dzwoń, a gdzie ty idziesz? – Marcin zdziwił się. – Myślałem, że to ty będziesz rozmawiał z typem!

– Znam ruski, nie niemiecki. A ty chwaliłeś się rodziną w Enerde, nie?

– Dwadzieścia lat temu! Enerde była dwadzieścia lat temu!

– No to co. – Budryś wzruszył ramionami. – Język przecież wciąż znasz, lepiej niż angielski nawet. Pogadasz sobie z nim w miłej atmosferze, popytasz o nielegalny handel zabytkami, kto w końcu ma to wiedzieć, jak nie ludzie z tego całego International Council of the Museums. – Poklepał Marcina po plecach i skierował się do drzwi.

Kilka dni temu komisarz ruszył głową, popytał znajomych, ci popytali swoich znajomych i dostał namiary na faceta, który podobno cały ten nielegalny handel zabytkami w Europie miał w małym palcu. Był kimś superważnym w ICOM-ie, który z kolei podobno był dla muzealników tym, czym International Police Association dla policjantów. Facet pochodził z południa Niemiec i po krótkiej wymianie maili zgodził się na dłuższą rozmowę w czasie realnym na Skypie, do czego Budryś oddelegował właśnie Marcina. O zabytkach, kradzieżach i roli archeologów. Miła, zupełnie niezobowiązująca rozmowa, która nawet nie mogła być włączona do akt.

– A ciebie, kurna, gdzie niesie?! – zapytał z rozdrażnieniem Marcin. Rozmowa o zabytkach była ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Na sztuce się nie znał, z historii miał w liceum tróję i szczęśliwie dawno już wszystko pozapominał o Ludwikach, Wizygotach i rewolucjach przemysłowych.

Budryś zatrzymał się w progu.

– Do pokoju zwierzeń.

Irena Parys cicho pochlipywała w chusteczkę. Siedziała przy pustym stole w pokoju przesłuchań, a po drugiej stronie lustro – zwanego potocznie i błędnie weneckim zamiast fenickim – przyglądali się jej Budryś z Madyjakiem.

– Boże, wcale nie mam ochoty tam wchodzić – mruknął komisarz, patrząc, jak czarny tusz rozmazuje się na twarzy Parys. Pani archeolog była w rozsypce: biała bluzka niemiłosiernie wygnieciona, rude włosy potargane, makijaż właśnie się rozpływał. Płaszcz i piękny kolorowy szalik z prawdziwej wełny spadły z oparcia krzesła i leżały na podłodze, ale ich właścicielka w ogóle nie zwracała na to uwagi.

Budryś nie lubił płaczących kobiet. Wiedział, że w co najmniej połowie przypadków próbowały go po prostu zmanipulować tymi głupimi łzami, mimo to nie potrafił być wtedy tak nieustępliwy i gburowaty jak zwykle. I strasznie go to wkurzało, ale nic nie mógł na to poradzić. Tak był skonstruowany i koniec.

– Spoko Maroko, szybko pójdzie. – Marylka przyglądał swoje rude wąsy. – Masz może chusteczki?

– Chusteczki? – Budryś zmarszczył brwi. – A, dobra, dla niej, jasne. – Pomacał się po kieszeniach džinsów i bluzy.

– Dobra, nie będziemy się tak gawronić na panią szanowną, więc zrobimy tak – zdecydował Marylka. – Przydryndul jakieś chusteczkie, a ja już do niej wejść. Co ma dobrodziejka szanowna czasowość marynować.

Budryś przyjrzał się Marylce.

– Wiesz, znamy się tyle lat – powiedział z zadumą – i czasami wydaje mi się, że już rozumiem tę twoją gwara. Ale potem przypierdalasz czymś o drynduleni i znowu muszę się domyślać.

– Jezusku, Szefu. – Marylka przewrócił oczami. – Przydryndul to przynieś, no! A ty tyle lat już tu chawirujesz, żeś już warsiaski podobno!

– Taaa, warsiaski flancowany słoik – mruknął Budryś.

Nie chciało mu się szukać chusteczek, więc uznał, że papierowe ręczniki z toalety doskonale sprawdzą się w ich roli. Kto wie, jak Parys będzie miała szczęście, to może trafi na ręczniki białe i miękkie zamiast szarych i szorstkich, ale za to podobno ekologicznych. Dwa rodzaje pojawiały się na zmianę i nikomu jeszcze nie udało się odkryć, wedle jakich reguł rozkładano luksusowe białe ręczniki. Jacek uznał, że jest większe prawdopodobieństwo, że znajdzie je w damskiej toalecie.

Niestety, Parys miała pecha.

Budryś wrócił do pokoju przesłuchań z szarymi ręcznikami w rękę. Kiedy położył je na stole, archeolożka nawet nie zwróciła na nie uwagi, ale Madyjak rzucił mu spojrzenie pełne wyrzutu. Komisarz wzruszył ramionami i usiadł obok niego.

– Pani Ireno, khm... proszę. – Marylka podsunął płaczącej Parys ręczniki z pewnym zażenowaniem. Kobieta sięgnęła po zastępczą chusteczkę i wydmuchała głośno nos.

– Mój Boże – westchnęła rzewnie, usiłując się opanować. Płacz zamienił się w czkawkę. – Zupełnie nie rozumiem... hyp! ...dlaczego ktoś zabił Joannę! To taka dobra dziewczyna była... hyp!

– Proszę mi wierzyć, dokładamy wszelkich starań, żeby znaleźć tego, kto to zrobił – zapewnił ją Madyjak. Budryś otworzył notes i pstryknął długopisem. Doskonale wiedział, że do normalnych ludzi Marylka potrafił używać normalnego języka. Nieraz słyszał, jak Artur płynnie przechodził z jednego w drugi, ale mimo to wciąż wprawiało go to w podziw. – Ale musi nam pani pomóc.

– Boże... hyp!... ja nie rozumiem, co się dzieje... hyp! Najpierw Tadeusz, teraz Joanna! – Parys wczepiła palce w rozczochrane włosy, płacząc je jeszcze bardziej. Wyglądała teraz trochę jak płaczka ze starożytnej Grecji, brakowało tylko rozdzierania szat i rozdrapywania ciała.

– Pani Ireno – powiedział Marylka łagodnym głosem. Budryś siedział obok niego w milczeniu, rysując długopisem kratki w notesie i sprawiając wrażenie zupełnie niezainteresowanego. Stereotypowa rola dobrego policjanta przypadała zawsze Arturowi, który z daleka wyglądał groźnie, ale z bliska przypominał skrzyżowanie dobrego wujaszka z Aniołem Stróżem i działał kojąco na ludzi będących pod wpływem silnych emocji. Jacek nie mógł tego powiedzieć o sobie. – Pani Ireno, gwarantuję pani, że postaramy się to odkryć. Ale póki co, musi nam pani powiedzieć, czy pani Masztalerz nie była może ostatnio czymś zdenerwowana? Nie pokłóciła się z kimś? Nie wspominała, że ma kłopoty?

– Joanna? – zdziwiła się szczerze Parys. – Hyp! Nie, skąd.

– A jak jej stosunki z innymi? Miała jakichś wrogów?

Parys zawahała się i znowu czknęła. Marylka podniósł się i wyszedł na chwilę z pokoju, po czym wrócił, niosąc butelkę wody mineralnej i plastikowy kubeczek. Bez słowa odkręcił butelkę, nalał wody do kubeczka i postawił go przed Parys, która podejrzliwie przyglądała się jego ruchom.

– Podobno woda pomaga na czkawkę – odezwał się w końcu Budryś, nie odrywając wzroku od swoich krateczek w notesie. – Spokojnie, nie zamierzamy podstępem zdobywać pani materiału DNA i wrzucać go do bazy – dorzucił.

Parys zaczerwieniła się lekko i sięgnęła po kubeczek z wodą.

– Więc wrogowie Masztalerz... – zachęcił przesłuchiwaną

Marylka, siadając obok Jacka, który rzucił mu znaczące spojrzenie. Oczywiście: nie zaczyna się od „więc”.

Parys piła powoli, łyk po łycku. Madyjak zerknął na Budrysia; pani archeolog ewidentnie zamierzała coś kręcić, w przeciwnym wypadku odpowiedziałaby od razu.

– Cóż... – Parys wypięła w końcu całą wodę. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, zwłaszcza że o zmarłych należy mówić tylko dobrze...

– Jesteśmy na komendzie policji – wtrącił Budryś. – My mamy dyspensę i tutaj te zasady nie obowiązują.

Parys skinęła lekko głową.

– Joanna jest... była... specyficzną osobą – powiedziała ostrożnie. – Bardzo ambitną. Miała dryg do archeologii, naprawdę stała przed nią otworem wielka kariera. Poza tym miała... jak by to ładnie ująć... – Parys zakłopotana się. – No, miała talent do wykorzystywania nadarzających się okazji.

– Znaczy się, oportunistką była – uściślił Marylka. Profesor pokiwała głową, a Madyjak pomyślał, że ci naukowcy to jednak pieprznięci są, każdą prostą rzecz potrafią skomplikować.

– Tak – przyznała Parys. – Tak więc inni pracownicy naszego Instytutu... No, nie podobało im się to. Z różnych względów.

Marylka westchnął. Doskonale wiedział, że na jego twarzy maluje się takie samo zniecierpliwienie, jak u Jacka, choć starał się to ukryć. Jak tak dalej będą się ślimaczyć, to ruski miesiąc będą dochodzili do sedna sprawy.

– Pani Ireno... mogę tak do pani mówić? – Budryś pochylił się nagle nad stolikiem, na którym cyfrowy dyktafon świecił czerwoną diodą nagrywania. Parys odruchowo skinęła głową. – Pani Ireno, może nam i sobie oszczędzi pani czasu i po prostu powie, czy pani wiedziała o romansie Masztalerz i Zawistowskiego.

Parys ściągnęła usta i milczała. Pokiwała tylko głową. Czkałka jakoś już jej przeszła.

– Mogłaby pani powiedzieć do dyktafonu, że pani wiedziała? – poprosił uprzejmie Budryś.

– Tak, wiedziałam, że Tadeusz i Joanna mają romans – powiedziała niechętnie Parys.

– No to teraz niech się pani porządnie zastanowi. Zawistowskiego zasztyletowano, Masztalerz uduszono. Na jaw wyszły wasze finansowe przekręty, które stawiają pod znakiem zapytania waszą wiarygodność naukową. A co pani ukrywa, pani profesor?

Parys wyraźnie się wahała. Tym razem ani Madyjak, ani Budryś nie naciskali. Parys sięgnęła po butelkę z wodą, nalała sobie do kubeczka i wypła niespiesznie.

Milczenie przedłużało się.

– Dobra. – Budryś zatrzasnął nagle swój notes i wstał z krzesła, przesuwając je z hurgotem po podłodze. – Postawimy pani zarzut utrudniania śledztwa. Chodź, Artur, nic tu po nas. – Ruszył w stronę drzwi. Marylka również się podniósł.

– Matejko ma nielegalne dziecko – wyrzuciła z siebie Parys, kiedy Budryś już kładł rękę na klamce. – Wyciszek na wykopaliskach kilka sezonów temu zniszczył po pijaku ze swoją ekipą cenne stanowisko, a potem zatuszował to w dokumentacji. Heniek, szef Dalekiego Wschodu, zgubił wszystkie egzaminy studentów z pierwszego roku i powstawał oceny na piękne oczy. A Joanna miała koszarne długi, poza tym kilka lat temu zatrzymano ją z podejrzeniem przemytu zabytków.

Budryś spojrział na Madyjaka, obaj wrócili niespiesznie do stołu. Wesoły instytut, nie ma co, pomyślał Jacek, przysuwając sobie krzesło z powrotem i siadając.

– A pani? – zapytał z naciskiem. Podział na dobrego i złego wciąż funkcjonował. – Co *pani* ukrywa? W sumie i tak się dowiemy, nawet jeśli pani nam tego nie powie.

– Ale lepiej by było, gdyby się pani na to jednak zdecydowała – odezwał się Madyjak łagodnym tonem.

Parys wciąż się zastanawiała. Budryś westchnął i już miał wstawać ponownie z miejsca, kiedy w końcu podjęła decyzję.

– Kiedyś zrobiłam strasznie głupią rzecz – powiedziała szybko. – I Tadeusz o tym wiedział.

Znowu się zacięła. Budryś wzniósł oczy do sufitu, a Madyjak oparł się łokciami o stół i pochylił lekko w kierunku kobiety.

– Pani Ireno, proszę nam wszystko powiedzieć – poprosił. – No

niech pani pomyśli: mieliście w tym instytucie same tajemnice i ciemne sprawy i dwie osoby już nie żyją.

Parys jeszcze przez chwilę wszystko rozważała. Po płaczu i czkawce zostały jedynie rozmazane smugi tuszu na jej policzkach. Splatała i rozplatała nerwowo dłonie, zbierając się na odwagę, żeby wyznać swój ciemny sekret. Budryś pomyślał z niechęcią, że pewnie kiedyś przejechała kotka na parkingu przed archeologią i razem z Zawistowskim pochowali go w jakiejś starożytnej skorupie pod jednym z drzew.

– Na ostatnim roku studiów zaszłam w ciążę – odezwała się w końcu Parys. – Miałam obiecany etat w instytucie tuż po obronie, miałam dogadanego promotora do doktoratu... Musiałam obronić w terminie pracę magisterską.

– No i co pani takiego straszego zrobiła? – zapytał łagodnie Madyjak.

– Była taka praca z lat osiemdziesiątych, jeszcze niewpisana do bazy danych archiwum u nas – wyjawiała Parys łamiącym się głosem. – Ukradłam ją. Dosłownie. I przepisałam w większości, temat prawie pokrywał się z moim... Tamta osoba nie pracowała w zawodzie, sądziłam, że krzywdy nie robię, a naprawdę nie miałam kiedy napisać własnej pracy...

Budryś pomasaował sobie nasadę nosa, a Marylka założył dłonie na karku. Żaden z nich nie wiedział, jak się odnieść do tego wyznania. Parys zauważyła ich zdezorientowanie.

– Wiem, co sobie panowie myślą – powiedziała gorzko. – Co to jest przepisać połowę czyjegoś starego tekstu, niby nic. Ale w świecie nauki plagiat to grzech śmiertelny! Gorszy niż... niż morderstwo! Chciałam to jakoś później wyprostować, ale nie było jak, Tadeusz mówił, żeby zostawić, jak jest.

– Czyli zrobiła pani karierę na czyjejś pracy – podsumował Budryś, stukając palcami w blat stołu.

Zawstydzona Parys pokiwała głową.

– Nawet nie wiecie, jak mi było strasznie głupio – wyznała. – To mi ciążyło, ale zrobiło się za późno, doktorat był w toku, potem habilitacja...

– A Zawistowski to skąd o tym wiedział? – zainteresował się Madyjak. – Chyba się tym pani nie chwaliła, nie?

– Tadeusz wyniósł dla mnie tę pracę z archiwum uniwersyteckiego. – Parys westchnęła ciężko. – Wiedział od początku, był opiekunem naszej grupy na studiach, sam niedawno w zasadzie skończył... Znał moją sytuację i pomagał.

– W kradzieży intelektualnej również – mruknął Budryś i przejechał ręką po zarośniętym policzku. – Czyli, krótko mówiąc, miał na panią haka.

– Tak – przyznała Parys.

– To dlaczego nie zmusił pani na przykład do pomocy przy tym przemytniczym procederze? – zainteresował się Marylka.

Parys wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale Tadeusz tak naprawdę nie był złym człowiekiem przecież! On chciał dobrze, tylko czasami jego drogi się trochę mijały z uczciwością.

– Hitler też uważał, że robi dobrze, bo przecież czyści Europę – zauważył Budryś jakby mimochodem. – A dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło. Ale mniejsza z tym. W każdym razie widzę, że jednak sporo pani wiedziała o tych waszych tajemnicach. O Borówce niczego pani przypadkiem nie wie?

Parys potrząsnęła głową.

– Tadeusz mówił tylko, że to jego specjalny projekt. Nic więcej. Poza tym to normalny chłopak, może niezbyt pracowity, ale miły.

Budryś pomyślał, że owszem, psychopaci bywają mili, czemu nie. Hannibal Lecter też z pewnością był miłym człowiekiem, kiedy akurat nie zjadał ludzi.

– Dlaczego powiedziała pani, że Matejko ma nielegalne dziecko? – zapytał Marylka. – O ile wiem, posiadanie dzieci nie jest specjalnie nielegalne.

– Dzieci ogólnie nie. – Parys spojrzała na swoje paznokcie. – Ale dziecko z nieletnią poniżej szesnastego roku życia owszem, prawda?

Rozdział 9

Jureczek ziewnął szeroko, aż mu coś przeskoczyło w zawiasach szczęki. Czy też, używając terminologii fachowej, jaką kładli im tu do głów, w stawie skroniowo-zuchwowym. A Jureczek w końcu z nauk o człowieku miał pięć, zawsze też najszybciej składał szkielet i nawet nie mylił paliczków dłoni i stóp.

Wyciągnął się wygodnie na ławce na korytarzu w Instytucie Archeologii i przymknął oczy. Teoretycznie powinien być teraz na proseminarium pomocniczym, ale spóźnił się pół godziny i już nie chciał przeszkadzać, postanowił więc poczekać do przerwy w zajęciach na korytarzu. Podłożył sobie pod głowę kurtkę, złożył na chudej piersi ramiona i zamknął oczy. Równie dobrze mógł się jeszcze trochę zdrzemnąć, choć światło z górnych lamp w korytarzu nieźle dawało.

Zabawne było to, jak instytut przechodził do porządku dziennego nad wszystkimi ostatnimi wydarzeniami. Ba, nie tylko instytut, ale i cały uniwersytet! Wszyscy starali się wszystko zamieść pod dywan, ale Jureczek był zdania, że niedługo skończy się pod tym dywanem miejsce. Taka śmierć Masztalerz na przykład. Przy trupie Zawistowskiego było wielkie halo, no ale to był jednak i profesor, i dyrektor, poza tym morderstwo podobno spektakularne i znaleziono go tu, w instytucie. Do slajdoteki Parys sprowadziła specjalną ekipę sprzątającą, żeby usunąć ślady zabójstwa, ale i tak małe szanse, żeby ktokolwiek chciał tam siedzieć, pewnie zrobią z tego magazyn. Ale Masztalerz to już zupełnie inna historia. O, zupełnie inna. Nikt nie wydał żadnego oficjalnego oświadczenia, właściwie to w ogóle nikt nic nie mówił. Na bramie uniwersyteckiej pojawiła się jedynie klepsydra, mówiąca że rektor i dziekan współczują rodzinie odejścia obiecującej młodej naukowiec. Ale archeolodzy wiedzieli lepiej. Kto pierwszy powiedział, że Masztalerz nie żyje, Jureczek nie wiedział. Ale mówili wszyscy. Tyle że nikt nie

wiedział, o czym mówią. Podobno się powiesiła. Albo ktoś ją powiesił, nigdy nie wiadomo. W końcu Andrzej Lepper też podobno sam się powiesił. Tak mówili na korytarzach archeologii. Najpierw uznano to za żarty, dość niesmaczne, ale potem okazało się, że to wcale nie żarty i Masztalerz naprawdę nie żyje. I wtedy coś się odmieniło w ludzkiej archeologicznej. Wszyscy zaczęli na siebie patrzeć wilkiem, jakby każdy każdego podejrzewał. Śmierć Zawistowskiego była może zbyt teatralna, poza tym była pierwsza, a ktoś musi być pierwszy. Ale drugie zabójstwo nie było już normalne. Znaczący pierwsze też nie było, ale jakoś śmierć Masztalerz była dla wszystkich większym szokiem niż morderstwo dyrektora. Teraz już nikt nikomu nie ufał. Jureczek zastanawiał się też, jak będzie wyglądała przyszłość ich kierunku – co z wiosennymi wyjazdami na badania powierzchniowe, co z letnimi wykopaliskami? Przecież śledztwo mogło trwać miesiącami, tylko w serialach wszystko rozwiązują w ciągu czterdziestu minut. W realu na bank trwało to dłużej, a nikt nie wiedział, na jakim etapie jest policja, bo jakoś nikomu nie chciała się zwierzać. Jureczek uważał, że jeśli wszystko im się przeciągnie, to archeologia upadnie. Nikt nie będzie chciał jeździć na wspólne wyjazdy, bo wszyscy będą się bali, że kolega z namiotu obok albo prowadzący wykop wykładowca dostanie szału i pozabija kolejnych ludzi. Nigdy nie wiadomo.

Ale uniwersytet udawał, że problemu nie ma, jak to mówił rzecznik w telewizji, „w pełni współpracujemy z odpowiednimi organami i robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc w ujęciu złoczyńcy”. Wszystko, czyli nic. Z drugiej strony Jureczek nawet ich rozumiał. No bo co niby mieli zrobić? Powiedzieć: „państwu już dziękujemy”? Pewnie sami nie wiedzą, co robić. Podobno powołali komisję, która miała przyjrzeć się sytuacji w instytucie, ale co taka komisja może.

Ktoś stanął nad Jurkiem i przysłonił mu światło.

Jureczek otworzył gwałtownie oczy, czując, jak momentalnie zaczyna walić mu serce.

Nad nim stała Majka, przyglądając mu się z miną Wendy z *Rodziny Addamsów*. Na jej twarzy malowało się napięcie, jakby

planowała, czy najpierw obetnie mu głowę, czy rękę, a może nogę.

– Jezu – westchnął Jureczek, przykładając rękę do serca. Nawet przez materiał koszuli i granatowego swetra czuł, że wali jak oszalałe. Dobrze, że był za młody na zawał. – Weź nie strasz ludzi. Okoliczności nie są ku temu najlepsze!

Majka w milczeniu szturchnęła go kolanem w ramię, dając znak, żeby się odsunął. Jureczek niezbyt chętnie podciągnął się i usiadł. Poprawił kołnierzyk koszuli i rzucił Majce ukradkowe spojrzenie, kiedy mościła się obok. Przez trzy lata uniwersyteckiej znajomości nigdy sama z siebie nie wybrała miejsca obok niego.

Bez słowa zapatrzyła się w przeciwległą ścianę. Ściana była biała, a na pierwszym piętrze, na którym siedzieli, nie stały gablotki z artefaktami, nie było więc nawet na czym oka zawiesić. Jurek rozejrzał się dyskretnie – inne ławki w korytarzu były puste, nie mogło więc chodzić tylko o to, że Majka chciała po prostu usiąść. Coś musiało być na rzeczy.

Byli na korytarzu sami. W salach toczyły się niemrawo zajęcia, na których nikt się nie skupiał – ani studenci, ani wykładowcy. W szyby okien tłuł deszcz, ale w budynku było przyjemnie ciepło. I dziwnie spokojnie.

– Dobra, czego chcesz – powiedział Jureczek, kiedy milczenie stało się niezręczne. Zdjął okulary i zaczął je wycierać skrajem swetra.

– Mówiłeś, że widziałeś Pawła. – Majka zaczęła kręcić na palcu koniec przerzuconego przez ramię warkocza.

– Tak? – zdziwił się Jureczek i chuchnął na szkła okularów. – Tak mówiłem?

– Tydzień temu.

– Tydzień temu go widziałem? – Jureczek ponownie przetarł okulary i podniósł je do góry, żeby sprawdzić pod światło, czy nie ma smug. – No popatrz. A wydawało mi się, że w tym tygodniu też go widziałem.

– Nie, tydzień temu mówiłeś, że widziałeś go wcześniej. Wtedy, kiedy, no wiesz... Zawistowski...

– Kiedy Zawistowski płacił Charonowi obolem za przeprawę przez Styks. – Jureczek wsadził okulary na nos. – Poza tym nie wiem, czy

go widziałem.

– Jak to? – Majka odwróciła się do niego gwałtownie. Pierwszy raz widział ją z tak bliska. Z daleka wydawała mu się ładniejsza. – Mówiłeś, że widziałeś go nad Wisłą, kiedy coś wrzucał do wody!

– Ano faktycznie, mówiłem – zreflektował się Jureczek.

– No. – Majka założyła za ucho pasemko włosów, które wysunęło się z warkocza. – I mówiłeś, że on to zrobi po raz drugi! A teraz zobacz, Masztalerz nie żyje!

– No i?

– No i miałeś rację! Raz w życiu w tej twojej przepitej łepetynie coś skontaktowało właściwie. Powiedziałeś o tym policji? Musisz im powiedzieć! Przecież to jasne jak słońce, że Paweł zabił i dyrektora, i panią magister, przecież nie możemy go chronić!

Jureczek wstał z ławki i stanął pod przeciwległą ścianą korytarza, patrząc na Majkę z uwagą. Zdecydowanie coś było na rzeczy.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego – powiedział. – Z tobą zresztą też. Nie ma żadnych „nas”, poza tym nikogo nie zamierzam chronić, chroń se sama!

– No właśnie o to chodzi, żeby nie chronić – podchwyciła, wstając z ławki i robiąc krok w kierunku Jureczka; odsunął się. – Nie rozumiesz? Musisz powiedzieć policji, że spotkałeś wtedy nad Wisłą Pawła, przecież ten człowiek ma na sumieniu dwa życia, nie można kogoś takiego osłaniać!

Jureczek westchnął i przejechał dłonią po elegancko uczesanych włosach. Coś zdecydowanie musiało być na rzeczy, skoro Majka nie tylko zmieniała front w kwestii Matejki jako zabójcy, ale w dodatku zwróciła się z tym do niego, Jureczka! Przecież tydzień temu wyzywała go od wariatów i alkoholików, a teraz nagle co, zmiana o sto osiemdziesiąt stopni? O nie, nie ze mną takie numery, Brunner!

– Dobra, powiedz od razu, o co ci chodzi – poprosił.

– Chodzi mi o to, że to jest zabójca; jeśli coś o nim wiemy, to nie możemy tego kryć! Bo jeszcze zabije kogoś trzeciego i będzie prawie tak, jakby to było na nasze konto, bo wiedzieliśmy, ale nie powiedzieliśmy. – Majka uśmiechnęła się do Jureczka miło.

– My, my, my – przedrzeźnił ją. Nie kupował tej nagłej odmiany. Wątpił, żeby ruszyło ją sumienie, jeszcze niedawno odsądzała go od czci i wiary, zresztą, ona nie miała sumienia. Raz zapewnia, że Paweł był z nią przez cały wieczór i w nocy zabójstwa, a teraz co? – I co, może to *my* widzieliśmy go nad Wisłą, co? I *my* spędzaliśmy z nim noc?

– Kto spędzał, ten spędzał. – Majka wzruszyła ramionami. – To nie ma nic do rzeczy, ale przecież go widziałeś! Więc musisz iść do tego komisarza, co to prowadzi, i powiedzieć mu o wszystkim.

– Chyba cię pogięło. – Jureczek cmoknął z zadowoleniem, bo droczenie się z Majką było niezłą rozrywką. A ona ewidentnie miała do niego jakiś interes. – Mam iść i mówić, że go widziałem, jak go nie widziałem?

– Ale tydzień temu mówiłeś, że widziałeś!

– Ale się rozmyśliłem.

– No to ja się rozmyśliłam, że byłam wtedy z Pawłem. – Majka przerzuciła warkocz przez ramię gestem pełnym godności. – Powiem, że mnie zastraszył i zmusił, żebym mu dała alibi! Ale jak teraz zabił panią magister, to zrozumiałam, że nie mogę go więcej kryć!

Jureczek przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

– Jakbym cię nie znał, to może bym i uwierzył – mruknął, wbijając ręce w kieszenie spodni z kancikiem. – To brzmi prawie tak, jakbyś go chciała wkopać. Bo chyba chcesz, co?

Majka zacisnęła usta.

– Dupek mnie zostawił – wyrzuciła z siebie po chwili milczenia. – Rozumiesz? Powiedział, że to nie jest właściwy moment, czaisz?

– No pewnie. – Jureczek ponownie cmoknął. – Bo przecież nikt nie zostawia Majki, to Majka zostawia innych, tak?

Miało zabrzmieć sarkastycznie, ale chyba nie załapała. Pokiwała energicznie głową.

– Dokładnie. Wiesz, nie spodziewałam się, że zrozumiesz. Ale dupek zostawił mnie na lodzie, rozumiesz, dyrektor nie żyje, a ten mnie zostawia! Pojebus!

– Więc postanowiłaś się zemścić i wkopać swojego byłego

w morderstwo? – upewnił się.

Majka spojrzała na niego zdziwiona.

– Ja? – Wyglądała jak uosobienie anielskości, ale bliżej jej było do upadłej Lilith. – No skąd. To ty mówiłeś, że on jest mordercą. I że znowu zabije. Więc sam widzisz, nie możemy tego ukrywać przed policją.

Jureczek podszedł do ławki, sięgnął po swoją kurtkę i włożył ją.

– Co robisz? – zapytała nieco zdezorientowana Majka.

Jurek podniósł z podłogi plecak, otrzepał go i zarzucił na ramię.

– Idę na policję – oznajmił, ruszając w kierunku schodów. Chrzanić zajęcia. Pewnie i tak rozwiążą instytut. – Powiedzieć im, że to z całą pewnością jednak *nie był* Matejko.

Właściwie to Majka nawet ładna nie była.

Budryś był zdania, że umieszczanie na ścianach siedziby instytucji złotych liter układających się w jej nazwę świadczyło wyłącznie o kompleksach. Każdy chyba wiedział, gdzie się znajduje, taki napis niczemu więc nie służył. A jak ktoś nie wiedział, gdzie jest, to po prostu miał problem.

Na przykład taki złoty napis w korytarzu ich laboratorium. Każdy wiedział, że to laboratorium kryminalistyczne Komendy Stołecznej – i tak wstęp mieli tam jedynie ludzie z pokemonami. Nie było szans, żeby wlaź tam ktoś niezorientowany, czemu więc miały służyć złote litery? Może chodziło o nadwyżki finansowe, które trzeba było upłynnić, jak w każdej porządnej instytucji finansowanej ze środków publicznych, ale Jacek akurat wolałby dodatkowy przydział papieru albo kawy i herbaty. Za każdym razem kiedy pojawiał się w laboratorium – a lubił tam zaglądać, dawało mu to poczucie ładu i porządku – czuł tę samą irytację, bezsensowną, bo jedyne, co mógł zrobić, to przynieść czarny spray i dokonać małego aktu wandalizmu.

Teraz też go wkurwiały te badziewne złocenia. Nie żeby odmawiały chwały ich laboratorium, nigdy w życiu; szczury, jak nazywali między sobą tutejszych specjalistów, zasługiwały na uznanie jak mało kto. Ale na pewno istniały bardziej sensowne sposoby

uczczenia czyjejs pracy. Dodatkowy urlop, premia, podwyżka, cokolwiek.

Ale nie pieprzone litery.

Przeszedł wąskim, ciemnowym korytarzem – mogliby zamiast liter oświetlenie porządne strzelić! – i z kubkiem termicznym pełnym kawy wszedł do Pracowni Badań DNA.

– Cześć, Basieńko – powiedział do blondynki w białym fartuchu, która właśnie wkładała próbki do wirówki.

– Cześć – odparła, zamykając wieko. – Kogo ja widzę, pan Wierzący-w-Cuda.

– Basieńko, jeśli ktoś ma dokonać cudu, to jedynie ty. – Budryś skłonił się szarmancko przed laborantką.

Uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że ta twoja wiara niestety trochę za mała i nie ma mocy zmieniania rzeczywistości – zauważyła Basieńka, odwracając się do Budryśa i opierając o biały blat. W laboratorium, rzecz jasna, wszystko było w tonacji bieli. Nawet skóra Basieńki. Jediną barwną plamą były jej niebieskie rękawiczki. – Poza tym gdzie ty mi z tą kawą włączysz, na litość boską!

– Przecież nie zajmujesz się osmologią. – Budryś ziewnął szeroko.
– Przepraszam. Trochę jestem niewyspany.

Basieńka przyjrzała mu się krytycznie.

– Przyznaj się, wzięłeś wczoraj dodatkowy nocny dyżur – powiedziała z lekkim wyrzutem. – Jacek! Przecież tak nie można, powinieneś mieć dzisiaj wolne!

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Dogadałem się – wyjaśnił. – Przecież wiesz, jak jest, święta idą, muszę kupić Jance porządny prezent, a nocka to dodatkowa kasa. – Nie miał pojęcia, dlaczego tłumaczył się akurat jej. Na szczęście dyżur był w miarę spokojny, więc przy okazji posiedział nad kilkoma innymi sprawami, które już mu się ciągnęły jak glut z nosa. Może nie dokonał jakichś oszałamiających odkryć w ciągu nocy, ale kilka rzeczy sobie wyprostował i nadgonił z papierami. Tyle że dzisiaj był trochę niewyspany. Zamierzał odbić to sobie w weekend – odbierze wieczorem młodą z psem od byłej i spędzą całe dwa dni,

nie robiąc nic. Albo pojedą do jego rodziców, jeszcze się nie zdecydował. W każdym razie weekend z Janką oznaczał weekend bez pracy. Mógł z tym żyć. Byle tylko przetrwać ten dzień. – No, ale teraz jestem cały twój, więc opowiadaj, co tam dla mnie masz. – Rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby odstawić kubek z kawą, ale w końcu uznał, że lepiej nic nigdzie nie stawiać.

Basieńka pokręciła głową, ale nic już nie powiedziała. Ściągnęła rękawiczki i wyszła do drugiego pomieszczenia, wrzucając po drodze jednorazówki do kosza. Wróciła po chwili z przedmiotami, które wyłowili z Wisły, i rozłożyła je na białym stole stojącym na środku pomieszczenia. Każda rzecz była zaopatrzona w elegancko przepisana metryczkę.

– Oto i masz, torebka foliowa, sztuk jeden, koszula męska, sztuk jeden, historyczna pochwa na sztylet, sztuk jeden, staroświecki klucz...

– Też sztuk jeden – wpadł jej w słowo Budryś, kiwając głową. – To wiem, widzę. Wiem też, że kluczyki samochodowe zabrały chłopaki z Pracowni Wypadków, żeby dopasować do samochodu denata. Ale Basieńko, ja cię bardzo proszę, powiedz, że coś dla mnie masz o tym tutaj.

Laborantka oparła się o stół.

– Tak, mam informację, że woda wymywa ślady biologiczne, testy wstępne nic nie dały – powiedziała spokojnie. – Poza tym jest piątek, a przynieście to w środę wieczorem! Ty i Tarnowski myślicie, że jestem waszym prywatnym laboratorium? Inni też mają dla mnie zlecenia, znacznie pilniejsze niż to twoje. I bardziej realistyczne – dodała trzeźwo. – A ja, w przeciwieństwie do ciebie, lubię czasem pobyć we własnym domu.

Budryś westchnął ciężko, bo co mu po byciu w domu, jak nikogo w nim nie ma, nawet Psa. Odstawił kubek na podłogę, obok nogi od stołu, licząc, że tam nikt go nie potrąci, po czym sięgnął do stojącego na blacie pod ścianą pudełka z jednorazowymi rękawiczkami. Wyciągnął parę i założywszy je, sięgnął po pochwę sztyletu, odsuwając od siebie myśli o sprawach domowych.

Była naprawdę ładna. Jacek nie był fanem broni białej, nie był

też maniakiem ani znawcą sztuki, ale nawet on widział, że to zabytek wysokiej klasy.

– Popatrz – powiedział, ważąc w dłoni metalowy przedmiot. – To tyle przetrwało, żeby wylądować u nas w Wiśle.

– O ile oczywiście jest prawdziwe, a nie jest jakąś repliką – zauważyła Basieńka przytomnie.

– Oczywiście – zgodził się Budryś, ale prawdę mówiąc, nie miał najmniejszych wątpliwości, że pochwa jest prawdziwa. – Zlecimy ekspertyzę biegłym, to nam wszystko wyjaśni. Tarnowski już znalazł specja w Krakowie. Ale wiesz – odłożył ostrożnie przedmiot – coś mi mówi, że to jednak prawdziwe. Zupełnym przypadkiem Marcin rozmawiał wczoraj z takim jednym profesorem zagranicznym od kradzieży zabytków; wyobraź sobie, że podobno w Austrii, ale już niedaleko Bratysławy, znaleziono niedawno rzymski skarb.

– Tak? – zainteresowała się Baśka. Samo słowo „skarby” miało w sobie coś magicznego i tajemniczego, co automatycznie przyciągało uwagę. – I co się stało z tym skarbem?

– Nie wiadomo. – Jacek wzruszył ramionami. – Zniknął. Nikt nie wie, gdzie i kiedy. Był i nagle puf, puf, nie ma.

– Puf, puf, mówisz – powtórzyła, lekko rozbawiona. – No popatrz. Może to tutaj to kawałek tego rzymskiego skarbu.

– Może. – Komisarz westchnął. – Nic, zobaczymy, jak nam się biegli wypowiedzą. A klucz?

Basieńka pokręciła głową.

– Nic ciekawego z mojego punktu widzenia, mówiłam ci. Poproście może Miecia z mechoskopii, żeby rzucił okiem.

– Tak, tak, wiem – mruknął Budryś i przyjrzał się krytycznie wiślanym znaleziskom. – Basieńko, słońce ty moje, daj mi cokolwiek, no!

– Mogę ci dać tyle, żebyś przekazał klucz i pochwę sztyletu do wizualizacji daktyloskopijnej, dla świętego spokoju, niech sobie popatrzą – zaproponowała, wygładzając zagięcia leżącej na stole brudnej szmaty, która udawała koszulę. – Mogę też zrobić ci pełen cykl badań, tylko nie nastawiaj się za bardzo. Ta woda w Wiśle to był fatalny pomysł z naszego punktu widzenia.

– Fatalny – zgodził się nieuważnie komisarz i pochylił się, żeby podnieść z podłogi swój kubek z kawą. – Do daktyloskopii też się pouśmiej.

– Tylko nie ładniej niż do mnie. – Basieńka pogroziła mu palcem, w odpowiedzi na co Jacek posłał jej najbardziej czarujący uśmiech, na jaki było go stać.

– Do nikogo się tak ładnie nie uśmiej – zapewnił ją solennie i zsalutował dwoma palcami. – Dobra, odmeldowuję się. Dzięki za pomoc, Basieńko.

Ruszył do drzwi.

– A, Jacek! – zawołała jeszcze za nim, kiedy sięgał do klamki. Obejrzał się na nią przez ramię. – Jaki masz rozmiar kołnierzyka?

Budryś zmarszczył brwi, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi, na co roześmiała się cicho.

– Trzydzieści osiem na dziewięć – odparł. – Bo co?

– No to ta koszula by na ciebie nie pasowała. – Basieńka wskazała na sponiewierany materiał na stole. – Jej właściciel miał rozmiar kołnierzyka czterdzieści trzy.

Popatrzył na koszulę, potem na laborantkę, skinął głową i wyszedł z pracowni, mieląc w głowie liczbę czterdzieści trzy. Czterdzieści trzy oznaczało, że właściciel koszuli miał kark. Bo Budryś, na przykład, nie miał. Taką już miał budowę, że był żyłasty, chudy i wysoki. Zastanowił się, jaki rozmiar kołnierzyka mógł nosić Matejko, dotąd ich pierwszy podejrzany. Alibi Borówki Mirska miała sprawdzać we Wrocławiu. Parys już dawno im odpadła, chyba mniej więcej wtedy, kiedy student świr powiedział, że widział mężczyznę nad Wisłą.

Zamyślony wrócił do swojego pokoju. Zastał tam tylko Madyjaka wiszącego na telefonie.

– O, jesteś – zauważył, przyciskając ramieniem słuchawkę telefonu do ucha i usiłując jednocześnie rozplątać niemiłosiernie skłębiony kabel.

– Popatrz, Artur. – Budryś westchnął i odstawił kubek z kawą na swoje biurko. – Zobacz, co się dzieje, jak usuniesz jeden fragment z układanki. Wszystko leci na łeb na szyję, równowaga zachwiana,

ludzie zaczynają kombinować, jak tu ukryć swoje grzeszki, i w rezultacie doprowadzają do kolejnej katastrofy. Dramat, nie?

– Dramat, dramat. – Madyjak pokiwał głową. – Biuro Przepustek przed chwilą o ciebie rozpytywało. Podobno na dole wygląda na ciebie jakiś galancik.

– Galancik? – zdziwił się Budryś, bo żadnego galancika na dzisiaj nie wzywał. Miał co prawda umówionego Matejkę, ale wątpił, żeby pani Wandzia z przepustek tak się o nim wyrażała, poza tym archeolog był umówiony nieco później. Marylka wzruszył tylko ramionami, więc Jacek z niechęcią powlókł się na dół. Przebiegł bez kurtki przez mokry dziedziniec do biura przepustek i skinął głową wartownikowi przy elektronicznej bramce.

– Pani Wandziu, ktoś do mnie? – zapytał portierki, stojąc przed drugą bramką, taką zwykłą, jak w supermarketach, która była jednak zamknięta na łańcuch z kłódką.

– O, pan Jacek! – ucieszyła się pani Wandzia i wskazała na kogoś w części dla interesantów. – Taki pan do pana przyszedł. Mówi, że nie był umówiony, ale że ważne.

Budryś spojrzał na młodzieńca w granatowej kurtce, z przerzuconym przez ramię plecakiem i jęknął w duchu. No świetnie po prostu, tylko mu jeszcze tego świra brakowało! Nieważne, że świr okazał się w sumie przydatny i że dzięki niemu znaleźli koszulę sprawcy – rozmiar czterdzieści trzy! – w umyśle Budrysia został już zapisany jako świr.

– Panie komisarzu, dzień dobry, ja przepraszam, że tak bez zapowiedzi, ale mam naprawdę ważną informację – powiedział tymczasem z przejściem świr. – Jerzy Szaniawski, ja jestem studentem archeologii – dorzucił na wszelki wypadek, gdyby komisarz nie pamiętał. Komisarz doskonale pamiętał. Niestety.

– Pani mu da pokemona, pani Wandziu – rzucił z rezygnacją do portierki. Miał nadzieję, że wariat przyszedł z czymś konkretnym, a nie z plotkami. Pani Wandzia spojrzała na komisarza znad okularów, po czym pokiwała na Jureczka palcem i zażądała dowodu. Spisała dane z plastikowej plakietki, którą jej podał, i przyczepiła do niej przepustkę.

– Nie zgubi – mruknęła.

Budryś pokazał studentowi, żeby przeszedł przez elektroniczną bramkę i poprowadził go na drugie piętro, do ich pokoju, zupełnie nieświadom, że Jureczek przeżywa właśnie wewnętrzny wstrząs. Zawsze lubił kryminały, zarówno książkowe, jak i filmowe, ale dotąd zbyt porządnie się prowadził, bo ani razu jeszcze nie trafił do komendy. Na komisariacie był raptem dwa razy, w tym raz z matką, jak się jej do bagażnika włamali i ukradli zapasową oponę oraz dziesięć kilo jabłek z działki, więc to się nie liczyło. Ale taka komenda, w dodatku z nim jako świadkiem!, to już zupełnie inna historia.

– Pan siada. – Budryś wskazał gościowi krzesło przy biurku Mirskiej. Jureczek usiadł, z fascynacją rozglądając się dookoła. Pokój wyglądał prawie tak, jak to sobie zawsze wyobrażał: kilka biurek, niewielka przestrzeń, mnóstwo dokumentów. Przy jednym z biurek siedział rudy facet z okazałymi zakolami i równie okazałym sarmackim ognistym wąsem i od czasu do czasu rzucał do słuchawki „tak, wciąż czekam”. Tylko na ścianie wisiał plakat z filmu o komiksowych superbohaterach, który stanowił dysonans w tym skądinąd spójnym wystroju. Ciekawe, czy panowie oficerowie identyfikowali się z bohaterami filmu i sami o sobie myśleli jako o herosach. Pewnie tak, bo przecież po co im taki plakat w innym wypadku.

– No. – Budryś zasiadł naprzeciwko Jureczka i sięgnął po kubek z kawą, która już dawno wystygła. – To słucham. Co też ma pan takiego pilnego do powiedzenia?

– Hmm? – Jureczek ocknął się i skupił wzrok na Budryśiu, co łatwo nie przyszło, bo wszystko go tu rozpraszało. – A tak, oczywiście! Ja panu mówiłem, że kogoś nad Wisłą widziałem, prawda? I pan nawet chciał, żebym pokazywał, gdzie widziałem, prawda?

– Mówił pan. Ale jakoś pan wtedy nie pamiętał, kogo widział. Przypomniał pan sobie może?

– Niestety. – Jureczek westchnął, a komisarz częściowo stracił zainteresowanie. – To znaczy... przyszedłem powiedzieć, że raczej

na pewno nie był to doktor Matejko.

– O. A można wiedzieć, jak pan doszedł do takiego dość nietypowego wniosku? Raczej na pewno?

– Otóż, widzi pan – Jureczek poprawił się na krześle Mirskiej i pochylił się nieco nad biurkiem – kilka dni temu ostrzegałem Majkę... to jest moją koleżankę z roku, która, no wie pan... no, bzykała się z Matejką...

Budryś pomasaował sobie skronie. I on myślał, że świr przyszedł z czymś sensownym! Ale nie, oczywiście, stek plotek i ploteczek. Boże, dlaczego on akurat musiał przyleźć, jak nie ma Mirskiej, kobiety lepiej znoszą taką bezsensowną paplaninę! Spod drzwi dobiegło go prychnięcie, znak, że Marylka, wciąż czekający na swojego rozmówcę po drugiej stronie drutu, wszystko słyszał i co gorsza, że to go bawiło.

– ...powiedziałem jej, żeby na siebie uważała, bo to chyba Matejko zabił dyrektora, na co powiedziała, że niemożliwe, bo ona z nim była przez cały weekend, a dzisiaj, jak już pani Masztalerz też nie żyje, to ona przyszła do mnie... Majka znaczy się, nie pani Masztalerz, pani Masztalerz nie żyje – ciągnął dalej Jureczek, który dostał nagle słowotoku, jak nieraz Mirska. Może to wina tego biurka? W każdym razie Budryś miał ochotę sięgnąć po długopis i wbić go sobie w ucho. – I Majka mi mówi, żebym koniecznie panu powiedział, że to na pewno Matejko był tym zabójcą, ale ja wiem, że nie, bo on ją rzucił, znaczy nie zabójca, tylko Matejko, i że ona teraz chce się zemścić na nim, bo wie pan, ona w sumie to taka mało sympatyczna jest.

Po tym, gdy Jureczek skończył mówić, Budryś milczał przez chwilę.

– Przepraszam, pan już skończył? Myślałem, że tylko pan przerwę robi – odezwał się w końcu komisarz.

Marylka pod drzwiami zachichotała.

– Nie, to nie do pani, moja złota – powiedział do telefonu. – Tak, wciąż czekam.

– Okej. A może pan to tak... jednym zdaniem podsumować? – poprosił Jacek, ignorując dźwięki od strony drzwi.

– Jednym zdaniem? – zdziwił się Jureczek. – No... doktor Matejko skończył z Majką, a ona zimną suczą jest i chce się mścić, więc mówi, żebym panu powiedział, że widziałem Matejkę wtedy nad Wisłą.

– A widział pan?

– Nie wiem. – Jureczek wzruszył ramionami. – Mówiłem, że nie pamiętam. Ale Majka się wcześniej zarzekała, że była z Matejką, a teraz chce go wkopać. Że on tam był. A ona wredna jest jednak naprawdę, więc to oznacza, że to nie Matejkę widziałem, bo Matejko był z nią...

Budryś nie drążył dalej. Że też musiał prowadzić śledztwo w oparciu o jakieś plotki, no, kto się z kim przespał, kto jest zazdrosny i jak chce się mścić. I pomyśleć, że kiedyś, kiedy był jeszcze młody i głupi, to chciał nawet zostać takim Indianą Jonesem. Jakie to szczęście, że potem jednak zmądrzał i poszedł do policji. W każdym razie już widział, jak Tarnowski uzasadnia akt oskarżenia na sali sądowej, mógłby nawet rzucić tekstem: „bo to zła kobieta była”.

Swoją drogą student miał niezłe wyczucie czasu, że złapał Jacka tuż przed umówionym spotkaniem z Matejką.

– Przyszedłem pana uprzedzić, panie komisarzu, zanim ona przyleci i będzie chciała zmieniać swoje zeznania, bo zamierza powiedzieć, że doktor Matejko ją zastraszył – dorzucił Jureczek na wszelki wypadek, kiedy milczenie Budrysia przeciągało się. – A ja wiem, że to nieprawda, Majki nie da się zastraszyć, ona jest zbyt wyrachowana na to, tylko mścić się chce, jej nic sprawiedliwość ani prawda nie obchodzą.

– Wiecie, rzucił mi się w oczy ostatnio w internecie taki dobry cytat, aż go normalnie zapamiętałem: „Niebo nie zna wściekłości takiej, jak miłość w nienawiść zmieniona, ni piekło nie zna furii takiej, jak kobieta wzgardzona”¹ – odezwał się nagle Marylka spod drzwi. – Halo, królowo? Tak, tak, jestem! Dzwonię w sprawie ekspertyzy, mamy taki mały przedmiocik...

Matejko rozglądał się niespokojnie po pokoju z lustrem. Znał takie

z filmów. I wizyta w nich nigdy nie kończyła się dobrze. Z tym że komisarz niby nie wezwał go oficjalnie – zdaje się, że powinni mu wezwanie wysłać pocztą czy tam przez dzielnicowego, wszystko jedno – tylko wczoraj zadzwonił i uprzejmie zapytał, czy on, Paweł, jest bardzo zajęty, bo może znalazłby dosłownie pół godziny, żeby wpaść do pałacu Mostowskich na małą rozmowę. No niby mógł wpaść, tym bardziej że w głosie komisarza pobrzmiwało coś dziwnego.

Wpadł zatem, spisano go z dowodu, dano przepustkę i zaprowadzono do pokoju z lustrem. Był już wcześniej w komendzie, ale na drugim piętrze, w pokoju zawalonym papierami, gdzie rozmawiała z nim ta młoda policjantka. Przyznał się wtedy, że sobotę, kiedy zamordowano Tadeusza, spędził w damskim towarzystwie Majki, co było naganne o tyle, że to jego studentka.

Nie miał pojęcia, o co mogło chodzić tym razem. Czekał sam w pokoju dobre pięć minut, choć wydawało mu się, że minęło znacznie więcej czasu. Czuł się nieswojo, pewnie za lustrem stał cały tłum ludzi, którzy obserwowali jego reakcje. Jak w amerykańskich serialach.

Kiedy w końcu drzwi się otworzyły i do środka wszedł komisarz Budryś z teczką pod pachą, Matejko poczuł lekkie rozczarowanie. Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że podczas rozmowy będzie również obecna pani sierżant, która sprawiała sympatyczne wrażenie, poza tym miło było na nią patrzeć. Matejko zdecydowanie wolał jej nieco orientalną urodę od surowej powierzchowności komisarza Budrysia. Tym bardziej że komisarz wyglądał na zmęczonego – oczy miał podkrążone, a zarost na policzkach wręcz prosił się o spotkanie z maszynką do golenia.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – powiedział Budryś, siadając naprzeciwko Matejki i kładąc przed sobą teczkę z czerwoną sygnaturą na wierzchu. – Trochę dzisiaj urwanie głowy. Wszystko naraz.

– Nie ma sprawy – odparł Matejko, siląc się na uśmiech. Założył nogę na nogę i starał się wyglądać na zrelaksowanego, choć tak naprawdę był spięty.

Budryś rozsiadł się wygodniej na krześle, podciągnął rękawy szarego swetra i przyjrzał się uważnie swojemu gościowi.

– Pan jakiś zestresowany – rzucił. – Proszę się rozluźnić, przecież nie zamierzam pana zamykać. Nawet pana teraz oficjalnie nie przesłuchuję.

– Co za ulga – mruknął Matejko. Słowa komisarza wcale mu jakoś nie pomogły. Poruszył się niespokojnie, bo policjant uważnie przyglądał się jego szyi.

– Jaki pan nosi rozmiar kołnierzyka? – zapytał Budryś.

– Kołnierzyka? Czterdzieści jeden. A dlaczego pan pyta?

Komisarz wzruszył ramionami; otworzył teczkę z aktami, sięgnął do kieszeni po ogryzek ołówka i coś naskrobał na marginesie jednej z kartek. Matejko pomyślał, że to pewnie taka socjotechnika, żeby najpierw zadać pytanie zupełnie od czapy, a potem przywalić czymś znacznie gorszym.

– Pańska była dziewczyna chce zmienić zeznania; będzie mówić, że nie widziała pana w noc śmierci dyrektora Zawistowskiego, a pan zmuszał ją do kłamstwa – powiedział Budryś, zerkając na Matejkę znad teczki i kręcąc ołówek między palcami.

– Proszę...? – Paweł był pewien, że się przesłyszał. Przeczesał odruchowo palcami włosy.

– Mówię, że studentka, która dawała panu alibi, teraz chce się wycofać z zeznań – powtórzył Budryś, ołówek w jego palcach obracał się coraz szybciej. – Co pan na to?

– To jakiś absurd. – Matejko potrząsnął głową. – Nie mam pojęcia, jaki Majka ma w tym interes, ale to absurd!

– Też tak sędzę – zgodził się Budryś. – I powiem panu, że nawet panu wierzę. W każdym razie podtrzymuje pan swoje wcześniejsze zeznania, jak rozumiem.

Ołówek w palcach komisarza nagle zatrzymał się, a po plecach Matejki przeleciał dreszcz. Czuł przez skórę, że policjant zaraz czymś mu dowali – i szczerze pożałował, że nie ma tu pani sierżant. Naprawdę. Już wolał, żeby to ona go dobijała, nie ten zmęczony facet.

– To może porozmawiajmy teraz o tym, ile lat ma dzisiaj

dziewczyna, której zrobił pan dziecko, co? – zaproponował Budryś z uśmiechem, jakby pytał, czy woli tyskie, czy żywiec.

Matejko poczuł, że zaczyna mu drżeć powieka.

Stojąc w deszczu, Mirska z nieufnością spoglądała spod kaptura kurtki na ładną kamienicę przy ulicy Białoskórniczej. Nie mogła pojąć, dlaczego niektórym hostelom – prawda, że określającym się często dodatkiem *deluxe* czy *luxury* – bliżej było standardem do porządnych hoteli, a często były i od nich lepsze. Małe, eleganckie pokoje i apartamenty, prywatne łazienki, ręczniki, śniadania, dostęp do internetu. A to wszystko w normalnych cenach. Przecież to naprawdę nie miało już wiele wspólnego z dormitoriami dla studentów! Dlaczego więc wciąż funkcjonowały jako hostele, a nie normalne hotele? W każdym razie nic dziwnego, że teraz to i profesorowie, i dyrektorzy mieszkali w hostelach. Jak takie luksusowe...

Była prawie jedenasta, Iga specjalnie odczekała jeszcze trochę od zmiany dyżurów, żeby móc porozmawiać z recepcjonistką na spokojnie. O jedenastej w piątek pod koniec listopada raczej nie powinno być w tym luksusowym hostelu tłumów, które by to uniemożliwiały.

Pociągnęła przeszkłone drzwi i weszła do środka. Znalazła się w osobliwym wnętrzu, częściowo pomalowanym na jagodowo, częściowo z odsłoniętą surową czerwoną cegłą. W holu stały czarne skórzane fotele i kanapa, za nimi znajdowało się pomieszczenie pełniące funkcje kuchni i jadalni. Po prawej stronie od wejścia, za kontuarem z czerwonych luksferów, mieściła się recepcja; urzędowała w niej dziewczyna z fioletowymi włosami, chyba tuż po maturze.

– Słucham, w czym mogę pomóc? – powiedziała grzecznie, kiedy Iga podeszła do kontuaru. Plakietka przypięta do bluzki recepcjonistki informowała, że dziewczyna ma na imię Weronika. Bingo.

– Owszem, może pani mi pomóc. – Mirska wyjęła z kieszeni kurtki sfatygowane zdjęcie Borówki i położyła je na jasnym blacie między

ulotkami o pieszych wycieczkach po historycznych trasach Wrocławia a kuponami zniżkowymi do restauracji serwujących włoskie zarcie.

– N-nie wiem, o co pani chodzi. – Dziewczyna rzuciła okiem na fotografię i zająknęła się lekko. Mirska z uśmiechem przesunęła portret Borówki w jej stronę.

– Ten mężczyzna przyjechał do was razem z drugim, starszym, trzy tygodnie temu – powiedziała spokojnie. – Wynajmowali dwa pokoje. Chcę wiedzieć, do kiedy tak naprawdę obaj tu zostali.

Recepcjonistka ponownie zerknęła na fotografię.

– Nie jestem upoważniona do udzielania takich informacji.

– Owszem, jest pani. – Mirska ponownie sięgnęła do kieszeni, tym razem po swoją blachę. – Sierżant Mirska, Komenda Stołeczna Policji.

– Przecież już u mnie byli pani koledzy! – Recepcjonistka wydawała się zaskoczona. – Odpowiedziałam im na wszystkie pytania!

– W trakcie śledztwa pojawiły się pewne wątpliwości. – Iga postukała palcem w fotografię Borówki. – Proszę popatrzeć. Ten mężczyzna to Tadeusz Borówka. Przyjechał razem z Tadeuszem Zawistowskim ósmego listopada, w czwartek. Zawistowski wymeldował się w sobotę, dziesiątego. A pani musi mi powiedzieć, kiedy naprawdę wyjechał ten ze zdjęcia. Pani miała dyżur w tamten weekend. Proszę sobie przypomnieć.

Recepcjonistka popatrzyła na Mirską. Zerknęła na zdjęcie Borówki, trzeci raz w ciągu kilku minut, aż w końcu kliknęła w komputerze i coś wpisała.

– Pan Borówka miał pokój do niedzieli, jedenastego – powiedziała, patrząc w monitor.

Mirska westchnęła. Pomyślała, że gdyby zaproponowała dziewczynie ładny wizerunek króla na banknocie, to pewnie chętniej by z nią pogadała. Tylko tak głupio jakoś... Poza tym nikt by jej nie oddał kasy.

– Proszę się temu przyjrzeć. – Ponownie wyjęła swoją blachę i otworzyła skórzane etui, pokazując legitymację. – Widzi pani tego

orzeka? To państwowe godło. A to oznacza, że kłamie pani w żywe oczy funkcjonariuszowi publicznemu. Na zatajanie prawdy i na wprowadzanie funkcjonariusza w błąd są paragrafy. To co, spróbujemy jeszcze raz? – Schowała odznakę do kieszeni kurtki. Wszystko zawsze nosiła po kieszeniach. – Mnie nie interesuje, do kiedy Borówka miał pokój. Mnie interesuje, kiedy on *naprawdę* wyjechał. Więc?

Recepcjonistka poczerwieniała lekko, co pięknie kontrastowało z pomalowaną na jasnozielono ścianą za jej plecami. Unikając starannie wzroku Mirskiej, dziewczyna zaczęła porządkować ulotki na kontuarze. – Obaj panowie wyjechali w sobotę – powiedziała cicho. – Tylko ten młodszy bardzo prosił, żeby go do niedzieli zostawić w systemie. Mówił, że do delegacji mu potrzebne, żeby się zgadzało. Pokój opłacony z góry, faktura wystawiona... Był bardzo miły.

– Tak miły, że zostawił pani na pamiątkę kilka banknotów?

– A potem panowie z policji o niego pytali. O pokój. Głupio mi było powiedzieć, że zgodziłam się na coś takiego, zwłaszcza za pieniądze... Bo to tylko ten jeden raz, naprawdę!

Mirska nie była co do tego przekonana. Miała przeczucie, że dziewczyna nie raz i nie dwa zgodziła się przymknąć na coś oko za odpowiednią opłatą.

– A co się tak właściwie stało? – zainteresowała się recepcjonistka. – On ma kłopoty? Może jemu się co stało? Szkoda by było, bardzo fajny facet.

Mirska pomyślała, że to nawet zabawne, jak się na to popatrzy z boku. Rano tych dwóch gości jest we Wrocławiu, razem wyjeżdżają i jeden sprawia wrażenie „fajnego faceta”, a wieczorem tenże fajny facet najwyraźniej morduje tego drugiego – jednak! Jednak Borówka! Tylko w takim razie skąd skołował bilet na pociąg? Ależ to rozegrał, skubaniec jeden! Już sama nie wiedziała, czy jest zaskoczona, czy nie, choć przecież coś ją do tego Wrocławia przygnało.

Swoją drogą ciekawe, o co im poszło.

– Mam nadzieję, że on nie ma kłopotów z tego powodu, że

wcześniej wrócił – niepokoiła się recepcjonistka. – Sama mu poradziłam, żeby poszedł na dworzec następnego dnia, jak przyjedzie pociąg do nas, bo oni pociągiem mieli jechać, i poprosił kogoś z tego pociągu o odstąpienie biletu, jak się czasem robi w autobusach. Boże, taki sympatyczny, no.

– Odstąpienie biletu? – Mirska zastrzygła uszami. Pomyślała, że Budryś powinien skichać się ze szczęścia, jak mu to wszystko wyłoży.

– O Boże, właśnie wkopałam faceta jeszcze bardziej, tak? – zmartwiła się szczerze recepcjonistka. – Proszę pani, on naprawdę wygląda na porządnego, tak mu dobrze z oczu patrzyło. To na pewno pomyłka, cokolwiek to jest. Dlaczego tak za porządnym człowiekiem chodzicie?

– Tak, prześladujemy niewinnych – zgodziła się nieuważnie Mirska, zwinęła z blatu kontuaru zdjęcie Borówki i wepchnęła je do kieszeni. Rzuciła „do widzenia” i wyszła z jagodowego hostelu w wersji *deluxe* prosto na wrocławski deszcz. Ruszyła w kierunku Ruskiej, na której zaparkowała samochód. Po drodze wydobyła z kieszeni telefon i wybrała numer Budrysia.

– Cześć, tu Iga – powiedziała, kiedy po kilku sygnałach raczył odebrać telefon. – Słuchaj, możecie go łapać, nasz owocek leśny łąał jak z nut. Wracam najszybciej jak się da.

Pieprzone metro, drugiej linii się zachciało, kurwa mać – warknął Wegner, bębniąc palcami o kierownicę. Było zimno, deszczowo i stał w korku – trzy rzeczy, których nie znosił całym sercem. Druga linia metra stanowiła dla niego źródło nieustannej męki, bo centrum było wręcz niemiłosiernie rozkopane. Połowa ulic zamknięta, druga połowa zakorkowana. W dodatku nie dalej jak dwa miesiące temu jebane metro zaczęło przeciekać. No, może nie tyle samo metro, ile tunel pod rzeką – kto w ogóle drąży pod rzeką, zamiast przerzucić tory górą, jak w większości cywilizowanych miast! – ale w związku z tym zamknięto praktycznie pół stolicy. Jak on miał prowadzić śledztwa w takich warunkach, no jak? Nic dziwnego, że wszędzie się spóźniał, w tym cholernym mieście nie szło dojechać na umówioną

godzinę nigdzie. Tym bardziej że dostali cynk od Muminka z Wrocławia. Alibi jednej z osób na czas morderstwa Zawistowskiego się rypnęło, gościa należało zwinąć w trybie natychmiastowym, tymczasem nie było go ani w miejscu pracy, ani w domu. Marcin osobiście szukał go na uniwersytecie, ale nikt nie był w stanie powiedzieć, czy Borówka się pojawi, bo w piątki zajęć nie miał. Wegner kazał więc dzwonić, gdyby podejrzany się jednak pojawił. Budryś dostał wścieku, że ktoś go prawie wyprowadził w pole, latał jak w ukropie i działał na wszystkie możliwe fronty, informacje o poszukiwanym przekazał do pionu prewencji, a Marcina wysłał do lekarza sądowego na sekcję Masztalerz – mniej na samą sekcję, bardziej po odbiór dokumentów od prokuratora. Wegner zatem plątał się w korkach, co miał robić.

Na Oczki, gdy już udało mu się dojechać, nie było gdzie zaparkować, więc kręcił się jak pies za własnym ogonem, aż w końcu znalazł miejsce przecznicę dalej, na Koszykowej. Co, do diabła, wszyscy w tym mieście jeżdżą do roboty własnymi samochodami? A potem narzekają na korki, no świetnie! Ruszył truchtem z Koszykowej na Oczki, do Zakładu Medycyny Sądowej. Doskonale wiedział, że doktor Lubczyk już dawno zaczął sekcję Joanny Masztalerz – całe szczęście, że to obecność prokuratora była niezbędna do rozpoczęcia, a nie policjanta. A Tarnowski miał zdecydowanie łatwiejszy dojazd.

Kiedy wszedł do laboratorium Lubczyka, sekcja trwała w najlepsze. Już od progu Wegnera uderzył w nos charakterystyczny odór ludzkiego ciała. Co też ten Budryś tak się zawsze upiera, żeby brać udział w sekcjach? Tak lubi ten smród czy co?

– O, pan podkomisarz, witamy, witamy – powiedział Lubczyk, podnosząc głowę znad rozkrojonego ciała na metalowym stole pod mocną lampą. Wegner wzdrygnął się, bo obrośnięta twarz medyka nad poplamionym rzeźnickim fartuchem i otwartymi zwłokami wyglądała jak z jakiegoś horroru. Nic, tylko kręcić i sprzedawać za ciężką kasę reżyserom *Teksańskich masakr piłą mechaniczną*, *REC-ów* i im podobnych.

– Komisarz Budryś przesyła pozdrowienia. – Wegner skrzywił się

na dźwięk swoich własnych słów. Zupełnie jakby rzucał jakieś supertajne hasło.

– A Zuzanna lubi go tylko jesienią. – Lubczyk uniósł jedną brew. – Wy tam u siebie to już chyba kompletnie nie macie nic do roboty. – Machnął dłonią uzbrojoną w brudny skalpel. Kilka kropli gęstej, ciemnej cieczy oderwało się od ostrza i poleciało w stronę technika sekcyjnego, który jednak zdążył się uchylić i krople głośno plasnęły o kafelki na podłodze. Wegner znowu się wzdrygnął.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – powiedział, podchodząc do Tarnowskiego, który siedział rozparty na krześle przy metalowej szafce z narzędziami i czytał gazetę.

– Dzień dobry, panie Marcinie – odparł ten, nie podnosząc głowy znad gazety. – Wie pan, że amerykański ambasador Mull odwiedza Podkarpacie? Podobno siedział za sterami blackhawka. – Tarnowski westchnął i przełożył stronę w gazetę.

Wegner wyciągnął spod biurka taboret i usiadł obok prokuratora.

– Fascynujące – mruknął.

– Prawda? – Tarnowski ożywił się lekko. – Sam bym sobie posiedział za takimi sterami.

– Nic prostszego, niech pan pojedzie do Mielca, panie prokuratorze – odezwał się Lubczyk znad stołu sekcyjnego. – A pan, panie Marcinie, to często będzie do nas wpadał?

– Komisarz Budryś pewnie sam chętnie by przeprowadzał te sekcje, jeśli to by oznaczało, że szybciej dostawałby raporty – zauważył prokurator jak gdyby nigdy nic.

– Cha, cha. – Lubczyk udał, że się śmieje, a jego pomocnik Patryk posłał śledczym ponure spojrzenie znad ramienia swojego szefa. – Proszę bardzo, niech sobie przeprowadza, chciałbym to zobaczyć!

– A ja nie – mruknął Wegner. – I proszę Jackowi nie podsuwać takich pomysłów, bo jeszcze się do nich zapali!

Patryk nagle zachichotał, nie wiadomo dlaczego. Wegner po raz kolejny się wzdrygnął. Czasem miał wrażenie, że lekarz – choć bardzo go cenił jako zawodowca – powinien jednak rezydować raczej na Sobieskiego w Instytucie Psychiatrii i Neurologii. Jako pacjent. O Patryku już nawet nie było co mówić, facet mógłby

grywać troglodytów bez charakteryzacji. Co nawet pasowało do kontekstu sprawy, którą właśnie prowadzili.

– A tak na poważnie. – Tarnowski złożył gazetę i odłożył ją na blat szafki, po czym poprawił kant spodni. – Doceniam zaangażowanie komisarza Budrysia. Nigdy nie zaszkodzi podejrzeć fachowców przy pracy.

– Taaa... – Wegner spojrział z lekkim powątpiewaniem na medyka sądowego i jego pomocnika, którzy, zafascynowani, oglądali wydobytą z jamy brzusznej wątrobę. Fachowcy.

– Dobrze, że pan jest, to przy okazji zabierze pan ze sobą raport z sekcji Zawistowskiego oraz próbki do badań w laboratorium. – Tarnowski pokiwał nogą założoną na nogę.

– Jakie próbki? – zaciekał się Wegner.

– Niech pan sobie wyobrazi, że o dziwo znaleźliśmy jeszcze materiał biologiczny pod paznokciami – odparł Lubczyk i oddał wątrobę w ręce Patryka. – Masz, zważ to, pobierz mi próbki do histopatologii. Zobaczmy przy okazji, czym się pani truła... A pana zapraszam do mnie, śmiało! – zwrócił się do Wegnera. Podkomisarz z ociąganiem wstał. – No, bliżej, bliżej, bo nic pan nie zobaczy! – popędził go Lubczyk.

– Na to liczyłem – mruknął do siebie Wegner i przełamując się, podszedł do stołu sekcyjnego. Nie raz i nie dwa widział rozkrojone ciało, Budryś z uporem maniaka wysyłał ich do zetemesu i sugerował obserwację sekcji. Nie było to wcale głupie. Wegner musiał przyznać, że takie przygotowanie bywało przydatne, bo czasem na miejscu zdarzenia trafiały się naprawdę paskudne ciała, nie oznaczało to jednak, że Marcin lubił widok rozbebeszonych zwłok. Bynajmniej.

Inna rzecz, że na stole u Lubczyka zmarli na ogół wyglądali inaczej. Jak preparaty, nie jak ciała, które wcześniej widział w terenie.

Masztalerz leżała z rozciętym brzuchem. Skóra na jej ciele była jasna, prawie biała, a narządy wewnątrz mocno kontrastowały kolorem. W nos podkomisarza uderzył mdły odór, którego na taborecie obok prokuratora już prawie nie czuł.

– Uduszono ją – powiedział Lubczyk, kiedy Wegner podszedł do stołu. – To znaczy mamy tu zadzierzgnięcie, z łaciny bardzo pięknie, *strangulatio*. Uduszenie gwałtowne w wyniku ręcznego zaciśnięcia pętli na szyi. O tu, widzi pan? – Pokazał palcem. – Bruzda, dość szeroka. I wyboczyny mamy jak złoto.

– Aha.

– Proszę jej spojrzeć w oczy, panie podkomisarzu.

– Wolałbym nie.

– Ależ proszę spojrzeć – zachęcił go Lubczyk i uniósł jedną powiekę. – Też wyboczyny i wylewy. Naczynka popękały.

– Tak, w trakcie duszenia, dziękuję bardzo, wiem – zapewnił go Wegner. – Objaw uduszenia przez zadzierzgnięcie. Tak samo jak wytrzeszcz gałek czasami. I w ogóle przekrwienie twarzy powyżej bruzdy. Naprawdę wiem.

– No, ale nie wie pan, że nasza dama walczyła jak lwica – wytknął z satysfakcją Lubczyk i podniósł jedną z rąk Masztalerz. Stężenie pośmiertne już dawno ustąpiło. – Pod paznokciami miała ślady biologiczne. Oraz fragmenty włóczki chyba. Niewiele tego, ale jest. Patryk już to ładnie zapakował.

– Włóczki? – zdziwił się Wegner. – Jakiej włóczki?

– Żółtej – odezwał się Patryk ponurym tonem.

– Szukacie faceta albo silnej babki. Kogoś znajomego, bo pani wpuściła swojego zabójcę do domu – skonkludował Lubczyk. – A tu bam, ten ktoś wyciąga swój szalik, żółty, dodajmy, i zaczyna ją dusić tymże szalikiem, zaciskając pętlę. Pani walczy, walczy, drapie swojego napastnika, ale napastnik, jak łatwo się domyślić, wygrywa. A, śladów napaści seksualnej nie ma. Swoją drogą – Lubczyk zwrócił się do Patryka – czy nie ma takiego filmu? O żółtym szaliku?

– Jest – odparł ponuro Patryk. – Z Gajosem. O alkoholiku.

Wegner pomyślał, że to by w sumie nawet pasowało – Budryś zająłby się krojeniem trupów, a Lubczyk wykrywaniem sprawców. Świetny plan. Obejrzał się na prokuratora, który jednym palcem przesunął w jego kierunku po blacie szafki zapakowane starannie torebeczki z materiałem dowodowym.

– Proszę, jakie to przydatne, że pojawiaacie się na sekcjach – skomentował z uśmiechem. – Chcecie szybciej, to proszę bardzo. Nawet wam kwity wypisałem do laboratorium, na pewno się ucieszą. I nakaz zatrzymania, w bonusie macie też nakaz przeszukania mieszkania, bo dobre chłopaki jesteście. A, jak znajdziecie tego faceta, to zatrzymajcie go na razie na czterdzieści osiem, nakaz tymczasowego aresztowania wam załatwię.

Zajebiecie, pomyślał Wegner, zgarniając torebeczki i wpychając prokuratorskie kwity i raport z sekcji do kieszeni. Po prostu zajebiecie.

Już się rwał do pchania się przez te cholerne korki, tylko w odwrotną stronę! Postanowił, że podpyta innych z ich wydziału, co robią, żeby unikać wizyt w prosektorium. Choć pewnie wszyscy udzielą mu jednej złotej rady: żeby zmienił zespół...

– Jakby coś jeszcze było, to po pana zadzwonimy! – zawołał za nim Lubczyk, kiedy Marcin wychodził z prosektorium. Wegner wykrzywił się w pseudouśmiechu. W gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko uczestnictwu w sekcjach – może nie była to najprzyjemniejsza czynność świata, zawsze też później miał wrażenie, że przesiąkł smrodem prosektorium do szpiku kości, ale od sekcji gorsze były na przykład okazania rodzinie. Zwłaszcza dzieci. Przy tym sekcje to pestka, o ile nie były to sekcje dzieci. Od tego Marcin zawsze się wykręcał.

Teraz najbardziej dobijające były przejazdy. Wegner nie był urzędnikiem, nie siedział przez cały czas trwania śledztwa na dupie, istotą jego pracy była mobilność. A wskutek utrudnień komunikacyjnych – przez nikogo przecież niezawinionych, one po prostu były i będą – tracił lwią część czasu na kompletne głupoty. Obiecywał sobie, że przesiądzie się na motor, ale jakoś się jeszcze nie zebrał. Może po prostu włożył zbyt dużo pracy we własnoręczne odremontowanie rozsypującej się, ale mimo wszystko pięknej renówki. Nie po to prawie rok wyklepywał, szpachlował, ustawiał elektronikę, sprowadzał części i lakierował, żeby jego cudne czarne renault stało w osiedlowym garażu. Z drugiej strony marnowanie go na korki w mieście też było zbrodnią...

Tym razem łatwiej dało się przebić do komendy, choć wciąż padało i zaczynało już zmierzchać. Wartownik skinął mu głową ze swojej budki i podniósł szlaban. Swego czasu Marcin bite trzy miesiące chodził za samym komendantem stołecznym, żeby dostać zezwolenie na wjazd prywatnym samochodem, ale w końcu wyprosił.

Zaparkował w ulubionym miejscu, wysiadł i zamknąwszy starannie samochód, ruszył najpierw do kancelarii, żeby zdać materiały do badań, zgodnie z poleceniem prokuratorskim. Skoro to jednak było takie pilne, postanowił zajrzeć do Sekcji Biologii.

Energicznym krokiem przeszedł pod złotym napisem „Laboratorium kryminalistyczne”. Budryś zawsze się zżymał na ten napis, ale Wegnerowi to wisiało, litery mogły być nawet w 3D i wielkości dorosłego człowieka. Skierował się do Pracowni Badań DNA. Zapukał ostrożnie do drzwi, nie czekał jednak na odpowiedź.

– Siema – rzucił głośno, wchodząc do środka. Baśka, niepodzielna królowa DNA, siedziała przy wielkim stole i mikropipetą wkraplała roztwór próbki z barwnikiem do zagłębień na płycie zalanej roztworem elektrolitu, przygotowując elektroforezę DNA.

– Cześć – mruknęła, nie podnosząc na niego wzroku, całkowicie skupiona na swoim zadaniu. Stanął więc przy drzwiach i oparł się o framugę. Wiedział, że nie wolno jej przeszkadzać, raz, dawno temu, władował się w trakcie podobnej czynności. Objechała go wtedy jak stąd na Księżyc i odtąd nie tylko podciągnął się w chemii i biologii, ale i nauczył, że należy poczekać, aż Baśka skończy bieżące czynności, zanim zajmie się gośćmi w swojej pracowni. Bo też i ludzie Budrysia wpadali do niej nadzwyczaj często.

Baśka skończyła zakraplanie preparatu, podłączyła go do prądu i wyprostowała się, ściągając jednorazowe rękawiczki.

– No – powiedziała zadowolona, zerkając na Marcina. – Kogo ja widzę, Marcinek. Najpierw Jacek, teraz ty... Wy to mnie tam chyba strasznie lubicie w tym waszym terrorze kryminalnym, co?

– I w zabójstwach – przypomniał jej Wegner poważnie. – Pewnie, że lubimy. A najbardziej to Jacek, ten to najchętniej latałby do ciebie z każdą pierdołą.

– Wiem – odparła z uśmiechem. – Ale na serio, nie wiecie, że istnieje coś takiego jak telefony? I jak coś ode mnie chcecie, to możecie zadzwonić?

– Wiemy, ale to jakoś tak ładniej wpaść i samemu coś powiedzieć.
– Wegner wzruszył ramionami. – Poza tym byłem w kancelarii, zostawiłem dla ciebie wyskrobiny spod paznokci tej archeolożki, co to ją teraz z Arturem robimy. To będzie pilne, wiesz.

– U was wszystko jest pilne. Tylko mnie tak zawsze urządza?

Wegner wzruszył ramionami. Gdyby mieli czekać na normalne wyniki badań, toby się chyba wściekli. Na szczęście dla nich zabójstwa były traktowane jako pilniejsze i mogli liczyć na szybkie badania, czasem nawet zakrawające na ekspresowe.

– Wcale nie, zostawiłem także do analizy żółtą włóczkę, pewnie z szalika czy coś, spod paznokci ofiary – pouczył laborantkę.

– Aha. – Baśka skinęła głową. – Żeby co, powiedzieli wam, że to fragmenty szalika, tak?

Wegner przewrócił oczami. W laboratorium panowały takie same podziały jak w innych instytucjach – jedni uważali siebie za lepszych od drugich, drudzy wręcz odwrotnie... Baśka też sądziła, że pracownia badań DNA jest podstawą istnienia ich laboratorium kryminalistycznego.

– Słuchaj, ja nie wnिकam – zapewnił ją solennie. – To co, na kiedy możesz nam zrobić te badania?

– Jak wezmę z magazynu, to będę wiedziała. Powiedz Jackowi, żeby do mnie zadzwonił – poleciała Baśka i wyszła do drugiego pomieszczenia. Wegner postać jeszcze chwilę, ale najwidoczniej był to już koniec rozmowy.

– Jasne! – zawołał głośno. – To jakaś wasza grypsa. Okej. Łapię.

– Niech Jacek do mnie zadzwoni! – odkrzyknęła Baśka, nie trudząc się wychodzeniem ponownie do Marcina. Wegner przestąpił zatem z nogi na nogę, mruknął do siebie coś o nadużywaniu władzy i wyszedł, kierując się w końcu do komendy.

– Ja pierdołę, Szefu, ty weź coś zrób z tą całą Baśką, prześpij się z nią, ożeń, wszystko jedno, ale weź coś zrób! – zażądał Wegner,

wchodząc do pokoju. Mógł sobie pozwalać, Muminka miało jeszcze nie być. Przy Mirskiej miał uważać na to, co i jak mówi, jak go poinstruował Budryś wtedy, kiedy była nowa. Teraz jednak niedługo minie miesiąc, Muminek przestawał być nowy, zaczynał być swój, a Marcin miał już dość poprawnego wyrażania się i nawet marzył o chwili, kiedy coś naprawdę ostrego wymuski się komuś w obecności Igi – najlepiej samemu Budrysiowi.

– Olej pałac. – Budryś, owszem, był, ale właśnie rozmawiał przez komórkę, stojąc przed swoim biurkiem i patrząc przez okno, w które zacinął deszcz. – Włączaj dyskotekę, dokituj trochę i jedź od razu do niego. Powinien być już w domu. Masz adres, no nie? Tylko broń Boże pod żadnym pozorem nie angażuj się, rozumiesz? Masz czekać na nas... Bierzemy czarnych i zaraz będziemy. Sprawdź, czy jest w domu, i czekaj. Jak się gdzieś ruszy, to przyczep się do niego, ale tak, żeby cię nie zauważył. Jakby co, to dzwoń. Na razie. – Budryś rozłączył się i rzucił telefon na biurko. Przejechał dłonią po twarzy i odwrócił się do Wegnera. – Masz dupochron od Tarnowskiego?

– No ba, przecież właśnie od niego jadę, tu gdzieś mam i dupochron, i raport z sekcji poprzedniego trupa, a, no i od razu podrzuciłem do laboratorium próbki do badań – wyjaśnił Marcin, zdejmując kurtkę i podchodząc do swojego biurka. Usiadł ciężko w fotelu i przeciągnął się, po czym rzucił na blat pogniecione kartki. Marylka z niezadowoleniem sięgnęła po dokumenty i starannie złożyła nakazy zatrzymania Borówki i przeszukania jego mieszkania, po czym upchnęła je w kieszeni dżinsów.

– Jakie próbki? – zainteresował się Budryś, sprawdzając magazynek broni.

– Biologiczne spod paznokci Joanny Masztalerz, zapewne materiał napastnika – odparł Wegner. – O co zakład, że materiał pokryje się z tym spod paznokci twojego dyrektorskiego trupka? Swoją drogą, dlaczego jeszcze nie porównaliście DNA z podejrzanymi?

– Po pierwsze: dyrektorski trupek nie miał śladów pod paznokciami, słabo się bronił. Po drugie: nawet gdyby miał, to z kim porównywać, z całym instytutem? Dotąd prawie wszyscy byli

podejrzani – powiedział niechętnie Budryś, wkładając pistolet do kabury. – I wszystkich należałoby sprawdzić. Nie mieliśmy czasu, ale może nie będzie trzeba. Oby. Dobra, zbieraj tyłek, idziemy.

– Gdzie nam się ten leśny owoc objawił? – zapytał Wegner, wstając z fotela.

– Portier z archeologii dzwonił, że Borówka wpadł i wypadł. – Madyjak sięgnął po klucze do pokoju. – Pan starszy z głową na karku jakby nigdy nic zapytał, gdzie zmierza.

– No i gdzie zmierza?

– Do domu. Muminek powinna tam dojechać pierwsza.

Wyszli z pokoju, który Marylka zamknął i starannie opieczętował.

– Najważniejsze to go teraz zatrzymać. – Budryś zapiął kurtkę pod szyję. Ruszyli w stronę schodów. – Facet prawdopodobnie zabił dwie osoby, nie będę ryzykował, że zabije trzecią, bo coś mu odwali. Tarnowski załatwi areszt tymczasowy, wystąpi o dane z BTS-ów i uszczęśliwimy analityka, wtedy będziemy się martwić o motyw, a jak w końcu znajdziemy pieprzone narzędzie zbrodni, to już w ogóle będziemy w domu. Artur, skocz i zgarnij jakiegoś technika, który ma dzisiaj dyżur, tak na wszelki wypadek, nie wiadomo, kiedy się przyda. Marcin, ściągaj czarnych. Uprzedzałem ich, że będą potrzebni, więc jak będą truć, że nie mogą, to ustaw ich do pionu. Tylko z biglem, panowie, z biglem! – Pomyślał, że gdyby się ze wszystkim ładnie uwinęli, to nawet zdążyłby odebrać Jankę od swojej byłej. W końcu był piątek. Jego piątek.

Mirskiej wyszło, że przy cięższej nodze powinna być w Warszawie koło czwartej. Zamierzała pojechać aż do Sycowa nieszczęsną ósemką, w towarzystwie chyba połowy ciężarówek w tym kraju, tam uciec na Ostrzeszów, Grabów nad Prosną, Wartę i Poddębice, a potem na autostradę A2 i już prosto na Warszawę, omijając szczęśliwie Łódź i korki przy wjeździe do stolicy. Cztery złote za przejazd z Poddębic do Strykowa stanowiły kwotę, którą była w stanie poświęcić, żeby szybciej dojechać do Warszawy. Tyle że wciąż padało, pod Błazkami nastąpiło urwanie chmury, a pod Poddębicami był wypadek i ruch odbywał się wahadłowo. Klnąc pod

nosem, docisnęła na autostradzie, ale i tak do Warszawy dojechała mocno po piątej. Była strasznie głodna, bo po śniadaniu pozostało tylko blade wspomnienie, a żal jej było czasu, żeby zatrzymać się w zajazdach czy McDonald'ach. Raz musiała zjechać na stację benzynową, żeby zatankować, kupiła więc i niemal od razu zjadła tabliczkę czekolady, którą popiła wyjątkowo niedobrą herbatą. Kawy nie brała, bo od razu chciałoby się jej siusiać. A kolejne wieści od Budrysia były coraz bardziej ponure – że kołnierzyk koszuli i jaki rozmiar może nosić Borówka, że student świr doszedł do jakiejś konkluzji drogą negacji, że Matejko wezwany przez Budrysia na pierwszy rzut oka miał kołnierzyk mniejszy niż czterdzieści trzy i że przyznał się do nielegalnego dziecka, zrobionego kilka lat temu wówczas czternastoletniej córce lokalnego lekarza podczas wykopalisk w Turcji. Zawistowski o wybryku rzecz jasna wiedział, pomagał zatuszować sprawę, miał wszystko w korespondencji elektronicznej i Matejko był gotów na wiele, żeby to ukryć; włamania do domu Zawistowskich twardo się wypierał. No i przede wszystkim to, że dotąd Borówki jeszcze nie zatrzymali, bo nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie się podziewa. Nie zdążyli dotąd prześwietlić jego rodziny i znajomych spoza instytutu, więc musieli poruszać się trochę na ślepo. A to nigdy nie był dobry pomysł.

Stała już w warszawskim korku, kiedy ponownie rozdzwonił się telefon. Włączyła tryb głośnomówiący.

– Gdzie jesteś? – zapytał bez wstępów Budryś. Zerknęła przez zapadaną szybę boczną na neonowe litery układające się w „RSZAWA GDAŃS”. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek widziała ten napis w całości.

– Przy dworcu Gdańskim – odparła. – Zjechałam z trasy i przebijam się do pałacu. Teraz stoję na Mickiewicza. W korku, o tej porze, wyobrażasz sobie? I jest super.

– Olej pałac, włączaj dyskotekę, dokituj trochę i jedź od razu do niego – polecił komisarz. – Powinien być już w domu. Masz adres, no nie?

– Mam, mam – przytaknęła, sięgając do schowka po koguta.

– Tylko broń Boże pod żadnym pozorem nie angażuj się,

rozumiesz? – powiedział surowo. – Masz czekać na nas.

– Rozkaz!

– Bierzemy czarnych i zaraz będziemy. Sprawdź, czy jest w domu, i czekaj. Jak się gdzieś ruszy, to przyczep się do niego, ale tak, żeby cię nie zauważył. Jakby co, to dzwoń. Na razie.

– Na razie – mruknęła Iga i rzuciła telefon na siedzenie pasażera. Otworzyła okno po stronie kierowcy i wystawiła na dach koguta. Pstryknęła syrenę i zaczęła powolny proces przebijania się przez zakorkowane okolice mostu Gdańskiego. Kierowcy niechętnie zjeżdżali na boki i przepuszczali ją, na szczęście nie trafiła na żadnego złośliwca, który udaje, że nie ma gdzie zjechać, i specjalnie blokuje przejazd.

Na Świętego Wincentego było już znacznie lepiej i śmignęła prosto, przeskakując na światłach. Odbiła dopiero przy Głębockiej, wyłączyła dyskOTEkę – nie potrzebowała zajeżdżać z fanfarami. Skręciła w osiedlowe uliczki biegnące wzdłuż długich bloków z czasów głębokiego PRL-u, teraz odmalowanych na upiornie radosne barwy. Między nimi umieszczono nowoczesne place zabaw dla dzieci, trawniki i ławki pod drzewami zasadzonymi pewnie wtedy, kiedy oddawano mieszkańcom pierwsze lokale.

Mirska podjechała pod jeden z mrówkowców. Pamiętała, że właśnie tu, w ostatniej klatce – choć formalnie to była pierwsza klatka – mieszka Tadeusz Borówka. Zaparkowała przy końcu bloku, na rozjeździe alejek, i wyłączyła silnik. Chłopaki z komendy jeszcze nie dojechali. Popatrzyła do góry przez szybę, ale nic jej to nie dało. Nie wiedziała, które okna należały do mieszkania Borówki ani czy wychodziły na tę stronę gmaszyska akurat. Pomedytowała chwilę, po czym wysiadła z samochodu, naciągając na głowę kaptur, bo wciąż padało, choć już mniej intensywnie. Podeszła do klatki, przed wejściem do której zamontowano domofon, wszechobecny we wszystkich blokowiskach.

Drzwi bloku otworzyły się i ze środka wyszedł chłopak na oko dziesięcioletni w czerwonej czapce skarpecie, żujący gumę z otwartymi ustami. Minął Mirską, obrzucając ją uważnym spojrzeniem.

– Ej, ty, mały! – zawołała za nim. – Hej, stój, no do ciebie mówię! Młody zatrzymał się i zerknął przez ramię.

– W sensie że niby ja? – upewnił się, rozglądając się na wszelki wypadek dookoła.

Iga przywołała na twarz uśmiech numer dziewięć, ten do podlizywania się.

– No pewnie, a kogo innego mogłabym wołać. Słuchaj, jest interes do zrobienia – powiedziała rzeczowo.

Skarpeciana czapka na chwilę przestał żuć gumę.

– Ile? – zapytał tonem biznesmena.

– Dycha – odparła. – Zadzwońisz do jednego mieszkania.

– Bujaj się. – Czapka powrócił do glamania gumy, choć wciąż tkwił w miejscu i najwyraźniej chciał ubić interes.

– Dobra, niech będzie moja strata, dwie dychy – zdecydowała.

Czapka namyślał się przez chwilę.

– Pięć i git majonez – zaproponował, podchodząc do Mirskiej. Pomyślała, że to zdzierstwo, ale nie chciało jej się z gówniarzem dyskutować. Jak go postraszy policją, to pewnie ją opluje i zwieje, a naprawdę musiała się upewnić, że figurant jest na miejscu. Trudno, niech będzie jej strata, jakoś to przeżyje. – Co mam zrobić?

– Zadzwoń pod siedemdziesiąt pięć – poleciła. – I zapytaj, czy jest Maciek.

– Pod siedemdziesiątkąpiątką nie mieszka żaden Maciek – powiedział czapka, patrząc na nią podejrzliwie.

– No i co za różnica, mieszka czy nie mieszka. – Mirska wzruszyła ramionami. – Możesz pytać o Patryka, jak wolisz, mnie bez różnicy.

Czapka wysunął w jej kierunku brudną rękę.

– Usługa płatna z góry – oznajmił.

– Usługa płatna z dołu – powiedziała stanowczo. – Dzwon, gówniarzu.

Czapka rozważył wszystko w duszy i uznał, że interes wart jest zrobienia, podszedł więc do domofonu i wcisnął dwie cyfry. Mirska przysunęła się do głośniczka i odsunęła kaptur, żeby lepiej słyszeć.

– Słucham – odezwał się męski głos.

Iga wstrzymała oddech.

– Dzień dobry panu – powiedział czapka.

– Dzień dobry – odparł odruchowo głos zniekształcony przez domofon. Chyba Borówka, ale musiała się upewnić, że to na pewno on. Mirska pokazała gestem, żeby czapka mówił dalej.

– Maciek może wyjść? – zapytał czapka. Mirska pokazała mu kciuk do góry.

– Tu nie mieszka żaden Maciek – powiedział facet. Iga była już pewna, że to Borówka.

– Oj, no dobra, to jak nie może, to niech chociaż podejdzie do domofonu, co? – zaproponował czapka.

– Zjeżdżaj, szczyłu, tu nie ma żadnego Maćka! – Borówka odłożył słuchawkę domofonu, a czapka ponownie wyciągnął rękę do Mirskiej.

– Kasa się należy – powiedział i strzelił z gumy balona.

Iga z westchnieniem sięgnęła do kieszeni džinsów, gdzie zawsze nosiła pieniądze, wydobyła banknot pięćdziesięciozłotowy i podała dzieciakowi.

– To były najdroższe dwa zdania w historii *ever* – mruknęła.

Czapka uśmiechnął się chytrze.

– Było samej zadzwonić, a jak się ma pietra, to trzeba płacić – stwierdził rezolutnie, chowając starannie pieniądze do kieszeni kurtki.

Mirska wróciła do samochodu. Zerknęła jeszcze w górę – na ostatnim, dwunastym piętrze powinno być mieszkanie Borówki. Wysłała do Budrysia wiadomość, że figurant jest na miejscu, w odpowiedzi dostała kategoryczne CZEKAĆ! NIE RUSZAĆ SIĘ!, odsunęła więc nieco fotel i chuchnęła w dłonie; było zimno.

Na zewnątrz zrobiło się już zupełnie ciemno, w deszczu świeciły żółtawym światłem latarnie. Ludzie wracali z pracy i szkoły, na ogół jednak tylko przemykali czym prędzej do klatek, pospiesznie wbijając kody i grzebiąc po torebkach lub kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. To zdecydowanie nie była pora na spacer.

Mirska wpatrywała się w drzwi klatki schodowej Borówki i zerknęła co chwila na zegarek. Budryś powinien już tu być.

Odprężyła się. Przez cały dzień miała napięte nerwy, więc jej

organizm zaczął wykorzystywać chwilę bezruchu i przechodzić na tryb *stand by*. Powieki zaczęły jej opadać i możliwe, że nawet na chwilę zamknęła oczy.

Poderwała głowę, kiedy drzwi od strony pasażera otworzyły się i do samochodu nagle wskoczył warczący potwór – a ją natychmiast ogarnęła panika. Przez ciało przeszedł dreszcz, serce zaczęło walić jak oszalałe, oddech przyspieszył. Wydawało się jej, że wszędzie widzi tylko obnażone kły, które ją atakowały. Gwałtownie i na oślep rzuciła się na drzwi od strony kierowcy w poszukiwaniu klamki. Znalazła ją i pociągnęła, zanim jednak zdążyła wystawić nogę poza samochód, kątem oka zarejestrowała jakiś ruch za sobą.

– Cześć – usłyszała znajomy głos – i dobranoc.

Błysnęło jej w głowie, że przecież ma broń, chciała sięgnąć po nią za kurtkę, ale nie zdążyła – coś spadło na jej skroń, zabolęło, a potem ogarnęła ją ciemność.

Iga odpłynęła.

Rozdział 10

Pierwsze, co zarejestrowała wracająca do przytomności Mirska, to potworne pulsowanie w głowie. Jakby ktoś systematycznie walił młotkiem. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to pulsowanie to jej własna krew, pompowana przez serce. Dotarło do niej, że jeśli przepływ krwi wzięła za uderzenia młotka, to nie jest najlepiej.

Nie, zdecydowanie nie było dobrze.

Przypomniała sobie: deszcz, blok, pies. Borówka, ból, ciemność.

W zasadzie było bardzo źle.

Nie otwierała jeszcze oczu, próbując zorientować się, co się z nią dzieje i gdzie jest.

Po pierwsze, siedziała na krześle. Ramiona miała wykręcone, na dłoniach czuła dotyk zimnego metalu. Mogła się założyć o piwo, że to jej własne kajdanki. Świetnie. Zastanawiała się, czy swojej służbowej broni też ma się obawiać. Nie czuła, czy kabura na biodrze jest obciążona pistoletem, czy nie. A to oznaczało, że musi się liczyć i z tym, że broni jednak nie ma.

Po drugie, czuła zimno. Ale nie było mokro, co oznaczało, że jest w jakimś pomieszczeniu. Słyszała głucho uderzenia kropel deszczu w blachę gdzieś wyżej – czy była w jakiejś budce? Nie słyszała jednak żadnych głosów, telefonów, za to z oddali napływał szum samochodów.

Po trzecie, pachniało stęchlizną, mokrą ziemią i zbutwiałymi liśćmi.

Siedziała jeszcze przez chwilę nieruchomo z zamkniętymi oczami. Wcale nie miała ochoty ich otwierać, bo co zrobi, jeśli Borówka będzie stał kilka metrów od niej? W dodatku w towarzystwie tego potwornego psa? Mimowolnie wzdrygnęła się i wstrzymała oddech, nasłuchując pilnie oznak obecności kogoś jeszcze – oddechu, szelestu materiału, skrzypnięcia podłogi pod butem, drapania pazurami, szurania ogona po podłodze. Nic z tego. Chyba była sama.

Otworzyła ostrożnie oczy, przewyciężając łupiący ból pod czaszką.

Pomieszczenie, w którym się znajdowała, słabo oświetlała ledwo zipiąca żarówka wkręcona w metalowy klosz. Była z gatunku tych najpodlejszych, jej blask nie radził sobie z rozjaśnieniem niewielkiego wnętrza.

Mirska rozejrzała się ostrożnie, starając się nie zwracać uwagi na ból w głowie, który potęgował się przy każdym ruchu.

W ścianie przed sobą zobaczyła małe okienko ze zbrojoną szybą, za plecami – zamknięte drzwi. Całość była chyba domkiem działkowym, trzy na trzy metry, nie więcej, może raczej budką z dykty z blaszanym dachem, w której przechowuje się sprzęty ogrodnicze, nasiona i meble ogrodowe. Stąd pewnie ten zapach ziemi i zbutwiałych liści. W quasi-domku panował przenikliwy chłód, który wskazywał na to, że zdecydowanie nie jest to dom mieszkalny. Żaden człowiek nie wytrzymałby w takiej zimnicy i wilgoci.

W pomieszczeniu nie było nikogo – ani Borówki, ani psa, co nieco dodało Idze animuszu.

Poruszyła ostrożnie zdętwiałymi z zimna rękami. Kajdanki zabrzęczały złowrogo. Spróbowała wstać, ale okazało się, że ramiona ma jakoś przemyślnie przełożone przez oparcie, z czego dotąd nawet nie zdawała sobie sprawy. Próba wstania sprawiła, że naszła ją fala mdłości. Poczowała ponownie ogarniającą ją panikę.

Przymknęła oczy i spróbowała opanować oddech i żołądek.

Wiedziała, że zawaliła na całej linii. Jak mogła dopuścić do tego, żeby Borówka ją zaskoczył – i to we własnym samochodzie! Jakim cudem to wszystko się zdarzyło? Wydawało jej się, że pilnuje wejścia do budynku... Jak mogła go przeoczyć? Jeszcze ten pies – jasne, to było zaskoczenie, co nie zmieniało faktu, że dała się podejść jak dziecko. Jakim cudem?!

Budryś wywali ją na zbity pysk, skoro nawet obserwacji nie potrafi utrzymać!

Budryś jak Budryś. Mirska uświadomiła sobie, że Borówka nie jest zwykłym złodziejem zabytków, ma już na koncie dwie ofiary – jedną

zadźgał dwudziestoma trzema ciosami, drugą udusił szalikiem. A sprawiał wrażenie takiego spokojnego i wyważonego! I w dodatku obie swoje ofiary znał, a ona była dla niego obcym człowiekiem, z nią będzie mu łatwiej. Naszło ją ponure przekonanie, że to nie skończy się dla niej dobrze, a wylanie z roboty może okazać się wersją bardzo optymistyczną. A ona przecież wcale się do stołecznej nie pchała!

Choć z drugiej strony... z drugiej strony była sama. Nie wiedziała co prawda, gdzie dokładnie jest i na jak długo straciła przytomność, ale była sama. Nie miała wątpliwości, że Borówka wróci – psychopatyczni mordercy zawsze wracają, a to, że Borówka kwalifikuje się do leczenia psychiatrycznego, dla Mirskiej nie podlegało dyskusji. Ale miała jeszcze szansę.

Przewyciężając nieznośny ból głowy i kolejną falę mdłości, spróbowała wstać razem z krzesłem. Kiedy tak się szamotała, do jej otumanionego umysłu dotarło, że plan zwyczajnego rozwalenia krzesła i zwiania gdzie pieprz rośnie będzie wymagał modyfikacji, mebel bowiem był ogrodowym zabytkiem w stylu peerelowskiego retro wykonanym z powyginanych metalowych prętów. Rozwalanie drewna leżało w granicach jej możliwości, ale rozginanie żelastwa zdecydowanie już te granice przekraczało.

Krótko mówiąc, Mirska uświadomiła sobie, że naprawdę jest w czarnej dupie. Z chwilową rezygnacją opadła na krzeselko, kajdanki brzęknęły o pręty.

I wtedy usłyszała za plecami odgłos kroków. Serce podeszło jej do gardła. Odwróciła głowę w kierunku drzwi – nie zamierzała udawać, że wciąż jest nieprzytomna. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem i do domku wszedł, kołysząc zawieszonymi na palcu kluczami z breloczkiem w kształcie liścia, Tadek Borówka w ciemnym płaszczu, z owiniętym kilkakrotnie wokół szyi żółtym szalikiem. Igę zmroziło, natychmiast bowiem zobaczyła w wyobraźni uduszoną Joannę Masztalerz, zapewne z tym samym szalikiem zaciśniętym na gardle. Mimo woli spojrzała na jego kołnierzyk, zastanawiając się, jaki nosi rozmiar.

Borówka przytaszczył wielki kanister, który momentalnie

wzbudził niepokój Igi. Wątpiła, żeby miał tam wodę. W milczeniu postawił kanister koło drzwi, wygrzebał z rupieciarni pod ścianą drugie ogrodowe krzesło, postawił je i usiadł na nim okrakiem, przyglądając się Mirskiej z twarzą wyzutą ze wszelkich emocji.

Milczał.

Iga także milczała, wykręcając niewygodnie głowę i przyglądając się Borówce równie uważnie jak on jej. Zauważyła, że był podrapany na ręce. Panika odpuściła, Mirska poczuła za to mocnego kopa adrenaliny. Nagle powróciła jej wiara, że jakoś się z tego wykaraska. Jeszcze nie wiedziała jak, ale jakoś sobie poradzi.

Poza tym kto powiedział, że jej zespół ich nie odnajdzie, zanim Borówka postanowi zostać rasowym wielokrotnym mordercą i ją zabije?

W blaszany dach wciąż głucho uderzały krople deszczu, żarówka w metalowym kloszu drżała niespokojnie.

Ja pitole, przez te korkie to cholira może wziąć prawidłowego człowieka – utyskiwał Marylka, kiedy Budryś parkował samochód nieopodal bloku, w którym mieszkał Borówka.

– Tu to pryszcz, pan spróbuje do Łomianek dojechać – mruknął technik z tylnego siedzenia.

– Nie spróbuje, moje Bemowo mi wystarczy.

Jacek wyłączył silnik i przez chwilę rozglądał się po okolicy i zaparkowanych w alejce samochodach. Przy klatce Borówki jakiś idiota przywiązał psa do klamki drzwi wejściowych. Duży, piękny bokser kręcił się niespokojnie i wył rozpaczliwie.

Komisarz wysiadł z samochodu, wciskając na głowę czapkę z daszkiem. Przeszedł pod klatkę Borówki i rozejrzał się ponownie.

Mirskiej nie było. Powinna ich już zauważyć, zresztą wysłał jej esemesa.

– No i gdzie ona jest? – zapytał Madyjak, pojawiając się obok Budrysia i poprawiając kaptur na głowie. – Jezusku, co za bydlę tak piesa zostawia, no ja nie wiem – zatroskał się, patrząc na kręcącego się przy wejściu do klatki psa. – Może po ekopatrol czeba dryndnąć, co?

– Później – mruknął Budryś, rozglądając się z rosnącym niepokojem po osiedlu oświetlonym żółtym blaskiem latarni. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i kryjąc się pod niewielkim daszkiem przy klatce, wybrał numer Mirskiej. Przeczekał kilka sygnałów, nic. Rozłączył się z irytacją. Marylka tymczasem podszedł do boksera.

– No i co za debil cię tak zostawił na deszczu, co? – przemówił do psa. Bokser zaskowytał głośno. Marylka wyciągnęła rękę i poklepała go po łbie, na co zwierzak zaskomlał tak, jakby się skarżył.

– Kurwa, mówiłem jej, żeby na nas poczekała – powiedział Budryś z niezadowolaniem. Marylka rozejrzała się wokół i trochę nieporadnie zaczęła odplątywać smycz psa od klamki drzwi.

– Może skoczyła gdzieś do kibelka przed akcją. Albo coś zjeść. Daj dziewczynie odetchnąć, no. W podróży jest od rana.

Niedaleko trzasnęły drzwi do samochodu Budrysia, technik zdecydował się wysiąść i zorientować w sytuacji.

– No co tam, panowie? – spytał, kuląc się pod kroplami deszczu. – Na co tak czekamy? Na święta?

– Zaraz, zaraz, szefuniu – powiedział uspokajająco Marylka. – Pan sianowny raczy wrócić do gabloty z łaskawości swojej. – Wskazał w kierunku samochodu. Technik popatrzył na nich, ale w końcu machnął ręką.

– Zimno jak diabli, bez sensu, żebym sterczał pod klatką – zdecydował. – Dajcie znać, jak w końcu uznacie, że jestem wam potrzebny – mruknął; odwrócił się na pięcie i popędził w stronę auta.

– No to co teraz, Szefu? – zapytał Marylka, poklepując psa po grzbiecie. – Muminka nie ma, jest za to porzucony pies. Co robimy?

Budryś jeszcze raz rozejrzała się w poszukiwaniu dobrze mu znanego wozu służbowego, którym zdarzyło mu się jeździć, a który na dwa dni pożyczyła Mirska. Nigdzie nie widział czarnego opla, którym pojechała wczoraj rano do Wrocławia. W dodatku nie odbierała telefonów, a to nie wróżyło niczego dobrego. Przez blisko miesiąc ich znajomości odbierała zawsze, zresztą to ona na ogół wkurwiała jego, dzwoniąc w niewłaściwych momentach. A teraz co, zapadła się nagle pod ziemię?

– Zostaw tego psa! – rzucił z irytacją do Marylki, który tarł boksera za uszy. Wyglądało to na miłość od pierwszego wejrzenia, co w wypadku bokserów było chyba ewenementem, o ile Budryś się w tym orientował.

– Sam się zostaw! – obruszył się Marylka. – Toż jakiś szmondak przywiązał bidaka w taką pogodę, nie ma zostaw!

– Kurwa, Artur, nie jesteśmy na wycieczce! – warknął Budryś, ponownie wybierając numer Mirskiej. – Pies ma smycz, jesteśmy w środku miasta, na pewno ma swojego właściciela! A my czekamy na realizacyjnych, Marcina i Igę!

Robiło się coraz chłodniej. Temperatura spadła już chyba do zera i na chodnikach zrobiło się ślisko. Budryś wbił ręce w kieszenie dżinsów i pomyślał, że wypadałoby się odwdzińczyć chłopakom z realizacji. Dobrze było być z nimi w dobrych stosunkach. Plan poza tym był prosty: czekają na realizacyjnych, wchodzą do mieszkania, jeśli figurant faktycznie jest w domu, zatrzymują; jeśli nie ma, robią w mieszkaniu kipsisz. I szukają go dalej. A Mirska – postanowił dać jej jeszcze kilka minut. Może Artur miał rację; skoro i tak miała na nich czekać, to może skoczyła do toalety, tu niedaleko przecież biblioteka, sklep, mogła skorzystać. Zerknął na zegarek w komórce. Pięć minut. No, góra dziesięć. A swoją drogą, to opieprzy ją za nieodbieranie telefonów.

Popatrzył na Marylkę, który wciąż kucał przy bokserze i coś do niego szeptał. Pies sprawiał wrażenie, jakby uważnie słuchał, po czym skamlał po swojemu w odpowiedzi. Budryś przewrócił oczami na tę dziwną rozmowę. Jankowy Pies nigdy w życiu nie wdałby się w coś takiego z obcą osobą.

Właśnie, Janka.

Ponownie sięgnął do kieszeni po telefon i korzystając z tego, że jeszcze czekali, wybrał numer swojej byłej.

– Cześć, to ja – powiedział z rozpedu do słuchawki, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ona wie, że to on. – Słuchaj, wypadło mi coś w robocie dzisiaj i chyba nie dam rady odebrać Janki.

Coś mu mówiło, choć bardzo nie chciał, żeby się to okazało

prawdą, że dzisiaj naprawdę nie wyrobi się z odebraniem córki. Na ogół robił absolutnie wszystko, żeby nie dochodziło do takich sytuacji, ale czasem było to poza jego możliwościami. Nienawidził tego z całego serca.

– No, nareszcie jaśnie pan raczył się odezwać – parsknęła mu prosto do ucha eksmałżonka. – I co, może mam cię jeszcze przed nią wytłumaczyć, co? „Wybacz, kochanie, tatusiowi znowu wypadło coś ważniejszego niż ty”?

– Weź nie pierdol! – rzucił ostro Jacek. Dużo ostrzej, niż zamierzał. – Doskonale wiesz, że gdybym tylko mógł, tobym przyjechał!

– Mnie też tak zawsze mówiłeś. W każdym razie właśnie widzę, jak ci na córce zależy. Nic dziwnego, że ona później wdaje się w pyskówki i bije kolegów, skoro to jest jedyny sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę kochanego tatusia.

Budryś zamknął oczy i policzył do dziesięciu, zanim znowu się odezwał. Wiedział, że jego była lubi czasem dramatyzować, faktycznie jednak czuł się odpowiedzialny za wybryki Janki. Oboje powinni czuć się odpowiedzialni. Tyle że to zdecydowanie nie była rozmowa na telefon, bo zawsze kończyli tak samo – obrzucając się wyzwiskami.

– Przyjadę po nią jutro rano – powiedział, kiedy doszedł do „dziesięć”. – I zostanie u mnie do wtorku. Trzy dni to trzy dni.

– Dwa i pół dnia – zareagowała natychmiast była. Oczywiście. – Co, zamierzasz przesłuchiwać morderców w towarzystwie córki?

– Trzy dni. – Budryś był nieugięty. – A jak ci się nie podoba, to wyślę do ciebie mojego prawnika.

– Pieprz się – powiedziała eks z nienawiścią w głosie i rozłączyła się.

Jacek westchnął, choć dobrze wiedział, że wygrał tę bitwę. Nie chciało mu się jednak nad tym dalej rozmyślać i zastanawiać, kiedy udało im się przekroczyć tę cienką linię między miłością a nienawiścią. Wciąż miał nadzieję, że któregoś dnia Janka zostanie z nim na stałe. Na razie musiał się nią dzielić, trudno, niech będzie i tak.

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się natrętnych myśli. Musiał się skupić, tu i teraz – Borówka, Muminek, archeolodzy.

Zerknął na zegarek na wyświetlaczu i znowu wybrał numer Mirskiej, choć już nie spodziewał się, że odbierze.

– Dlaczego macie psa pana Tadka? – zapytał nagle dzieciak w skarpetowatej czapce na głowie.

Budryś nawet nie zauważył, kiedy się przed nim pojawił, co nie było dobre. Cholera, przecież wiedział lepiej niż ktokolwiek, że kiedy się idzie na akcję, trzeba zostawić sprawy prywatne na boku. Poczł nagle bardzo wyraźnie, że wczorajszy dodatkowy dyżur naprawdę nie był dobrym pomysłem, bo teraz zupełnie brakowało mu koncentracji.

– Jakiego pana Tadka, andrusie? – zapytał Marylka, wciąż pozostający na poziomie boksera, z którym najwyraźniej zawarł już przyjaźń na śmierć i życie. Dzieciak wyciągnął w jego stronę brudną rękę.

– Pięć dych i powiem.

– Matka wie, że płaczesz się po osiedlu po nocy? – zapytał Budryś.

– Pięć dych albo nic wam nie powiem, mamuty jedne! – Chłopak potrząsnął ręką gestem podpatrzonym chyba u rumuńskich dzieci.

Budryś wymienił spojrzenia z Marylką, który wzruszył tylko ramionami. Jacek rozpiął kurtkę tak, żeby dzieciak zobaczył kaburę na biodrze. Wiedział, że to robiło wrażenie, testował na szkolnych łobuzach, którzy zadzierałi z Janką. Schemat był ten sam: najpierw ona prowokowała (wiedział o tym, niestety), potem się z nią bili, potem pojawiał się on, z kaburą, a potem oni podlizywali się jej, żeby on dał im postrzelać. Nigdy nie dał, ale Janka przynajmniej na jakiś czas miała spokój. Do następnego razu, rzecz jasna.

– Mów, padalcu, albo cię do izby dziecka odstawię. – Mała groźba jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Swoją drogą nieźle się skubany cenił. Widać było, że miał w biznesie doświadczenie, ciekawe, ile lam udawało mu się naciągnąć.

– To Budrys, pies pana Tadka Borówki spod siedemdziesiątkipiątki – powiedział grzecznie dzieciak, poprawiając skarpetę na głowie, bo spadała mu na oczy.

– Budrys? – powtórzył Marylka, rzucając Jackowi wymowne spojrzenie. Budryś przewrócił oczami; nie odpowiadał przecież za pomysły popaprańców.

– No mówię przecież. – Dzieciak spojrzał dziwnie na Madyjaka. – Na starość wszyscy głusi, co? – zapytał złośliwie. – Mogę postrzelać? – Wskazał brodą na broń Budrysia.

– Nie. A teraz won mi stąd. – Komisarz nie zamierzał wdawać się w rozmowy. W odpowiedzi chłopak pokazał mu język i na wszelki wypadek od razu uciekł.

Budryś poprawił czapkę, wsadził zmarznięte ręce do kieszeni i spojrzał na psa.

– Ja pierdołę, pies Borówki. Przecież on miał być w domu!

– A Muminek miał na nas tutaj czekać – dodał Artur z niepokojem w głosie, wstając w końcu z kucek. W rękę trzymał mocno i krótko smycz psa, który teraz już prawie się uspokoił, rzucając od czasu do czasu badawcze spojrzenia w górę, na Marylkę.

Budryś poczuł, jak coś mu się robi w żołądku. Tak miał, jak się zaczynał denerwować. Niektórym pociły się ręce, innym plątał się język, jemu żołądek zamieniał się w kamień.

Chyba było gorzej, niż się spodziewał. Trybiki w głowie Budrysia zaczęły pracować z pełną mocą.

– Jak on jej coś zrobi, to szef nam jaja urwie. – Marylka zdecydował się zwerbalizować obawy Budrysia.

Zanim Jacek zdążył odpowiedzieć, omiotły ich światła nadjeżdżającego samochodu. W żółtawym świetle latarni czarny lakier renówki zdawał się prawie złoty. Samochód zatrzymał się obok wozu Budrysia, trzasnęły drzwi i ze środka wyskoczył Marcin Wegner. Zajrzał z ciekawością do wnętrza samochodu, rozpoznał technika i skinął mu głową, po czym podszedł rozkołysanym krokiem do Budrysia i Madyjaka.

– Co tam, panowie? Wchodzimy? – rzucił zadowolonym tonem i rozejrzał się. – A gdzie zgubiliście Muminka?

Bokser szczerknął krótko, kiedy Wegner podszedł bliżej. Madyjak poklepał psa po głowie i ten ucichł. Budryś wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Cześć, tu Jacek z terroru. Słuchaj, wczoraj dziewczyna ode mnie brała wóz, opla. Możesz mi sprawdzić, który to był konkretnie? – zapytał, odchodząc kilka kroków na bok.

Wegner natomiast skupił się na psie.

– O! – zdziwił się. – A skąd go wzięliście? I po co on nam? Zamierzacie tropić nim narzędzie zbrodni w mieszkaniu Borówki? – zażartował.

– No... – Artur pogładził się po wąsach. – W zasadzie to pies należy do Borówki. I koncypuj sobie, że nazywa się Budrys. A Muminek zniknął. Gdzie masz czarnych? – zapytał, mając na myśli Wydział Realizacyjny, z przyzwyczajenia nazywany „czarnymi” bądź „atekami”.

– Zaraz będą. Ty, ale ty sobie żartujesz z tym zniknięciem, nie? – upewnił się Wegner.

Z klatki schodowej wyszła korpulentna dama w ciemnym płaszczu. Obrzuciła trzech mężczyzn z psem nieufnym spojrzeniem, najwyraźniej dresy, kaptury i czapki z daszkiem nie przypadły jej do gustu, bo stanęła i popchnęła mocno drzwi, żeby je zatrzasnąć, ale Wegner był szybszy. Wsunął stopę między zamykające się drzwi a framugę.

– Policja – powiedział, wyciągając z kieszeni blachę. Dama zawahała się. – Ci panowie też są z policji – dodał, wskazując na Madyjaka i Budrysia, który wciąż rozmawiał przez telefon kilka kroków dalej.

Dama zmiękła.

– Panowie gliny – bardziej stwierdziła, niż zapytała, sięgając po legitymację Wegnera i studiując ją wnikliwie. – A o co się tu rozchodzi?

– A interesik mamy do jednego lekatora, pani brelantowa. – Marylka poprawił kaptur.

– Taaa? – W oku damy błysnęło. – A wy może przyszli po tego Baraniaka spod dwudziestki, he? On tak żonę leje, że aż strach. – Oddała Wegnerowi blachę. – On ważniak jakiś w gminie jest, ale może Baraniakowa gdzie wyżej doniosła, he?

Jej dalsze dywagacje przerwał przyjazd czarnego busa

realizacyjnych. Budryś pospiesznie skończył rozmowę i dał znak Wegnerowi, żeby pozbył się damy, tymczasem sam podszedł do tylnych drzwi busa, które się uchyliły.

– Czołem, panowie – przywitał się.

– Szybciej nie dało rady – usprawiedliwił się dowódca oddziału, wyskakując z samochodu. Uścisnął dłoń Budrysia i założył kominiarękę. Komisarz skinął głową.

– Dobra, panowie, wygląda na to, że podejrzany o popełnienie dwóch brutalnych morderstw jednak wyszedł z domu – poinformował. Realizacyjni spojrzeli na niego krzywo jak jeden mąż. – Zachodzi możliwość, że uprowadził naszą dziewczynę.

Madyjak, który właśnie podszedł z psem, syknął z niezadowoleniem. Czarni popatrzyli po sobie, a dowódca gwizdnął.

– Szukacie ich jakoś, nie?

Budryś pomyślał, że z chęcią by zapalił.

– Patrole mają już rysopis podejrzanego. Chłopaki sprawdzają wózek, którym poruszała się nasza dziewczyna, bo też go nie ma. Wygląda na to, że Borówka ma i Igę, i samochód. Jak ustalą, gdzie wóz, dadzą nam znać, bo przecież nie polecę szukać ich na piechotę. – Wszystko szło nie tak w tym cholernym śledztwie. Jak nie mieli nic, tak potem się na nich wszystko zważyło prawie jednocześnie. – To inteligentny gość, więc nie wiadomo, co mu do głowy strzeli. A dopóki nie dostanę informacji co z samochodem, to robimy planowe przeszukanie.

Dowódca realizacyjnych skinął głową i jego ludzie wysypali się z samochodu. W oknach kilku mieszkań pojawiły się zaciekawione twarze, wracający do domu mieszkańcy na widok uzbrojonych po zęby facetów skupionych przy czarnym busie na wszelki wypadek omijali ich szerokim łukiem. I dobrze, pomyślał Budryś. Nie potrzebował tu Bóg wie jakiej widowni.

– Artur, zostaniesz na dole. – Odwrócił się do Madyjaka. – Technik też niech siedzi, jak będzie potrzebny na górze, to zadzwonię.

Ruszył w stronę Wegnera, który wciąż trzymał otwarte drzwi na klatkę schodową. Weszli.

– Ty, a co z Muminkiem się właściwie stało?– zapytał Wegner, kiedy wsiedli do windy i jechali na ostatnie piętro, na którym znajdowało się mieszkanie Borówki. – Ona serio zniknęła?

– Na to wygląda. – Budryś obserwował migające przed nimi kolejne piętra. Winda nie miała wewnętrznych drzwi, więc mieli doskonały widok na zmieniające się poziomy. Wegner próbował ciągnąć temat dalej, ale Jacek nie miał ochoty roztrząsać go w tym momencie. Teraz należało sprawdzić, czy mieszkanie Borówki na pewno jest puste.

Winda zatrzymała się na właściwym piętrze. Wyszli na ciemny, kiszgowaty korytarz, po którego obu stronach znajdowały się mieszkania. To pod numerem siedemdziesiątym piątym, należące do Borówki, było jednym ze szczytowych. Chłopaki z Wydziału Realizacyjnego mimo ciężkich butów poruszali się niemal bezszelestnie. Zapalili latarki i na ścianach korytarza zatańczyły promienie światła. Budryś i Wegner wyjęli broń.

Dotarli na koniec korytarza i stanęli przy drzwiach właściwego lokalu, kiedy zachrobotał klucz w zamku mieszkania naprzeciwko. Zamarli.

Na ciemny korytarz padł prostokąt światła, a w progu mieszkania pojawił się gruby facet w rozchełstanej koszuli, z workiem pełnym śmieci. Na korytarz buchnął zapach smażonej kaszanki. Gość zatrzymał się w pół ruchu, widząc przed sobą zamaskowanych mężczyzn z bronią.

– Policja. – Realizacyjni rozstąpili się przed Budrysiem, który zamachał służbową blachą, mrużąc oczy w nagłym świetle. – My do sąsiada.

– Policja? Do Borówki? – upewnił się facet i podrapał się za uchem. – No to żeście kiepsko trafili. Z psem wylazł niedawno. Wiem, bo ten jego pchlarz taki jazgot robi, jak wychodzą, że mnie nerwy zawsze bierą.

Realizacyjni rozluźnili się, a Wegner przepchnął się w wąskim korytarzu przed nich. Jednocześnie z Budrysiem schowali broń do kabur.

– A pan to dobrym sąsiadem jest? – zapytał Jacek, zastanawiając

się, jakim cudem Mirska dała się podejść Borówce i co się tu właściwie stało kilkanaście minut temu.

– A co, że niby zły jestem? – obruszył się facet. – Pewnie, że dobrym sąsiadem jestem, nawet klucze mam do niego, co pan sądzi, że by mi zostawił, gdyby zły sąsiad był ze mnie?

Budryś sięgnął do kieszeni po komórkę, bo zaczęła wibrować. Pałac. Dał Wegnerowi sygnał, żeby ogarnął sąsiada, a sam odebrał połączenie, cofając się nieco w głąb korytarza. Nie lubił rozmawiać przy takiej publiczności.

– To doskonale. Pan będzie łaskaw znaleźć te klucze. Będzie pan świadkiem przeszukania. – Marcin przejął inicjatywę.

– Prze... co?

– Pan kluczy szuka, już, już. A drzwi to niech pan zostawi otwarte.

Facet zamrugał, postawił worek ze śmieciami przy ścianie i cofnął się do mieszkania. Zaczął grzechotać czymś w głębi. Zapach kaszanki zmienił się w smród przypalonego tłuszczu.

– Pan gaz wyłączy pod patelnią! – zawołał szef czarnych.

– No, panowie, robimy tak: Cinek, zostajesz i przeprowadzasz przeszukanie, zaraz ci technika podeślę, żeby ci smutno nie było. – Budryś podszedł, zapinając kieszeń z telefonem. – A was zapraszam ze mną. Namierzyli samochód Mirskiej, stoi niedaleko, przy Głębockiej, za bramą ogródków działkowych. Borówka pewnie się na nich zadekował, więc musimy poczekać na naszego psa.

– Po co? – zapytał Wegner.

Budryś posłał mu w półmroku korytarza spojrzenie pełne politowania.

– A co, siłą woli chcesz ich znaleźć? Po ciemku? O tej porze roku tam nikogo nie ma, a on może być wszędzie! My za to jesteśmy w dupie, Cinek, w czarnej dupie. Miało być kulturalnie, a wyszło jak zawsze.

– Chodzi mi o to, że nie musimy czekać na naszego, skoro na dole mamy psa Borówki – wyklarował Wegner. – Swojego właściciela chyba powinien znaleźć. Pies to pies, nie?

Budryś zaklął pod nosem. Jasne. Pies to pies. Chyba pomrocność

jakaś na niego spłynęła.

Skinął na realizacyjnych i ruszył ostro w kierunku wind i schodów.

Mirskiej udało się nieco obrócić wraz z krzesłem i teraz z niepokojem obserwowała milczącego Borówkę, który siedział okrakiem na drugim krzeselku w pobliżu wyjścia.

– To nie było najmądrzejsze posunięcie – powiedziała. – Wydawało mi się, że jesteś inteligentnym facetem, a ty popełniasz taki podstawowy błąd, porywasz policjantkę... Wiesz, że cały garnizon warszawski będzie mnie szukał, no nie?

Borówka patrzył na nią z nieprzeniknioną miną, co ją trochę wkurzyło. Miała nadzieję, że uda jej się wywnioskować cokolwiek z mowy jego ciała, mimiki, tonu głosu, czegokolwiek! Ale jak miała wnioskować z nieruchomej statui?

– Rozumiem jeszcze, że zabiłeś Zawistowskiego – spróbowała od innej strony, starając się jednocześnie tak ułożyć dłoń, żeby wysunąć ją z kajdanek. To w końcu tylko takie trochę ciaśniejsze bransoletki, nic więcej, a ona miała przecież szczupłe dłonie. Musiała tylko skupić jego uwagę na rozmowie, odwrócić od tego, co robiła za swoimi plecami. – To znaczy nie rozumiem, ale mniejsza z tym. Zdarza się, nie? Sama też nieraz miałam ochotę kogoś zabić, a swojego szefa to już w ogóle. – Roześmiała się nieco nerwowo. Doskonale pamiętała, że Borówka miał psa, i to właśnie przez tego przekłętą bydłaka znalazła się tu, gdzie się znalazła. Gdyby nie ten pies, nie dałaby się tak zaskoczyć. Wywałą ją, wywałą ją z policji, jak się dowiedzą, że ona się boi psów! No i gdzie był ten potwór teraz? Czatował na zewnątrz? – Ale drugie zabójstwo było kompletnie od czapy, po co ci ono było? Wiesz, że im więcej zbrodni, tym więcej śladów zostawiasz, prawda?

Borówka przekrzywił lekko głowę.

– Naprawdę sądzisz, że teraz sobie z tobą posiedzę i wygłoszę wielki monolog, w którym wyjaśnię ci, jak to rodzice kłócili się, kiedy byłem mały, a potem wyjawię tajny plan pozbycia się ciebie, ty zaś w tym czasie znajdziesz jakiś cudowny sposób, żeby się

oswobodzić? – powiedział cicho, uśmiechnął się zdawkowo i znowu zamilkł.

Mirskiej zrobiło się gorąco. Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Zabójcy, z którymi dotąd miała do czynienia, byli raczej ludźmi nieskomplikowanymi, działającymi z prostych pobudek – wódka, narkotyki, dopalacze, zwykły wkurw, a problem rozwiązywany był na ogół od ręki czy też od noża. Borówki rozgryźć nie mogła. Zupełnie jakby miał epizody psychotyczne, w czasie których mordował. Miała nadzieję, że nie jest właśnie w jednym z nich.

Gdzieś niedaleko rozległo się szczekanie psa.

– Nie masz broni, jeśli to cię interesuje – powiedział, a Iga drgnęła nerwowo. – Telefonu też. Nie jestem kretynem, wiem, że namierzacie po telefonach.

– Gdybyś nie był kretynem, tobyś mnie nie porywał – warknęła, wciąż próbując pozbyć się kajdanek. Miała naprawdę szczupłe ręce, to przecież nie mogło być aż takie trudne! – Co ty chcesz w ten sposób ugrać, co?

– Nic – odparł i wstał z krzesła, a Mirskiej serce podeszło do gardła. – Kompletnie nic. Ale ty niepotrzebnie czatowałaś pod moim domem. – Schylił się po kanister i odkręcił korek; w pomieszczeniu rozszedł się ostry zapach. – Zupełnie niepotrzebnie – dodał i chlusnął w jej kierunku zawartością kanistra. Iga odruchowo się odchyliła, krzeselko zachybotowało i rymsnęło na podłogę.

– Przestań! Przestań, co ty robisz?! – zawołała, zamykając oczy, kiedy ponownie chlusnął benzyną, i zakrztusiła się. – Przestań! Przecież tego nie ukryjesz, nie masz szans!

– I co z tego – mruknął, polewając obficie rupiecie pod ścianami domku. – Teraz już nic nie ukryję.

– Ty potrzebujesz pomocy psychiatry! – wrzasnęła, plując benzyną i próbując jednocześnie podciąć nogi Borówki. Rzucił w nią kanistrem i skoczył do drzwi.

– Było trzymać się z daleka – rzucił. Stojąc w otwartych drzwiach, sięgnął po zapalniczkę Zippo.

Iga próbowała rzucić się wężowym ruchem po podłodze, dotarło

do niej, że za moment ten psychopata zrobi z niej żywą pochodnię, a na Joannę d'Arc kompletnie się nie nadawała. Szarpnęła się do przodu, próbując poderwać się na kolana.

Borówka otworzył zapalniczkę.

– Policja, nie ruszaj się!

Huknęły strzały.

Epilog

„Niech pan to wszystko opisz swoimi słowami”.

Nie jestem w stanie powiedzieć, ile razy to słyszałem. Wszyscy chcieli, żebym mówił „swoimi słowami”. Jakbym mógł mówić za kogoś. Moje decyzje, moje wybory, moje słowa. Albo jakbym miał to wszystko opisywać rysunkami, a nie słowami.

Zbrodnia to dziwna rzecz. Nikt nie budzi się rano z postanowieniem „dzisiaj zabiję”. Ja przynajmniej tak się nie budziłem. To po prostu... tak wyszło. Powiedziałbym, że nie chciałem, ale nie wiem, czy byłoby to prawdą. Chyba nie.

To wszystko zdarzyło się trochę ponad pół roku temu. Ponad pół roku temu Tadeusz dał mi tamten puginał i często wracałem myślą do tego momentu – i zawsze dochodziłem do tego samego wniosku, że w sumie sam był sobie winny. Gdyby nie dał mi sztyletu... Gdyby nie sprawdzał granic, nie testował, dokąd może się posunąć... Może to wszystko wina Tadeusza. Aśka też sama sobie winna, nie powinna kraść puginału. Nie powinna kraść kradzionego. Karma wraca, mówią. Nie dali mi wyboru, żadne z nich. To była granica, zza której już nie ma powrotu.

Tak, to fakt: byłem o krok od zabicia tej policjantki. Też nie dała mi wyboru. Była wszędzie – w instytucie, na pogrzebie Tadeusza, pod moim blokiem. Kaśka z Wrocławia też zadzwoniła i powiedziała, że była u niej policjantka z Warszawy. Wiedziałem, że to już koniec, że jakimś cudem się domyślili, nie sądziłem, że pójdzie im tak szybko, przecież śledztwa trwają latami. Miałem zniknąć, taki był plan, musiałem tylko pozamykać kilka spraw, zabrać parę dokumentów z instytutu i zniknąć. A potem zobaczyłem policjantkę pod własnym blokiem i wiedziałem, że już jest pozamiatane. Podjąłem ostatnią próbę, emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Wiedziałem, że ona boi się psów, wystarczyło ją zająć z zaskoczenia i ogłuszyć. Zawiozłem ją jej samochodem niedaleko, na teren

ogródków działkowych, gdzie o tej porze roku rezydowali jedynie bezdomni. Mieliśmy tam skrawek ziemi, kilkadziesiąt metrów kwadratowych wsi w mieście. Nie zabrałem policjantki do nas, bo wiedziałem, że kilka alejek dalej jest opuszczona działka z blaszanym baraczką, z dobrym dojazdem samochodem. Pomyślałem, że ogień trawi wszystko, no, kajdanki zostaną, trudno, ale zanim wszystko ugaszą, zanim znajdą szczątki... Nie wiem zresztą, co bym zrobił, nie planowałem tego wszystkiego, zdecydowałem na bieżąco. Nie jestem psychopatą, który na miesiąc wcześniej planuje swoją zbrodnię w najmniejszych detalach, to po prostu wszystko tak jakoś... wychodziło. Samo. Prawie samo.

I gdyby tylko nie pojawił się ten cholerny komisarz z uzbrojonymi po zęby antyterrorystami... Postrzelił mnie, choć mógł od razu zastrzelić. Potem wieźli mnie karetką. Trzęśli się.

Adwokat – nawet nie wiedziałem, że takiego mam – usiłował namówić mnie na zeznania przeciwko policji. Że niby strzelanie było niezgodne z czymś tam. Milczałem, zaczął więc mówić o zbrodni w afekcie. Roześmiałem mu się w twarz. Co on wiedział o afekcie, o życiu w poniżeniu, o tym momencie, kiedy jedno słowo zamienia się w tę ostatnią kroplę. Taka przemoc w rodzinie, kiedy żona nie wytrzymuje kolejnej kłótni i zabija męża tasakiem. Tylko że my nie byliśmy małżeństwem. Ale coś w tym było. Bo od Tadeusza byłem uzależniony tak samo, jak bita żona od męża. Bo kiedyś on zobaczył we mnie coś więcej niż studenta wyciętego z szablonu, a potem konsekwentnie łamał kolejne granice, robił ze mnie swoją pacynkę. A ja się dawałem, bo ile osób było u niego na doktoracie? No właśnie. To był prestiż. On uchodził za geniusza. I był nim, poniekąd. Do momentu kiedy wzajemnie doprowadziliśmy się pod ścianę.

Ale miało być o tym, co potem, nie wcześniej.

Potem mnie przesłuchiwali, nie wiem, czy tego samego dnia, czy tydzień później, czy miesiąc, straciłem rachubę czasu. Ten komisarz mnie przesłuchiwał. Widziałem po nim, że najchętniej walnąłby moją głową o ścianę i walił tak, dopóki nie byłoby po wszystkim. I może nawet by to zrobił, widziałem to w jego oczach, znałem to

uczucie, och, jak dobrze! Ale przerwał nam prokurator, który do nas dołączył. Na korytarzu mignęła mi też ta policjantka. Moje trzy Mojry, moje Kloto, Lachesis i Atropos. Pewnie gdybym im to powiedział, to i tak by nie zrozumieli.

Raz pokazali mi to przekłete pugio. Powiedzieli, że znaleźli je u mnie w mieszkaniu podczas przeszukania. Ciężko byłoby go nie znaleźć, leżało prawie na widoku, na moim biurku. Nie zdążyłem, nie zdążyłem nic z nim zrobić. Po tym, co spotkało Aśkę... wolałem chwilę przeczekać, zanim cokolwiek zrobię, na wszelki wypadek. Aż było za późno.

Próbowali dowiedzieć się, co tak naprawdę wydarzyło się tamtej soboty. Podpuszczali mnie i chcieli sprowokować do wyznań: jak wracaliśmy z Wrocławia, o czym rozmawialiśmy po drodze, co się stało, co robiłem potem. Nic im nie wyjaśniłem. Mogą sobie snuć domysły i tworzyć różne wersje, ale prawdy się nie dowiedzą, to było jedyne, co mi pozostało.

Powiedzieli, że sędzia zdecydował, że do czasu rozprawy mam siedzieć w areszcie. Wtedy było mi wszystko jedno.

Podobno przychodzili do mnie ludzie z pracy. Nie wpuszczali ich, prokurator nikomu nie dał zgody. I dobrze, nie chciałem ich oglądać. Wszyscy udawali świętych, choć nikt nie był bez winy. Każdy miał coś na sumieniu. To dlatego w slajdotece coś we mnie pękło. Zwyczajnie nie byłem w stanie znieść więcej tego zakłamania. Każdy ma przecież swoją wytrzymałość psychiczną. Zresztą, co by mi powiedzieli? Nie poddawaj się? Dziękuję? Pieprz się?

Poddali mnie obserwacji psychiatrycznej. Bo przecież nie wykazywałem wcześniej oznak, bo eskalacja, bo bla, bla, bla. Nawet mi się słuchać nie chciało. No to obserwowali mnie na Sobieskiego. Kilka razy poudawałem, że mam jakiś atak, słyszę głosy i w ogóle, dla jaj, bo nudno tam było okrutnie. Dopiero po pewnym czasie zorientowali się, że tylko się zgrywałem. A potem powiedzieli prokuratorowi, że mam zapewne osobowość dyssocjalną, że mam cierń psychopatyczny. Że brak empatii. Że nie odczuwam winy, tylko gniew i niepokój, że nie przewiduję skutków, że działam

impulsywnie. Krótko mówiąc: psychopata. Chciało mi się śmiać, jak to powiedzieli. Ale udałem, że nie rozumiem. Jak zrobisz z siebie prawdziwego czubka, sąd traktuje cię łagodniej. Wszyscy to wiedzą. Trzeba próbować, tak?

Prokurator z komisarzem ucieszyli się z takiej diagnozy. Psychopatia, jak powiedzieli, nie jest równoznaczna z niepoczytalnością, można więc mnie oskarżyć o wszystko, co zrobiłem.

A potem, w areszcie, odwiedziła mnie ta policjantka. Nie wiem, kto dał jej zgodę na widzenie. Zresztą, jaka to różnica...

Siedzieliśmy w ponurym pokoju widzeń, ona i ja, naprzeciwko siebie, na metalowych krzesłach przyśrubowanych do podłogi. Znowu chciało mi się śmiać, bo to wyglądało dziwnie podobnie do naszego ostatniego spotkania. Tylko tym razem to ja miałem kajdanki, a jej brakowało kanistra z benzyną.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli.

– No więc rozwiązują wasz instytut – powiedziała. Uniosłem jedną brew. Instytut. To słowo brzmiało tak obco. Już prawie zapomniałem, że kiedyś miałem inne życie; człowiek się szybko przyzwyczaja. I odzwyczaja. Doktorat, Bizancjum, wykopaliska. Dziś to dla mnie puste pojęcia. – W zasadzie to wcielają z powrotem do Instytutu Historycznego. W ramach katedr czy czegoś takiego. Za bardzo nagrzeszyliście, żeby przymknąć na was oko. Kwaśny bardzo pięknie opowiadał o waszych hockach-klockach. Wiesz, że Zawistowski prawie wszystkich w to powciągał? Odpalał im jakąś dołę. I niby nikt nie wiedział, co tak naprawdę robi, poza tobą i Kwaśnym, rzecz jasna. Bardzo to było sprytne, naprawdę. Moje uznanie.

– I? – mruknąłem, przyglądając się jej uważnie. Koło ust miała małą bliźnę. Prawie niewidoczną. Ale ja wiedziałem, że tam jest – i wiedziałem, skąd się tam wzięła. Zawsze miałem dobrego celu. A kanister, którym dostała w twarz, był porządny, metalowy. Nachyliłem się nieco w jej stronę, chcąc lepiej przyjrzeć się bliźnie. Widziałem, że z trudem powstrzymała się przed cofnięciem. Dopiero to drgnięcie, zupełne odruchowe i naturalne, wyrwało mnie

z dotychczasowego marazmu. Jakby pstryknęła przełącznikiem. – Po co tu przyszedłaś? – zapytałem.

Siedziała sztywno na krześle, z założonymi na piersiach ramionami. Nie wiem, czy się bała, może. Na pewno była zestresowana. Zauważyłem, że noga jej drga. Spojrzała moje spojrzenie, rozplotła ramiona i położyła ręce na kolanach.

– Nie wiem.

– Kłamiesz. Nie przychodzi się do ludzi, którzy próbowali cię zabić, bo się nie wie, co zrobić z własnym czasem.

Zacisnęła na chwilę usta i rozważała coś w duchu. Coraz bardziej ciekawiło mnie, po co przyszedła. Musiała mieć jakiś swój cel, byłem tego pewien.

– Pomyślałam, że może chcesz wiedzieć, do czego przyłożyłeś rękę – powiedziała z lekkim wahaniem. Prychnąłem. – Nie jest ci żal? Że, no wiesz, nieważne, jaki dostaniesz wyrok, ale już nigdy nie wrócisz do archeologii? To jest specyficzne środowisko, a ty spaliłeś za sobą w zasadzie wszystkie mosty.

Ciekawe. Wydawała się autentycznie zainteresowana. Tak samo zresztą jak ja byłem zainteresowany nią, bo teraz już wiedziałem na sto procent, że ma w tym swój interes. Kogo obchodziłaby jakaś zapchlona nauka bazująca na rozbitych garnkach i śmietniku. Musiało jej zależeć, jeśli się dowiadywała. No i jeśli załatwiła sobie zgodę na widzenie.

– Wiesz, że to nie jest przesłuchanie – powiedziała, biorąc chyba moje milczenie za oznakę słabości. Przesunęła się nawet na skraj krzesła i nachyliła w moją stronę, odgarniając niecierpliwym ruchem włosy opadające jej na twarz. Teraz dokładniej widziałem bliznę przy ustach, jej jasność kontrastowała z opaloną skórą. No tak, było lato, nic dziwnego, że opalona. – Mój szef jak zacięta katarynka powtarza, że nie można się fiksować na starych sprawach i że trzeba iść dalej. A mnie wciąż czegoś brakuje. I nie potrafię tego znaleźć. Więc powiedz mi... tylko mnie, przysięgam, że to tylko dla mnie. Bo tego nigdzie w aktach nie ma. Powiedz mi, dlaczego tak właściwie ich zabiłeś?

Mogłem ją olać, jasne, ale po raz pierwszy miałem prawdziwą

ochotę na rozmowę. Po raz pierwszy od dawna. To było dziwne uczucie.

– Tadeusz chciał zniszczyć ostatnią porządną osobę – powiedziałem w końcu. – Jedyną, która w tym instytucie była... normalna. Irena była czysta, a on chciał ją sprowadzić do swojego... naszego poziomu.

To była prawda. Nie mogłem pozwolić, żeby Tadeusz wepchnął w to bagno także ją. Dostrzegałem przecież, jak stopniowo, krok po kroku niszczył mnie – ale nie potrafiłem mu się postawić. Widziałem, jak blokował Pawła. A ona była tak naprawdę porządna. To zresztą trochę paradoks, bo szalik, którym udusiłem Aśkę, dostałem właśnie od Ireny, jak organizowaliśmy w instytucie mikołajki. Nosilem więc wełniany szalik, traktując go trochę jak amulet, licząc, że może przejdzie na mnie choć trochę charakteru Parys. Że kiedyś się wszystko ułoży, że ten diabeł wcielony kiedyś zniknie. No i owszem, tylko trochę nie o taki rezultat mi chodziło.

– Irenę Parys?

Była szczerze zaskoczona i nawet nie próbowała tego ukryć.

– Tak. Bo? – zapytałem niby spokojnie, choć poczułem nagły niepokój. Policjantka była naprawdę kiepska, jeśli chodzi o ukrywanie emocji. Dało się w niej czytać jak w otwartej księdze i to, co widziałem, niespecjalnie mi się podobało. Na jej twarzy pojawił się mimowolny uśmiech, starała się go co prawda stłumić, ale bez sukcesu.

– To ciekawe – powiedziała z dziwnym błyskiem w oku. – Parys ma postępowanie dyscyplinarne na uniwersytecie. O plagiat pracy magisterskiej. Lada moment zostanie też wszczęte postępowanie karne.

– Niemożliwe – zaprotestowałem, ale po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

– Dlaczego? – zdziwiła się szczerze. – Nasze prawo może i jest dziurawe, ale czasem działa zaskakująco dobrze. Muszę cię zatem poinformować, że rektor nawet po wielu latach może unieważnić tytuł naukowy, który jest efektem plagiatu.

– Plagiatu? – powtórzyłem automatycznie.

Uśmiechnęła się tryumfalnie, unosząc brew. Odchyliła się na oparcie krzesła i z zadowoleniem założyła ponownie na piersi ramiona, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Przepisała pracę magisterską z archiwum waszej uczelni – powiedziała. – A bez magistra nie ma doktoratu. Bez doktoratu nie ma habilitacji, sam wiesz. Przyznasz, że mogła się bardziej postarać i chociaż ściągnąć z innego uniwersytetu, mało ich mamy? A Zawistowski wiedział i pomagał.

Pokręciłem głową, bo nagle zabrakło mi słów. Irena? Nie, niemożliwe, na pewno mówimy o dwóch różnych osobach! Albo w ogóle ona kłamie, mówi to tylko po to, żeby mnie sprowokować.

– Oczywiście, może napisać samodzielnie pracę po raz drugi – ciągnęła policjantka, już nie kryjąc satysfakcji. – Ale jej wiarygodność jako naukowca spadła do zera. Wasza uczelnia teraz strasznie się pilnuje, po tym pijarowym krachu, jaki im zaserwowałeś, są bardzo wyczuleni, więc od razu zawiadomili prokuraturę. Teraz tej twojej ostatniej sprawiedliwej grożą trzy lata więzienia. Kiepsko wybrałeś sobie obiekt kultu, stary.

Trzy lata. Węzienie. Irena.

Cały mój świat zachwiał się w posadach. I runął.

Może byłem nienormalny. Może byłem psychopatą. Może. Może zbyt dużo rzeczy poszło w moim życiu nie tak. Ale Irena Parys była jak kamień milowy, jak mój reper, jak jakiś... filar, drogowskaz, że coś jeszcze jest dla mnie na tym świecie ważne i warte uwagi.

Popatrzyłem na policjantkę. Przyglądała mi się w milczeniu, z mieszaniną mściwości i zadowolenia wymalowaną na twarzy.

– Kłamiesz – powiedziałem, choć sam w to nie wierzyłem.

Uśmiechnęła się lekko i wzruszyła ramionami.

– A Masztalerz?

Ale ja już nie miałem ochoty z nią rozmawiać.

– A ja? – zapytała, nachylając się. Nie używała perfum, w nos uderzył mnie tylko mocny zapach szamponu do włosów.

Więc o to chodziło – dowiedzieć się, dlaczego i ona miała umrzeć. Mogłem jej powiedzieć, że ona była przypadkiem, Masztalerz też była przypadkiem. Że była w złym miejscu o złym czasie. Obie były.

Mogłem. Mogłem powiedzieć jej wszystko.

– A ty – również się nachyliłem i zauważyłem, że jej źrenice rozszerzyły się, zależało jej na tej odpowiedzi – bo *omne trinum perfectum*. – Wykrzywiłem się w pseudouśmiechu. Nie zamierzałem już nic jej mówić. Wszystko, co potrójne, jest doskonałe. Niech ma zagadkę, niech się głowi, czy od początku chciałem ją zabić.

Wyprostowała się na krześle, zaciskając usta w kreskę.

– Wy jednak wszyscy jesteście pieprznięci – oznajmiła w końcu, przechylając lekko głowę na bok i przyglądając mi się bez cienia sympatii. Cóż, ten etap był już dawno za nami. – Tak to już jest z wami, intelektualistami: im bardziej staracie się ukryć tropy, tym szybciej was dopadamy.

Kiedy dotarło do niej, że już naprawdę nie zamierzam z nią rozmawiać, wstała, podeszła do drzwi i zastukała w nie.

– Wiesz, że byłeś moją pierwszą sprawą w stołecznej? – Zatrzymała się jeszcze w progu. – Świeżo mnie wtedy przenieśli. Gdybyś zabił go później albo mnie wcześniej przenieśli, miałabym na ciebie mniej czasu. Może zdążyłbyś zwać albo zabić jeszcze kogoś. Palec przeznaczenia, co?

Pożegnałem ją ironicznym uśmiechem, ale kiedy odprowadzili mnie do celi, moje myśli nadal krążyły wokół tego, co powiedziała.

Uwierzyłem tej policjantce. Nie chciałem, ale wierzyłem. Uświadomiłem sobie, że to właśnie był jej cel: przyjść, powiedzieć, zniszczyć mnie w sposób ostateczny, zmiażdżyć i unicestwić, choć pewnie nie do końca zdawała sobie sprawę, czym będzie dla mnie ta informacja. Skąd miałaby wiedzieć? Ale może i wiedziała, może była na tyle przebiegła i mściwa, żeby tak to rozegrać. Żeby zniszczyć to, co trzymało mnie w kupie.

Potem przyszedł gniew. Choć to nawet nie był gniew – raczej dławiące uczucie prawie nienawiści do Ireny. Byłem pewien, że ona jedna jedyna, a tu się okazuje, że była taka sama. Za co to mnie spotkało? Za Tadeusza? Czyli lepiej było pozwolić mu robić, co chciał – on by żył, ja byłbym na wolności, a Irena...

Wkrótce potem rozpoczął się mój proces. Siedziałem w garniturze na sali rozpraw, pełnej reporterów. Wśród widzów dostrzegłem moje

Mojry – dwie, bo trzecia mnie oskarżała. Z instytutu nie było nikogo. Ani Ireny, ani nawet Pawła. Momentalnie ogarnął mnie gniew. Owszem, nie chciałem widzieć ich wcześniej, ale mimo to liczyłem, że ktoś z nich przyjdzie na rozprawę. Ktokolwiek!

Sąd odczytywał akt oskarżenia, wiedziałem aż zbyt dobrze, co zawierał. Adwokat radził mi wcześniej, żeby się przyznać, nie dyskutować. Dowody są mocne, a za współpracę z wymiarem sprawiedliwości wyrok może być niższy.

Mimo to kiedy padło pytanie, czy przyznaję się do zarzucanych mi czynów, coś znowu we mnie pękło. Jak wtedy w slajdotece. Jak u Joanny. Jak przed moim blokiem, kiedy zobaczyłem samochód z policjantką.

Czy byłem winny? Czy zrobiłem to dla siebie? Dla własnego zysku, dla własnej korzyści? Nie. A mimo to na sali sądowej byłem sam. Nie było nikogo z instytutu. Nawet jednego pierdolonego studenta. Nikogo ze środowiska, które uważałem za swoje.

Podniosłem się z ławki.

– Nie – powiedziałem twardo. – Nie przyznaję się do zarzucanych mi czynów.

Na sali zawrzało. Sędzia uderzał młotkiem, usiłując uciszyć gwar, a ja patrzyłem na moją policjantkę siedzącą w drugiej ławce, obok komisarza.

Uśmiechnąłem się do niej lekko.

Nie, nie jestem winny.

Posłowie

Archeologia na Uniwersytecie Warszawskim wcale nie jest tak zabójcza, jak mogłoby się wydawać. I nikt nie zamierza jej zamykać, wręcz przeciwnie – to jeden z najlepszych ośrodków archeologicznych w kraju, zatrudniający specjalistów od głośnych w całej Polsce badań w Amerykach Środkowej i Południowej, w Libii czy na Bornholmie, żeby wymienić tylko kilka. Faktem jest jednak, że mury uniwersytetu były świadkami wielu wydarzeń, zarówno z historii dużej – wojny, powstania, spiski, ba, trafił się nawet zamach bombowy w latach dwudziestych XX wieku! – jak i małej – rodziły się przyjaźnie, związki, przeżywano fascynacje, radości i smutki. Przechodząc zatem po raz kolejny przez bramę, można się zacząć zastanawiać, co by było, gdyby do tych wydarzeń dołączyło również zabójstwo, dokonane na kimś stąd przez kogoś tutejszego. I tak w mojej wyobraźni trup znalazł się w Instytucie Archeologii. Książkowy instytut współdzielili jednak ze swoim realnym odpowiednikiem głównie sam budynek – choć i tu zaszła pewna zmiana, bo w miejscu, w którym kilka lat temu znajdowała się slajdoteka, dziś mieści się jedna z instytutowych pracowni. Zakłady i ich opisani w książce pracownicy są jednak moim wymysłem. Obróbce literackiej poddany został również Zakład Medycyny Sądowej – wzbogacony w powieści o osobliwość w postaci quasi-prywatnej sali sekcyjnej doktora Lubczyka – oraz blok z mieszkaniem Borówki, znajdujący się na warszawskim Bródnie.

Żadna książka nie może powstać bez pomocy osób, które myślą, słowem i uczynkiem przyczyniają się do tego, by opowieść miała ręce i nogi. I tak w pierwszej kolejności nisko kłaniam się pracownikom Komendy Stołecznej Policji, a szczególnie panu podinspektorowi Jackowi Turczykowi i pani Marzenie Miklas-Dydo, za cierpliwość i odpowiadanie na moje niezliczone pytania oraz za okazaną sympatię. Ich pomoc była naprawdę nieoceniona. Fachową

policyjną radą służył mi również podinspektor Leszek Koźmiński ze Szkoły Policji w Pile, twórca Kryminalnej Piły, a zespół Komisariatu Rzecznego Policji pokazał, że Warszawa z poziomu Wisły (i policyjnej łodzi) wygląda naprawdę inaczej.

Révérance kieruję w stronę Zofii Knetki-Oberemok z zespołu baletowego Opery Wrocławskiej, która czuwała, by w „baletniczym” momencie wszystko było w porządku. Zresztą tak naprawdę wiele lat temu to właśnie ona zainteresowała mnie baletem do tego stopnia, że sięgnęłam do niego przy konstruowaniu postaci Igi Mirskiej.

Serdeczne podziękowania składam oczywiście pracownikom Uniwersytetu Warszawskiego, zwłaszcza pani Bogusławie Rokoszewskiej, która wprowadziła mnie w zaplątany świat finansowania, dotacji i tego wszystkiego, co sprawia, że pracownikom administracyjnym cierpnie skóra. Ponadto – panu profesorowi Jerzemu Miziołkowi i jego żonie Annie, dr. hab. Hubertowi Kowalskiemu, mistrzowi Mariuszowi Czubajowi, Marcie Mizuro, Recydywie MFK oraz Agacie Ługowskiej, Sylwii Krawczyk, Natalii Chwalczuk i Sylwii Buławce za wsparcie przy pracach nad książką. Podziękowania w tym miejscu należą się również Marlenie i Michałowi Bińkowskiemu, z którymi rozmowy są niezmiennie inspirujące. Marlena dodatkowo użyczyła panińskiego nazwiska jednej z postaci. Z kolei Mariusz Kozian z cierpliwością tłumaczył, wyjaśniał i dopowiadał – przydało się wszystko, oj, przydało! Okiem mrugam również w stronę Justyny Łakomej – za inspirację i zachętę do zbudowania tej opowieści, która na początku miała być zupełnie inna...

Na szczególny ukłon zasługują członkowie grupy JMP: Joanna Pawłusiów, Bartłomiej Grubich, Łukasz Lachowski i Michał Szablewski. Za długie rozmowy o tym, gdzie w obcym mieście zakopać trupa, i wzajemne dopingowanie się (nie, nie do zakopywania ciała).

Na koniec chciałabym podziękować czterem osobom, bez których nie trzymaliby Państwo tej książki w dłoniach. Mój ojciec Andrzej Bińkowski zaszczepił mi miłość do słowa (jakkolwiek górnolotnie to

brzmi) i podsuwał kolejne książki w miarę dorastania, aż do momentu kiedy ja zaczęłam podsuwać mu własne teksty. A te zawsze czytał i bezlitośnie wytykał słabe punkty, nigdy przy tym nie tracąc wiary w efekt końcowy. Nie inaczej było w wypadku *Tu się nie zabija*, które recenzował raz ostrzej, raz łagodniej (choć z przewagą tego pierwszego). Niezastąpiona Małgorzata Przybyszewska wysłuchiwała kolejnych (mniej lub bardziej trafionych) pomysłów fabularnych, dopingowała do dalszej pracy i wspierała w chwilach zwątpienia na długiej drodze od pomysłu do wydania. Ona również poznawała kolejne teksty, czy to dłuższe, czy krótsze, wydając o nich jakże wyważone opinie. Trzecią niezastąpioną osobą jest Filip Modrzejewski – redaktor prowadzący – który dostrzegł „światełko w tunelu” i zaproponował mi pracę nad tekstem, za co jestem niezmiernie wdzięczna. Ukłon należy się również mojemu redaktorowi, Janowi Koźbielowi, za ogromną cierpliwość i niezwykle trafne sugestie.

Gdyby nie te osoby, powieść *Tu się nie zabija* nie ujrzałaby światła dziennego. Dziękuję!

¹ William Congreve, *The Mourning Bride*, 1697.

W książce wykorzystano fragmenty *Żywotów cesarów* Gajusza Swetoniusza Trankwillusa w przekładzie Janiny Niemirskiej-Pliszczyńskiej (Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1972).

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Jan Koźbiel
Korekta: Paulina Stoparek, Małgorzata Denys

Projekt okładki: Izabela Marcinowska
Fotografia na I stronie okładki: © Mohamad Itani / Arcangel Images

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4593-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo